

**HÅKAN ÖSTLUNDH**

# TERROR

Przekład Maciej Muszalski



**HÅKAN ÖSTLUNDH**

# TERROR

Przekład Maciej Muszalski



Tytuł oryginału: *Terror*

Copyright © Håkan Östlundh, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Witold Kowalczyk

Korekta: Magdalena Mierzejewska

ISBN 978-91-8054-476-4Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

[www.gyldendal.dk](http://www.gyldendal.dk)

[www.wordaudio.se](http://www.wordaudio.se)

*jesteś rzeką  
prowadzącą fale na rzeź*

Bruno K. Öijer

20–24 czerwca 2004

Żałował tej podróży. Nie powinien był się zgodzić. Propozycja, którą dostał w Teheranie... to było szaleństwo. Miał nadzieję, że szaleństwo.

Said wyciągnął brudne ubrania i spakował czyste. Walizka leżała otwarta na łóżku w lichym studenckim mieszkaniu w sztokholmskiej dzielnicy Hammarbyhamnen. Był wzburzony. Chciał jak najszybciej jechać dalej.

Już w autobusie z lotniska Arlanda dzwonił do kuzynki. Zapomniał, że nie ma jej w mieście. A przecież go uprzedzała. Pod wpływem emocji wyleciało mu to z głowy: wakacje na Gotlandii.

Włożył do walizki dwie koszule, T-shirt, bieliznę, dzinsy. Sandały. Mówiła, że mieszkają przy plaży.

Wyjazd do Teheranu przybrał nieprzewidziany obrót. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezbronny jak wtedy, gdy zrozumiał, czego dotyczy sprawa. Jego przyjaciel z dzieciństwa. Przekazał mu wiadomość.

Długo szli ulicami Teheranu. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Swojego przyjaciela zaczął nagle postrzegać jakoś kogoś obcego. Poczł się tak, jakby stąpał po śliskich kamieniach. Najmniejszy fałszywy krok, a ześlizgnie się i wpadnie, wessany przez podwodne wiry. Zniknie na zawsze.

A może to było tylko złudzenie? Objaw paranoi?

Kuzynka zachęcała go, by przyjechał. I to natychmiast. Pomagała mu zarezerwować bilet na prom.

O tym mógł porozmawiać tylko z nią – z Saleh. Ale nie przez telefon. Czł się naznaczony, brudny. Jakby nie mógł tego z siebie zrzucić.

A tamto pożegnanie... Przypominało raczej ostrzeżenie.

Bielik unosił się wysoko nad domami w Nisseviken. Saleh była pewna, że to bielik. Nie dało się go pomylić z żadnym innym ptakiem. Wyróżniał się szerokimi, rozłożystymi skrzydłami o strzępiastych białych krawędziach. Wyszła na dwór, żeby lepiej widzieć, przystanęła kilka metrów od drzwi i zwróciła twarz ku niebu.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, poczuła gęsią skórkę. Miała na sobie cienki szary T-shirt z napisem „Uniwersytet Sztokholmski – bractwo studenckie” w stylu amerykańskiego college’u. Marzła. Był wczesny poranek. Na błękitnym niebie świeciło słońce, ale od morza ciągnął zimny wiatr.

Said usiadł i natychmiast zaczął opowiadać. O czwartej rano.

Już kiedy stanął w drzwiach, Saleh zrozumiała, że stało się coś poważnego. Jak tylko spojrzała mu w oczy. Był roztrzęsiony.

To, co opowiedział, i ją przeraziło. Drżała tak samo jak od zimnego wiatru przed domem. Powiedział, że poczuł się tak, jakby ktoś włamał się do jego domu i zaczął mu grozić – mimo że nie było go w domu i nikt go nie zastraszał. Choć tego drugiego nie był do końca pewny. Czy w słowach dawnego kolegi z klasy nie kryła się zakamuflowana groźba?

– Dlaczego ja? – pytał Said raz za razem ich oboje: Saleh i Josefa. Niewątpliwie przez lata w różnych dyskusjach wygłaszał całe mnóstwo radykalnych idei, ale przecież nie był szczególnie religijny. Nigdy.

Saleh i Josef wynajęli domek na dwa tygodnie. Pierwszy tydzień już dobiegł końca. Na razie większość domków na niewielkim terenie wypoczynkowym przy plaży była pusta. W piątek przypadało święto midsommar. Właśnie wtedy wszystko miało się zacząć. Słup majowy leżał przygotowany na koźle roboczym przy brzegu. Czekał, aż się zazieleni.

Niektórzy jej przyjaciele żartowali, że stała się już prawdziwą Szwedką, skoro zamierza spędzić urlop w domku na Gotlandii. I nie były to tylko żarty. W końcu związała się z pół-Szwedem, wkrótce miała zostać prawniczką, mieszkała w centrum miasta. Coraz bardziej się zeszwedczała i jej to nie przeszkadzało. Nie była zainteresowana ani walką z tym procesem, ani jego przyspieszaniem. Chciała tylko żyć po swojemu.

Pobiegła z powrotem do domu i zamknęła za sobą drzwi. Said siedział w kwiecistym fotelu w rogu pokoju, leniwie wertując poranną gazetę. Jakby po opowiedzeniu całej historii opadł z sił.

– Ech, jestem wykończony – oznajmił, pocierając oczy.

– Nie pójdziesz się położyć? – zapytała.

Podczas nocnej podróży promem Said przespał zaledwie kilka godzin. Tak samo dzień wcześniej w czasie sześciogodzinnego lotu z Teheranu.

Wolno pokręcił głową.

– Nie ma sensu. I tak nie zasnę. Może bliżej popołudnia, ale nie teraz.

– W porządku, zrobię kawę. Josef powinien wrócić lada chwila.

Josef pojechał po zakupy. Chciał być pierwszy w sklepie Ica w Hemse, który otwierano już o ósmej. Nie mieli w domu chleba. Jak mogła o tym nie pomyśleć, wiedząc, że przyjeżdża jej kuzyn?

Wyszła do kuchni. Małej i ciasnej. Trzeba było w niej wykonywać delikatne, ostrożne ruchy. Nalała wody do ekspresu i odmierzyła odpowiednią ilość kawy. Wyjęła kubki z szafki i sięgnęła po torebkę muesli, którą Josef postawił tak wysoko, że musiała się wspiąć na palce.

Usłyszała samochód Josefa. Wyjrzała przez okno i patrzyła, jak nadjeżdża drogą, a właściwie sunie dwiema koleinami wyżłobionymi przez koła w ziemi. Po stronie północnej dało się dostrzec kilka turbin wiatrowych i wąski cypel, na którym pasły się krowy.

Samochód, podskakując, jechał dalej. Audi TT nie było idealne do piaszczystych dróg Gotlandii, ale Josef bardzo się z niego cieszył. Niemal jak dziecko, choć zauważyła, że próbował to ukryć.

Kiedy po raz pierwszy przyjechał nim do domu, Saleh miała nieprzyjemne wrażenie, że auto jest zbyt wyzywające. Dwoje młodych brudasów w eleganckim sportowym samochodzie. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie uczucia mogło to wzbudzić. U Szwedów, rzecz jasna. Przecież nie mogli wiedzieć, że to samochód służbowy, którego właścicielem jest pracodawca Josefa.

Po jakimś czasie dała sobie spokój z tego rodzaju myślami. Mieli przecież prawo jeździć takim samochodem, jakim chcą. Ten mógłby budzić zazdrość, nawet gdyby za kierownicą siedzieli Szwedzi. Jeśli inni jeszcze bardziej zzielenieją z zazdrości, widząc, że kierowca ma ciemniejszą skórę, to... no cóż. Oboje ciężko na to pracowali i nie mieli się czego wstydzić.

Josef zaparkował przy drodze, za starą, zardzewiałą toyotą Saida. W miejscu, gdzie widok na morze zasłaniały wysokie chaszczce głogu i ja-

łowca. Wsiadł z samochodu, otworzył furtkę w kamiennym murze i ruszył w stronę domku. W prawej ręce niósł papierową torbę wypchaną bułeczkami i małymi żytnimi chlebkami.

Saleh nadal stała z opakowaniem muesli w ręce. Po chwili postawiła je obok ekspresu do kawy i poszła do drzwi.

– Już wrócił – oznajmiła, przechodząc przez pokój, w którym siedział Said.

– Luzik.

Cały Said. Przez ostatnie lata ciężko pracował nad szlifowaniem szwedzkiego. Chciał opanować słownictwo akademickie, ale w równym stopniu zależało mu na dopasowaniu się do stylu bywalców sztokholmskich kawiarni.

Saleh szeroko otworzyła drzwi i wyszła na schody na ganku.

Josef szeroko się do niej uśmiechnął. Choć byli razem już trzy lata, od tego uśmiechu wciąż robiło jej się ciepło.

– W sklepie Ica widziałem naprawdę dziwną rzecz – oznajmił. W jego oczach płonął entuzjazm.

Zanim Josef zdążył dokończyć opowieść, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Kawalek drzwi jakby eksplodował. Odłamki drewna pofrunęły we wszystkie strony. Jeden z nich, długi i gruby na ponad centymetr, ostro zakończony, wbił się w ramię Saleh. Nie zdążyła jednak jeszcze tego zauważyć.

Oboje spojrzeli na uszkodzenie w drzwiach. Było wielkości talerza. Ułamek sekundy później eksplodowała klatka piersiowa Josefa. Fragmenty jego serca i płuc wystrzeliły na zewnątrz i razem z pokaźną ilością krwi ochlapały twarz i klatkę piersiową Saleh. Kobieta stała jak zamrożona, nie rozumiejąc, co się stało, gdy jej chłopak osunął się na ziemię. Chwilę później wciągnęła powietrze, żeby wykrzyczeć swoje przerażenie, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Zginęła, zanim zdążyła zrobić wydech. W taki sam sposób, jak chwilę wcześniej Josef. Jedyna różnica polegała na tym, że gdy kula rozdarła ciało kobiety niczym metalowy szpon, wypchnęła wnętrzności przez plecy. Zwłoki zaległy blisko siebie na progu domu.

\*\*\*

Said usłyszał huk wystrzałów i natychmiast się zerwał z fotela. Zareagował instynktownie, ale ponieważ był w stanie lekkiego oszołomienia, nie miał



pewności, co to był tak naprawdę za dźwięk. Zrobił kilka kroków przed siebie i zobaczył leżących na progu kuzynkę i jej chłopaka. Ciała, ściany i podłoga wokół nich były skąpane we krwi.

Natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło. Nie potrzebował czasu do namysłu. Wykonał gwałtowny obrót i w trzech susach pokonał drogę do okien. Odblokował jedno z nich i otworzył na oścież. Postawił stopę na parapecie. Wystarczył jeden ruch i już był na zewnątrz.

Jak tylko jego stopa dotknęła ziemi, zaczął biec. Pędził jak nigdy przedtem i myślał tylko o tym, że musi się znaleźć jak najdalej od martwych towarzyszy i drzwi po drugiej stronie domu. Był przekonany, że zginie. Lada chwila zostanie rozerwany na strzępy w taki sam sposób. Będzie leżał martwy w trawie, w brei z własnej krwi i wnętrzości.

Pędził trawnikiem, przeskoczył kamienny murek, jakby to był bieg przez płotki, potem przez jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów leciał po skoszonych łące z dwiema małymi bramkami. Kluczył między sosnami i wyężdżając wszystkie siły, przeciskał się przez zarośla, co zostawiło krwawe zadrapania na jego odsłoniętych ramionach.

Kiedy się wydostał z zarośli po drugiej stronie, pozwolił sobie pomyśleć, że może mimo wszystko nie zginie. Przynajmniej nie od razu. Nadal miał przed sobą kilka minut życia. Czy będzie ich więcej, zależało od tego, jak szybko da radę biec, ale może jeszcze bardziej od tego, czy wybrał właściwą drogę.

Dotarł do wąskiej asfaltowej szosy, w którą zaledwie kilka godzin wcześniej skręcił z szerokiej drogi przybrzeżnej. Czuł dokuczliwy ból z tyłu głowy. Jakby snajper dokładnie w tej sekundzie wycelował w niego broń i nacisnął spust. Obejrzał się w jedną i drugą stronę. Na trasie nie dostrzegł nikogo. Postanowił biec nią dalej.

Z gwałtownie bijącym sercem i gardłem suchym jak papier ścierny przeciął trasę. Przesadził pobocze i bez wahania wbiegł w las.

Dawny kolega z klasy ostrzegał go, że coś takiego może się tutaj zdarzyć, ale Said mu nie wierzył. A przede wszystkim nie zamierzał o tym słuchać. Nie chciał być częścią czegoś takiego. Czułby się zbrukany jego wątpliwą misją i pokrętnymi teoriami spiskowymi.

Teraz jednak był w pewnym sensie wdzięczny za ostrzeżenie od przyjaciela. Gdyby nie ono, z pewnością podleciałby do ciał Saleh i Josefa. Pewnie właśnie na to liczył strzelec. Gdyby tak zrobił, już by nie żył.

Las był gęsty, ale grunt pod nogami równy i łatwo się po nim biegło. Said poruszał się szybko, choć musiał kluczyć między drzewami i się schylać, by uniknąć konarów. Bez wahania rzucił się w skłębione zarośla, nie bacząc na smagające gałęzie i kolce, które rozrywały ciało. Coraz bardziej zagłębiał się w las. Myślał tylko o tym, by uciec i pozostać w ukryciu.

\*\*\*

Tommy Johansson zaparkował tam, gdzie zwykle. Pomiedzy poszarzałym kamiennym domem a dużą stodołą. Wysiadł z volva w kolorze wojskowej zieleni i zamknął drzwiczki.

Usłyszał za sobą chrzęst żwiru.

Zaklął w duchu i się odwrócił.

Zwalista postać powoli sunęła przed siebie, do drzwi kuchni. Tommy był daleko, przy stodole, ale wyraźnie słyszał ciężki oddech. Fascynujące, że tak powolny ruch może wywołać taką zadyszkę. Fascynująco groteskowe.

Cholera, że też tego nie zauważyłem, pomyślał.

Nagle ciężko stąpający wielkolud spojrział na niego. Prosto na niego. Z głębokich oczodołów w otłuszczonej twarzy spoglądały zaciekawione oczy.

– Aha?

To było pytanie, nie tylko komentarz zaskoczonego człowieka. Wynikało z zainteresowania. Domagało się odpowiedzi. Mężczyzna spontanicznie wyrzucił je z siebie mimo niepisanej zasady. Tommy przystanął. Częściowo się odwrócił.

Patrzył na ojca.

Czy ten człowiek sądzi, że on czegoś od niego chce tylko dlatego, że przypadkiem spotkali się przed domem i mimo woli został świadkiem jego bezsensownego łażenia tam i z powrotem?

Zawsze miał to z tyłu głowy. Trzymać się z daleka od idiotycznych porannych spacerów ojca. W razie potrzeby zrobić dodatkowe kółko samochodem. Cokolwiek. Ale dziś... Myślami był gdzie indziej. A może to ojciec wstał wyjątkowo wcześniej? Coś się nie zgadzało.

Patrzył na ojca. Patrzył i milczał. Wzrokiem doprowadzał go do milczenia.

Po krótkim czasie ojciec uciekł spojrzeniem. Tchórzliwy unik, taki znajomy. Zaciekawienie zniknęło. Oczy zwróciły się z powrotem w kierunku drzwi. Tam, gdzie zamierzał przetransportować swoje cielsko.

O co mu chodziło z tym „aha”? Na jaką reakcję liczył?

W miarę jak kołyszące się plecy ojca coraz bardziej się oddalały, Tommy czuł dyskomfort. Jakby w rytmie tego kolebania coś ulegało zaburzeniu, rozproszeniu.

Z brzucha zaczął promieniować znajomy chłód. Rozchodził się po klatce piersiowej i docierał do głowy. Był siłą, bezpieczeństwem i samotnością.

Wtorkowy wieczór, godzina dwudziesta trzydzieści. Grał przyciszony telewizor. Promienie słońca dostały się do salonu, rozjaśniając stare tapety we wzór medalionowy i tworząc na nich żółtozłote kratki. Fredrik Broman wstał z niewygodnej sofy z lat trzydziestych i niespokojnie przeszedł po pokoju. Zbliżył się do okna i spojrzął na niszczący długi budynek z szarego wapienia. W tej oborze już od dawna nie stała żadna krowa.

Dawny kolega ze Sztokholmu, Jesper, użyczył Fredrikowi swój domek letniskowy. Jesper, na szczęście dla Fredrika, miał urlop dopiero w weekend po midsommar.

Do świątecznego wieczoru pozostały zaledwie dwa dni, a on nie miał pojęcia, z kim ani nawet jak będzie świętował. Pewny był jedynie, z kim go nie spędzi, nie będzie to jego rodzina.

Przynajmniej miał dach nad głową. Może powinno mu to wystarczyć.

Wszedł do kuchni, zajrzał do lodówki i wyjął lekkie piwo. Otworzył i upił prosto z puszkii. Inny jego dawny kolega twierdził, że tydzień trzeźwości oznacza nieograniczoną konsumpcję piwa niskoalkoholowego. Przechrzcił takie piwo na „Mała pomoc dla ojca”, bo pił je podczas swojego trzymiesięcznego urlopu ojcowskiego. Teraz była to „Mała pomoc dla Fredrika”, pozwalająca jakoś znieść samotność w ciemnych, ozdobionych medalionowymi tapetami pokojach.

Wrócił do salonu z puszką w dłoni.

Jesper miał wyjątkową miejscówkę. To prawda, że stary budynek gospodarczy był mocno zapuszczony, a kiedy gospodarz się wprowadził, brakowało bieżącej wody i kanalizacji, a po drugiej stronie stała ruina starszego budynku głównego. Wyjątkowa była lokalizacja. Zaledwie kilka minut rowerem do plaży w Austre. Dom leżał w popularnym wśród turystów okręgu Vamlingbo, ale w wygodnej odległości od firmy odzieżowej Vamlingbola-get, gdzie podczas gorączkowych tygodni w szczycie sezonu sztokholmczyki krążyli jak muchy wokół kostki cukru.

Kiedy Ninni go wyrzuciła, naprawdę dosłownie wypchnęła z ich wspólnego domu, nie miał bladego pojęcia, dokąd się udać. Przez kilka godzin siedział w samochodzie. Rozpaczał i rozmyślał. W końcu przyszło mu do

głowy, że na początku czerwca wiele domków letniskowych na wyspie z pewnością świeci pustkami.

Zaczął przewijać w myślach listę przyjaciół i znajomych, o których wiedział, że mają domek na Gotlandii. Było ich całkiem sporo. Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że tylko Jespera można o to zapytać bez skrępowania. Zwłaszcza jeśli będzie musiał ujawnić powód.

Zadzwoił do niego i dostał zgodę na wprowadzenie się jeszcze tego samego wieczoru. To przekraczało najśmielsze oczekiwania. Klucz był u człowieka mieszkającego w sąsiednim budynku przez okrągły rok.

Jesper tylko się z niego śmiał. Swoim zwyczajowym „e-hyy, e-hyy”.

– Nie mogę – gulgotał do słuchawki. – To przecież stereotyp ze szwedzkich kryminałów. Gliniarz, który ma problemy małżeńskie i jest w trakcie rozwodu, jedzie się przekimnąć do domku wypoczynkowego swojego kumpla.

Akurat wtedy Fredrik miał kłopoty z dostrzeżeniem komizmu całej sytuacji. Ponieważ jednak zależało mu na dachu nad głową, nie kazał Jesperowi się zamknąć.

– Nie rozwiodłem się – podkreślił nieco zaciętym tonem.

To tylko jeszcze bardziej rozśmieszyło Jespera. Z telefonu dobiegł trzeszczący charakterystyczny śmiech.

– Mogłeś chociaż wymyślić coś bardziej oryginalnego. Ujawnić, że jesteś pedziem. Albo notorycznie zaliczać każdą laskę z komisariatu. Zostać wyrzuconym przez żonę z domu za romans z koleżanką z pracy to banał, jakich mało.

I znowu ten śmiech.

Fredrik milczał.

Kiedy jednak włożył klucz do zamka i wszedł do wyziębionego, wilgotnego wnętrza, poczuł ogromną wdzięczność.

Od wyprowadzki minęło już półtora tygodnia. Znów podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Za godzinę słońce zniknie za koronami drzew. Wtedy w środku znowu będzie zimno, ale miał drewno, którym mógł napalić.

Fredrik otworzył okno. Powietrze było wilgotne. Prawdziwe ciepło kazało na siebie czekać. W okolicach midsommar zwykle tak to wyglądało. Wystawił głowę na zewnątrz i nasłuchiwał. Wyraźnie usłyszał nadejeżdżający samochód. Stał w drzwiach z założonymi rękami i oparł się ramieniem o futrynę. Wkrótce spostrzegł czarnego mercedesa Evy. Pojazd zniknął za w połowie zawaloną oborą i wynurzył się znowu zza fragmentu,

który jeszcze stał. Eva skręciła na posesję. Samochód, kolebiąc się, przejechał przez zarośnięte podwórze i zaparkował przed niskim kamiennym murkiem obok volva Fredrika.

Z samochodu wysiadła Eva Karlén i posłała mu szeroki uśmiech. Miała na sobie džinsy i brunatnoczerwoną skórzaną kurtkę z paskiem, którego końce wisały po bokach. Jasne włosy, na służbie zawsze spięte, opadały na kołnierz kurtki.

Eva w gotlandzkiej policji zajmowała się techniką kryminalistyczną i od trzech lat pracowała z Fredrikiem. Od kilku tygodni była też dla niego kimś jeszcze. Kimś więcej. Nie wiedział, kim dokładnie. Pewnie lepiej by zrobili, gdyby pozostali kolegami, ale na to i tak było już za późno. Może i nie za dobrze się stało, że go tu odwiedziła, przynajmniej jeśli zamierzał się przeprowadzić z powrotem do swojego właściwego domu. Na razie jednak nie był w stanie myśleć o tym, co jest słuszne, a co nie, i jak w tej sytuacji zachować się rozsądnie.

Eva lekko pokonała stopnie. Na jej twarzy znów wykwitł szeroki uśmiech. Oczy zmalały w wąskie szparki, a przy ich kącikach pojawiły się zmarszczki mimiczne.

– No hej – powiedziała głosem pełnym radości.

Fredrik poczuł, że na sam jego dźwięk serce zaczyna mu bić szybciej. Po dwóch krótkich słowach. Naprawdę nie wyglądało to dobrze. Przecież nawet go nie dotknęła. Zrobiła to jednak chwilę później. Objęli się. Wsunął ręce pod jej kurtkę, a Eva stanęła na palcach i go pocałowała, przyssawszy się do jego ust.

Poczuł się odurzony. Tu i teraz mógł przestać myśleć o tym, że jego życie to totalny chaos i że sam do tego doprowadził. Stali tak dłuższą chwilę i się całowali, zapominając o całej reszcie.

W końcu Eva psotnie uszczypnęła go w krocze kciukiem i palcem wskazującym i wyswobodziła się z uścisku.

– Poczujesz mnie czymś? – zapytała.

– Oczywiście. Może najpierw wejdź – odparł i się odsunął, żeby ją przepuścić.

Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na krzesło w przedpokoju. On poszedł za nią. Nie mógł się powstrzymać przed pogłaskaniem jej po szyi i ramieniu. Chwyciła go za rękę i pierwsza ruszyła do kuchni.

– Jadłaś coś? – zapytał.

– Tak, z dziećmi. Ale chętnie wypiję kieliszek wina.

– Czerwone może być? – zapytał, puszcżając jej dłoń.

– Może.

– To dobrze, bo chyba nie mam innego.

Odkorkował butelkę hiszpańskiego wina z Navarry. To zasada numer dwa wyrzuczonego z domu męża, który nie chce upaść na dno. Żadnego wina z kartonu.

– Kto się teraz opiekuje Stiną i Filipem? – spytał, nalewając wino do szklanki.

Nie znalazł w domu żadnych kieliszków, a nie miał ochoty dzwonić do Jespera i pytać, gdzie są.

– Zostali z mamą.

Skinął głową. Eva wzięła szklankę do ręki.

– Ona jest o tyle w porządku, że nie zadaje żadnych pytań.

Wypiła łyk wina.

– A przynajmniej niewiele – dodała.

Eva pod koniec roku zdecydowała się na separację z mężem. A zatem nikogo nie zdradzała. W przeciwieństwie do niego. Może popełniała błąd, zadając się z żonatym facetem. Pewnie tak jej to tłumaczyły przyjaciółki. Jeśli z nimi o tym rozmawiała.

Fredrik napełnił szklankę dla siebie.

– Zdrowie – powiedział. – Twoje zdrowie.

– I twoje – odpowiedziała i stuknęli się solidnymi szklankami.

Wzięli po łyku wina, a Eva odstawiła szklankę na zlewozmywak. Jej oczy znów się zwięziły – i to w sposób, któremu ledwo potrafił się oprzeć. Podeszła do niego, wsunęła ręce pod jego sweter, a palce pod pasek spodni, ale równie szybko je cofnęła i pogładziła go po plecach. Fredrik trochę nieporadnie odstawił szklankę. Otworzył usta, żeby skomentować, że mimo wszystko nie wygląda na szczególnie zainteresowaną winem, ale zdążył wypowiedzieć tylko kilka słów, bo zaczęła go całować. Podskoczyła i usiadła na zlewozmywaku, nogami objęła biodra Fredrika. Przywarł do niej.

Eva była jedną z pierwszych osób z Visby, które naprawdę poznał. Zawsze łatwo im się rozmawiało. Ich relacje były nieskomplikowane i odprężające. Zauważył, że jest szczęśliwy, mogąc z nią pracować. Nie myślał jednak o niej jako o kimś więcej niż przyjaciółce i koleżance z pracy.

A może... szczerze musiałby przyznać, że jednak myślał. Przyłapał się na tym, że nieco zbyt długo przygląda się jej twarzy. Kiedy patrzyła mu w oczy, czuł, że może nim zawładnąć silne i piękne uczucie. Tyle tylko, że

miał żonę, a poza tym na świecie nie brakowało atrakcyjnych kobiet. Starał się skierować myśli na inne tory.

Najwyraźniej coś między nimi było. Buzowało pod powierzchnią. A przed pięcioma tygodniami wybuchło.

– Może byśmy poszli na górę i zobaczyli, jak wszystko tam wygląda? – zapytała. – Co ty na to?

Wydawała się lekko zdyszana.

– Jestem za – odpowiedział, a ona się roześmiała, patrząc na niego. Ich usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Pół piwa, łyk wina, Eva, prawie niczego więcej nie było mu potrzeba. Podniósł ją ze zlewozmywaka i niósł na rękach, lekko się zataczając od ciężaru i alkoholu. Kiedy szedł w kierunku schodów, parkiet w przedpokoju skrzypiał.

– Nie, stój, poczekaj! – zawołała Eva.

Zeskoczyła.

– Ze złamanym karkiem na nic mi się nie przydasz.

Zaczęła iść tyłem po schodach, a na jej twarzy znów pojawił się ten szeroki uśmiech. Fredrik ruszył za nią, zaczarowany i podniecony ponad wszelką miarę i rozsądek.



Słońce nad Gotlandią świeciło nawet w środowy poranek, ale z zachodu nadciągał masywny pas chmur. Magnus Forsberg, zwany Manganem, stał z jedną ręką opuszczoną, a drugą uniesioną do czoła i chroniącą oczy przed słońcem. Przyglądał się dużemu drapieżnemu ptakowi szybującemu po niebie wysoko nad Nisseviken. Pokazała mu go kilka dni temu żona Josefin, zdrobniale Jossan. Jej z kolei zwróciła na niego uwagę dziewczyna z zagranicy wynajmująca domek przy nabrzeżu. Magnus nie miał pojęcia, czym się różni na przykład bielik od jastrzębia. Wiedział jedynie, że bielik jest raczej większy i bardziej okazały niż jastrząb. A ten ptak wyglądał na dużego.

– Wynosimy je?

Żona Magnusa chciała się wziąć do roboty przy zadaszeniu. Trzeba było je wyrównać po raz drugi. Najpierw jednak musieli przenieść rattanowe meble, żeby mieć miejsce do pracy.

Jossan stała gotowa do działania, w znoszonych džinsach i T-shircie w kolorowe plamy. Jej rude włosy były zaplecione w warkocz. Przed zaplanowanym na midsommar wieczorem grillowym czekało ich jeszcze wiele pracy.

Restaurację i kawiarnię Nisseviken kupili pod koniec marca. Lokal wymagał remontu. Duże i wygodne rattanowe meble, stojące pod ochronnym zadaszeniem między restauracją a kioskiem, były jednym z etapów tej drogi. Innym ważnym elementem rekonstruowanego lokalu był Mangan. Kucharz... i to bardzo zdolny – czego, jak głosiła plotka, nie dało się powiedzieć o poprzednim właścicielu. Mangan miał piętnaście lat doświadczenia w branży restauracyjnej. Ostatnio w niezłej restauracji przy Surbrunsgatan w Sztokholmie.

Kiedy wynieśli rattanowe meble, zapalił papierosa i zszedł sprawdzić temperaturę wody. Zatoka Nisseviken była płytka, przy końcu pomostu – pięćdziesiąt metrów od plaży – miała zaledwie metr głębokości. Zanurzył termometr i czekał. Podmuchy wiatru od morza rozprasały dym z papierosa i targały jego jasną grzywkę. Miał na sobie tylko szorty w kolorze khaki, bluzę z kapturem i sandały Birkenstock na bosych stopach, ale

chłodny wiatr nie stanowił dla niego problemu. Mangan nie był zmarzłakiem, a poza tym chroniła go dodatkowa warstwa tłuszczu pod skórą.

Wydmuchał dym i powiódł spojrzeniem po plaży.

Za kamiennym murkiem stało kilkanaście starych chat rybackich, a kawałek dalej znajdowały się restauracja i kiosk. Było też trochę atrakcji dla dzieci: huśtawki, stół do ping-ponga, flipper. Okolica nie wyglądała zbyt ciekawie. Wszędzie wysokie sosny i lepka ziemia. Chodziło jednak o spokój i bliskość morza. Gdy była piękna pogoda, bywało tam czasem tłoczno, ale po siedemnastej mała grupka letników Nisseviken miała plażę tylko dla siebie. W bezwietrzny i bezchmurny wieczór można było zejść tam z piwem, grillem albo piłką do nogi. Słońce zniknęło w różowofioletowym morzu około dwudziestej drugiej.

Mangan wyciągnął termometr z wody. Niezbyt zachęcające szesnaście stopni. Był jednak wczesny ranek. Woda jeszcze się nagrzeje. Ziewnął szeroko i ruszył z powrotem w kierunku lądu.

Przeszedł jeszcze kawałek nabrzeżem i minął restaurację, żeby dopalić papierosa. Za dwoma pierwszymi domami usłyszał ciche elektroniczne piski. Odruchowo wyciągnął telefon z kieszeni. Czyżby wyładowała się bateria? Nie, na wyświetlaczu nic nie było widać. Piski nie ustawały. Rozejrzał się, nie rozumiejąc, skąd dochodzą. Może z któregoś z domków?

Zmrużył oczy. Najbliższy wynajmowała para imigrantów. Za jednym z okien coś się poruszało. Zafalowała firanka.

Dopiero wtedy Mangan zobaczył pożar.

Wypuścił z ręki termometr i papierosa i pobiegł do restauracji. Wpadł do środka i omal nie zderzył się z Jossan.

– Pali się. Dzwon po straż pożarną! – krzyknął.

Spojrzała na niego przerażona.

– Tutaj?

– Nie, nie tutaj. W jednym z domów. Dzwon, do diabła!

W kuchni złapał jedną z gaśnic i wybiegł z powrotem na zewnątrz. Jossan podniosła słuchawkę telefonu w barze i wystukała 112.

Trzymając oburącz dużą czerwoną gaśnicę, Mangan Forsberg popędził w stronę płonącego domku. Biegł ociężale. Jego stopy zapadały się w piasek.

Dopadł do furki, otworzył ją nogą i pognął dalej w stronę domu. Drzwi nie były zamknięte. Uznał to za dobry znak. Przynajmniej było wiadomo, że w środku nikt nie śpi. W progu coś leżało. Człowiek? Czy ktoś się obudził, próbował wyjść podtruty dymem i tuż za drzwiami runął na ziemię?

Mangan gwałtownie przystanął. Szeroko otworzył oczy. Najpierw spostrzegł krew na drzwiach i ścianach, potem zobaczył zakrwawione, zmasakrowane ciała. Powoli ruszył w ich stronę. Stawiał małe, ostrożne kroki. Nagle poczuł, że traci siłę w nogach. Podszedł jeszcze bliżej. Co tu się wydarzyło? – pomyślał.

A potem ich rozpoznał.

Próbował odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Zmasakrowane ciała wyglądały inaczej, skóra miała ciemny rudobrunatny kolor, miejscami prawie czarny. Wokół nich unosił się gęsty rój much. Mimo to Magnus Forsberg natychmiast rozpoznał kobietę.

Miał wrażenie, że jego serce przestaje bić. Że jakaś substancja rośnie mu w ustach.

Zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu i opadł na suchą trawę. Wpatrywał się bezmyślnie przed siebie, ściskając w rękach gaśnicę.

Taniec płomieni za oknem kuchni był coraz dzikszy.

– Już jada. Jak ci idzie? – rozległ się krzyk Jossan od strony plaży.

Wbiegła przez bramkę.

– O co chodzi? – krzyknęła zdyszana na widok męża. – Magnus, co się stało?

Zaczęła do niego lecieć, ale stanęła na widok trupów przed drzwiami.

– O mój Boże, co to jest? O Boże – powiedziała zduszonym głosem.

Odwróciła się do Magnusa i już głośniej dodała:

– Musimy coś zrobić. Słyszysz?

Prawie nie zareagował. Wzrok miał nieobecny, jakby był rozmarzony.

Josefin obrzuciła krótkim spojrzeniem oba ciała, a potem drgające płomienie za oknem. Popędziła do Magnusa i wyszarpnęła mu gaśnicę. Jego luźne ręce zsunęły się po czerwonym zbiorniku.

Podbiegła do okna i stłukła gaśnicą jedną z szyb. Wyciągnęła zawleczkę z uchwytu, wsunęła dyszę do otworu w oknie i nacisnęła dźwignię. Miała dziesięć sekund. Paliło się coś na ławie obok zlewozmywaka, a oprócz tego płonęła jedna z zasłon. Na szczęście ogień nie trafił jeszcze na podatny grunt. Płomienie szybko zgasły, a Josefin na oślep skierowała dyszę ku sufity.

Ciśnienie w gaśnicy nagle się wyczerpało. Josefin odetchnęła i przykucnęła. Opuściła gaśnicę i zaczęła szperać w kieszeni dżinsów, szukając telefonu.

Fredrik obudził się wcześniej. Sypialnia była skąpana w świetle. W oknach brakowało firanek, a nie zebrał się do powieszenia żadnej zasłony. I to mimo tego, że światło budziło go co rano przez półtora tygodnia.

Eva nadal spała. Leżała na boku, oddychała spokojnie i miarowo. Włosy opadły jej na twarz. Odgarnął je ostrożnie, odsłaniając oczy, dzięki czemu mógł zobaczyć piękne łuki rzęs. Podciągnęła jedną nogę, ale się nie obudziła.

Dłuższą chwilę leżał, patrząc na nią. Zaledwie kilka godzin wcześniej siedziała na nim okrakiem i schrypniętym głosem szeptała swoje: „Dochodzę, dochodzę...”. Te wspomnienia napełniły go nagłym pożądaniem. Położył dłoń na biodrze Ewy, przesunął ku górze, a potem ostrożnie opuścił na brzuch. Czuł ciepło jej skóry. Lekki prąd wprawiał jego dłoń w drżenie. Eva jęczała z zadowoleniem, a jeden z kącików jej ust zaczynał się poruszać jak przy uśmiechu. Fredrik pozwolił sobie na powolne zsuniecie dłoni między nogi kobiety. Otworzyła oczy i spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

Nieoczekiwany sygnał jej telefonu był niemal jak cios w twarz. Wibracje zostały spotęgowane przez stolik nocny, którego skrzypienie było głośniejsze i bardziej nieznośne niż sam sygnał. Zanim się odwróciła, wibrujący telefon przesunął się do krawędzi i spadł na podłogę.

– Cholera – wymamrotała, wyciągnęła rękę i go chwyciła. – Eva Karlén – przedstawiła się nieco ochryple, siadając na skraju łóżka.

Na chwilę umilkła i tylko raz na jakiś czas wydawała pomruki na znak potwierdzenia.

– Mogę tam być za półtorej, może dwie godziny. Muszę najpierw wstać i odebrać wóz.

Fredrik zrozumiał, że stało się coś poważnego. Mimo woli na widok nagiego ciała obok siebie poczuł ukłucie rozczarowania. Jak tylko Eva skończy rozmowę, będzie musiała pędzić do Visby.

Zgasiała wyświetlacz komórki. Odwróciła się do Fredrika.

– Dzwonił Göran – oznajmiła. – W domku w Nisseviken leży dwoje zastrzelonych obcokrajowców.

– Obcokrajowców?

– Tak. Imigrantów czy coś. Dziś rano znaleźli ich właściciele tego kiosku tam w dole.

Fredrik poczuł, że pożądanie szybko go opuszcza.

– Pewnie niedługo do ciebie zadzwoni. Wolałabym nie mówić, że leżałeś tu obok mnie – powiedziała z krzywym uśmiechem.

– No, lepiej nie – odparł, gramoląc się z łóżka.

– Wezmę szybki prysznic. Do zobaczenia na miejscu – powiedziała Eva.

Pozbierała swoje ubranie, szybko go pocałowała, włożyła do ust porcję snusa i ruszyła w dół po schodach, ściskając w rękach stertę ciuchów. Kiedy zniknęła mu z oczu, zadzwonił jego telefon. Był to oczywiście Göran Eide, szef Wydziału Kryminalnego w Visby.

Fredrik słuchał, jak Göran opowiada to samo co Evie.

– Czy ktoś jest na miejscu? – spytał.

– Tak, dotarł już tam pierwszy wóz i mamy potwierdzenie. Z ich słów można by wywnioskować, że to istna krwawa łaźnia. Zobaczymy. Poza tym w domku ponoć wybuchł pożar, ale kiedy na miejsce przyjechała straż pożarna, ogień był już ugaszony.

– Okej – odparł Fredrik. – Jadę tam natychmiast.

– Dobrze. W takim razie jako pierwsi od nas przyjedziecie ty i Gustav.

Tylko Gustav, pomyślał Fredrik. Nie powiedział jeszcze szefowi, że mieszka pół godziny drogi samochodem od tamtego miejsca, w południowej części wyspy. Choć może Göran powinien o tym wiedzieć. O ile już się nie dowiedział pocztą pantoflową.

– To było tam w dole, przy kąpielisku? – zapytał Fredrik.

– Tak, zgadza się.

Zakończyli rozmowę. Zlustrował swoje ubrania i ze stojącej przy nogach łóżka torby wyjął slipy i parę skarpetek.

Zabrzęczało szkło, kiedy Eva zamknęła za sobą drzwi. Jak tylko Fredrik został sam, wrócił do rozwodowego piekła. Piekła separacyjnego, piekła zdrady czy jak je tam nazwać. Upojenie, które czuł w obecności Evy, przysło jak bańka mydlana. Zastąpiły je wątpliwości.

Eva była wspaniała, to prawda. Oszalałmijąco wspaniała. Ale czy właśnie w tym nie kryło się coś niezdrowego? Przecież miał życie, miał małżeństwo, które właśnie się rozpadało. A także dwójkę dzieci, z którymi spotkał się raz w ciągu ostatnich dwunastu dni. Musiał myśleć jasno, nie dać się oslepić. Chociaż Eva była chyba kimś więcej niż obiektem chwilowego zauroczenia? Była? A może nie?

Zorientował się, że stoi z ubraniami w rękach. Spodnie i sweter trzymał w lewej dłoni, a slipy i skarpetki ścisnął w prawej. Czekało na niego na miejscu zbrodni, gdzie było dwóch nieboszczyków. Musiał myśleć jasno. A przede wszystkim się pospieszyć.

Zbiegł po skrzypiących schodach, po drodze do łazienki wyjrzał przez okno i stwierdził, że samochód Evy już odjechał.

\*\*\*

Kiedy zadzwonił dyżurny, Göran Eide akurat zawiązywał pasek szlafroka. Miał w zwyczaju wstawać wcześniej. Lubił się zjawiać na miejscu chwilę przed współpracownikami. Mógł dzięki temu pracować w ciszy i spokoju. Jako szefowi dawało mu to tę przewagę, że kiedy w danym dniu rozpoczynała się praca, miał sytuację pod kontrolą. Był o krok przed innymi.

Będąc nadal w szlafroku, powiadomił ludzi, których musiał poinformować, a pomiędzy rozmowami pozwalał sobie na łyk kawy. Teraz szybko się ubrał.

Alarm od dyżurnego sprawił, że poczuł się młody i żywotny – w takim sensie, jakiego mu brakowało. Miał za sobą długi okres, kiedy to chodził z kąta w kąt i czuł się staro. Nie bez powodu. W końcu był stary. Wprawdzie na razie los oszczędził mu chorób i dolegliwości, organizm trzymał się dobrze jak na pięćdziesiąt siedem lat, ale co z tego. Göran Eide i tak czuł się staro. Tkwiło to raczej w głowie niż w ciele. Wciąż zajmowało jego myśli. Pięćdziesiąt siedem lat. Poza tym widział, co się działo z ludźmi, którzy go otaczali. Lennarta Svenssona ból pleców zmuszał do coraz częstszego brania zwolnień lekarskich. Ktoś z dawnych znajomych zmarł przedwcześnie, „zniknął za rogiem”, jak to kiedyś określił Lennart.

W ostatnie Boże Narodzenie wpadł mu w oko artykuł prasowy na temat raka krtani. Przeczytał go niechętnie, ale uważnie. Z tekstu wynikało, że choroba ta dotyka niemal wyłącznie palaczy. Mniej więcej miesiąc później zaczął odhaczać kolejne objawy i był coraz bardziej przekonany, że jest chory i czeka go śmierć.

W końcu poszedł do lekarza. Nie oznajmił od progu, że ma raka krtani. Poprzestał na opisanu objawów. Wystarczyła minuta, by lekarz stwierdził, że to zapalenie gardła spowodowane zwykłym przeziębieniem, z którym pacjent chodził dłuższy czas.

Mimo to Eide był zadowolony, że rzucił palenie, choć w poranek taki jak ten, gdy rozpoczynało się śledztwo w sprawie zabójstwa, zdarzało mu się zatęsknić za papierosami. Od samego myślenia o tytoniu poczuł jego zapach.

Był już ubrany i gotowy do wyjścia.

– Jadę! – krzyknął w stronę łazienki. – Zdążysz?

– Tak, już idę – mruknęła Sonja.

Po jej niewyraźnej odpowiedzi domyślił się, że myła zęby.

Od kilku tygodni we wtorki i czwartki przyjmowała zgłoszenia w policyjnej centrali. Była to pewna odmiana po pracy w recepcji, ale oznaczała również, że już o siódmej Sonja musiała być w Visby.

– Wyprowadzę samochód.

Praca w policji nie jest zajęciem, przy którym można się spokojnie zestażać, pomyślał, idąc do garażu. Chociaż może dotyczy to większości współczesnych profesji.

Ich najstarsze dziecko, syn Peter, miał trzydzieści dwa lata i mieszkał w Sztokholmie. Dawniej pracował jako programista, ale od trzech lat był bezrobotny. Próby przebicia się do dotkniętej kryzysem branży wydawały się z góry skazane na porażkę. Poza tym Peter twierdził, że kiedy firma znów znacznie zatrudniać, będzie raczej wybierała dwudziestodwulatków, kształconych na najnowszych systemach i językach programowania.

Göran nie miał możliwości sprawdzić, czy Peter przesadza, czy naprawdę jest tak źle. Brzmiało jednak nie najlepiej. Był niepotrzebny, choć przecież niedawno skończył trzydziestkę.

Ostatnio Peter postanowił wrócić na uczelnię i kształcił się, by zostać matematykiem. Robił to z mieszanymi uczuciami, ale był pewny, że kiedy skończy, dostanie pracę w szkole. Zapowiadało się dobrze. Kiedy jednak syn o wszystkim opowiadał, Göran czuł ból. Widział w oczach potomka, że to nie jest coś, czego on by chciał. Przynajmniej w głębi serca. Co prawda ścieżka zawodowa Görana również nigdy nie była prosta jak drut i pozbawiona trudności, ale nie został odstawiony na boczny tor, nie musiał zaczynać od zera, jak najwyraźniej wielu ludzi obecnie.

Czasy były ciężkie. Życie często nie miało nic wspólnego z wyobrażeniami.

Ich córka nadal przebywała na Gotlandii. Cieszył się z tego. Pracowała w szpitalu w Visby i mieszkała w Endre, zaledwie pięć kilometrów od Ekeby. Widywali się co tydzień.

Zamknął drzwi garażu, włączył silnik i siedział w samochodzie. Już miał nacisnąć klakson, kiedy Sonja wyszła z domu.

\*\*\*

Obudzona przez Görana Eidego Sara Oskarsson od razu poszła pod prysznic. Stała pod strumieniem wody nie dłużej niż minutę. Pobieźnie wytarła ciało ręcznikiem, naga weszła do pokoju i się ubrała. Tu i ówdzie zamoczyła ciuchy, ale wiedziała, że niedługo wyschną.

Spojrzała na młodego mężczyznę, który leżał w jej łóżku. Przystojniak, prawdziwe ciacho. Spędzili razem miły wieczór. Był jednak o sześć lat od niej młodszy i – jak się spodziewała – to wszystko zaczęło ją nudzić. O ile w ogóle różnica wieku miała tu cokolwiek do rzeczy.

Nudził ją ten chłopak. Wiedziała, że musi się go pozbyć, zanim on za bardzo się przywiąże. Albo zanim sama zanadto przywyknie do bycia częścią tego małego miasteczka. Kiedy rozważała zerwanie, powstrzymywała ją myśl, że straci kontakt ze wszystkimi, których dzięki niemu poznała. Takie podejście było chore. A co najmniej niemądre.

Wielu przyjaciół było od niego starszych. Dziwne, zważywszy, że potrafił się zachowywać naprawdę dziecinnie jak na dwudziestosiedmiolatka. Jednocześnie był bezpośredni, wesoły i przystojny. Tacy otwierają różne drzwi, nawet jeśli czasem zachowują się niezbyt rozsądnie.

Dzień wcześniej, kiedy byli w łóżku, zapytał, czy mogłaby przynieść z pracy policyjne kajdanki i być skuta podczas seksu. Roześmiała się. Po chwili zrozumiała, że mówił poważnie. Odpowiedziała, że teraz używa się pasków, nie kajdanek. A sama nie ma nawet tego – w końcu pracuje w policji kryminalnej. Była to półprawda. Nie używała paska na służbie, ale jak wszyscy inni miała mundur z paskiem w szafce w piwnicy. Nie była z natury pruderyjna i pytania o kajdanki z całą pewnością nie uznałaby za kroplę, która przelała czarę goryczy. Po prostu pytanie tak ją rozbawiło, że zaczęła się zastanawiać, co on w niej widzi. Czy jej zawód ekscytował go równie mocno, jak być może kręciła wynosząca sześć lat różnica wieku? Musiała się pozbyć chłopaka. Mimo wszystko miała nadzieję, że nie straci kontaktu z niektórymi z jego znajomych.

– No już, wstawaj i zmykaj – powiedziała głośno. – Muszę jechać.

Nie chciała, by pozostał w mieszkaniu pod jej nieobecność. Wydawało się to stanowczo zbyt intymne.



– No już, zmykaj. Masz minutę.

Sztywność i ból powoli ustępowały. Spał na chodniczku pod łóżkiem. Nie odważył się położyć w pościeli ze strachu, że zapadnie w zbyt głęboki sen i właściciel domku go zaskoczy. W każdej chwili mogli się pojawić ludzie nastawieni na świętowanie midsommar. Może, tak jak on, przypłyną statkiem około trzeciej nad ranem. Kiedy się obudził i zobaczył spód łóżka, czuł się tak, jakby bolał go każdy mięsień. Przez pewien czas myślał nawet, że nie uda mu się wygramolić.

W domku, w którym spędził pierwszą noc, nie było prawie nic. Nawet wody. Za pożywienie musiały mu wystarczyć dwie półtoralitrowe butelki coca-coli i kilka kawałków gumowatego chleba śmierdzącego mysim gównem. Cukier go odżywiał, ale jednocześnie wzmagął pragnienie.

Szedł dalej na północ. W kierunku Visby. Wiedział tylko to, że oddala się od Nisseviken. Poza tym nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nisseviken. Jak w słowie *tomtenisse*, oznaczającym szwedzkiego krasnala. Saleh i on z tego żartowali, bo uparcie przekręcał tę nazwę na Nasseviken – Zatoka Nazioli. Nie, powtarzała. Nisseviken, jak w słowie *tomtenisse*.

Ależ to była Wigilia.

Nawiedzały go straszne wizje z domu. Musiał wtedy usiąść i ścisnąć głowę dłońmi, żeby się w tym nie zatracić. Jego siostra cioteczna. Jego ukochana kuzynka. Zamordowana, rozerwana na strzępy. Wszystko się skończyło. Nie było przyszłości. Nie było wyjścia z sytuacji. Marzenie o zdobyciu wykształcenia i przyszłości w Szwecji było równie martwe jak Saleh i Josef.

Ciało mężczyzny już prawie zdążyło się zregenerować po nocy spędzonej na twardej podłodze, ale w środku cały się trząsał.

Nalał wody do szklanki i łapczywie wypił. Ten dom w porównaniu z poprzednim wyglądał jak wygrana na loterii. Były tu bieżąca woda i prąd. W spiżarni znalazł konserwy, makaron, orzechy i czekoladę. Wziął nawet prysznic i się ogolił. Chciał za wszelką cenę unikać ludzi, ale gdyby mimo wszystko na kogoś się natknął, nie mógł wyglądać jak zbir. Już wystarczający problem sprawiały mu egzotyczny wygląd i nie najlepsza znajomość szwedzkiego. Nie było tu tłumu, w który mógłby się wtopić. Tutaj się wy-

różniał. Mógł jedynie spróbować dotrzeć do Visby i odpłynąć statkiem. Pytanie tylko dokąd. Czy miał dalej wieść życie uciekiniera? Jego paszport został w domku, ale pewnie nie miało to aż takiego znaczenia. Powrót do Egiptu z pewnością nie był dobrym pomysłem, a poza tym istniało duże ryzyko, że zostanie zatrzymany, gdy tylko spróbuje wejść na pokład samolotu, którego celem jest kraj poza Unii Europejskiej.

Przeklinał Muhammada. Przeklinał tę cholerną podróż do Teheranu. Klął, że dawny przyjaciel mógł mu zrobić coś takiego. Dlaczego? I to akurat w momencie, gdy wszystko w jego życiu tak dobrze się ułożyło? Wrócił do Szwecji, a przecież marzył o tym od tak wielu lat. Czekwały na niego kursy podyplomowe prowadzone przez jednego z najlepszych biochemików w Europie.

Ale to już przeszłość.

Muhammad, Muhammad... Said tak się cieszył, gdy znów nawiązali kontakt. W Egipcie chodzili razem do podstawówki, a potem do liceum. Muhammad był jego najlepszym przyjacielem. Kiedy rodzina przeniosła się z powrotem ze Sztokholmu do Kairu, Said zaczął naukę w klasie Muhammada. Przyjechał do ojczyzny swoich rodziców jako obcy. Wyglądał jak Egipcjanin, mówił ich językiem, ale jego noga nigdy wcześniej w tym kraju nie powstała. Dopiero Muhammad otworzył przed nim świat. A przynajmniej dzielnicę, w której mieściły się szkoła i ich dom przy ulicy El-Fallah w dzielnicy Mohandessin.

Ich kontakt zaczął się urywać, gdy odbywali służbę wojskową. Widywali się na przepustkach, jeśli akurat wypadały w tym samym czasie, i było jak dawniej, dopóki Muhammad nie dołączył do Centralnych Sił Bezpieczeństwa. Tam wszystko się zaczęło. Właśnie wtedy ich drogi zaczęły się rozjeżdżać. Z perspektywy czasu to było oczywiste. Z Centralnymi Siłami Bezpieczeństwa łączyło się wiele skandali, a poza tym krążyła pogłoska, że organizacja została zinfiltrowana przez ekstremistów. Ale on sam nie zauważył niczego podobnego ani nie był poddawany próbom werbunku. To samo z pewnością mogliby powiedzieć inni. A jednak w ten czy inny sposób zaczęło się właśnie w CSB.

Po służbie wojskowej Muhammad przeniósł się na studia do Asjut, co było kompletnym zaskoczeniem. Przez dwa lata nie mieli praktycznie żadnego kontaktu, ale mniej więcej rok temu jego dawny przyjaciel z dzieciństwa nagle się odezwał. Zamierzał się przenieść do Teheranu i tam kontynu-

ować studia. Said akurat sam był w drodze do Szwecji. Ucieszył się z rozmowy i przez następny rok pisali do siebie maile.

Potem zapadła decyzja w sprawie tej nieszczęsnej podróży do Teheranu. Jeszcze trzy tygodnie temu czuł ekscytację i nie mógł się doczekać. Nigdy nie był w Teheranie, ale słyszał wiele entuzjastycznych i malowniczych opisów tego miasta. To, co w zamyśle miało być sentymentalnym spotkaniem i wizytą w ciekawym miejscu, okazało się jednak czymś zupełnie innym. W krótkim czasie dotarło do niego, że jego przyjaciel uległ gruntownej przemianie. Nieco dłużej zajęło mu zrozumienie, na czym ta przemiana polega. Po kilku dniach w Teheranie z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie, że Muhammad został wciągnięty do jakiejś organizacji islamistycznej w rodzaju Egipskiego Islamskiego Dżihadu. Może nawet właśnie do niego, nazwa nigdy nie padła. Said długo słuchał przyjaciela, dyskutował z nim. Często się zgadzał. Z krytyką niewłaściwego administrowania w Egipcie, nierówności ekonomicznych, kondycji demokracji, umieszczania w więzieniach opozycjonistów. Tylko częściowo był z nim jednak zgodny co do przyczyn tego stanu rzeczy. A już absolutnie nie mógł zaakceptować środków, jakimi Muhammad był gotów się posłużyć, by doprowadzić do zmiany.

Co on sobie wyobrażał? Że będzie wyrzynał w pień zagranicznych turystów i wtykał w ich rozplątane ciała ulotki? Bombardował restauracje serwujące europejskie potrawy? Czy to słuszna droga? A może nienawiść i szaleństwo doprowadziłyby do zabicia kolejnego prezydenta przez sprawców, którzy poza tym nie mieli żadnego przemyślanego celu? Nie potrafił dostrzec w tym wszystkim żadnej przyszłości, zmiany ani rewolucji. Widział tylko śmierć i zniszczenie. Zawsze uważał, że członkowie EID, Bractwa Muzułmańskiego i inni ekstremiści są po prostu faszystami, nieważne jak bardzo byliby religijni.

Pokręcił głową i spojrzał na Muhammada, którego przez piętnaście lat nazywał przyjacielem. Dawniej byli sobie tak bliscy, a dziś znajdowali się w dwóch różnych światach. Odległość geograficzna między Sztokholmem a Teheranem była łatwa do pokonania, ale ten dystans mentalny...

Nadal nie do końca potrafił dociec, dlaczego Muhammadowi tak bardzo zależało na jego odwiedzinach. Czy mimo wszystko to dawna przyjaźń sprawiła, że Muhammad cieszył się na ponowne spotkanie tak samo jak on, gdy samolot wylądował na lotnisku Teheran-Mehrabad? A może wyobrażał sobie, że uda mu się przekonać przyjaciela do swojej sprawy i go zwerbować?

wać, ale nie posunął się tak daleko, gdy zdał sobie sprawę, że ten nie jest podatny? Said nie znał odpowiedzi. Nie był nawet pewny, czy chce ją poznać.

Na pożegnanie przyjaciel podarował mu ostrzeżenie: nigdy nie wiadomo, kto patrzy, kto nasłuchuje. Służby bezpieczeństwa, egipskie i obce, mogą zacząć się nim interesować. Oczywiście rozmawiali o tym w teorii. Naprawdę musiałby mieć pecha, by coś takiego rzeczywiście się zdarzyło. Muhammad nie ostrzegł go wprost, że służby zadziałają w określony sposób, ale ochoczo dzielił się przykładami ilustrującymi, jak to może wyglądać. Nie zasugerował też, że ukochana kuzynka Saida mogłaby zginąć z powodu jego wizyty w Teheranie. Nie, o tym nie wspomniał ani słowem.

Said po raz kolejny musiał przycisnąć dłonie do głowy. To już koniec. Koniec jego życia. I w ogóle wszystkiego. Znajdą i zabiją go ci, którzy zlikwidowali Saleh i Josefa, lub zostanie zatrzymany przez szwedzką policję i albo usłyszy zarzuty, albo trafi w ręce zabójców. Kto powiedział, że ludzie z Muchabarat, irackiej służby bezpieczeństwa, czy kim tam oni byli, nie zrobili tego za przyzwoleniem szwedzkiego rządu? Oczywiście w tajemnicy. Nie mógł ryzykować i iść na policję. Poza tym, jakkolwiek było, szwedzka policja nie mogła w żaden sposób pomóc ani jego zmarłej kuzynce, ani jemu. Wyglądało na to, że są tylko dwie możliwości: zginąć albo żyć jak zaszczute zwierzę. A jednak, bez względu na to, jak kiepskie były jego widoki na przyszłość, nie mógł się poddać.

W najtrudniejszych chwilach myślał, że jakiegokolwiek szanse może mieć tylko w Iranie lub Sudanie i że jego przyjaciel wiedział o tym, gdy zarażał go swoimi ideami. Said rozpamiętywał, w jak cyniczny sposób został przez niego pchnięty prosto w ręce ludzi, na których towarzystwo nie wyrażał zgody. Przeklinał Muhammada, a jednocześnie nie potrafił go przeklinać. Tak do końca. W końcu Muhammad był jego kumplem, najlepszym przyjacielem. Byli niemal jak bracia. Co się stało?

Musi żyć dalej. Nie może sobie pozwolić na bezczynność i rozmyślanie. Grunt to przez cały czas być w ruchu.

Starannie po sobie posprzątał. Nie chciał, by właściciel domku, odkrywszy czyjaś obecność, zawiadomił policję. Do plecaka znalezionej w jednej z szaf spakował butelkę wody, pudełko czekoladek, dwie puszki fasoli, torebkę migdałów, małe opakowanie chrupkiego pieczywa, szczoteczkę do zębów, skarpetki i bieliznę.

To właśnie sprawił jego dawny przyjaciel: zamienił go nie tylko w zaszczone zwierzę, lecz także w zwykłego złodzieja.

Kiedy Fredrik dotarł do Nisseviken, nad ląd zaczęła nadciągać gruba warstwa chmur. Samochód Gustava stał już na parkingu.

Kolega z policji porządkowej pilnował ogrodzonego terenu opadającego w kierunku plaży. Fredrik podszedł bliżej i rozpoznał Larssona. Białoniebieska policyjna taśma drżała na delikatnym wietrze.

- Nieciekawie to wygląda. Cholernie paskudny widok.
- Wallin już tam jest? – zapytał Fredrik.
- Tak, mogę cię zaprowadzić.
- Chyba trafię.

Przeszedł nad taśmą i utwardzoną ścieżką ruszył w kierunku niskiego zielonego budynku z flagami reklamującymi lody i gablotami eksponującymi pierwsze strony poczytnych gazet. Przed wejściem do kiosku stał mechaniczny osioł w radosnych kolorach. Jeden z tych, na których dzieci mogą się pohuścić przez dwie minuty za piątaka.

Fredrik minął restaurację i stanął na piasku. Znał teren całkiem dobrze, bo wiele razy przyjeżdżał tu z dziećmi na kąpielisko. Nisseviken było ulubioną plażą Simona.

Po prawej stronie stał rząd pięciu małych domków wypoczynkowych z lat pięćdziesiątych. Na samym końcu drogi dojazdowej zaparkowano w poprzek radiowozy, tworząc skuteczną blokadę. W dole było cicho, spokojnie i – odkąd słońce zaszło za chmury – trochę zimno.

Przy trzecim domku zauważył Gustava Wallina. Gustav stał przy otwartych drzwiach i przyglądał się czemuś leżącemu na ziemi. Za furtką, obok zardzewiałej toyoty, był zaparkowany zakurzony, ale poza tym zadbane sportowy samochód. Kółka na maskownicy wskazywały, że to audi.

Fredrik ostrożnie otworzył furtkę z brązowych, nieco krzywych szczebelków.

- Halo! – krzyknął.
- Cześć – odparł Gustav przytłumionym głosem, po czym podniósł wzrok i machnął ręką na powitanie.

Miał na sobie grafitowy lniany garnitur z czarną koszulą pod spodem. Zawsze najelegantszy na miejscu zbrodni, pomyślał Fredrik i zauważył, że

Gustav po raz pierwszy od ponad roku jest gładko ogolony. Najwyraźniej po okresie eksperymentowania z różnymi modnymi typami zarostu zdecydował się postawić właśnie na taki wariant.

– Jak to wygląda? – zapytał Fredrik.

– Chodź tutaj, a sam się przekonasz.

Fredrik wziął głęboki wdech i podszedł do Gustava.

Wokół obu ciał krążyły muchy i inne owady. Fredrik zacisnął zęby. Zwłoki stanowiły nieunikniony element jego pracy. Sam ją zresztą wybrał. Istniały jednak dwie rzeczy, z którymi miał kłopot. Martwi ludzie i owady.

Zmusił się, by podejść bliżej. Naprawdę zobaczyć. Stonogi i muchy biegały po zwłokach, jakby im się dokądś spieszyło. Były też inne insekty. Nie znał ich nazw ani powodów, dla których istniały. Nie chciał znać.

Na szczęście nie zauważył larw much. A zatem ciała nie leżały długo. Kobieta i mężczyzna. Oboje mieli obrażenia klatki piersiowej. Ściany i podłoga w przedpokoju domku były czarne od ich zaschniętej krwi.

Afrykańczycy, pomyślał w pierwszej chwili. Ktoś wspominał o obcokrajowcach. Szybko jednak spostrzegł, że skóra nie jest w naturalnym odcieniu, lecz ściemniała od procesów gnilnych. Oboje mieli ciemne włosy i pochodzili, jak się zdawało, z północnej Afryki albo Bliskiego Wschodu. W każdym razie tak obstawiał po obejrzeniu ich spuchniętych twarzy.

Fredrik przełknął ślinę i spojrzał na Gustava.

– To nie mogło się wydarzyć dzisiaj.

– Słusznie – odparł Gustav. – Na pewno są tu od kilku dni.

Ciało kobiety leżało na plecach, a tułów i część ud znajdowały się wewnątrz domu. Lewa goleń była wykręcona. Mężczyzna leżał obok. Jego głowa spoczywała na progu, tuż nad prawym kolanem kobiety. Miał na sobie cienką, czarną bawełnianą kurtkę i dżinsy. Na nogach czerwone tenisówki. Ona była ubrana w jasnoszary T-shirt z nadrukiem. Tekst trudno było odczytać z powodu obrażeń i krwi, ale na samym dole Fredrik wyraźnie zobaczył słowa: „bractwo studenckie”. Też miała na sobie dżinsy. Była boso. Opuchnięte twarze utrudniały bardziej dokładne oszacowanie wieku, ale Fredrik się domyślał, że oboje byli w okolicach trzydziestki.

– Ktoś ich zastrzelił. W tej kwestii nie ma wątpliwości – oznajmił Gustav.

– No tak, ale z jakiej broni?

Fredrik przykucnął obok ciała mężczyzny.



Nogi kobiety były gęsto usiane białymi drobinami. Tak samo fragmenty pleców jej towarzysza. Tu i ówdzie Fredrik dostrzegł kawałki czegoś jasnobrązowego.

– Co to jest, do cholery? – zapytał głośno, a po chwili zauważył papierową torbę zalegającą pod ciałem mężczyzny. Była zniszczona, a spod poszarpanej krawędzi wystawała posiekana bagietka.

– Pieczywo na śniadanie – podsumował. – Po obojgu musiały chodzić ptaki. Dobrze, że zadowolily się bułkami.

– Jeśli był w sklepie, może pamięta go któraś z kasjerek. Nie można powiedzieć, by tu się roilo od obcokrajowców. Jest spora szansa, że ktoś go zapamiętał.

– No to jesteśmy umówieni – skonstatował Fredrik.

Oparł się jedną ręką o trawę i nachylił, próbując zbadać rany klatki piersiowej.

– Niewiele widzę, ale obrażenia wyglądają na bardzo poważne. Kurtka tu na krawędzi jest w strzępach, a krwotok... Musieli zginąć na miejscu.

– Kiedy zobaczyłem te plamy krwi, od razu pomyślałem o strzelbie i strzałach z bliska, ale tu nie ma ani jednej łuski – oznajmił Gustav, wskazując ściany i drzwi.

– To prawda – przyznał Fredrik. – Rany wlotowe też nie pasują.

– Spójrz tutaj – rzekł Gustav i zwrócił jego uwagę na drzwi wyszczerbione na krawędziach. Pośród chabrowego błękitu rzucała się w oczy biel drewna w szczelinie o średnicy dziesięciu centymetrów.

Fredrik wstał.

– To z całą pewnością nie była strzelba – oznajmił.

– Jeśli ktoś przygotowuje amunicję, która jest w stanie zrobić coś takiego, ma wszystko zaplanowane – stwierdził Gustav.

– Bez wątplenia. To było działanie z premedytacją.

Umilkli, zastanawiając się nad tym nieprzyjemnym założeniem. Rozglądali się. Fredrik po raz pierwszy zwrócił uwagę na to, że jedna z szyb w domu jest stłuczona, a futryna okienna częściowo osmalona po wewnętrznej stronie.

Pod oknem gęsto rosły wysokie, intensywnie fioletowe kwiaty.

Odwrócił się w stronę morza. Z miejsca przy drzwiach, czyli tam, gdzie stali z Gustavem, w każdym kierunku coś zasłaniało widok – całkowicie lub częściowo. Dobrze było widać tylko furtkę. Po prawej stronie prześwi-

tywały fragmenty morza, ale zasadniczą część pola widzenia wypełniały zarośla, wysokie na kilka metrów.

– Jeśli nie strzelono z bliska ani z żadnej z sąsiednich posesji, co wydaje się prawdopodobne, skoro upadli w środku, napastnik znajdował się na linii łączącej drzwi i furtkę.

– Myślisz, że mógł na przykład być ukryty za tymi krzakami? – spytał Gustav.

– Możliwe – odparł Fredrik.

Gdy uświadomił sobie, że sam stał na linii strzału, ogarnęło go niezbyt przyjemne uczucie. Zarośla przy plaży były gęste i nie dało się przez nie spojrzeć na wylot. Nikogo tam teraz nie było, ale mimo wszystko odsunął się o krok.

Jeszcze raz spojrzął na ciała.

– Czy ktoś z naszych był w środku?

– Tak. Knutsson wszedł i sprawdził. Pusto.

Fredrik spojrzął w niebo. Masywna warstwa chmur spowijała coraz większą część lądu. Wkrótce ostatni pasek błękitnego nieba zniknie na wschodzie.

– Oby tylko nie zaczęło padać.

Fredrik ruszył w stronę radiowozu i odszukał Knutssona, który pilnował taśmy po tej stronie. Ciała ochroniono plandeką. Na razie musiało wystarczyć. Jak tylko przyjedzie Eva, rozstawią namiot.

Fredrik i Gustav przeszli się wokół domku. Z tyłu też były drzwi, ale zamknięte na klucz. Za to sąsiadujące z nimi okno było uchylone.

– Ktoś je odrygłował – zauważył Gustav.

Otworzył okno czubkiem klucza i przyjrzał się ramie.

– Tu jest wyraźny odcisk buta – powiedział.

Rzeczywiście, odcisk był bardzo dobrze widoczny i ukazywał środkową część podeszwy buta. Osobliwe. Co mógł mieć wspólnego z dwojgiem zastrzelonych ludzi w drzwiach? Czy ktoś wszedł albo wyszedł przez okno? A jeśli tak, to kiedy? Przed zabójstwem, w jego trakcie czy po nim?

Zajrzeli do pomieszczenia. Znajdowały się w nim stół z laminowanym blatem, kuchenka, krótka ława, dwa fotele i telewizor. Podłoga była ułożona z pomalowanych na biało desek o szerokości dziesięciu centymetrów.

Nagły warkot silnika sprawił, że się odwrócili. Natychmiast rozpoznali cywilny radiowóz z Visby. Pomiędzy drzewami widzieli, że skręca na parking kąpieliska i się zatrzymuje. Ze środka wysiedli Göran Eide, Ove Gahn-

ström i Sara Oskarsson. Brakowało już tylko Evy Karlén. Fredrik spojrział na zegarek. Wiedział, że potrwa to jeszcze co najmniej pół godziny.

\*\*\*

Rozległ się sygnał telefonu Fredrika. Dzwoniła Ninni. Nie w porę, ale poczuł, że musi odebrać. Zaczęli od zwrotów grzecznościowych, które mogłyby rozpocząć każdą inną rozmowę. „Cześć, jak tam?” „Dobrze, a u ciebie?” „W porządku”. Potem nastąpiła cisza.

Te słowa kojarzyły mu się z zakłamaniami. Ale co innego im pozostało? Ogólnie przyjęte dobre maniere nie powinny zaszkodzić.

Ninni zebrała się na odwagę.

– Pomyślałam sobie... Musimy porozmawiać.

– Hm – mruknął.

– Możesz przyjść dziś wieczorem?

Fredrik podązał wzrokiem za trzema kolegami, którzy niedawno przyjechali. Gustav przedstawiał im sytuację.

– Dzisiaj raczej nie dam rady – odpowiedział.

– Jak to nie dasz rady? Umówiłeś się z nią? – zaatakowała Ninni, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

Fredrik stłumił westchnienie i ściszył głos.

– Właśnie jestem w Nisseviken i patrzę na dwa trupy.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Ofiary zabójstwa – dodał. – Raczej się przeciągnie.

– Aha – odparła niepewnie Ninni.

Straciła rezon. Trudno krzyczeć na kogoś, kto właśnie bada dwie ofiary morderstwa.

– Zadzwoń pod wieczór, kiedy już będę wiedział, na co się zanoszą.

– Dobrze, zadzwoń.

– Ale może być późno.

– Nie szkodzi. I tak nie mogę spać.

Nie miał pomysłu, jak na to zareagować. Przez kilka sekund trwała męcząca cisza, aż w końcu powiedział, że się odezwie później, i zakończył połączenie.

Göran i pozostali wyszli przez furtkę. Komisarz zdjął okulary i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki w jodełkę. Przejechał dłonią po czole

w kierunku włosów – z biegiem lat ten ruch się wydłużał – i szybko się rozejrzał.

– Lada chwila może zacząć padać, więc chciałbym, abyśmy jak najszybciej przeszukali okolice domku i plażę. Gustav i Fredrik, którzy już zdążyli go okrążyć, będą kontynuowali oględziny, a ty, Ove, zajmiesz się terenem wokół kiosku i parkingu. Mats może ci pomóc. Na razie jest tam spokojnie. Sara i ja przyjrzymy się bliżej tym zarośłom, a potem zaczniemy przeczesywać plażę, kierując się w twoją stronę.

Wszyscy pokiwali ze zrozumieniem głowami i się rozdzielili. Zrobiło się chłodniej, bardziej wilgotno i przede wszystkim ciemniej. Ulewa naprawdę wisiała w powietrzu.

Göran Eide czuł się co najmniej o piętnaście lat młodszy, gdy razem z Sarą obchodził okazałe zarośla przy plaży. Wszystkie myśli o starzeniu się i niepewnej przyszłości dzieci na razie wyparowały – i bardzo dobrze. Był w stu procentach skoncentrowany na zadaniu.

– Bardzo gęste. Pytanie, czy w ogóle da się coś przez to zobaczyć – powiedziała Sara.

– Zaraz się dowiemy – odparł Göran, patrząc pod nogi, żeby nie nadeptać na ewentualny ślad.

– Jeszcze tego brakowało.

– A co, miałaś inne plany?

– Chodzi mi o pogodę. Te chmury.

– Co poradzisz? Niedługo midsommar. Zwykle tak to wygląda.

Zrobił jeszcze kilka kroków, a potem dodał:

– Chciałaś świętować midsommar na kontynencie?

– Mogę już o tym zapomnieć. To, czego chciałam, przestało się liczyć.

Nastała chwila ciszy, a kąciki ust komisarza wygięły się ku górze. Sara szła za nim, więc nie zauważyła jego uśmiechu.

– Zgadza się. Na Gotlandii też nie będzie wielkiego świętowania.

Wyszli z zarośli po stronie morza. Pod ich stopami rosły trawa i wydmuchrzyca piaskowa. Fale, małe i prawie bezgłośnie, pieniały się wokół wąskiej wstęgi różowych wodorostów na brzegu.

– Niewątpliwie jest dość gęsto – ocenił Göran.

Chaszcze były kłębowiskiem głogu i wysokich krzewów jałowca, poplątanym i nieprzeniknionym. Jałowiec, nieustannie targany wiatrem od morza, rósł pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ziemi. Nisseviken miało zadbaną plażę, ale tu, w środku, w plątaniu gałązek, utknęły wyblakłe opakowania po soczkach, wyrzucone przez morze plastikowe butelki i pasy papieru toaletowego.

– Tutaj coś mamy!

Lepka i kolczasta roślinność zakręcała, układając się w kształt klina. Göran podszedł kilka kroków bliżej.

– To jest... – zaczął i wyciągnął dłoń w jednorazowej rękawiczce do gałęzi, ale znieruchomiał.

Przykucnął i zaczął ostrożnie pociągać za kilka gałęzi tuż przy ziemi. Uwolnił dwie z nich i uniósł każdą w jednej ręce.

– Spójrz na to.

Demonstracyjnie zbliżył do siebie dwie gałęzie, ukazując dwa wyraźne ślady.

– Zostały odcięte – skwitowała Sara.

– Jak widać. A popatrz tutaj!

Göran wskazał więcej podobnych śladów w gąszczu.

– Ktoś przygotował sobie miejsce, skąd będzie miał lepszy widok na domek. Bez wątplenia.

Przykucnął z powrotem i zaczął grabić dłonią ziemię pod sterzącymi chaszczami. Wyciągnął kolejne odcięte gałęzie.

– Dobrze po sobie posprzątał – podsumowała Sara.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Göran.

Ułożyli luźne gałęzie w stos na piasku.

– Musimy skombinować duży worek. Mogą tam być fragmenty skóry, a nawet krew.

Sara skinęła głową.

– Jeszcze bardziej prawdopodobne, że znajdziemy coś tutaj – dodała, wskazując miejsca cięcia, które w zaroślach wyglądały jak białe plamy.

Göran podążył wzrokiem za dłonią Sary.

– Nawet jeśli nie znajdziemy DNA, na pewno odkryjemy cząsteczki substancji zapalającej. Zrobimy zdjęcia, a potem obetniemy kilka tych gałęzi i ułożymy je na osobnym stosie.

Göran stanął pośrodku wyciętego klina i spojrzął w stronę domku. Powoli ugiął kolana, aż przysiadł, a następnie powoli wstał. Coś mruknął i znów ugiął kolana, w dalszym ciągu wpatrując się w budynek.

– Nie – powiedział nagle i wstał.

– O co chodzi? – zapytała Sara.

– Stąd jest idealny widok na to, co się dzieje przy drzwiach, ale żeby do kogoś strzelić, a w każdym razie trafić go w klatkę piersiową, trzeba stać.

Göran ponownie przykucnął i zaczął rozgarniać piasek wokół.

– Będziemy musieli go przesiać w poszukiwaniu łusek.

\*\*\*

– Tydzień był dosyć chłodny, ale świeciło słońce, a rozległość obrażeń przyspieszyła proces rozkładu.

Eva Karlén podniosła się i wskazała zwłoki kobiety leżące w drzwiach.

– Większość krwi i uszkodzonych tkanek, które widzicie na jej tułowiu, pochodzą od mężczyzny. Kiedy padł strzał, stała najwyżej metr od niego.

Krople deszczu stukały w dach białego namiotu z tworzywa sztucznego, który Eva natychmiast rozstawiła, żeby ochronić ciała. Padało od ponad godziny. Delikatnie, lecz nieprzerwanie.

– Te uszkodzone tkanki szybko ulegają rozkładowi i oczywiście przyciągają muchy oraz inne owady – ciągnęła.

– Mielone mięso – mruknął Ove do siebie.

– To całkiem trafny opis – odparła Eva. – Sam wiesz, że ma ono krótką datę ważności. Przez to trudno mi ocenić, jak długo tu były, ale stawiałabym, że od dwóch do czterech dni. Na pewno nie dłużej.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że leżeli tu przez weekend – rzekł Göran.

– Nawet jeśli woda wciąż jest zimna, na plaży powinno być mnóstwo ludzi. W sąsiednich domach pewnie też. Ktoś powinien był ich zauważyć.

– To oznacza, że do zabójstwa doszło między niedzielnym wieczorem a poniedziałkowym porankiem – dodała Eva.

Pochmurny dzień i rozstawiony namiot sprawiały, że panował półmrok, ale Eva zamocowała lampę, która rzucała ostre światło na oba ciała. Fredrik śledził wzrokiem ją i pozostałych. O świetle poranka można było tylko pomarzyć. Szary dzień, deszcz, Eva w ochroniaczu na włosy i jednorazowych rękawiczkach, jej wykład nad zmasakrowanymi zwłokami – to wszystko przepełniało go poczuciem beznadziei.

– W obu ciałach utkwily drewniane odłamki, które trafiły mężczyznę i kobietę w bok. Z tego można wysnuć wniosek, że kiedy to nastąpiło, jeszcze stali. A zatem trafienie w drzwiach to był pierwszy strzał. A ściślej mówiąc, pierwszy z trzech strzałów, o których wiemy.

– Ten mężczyzna – odezwał się Fredrik. – Nie miał przy sobie portfela? Przecież był na zakupach.

Wydawało mu się, że widzi, jak Sara Oskarsson się krzywi i przenosi spojrzenie z Ewy na niego. Wyglądało to jak milczący komentarz. I to nie taki, który miał cokolwiek wspólnego z ich pracą.

Sarze łatwo było tak stać i się szczerzyć. Młoda, singielka, w pracy dopiero od roku, nowa w Visby, bez czegokolwiek, co by ją ograniczało. Co pomyślała? „Teraz konkretnie pokpił sprawę ten ojciec dwójki dzieci, Fre-

drik Broman. No i jeszcze dziewczyna w pracy. Tak głupio i bez fantazji. Gdy ktoś chce narobić sobie kłopotów, powinien postępować jak Fredrik. Jakie to żalosne...”

Nie, na pewno o niczym nie wiedziała. Musiał sobie uroić tamten uśmiech i tamto spojrzenie. Jedyńm człowiekiem, któremu o tym powiedział, był Gustav. Jemu ufał. Choć oczywiście nie wiedział, z kim rozmawiała Ninni i co ten człowiek lub ci ludzie mogli przekazać dalej. Na pewno mówiła o tym z Leną, żoną Gustava, a ta przecież znała kilka osób w policji.

Spojrzenia Evy i Fredrika się spotkały, a chwilę później Eva przeniosła wzrok na Görana i odparła:

– Nie znalazłam niczego, co mogłoby pomóc go zidentyfikować, ale po wejściu do środka pewnie nam się to uda.

Kiedy Eva przybyła na miejsce zbrodni, Fredrik próbował się z nią przywitać w tak neutralny i swobodny sposób, jak to było możliwe. Po raz pierwszy musieli się spotkać na oczach całego wydziału krótko po tym, jak się obudzili w tym samym łóżku.

– Chcę przenieść ciała, abyśmy mogli tam wejść – powiedziała Eva. – Czy wszyscy się zgadzają, aby akt zgonu wystawił lekarz sądowy?

– Tak – odparł Göran. – To nie podlega dyskusji.

Pozostali skinęli głowami. Kwestionowanie tej decyzji nie miałoby sensu.

Eva wywołała Knutssona przez radio i poprosiła, by wpuścił Hampego, który czekał przed taśmą w swoim wielkim chevrolecie. Wkrótce potem rozległ się pomruk nadjeżdżającego czarnego vana.

Pod nadzorem Evy Hampe i jego pomocnicy rozłożyli na ziemi worek na zwłoki i odwrócili w nim mężczyznę na plecy. Rana wylotowa w klatce piersiowej ukazała się wszystkim, którzy tłoczyli się pod namiotem, żeby nie stać w deszczu. W miejscu, gdzie powinno być serce, znajdowały się głębokie rany.

Eva przykucnęła obok zwłok, żeby przeszukać przednie kieszenie spodni. Przez chwilę się z nimi zmagiła. W końcu udało jej się wyjąć biały paperek i kluczyk do samochodu.

– Paragon z supermarketu Högbyhallen w Hemse – powiedziała głośno, by wszyscy zwrócili uwagę. – Chleb za dwadzieścia siedem koron. Zapłacone o ósmej dwanaście w poniedziałek. I klucz do audi.



Göran ściągnął brwi. Wyjął okulary, chcąc samemu zobaczyć paragon. Eva uniosła go, żeby mógł przeczytać. Skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Ósma dwanaście. Jeśli nie zatrzymał się gdzieś po drodze, powinien był tu wrócić około wpół do dziewiątej albo chwilę później.

– Tym samochodem raczej nie jechał w ślimaczym tempie – stwierdziła Sara.

Hampe i jego kolega zasunęli zamki błyskawiczne worków na zwłoki i wynieśli oba ciała.

Folia, którą Eva rozwinęła w przedpokoju, szeleściła cicho pod nogami, gdy Fredrik wszedł do domku. Lampa została wniesiona do środka. Prąd był wyłączony. Prawdopodobnie pożar wywołał krótkie spięcie i wystrzelił główny bezpiecznik.

Po prawej stronie od większego pokoju, do którego Fredrik i Gustav zajrzeli wcześniej, mieściły się dwie małe sypialnie. Kuchnia znajdowała się na drugim końcu domu. Zewnętrzna ściana i dach były osmalone. Fredrik wszedł do środka.

Na ławie po prawej stronie od zlewozmywaka stały resztki czegoś, co dawniej musiało być ekspresem do kawy. Większość plastiku się spaliła, a szklany dzbanek pękł. Wokół ekspresu i na podłodze pod ławą zwęglone muesli zmieszało się z proszkiem gaśniczym.

Ekspres był włączony przez dwie doby, przegrzał się i stanął w płomieniach. Może też zapalił się papier z opakowania muesli. Gdyby nie pożar, niewykluczone, że dopiero w wieczór midsommar ktoś odkryłby ciała.

On jedzie do Hemse kupić płatki śniadaniowe. W tym czasie ona nastawia kawę. Kiedy mężczyzna wraca, oboje zostają zastrzeleni przez... no właśnie... kogo? Snajpera? Co tu się właściwie wydarzyło?

\*\*\*

Eva przeszukała dom, próbując znaleźć dokumenty tożsamości. Szybko się z tym uporała.

– To ciekawe – powiedziała, wręczając znalezisko Göranowi.

Komendant przyjrzał się temu, co dostał. Były to dwa prawa jazdy i zagraniczny paszport.

– No to zidentyfikowaliśmy dwie ofiary – powiedział. – Saleh Habib, lat dwadzieścia cztery, i Josef Thomasson, lat dwadzieścia siedem. Oboje są obywatelami Szwecji. Nie podpisałbym się pod stwierdzeniem, że to na pewno oni. Jeśli ktoś chce zaprotestować, proszę bardzo.

Przekazał prawa jazdy policjantom. Eva zaczęła przeglądać zdjęcia ofiar zapisane w jej cyfrowym aparacie fotograficznym i porównywać je z fotografiami z dokumentów.

– To oni – oznajmiła.

– Zobaczymy, co tu mamy – rzekł Göran i otworzył paszport.

– W pokoju z piętrowym łóżkiem leżała kurtka. Na nierozpakowanej walizce – powiedziała Eva.

– Said Habib, lat dwadzieścia cztery, pochodzący z Egiptu – rzekł Göran, wpatrując się w zielony paszport.

– To samo nazwisko – stwierdził Ove.

– Tak. Może jest jej krewnym. Raczej nie mężem. Wygląda na to, że w pokoju był z nią ten drugi.

– A gdzie jest teraz Said Habib? – zapytała Sara. – Jeśli miał z tym coś wspólnego, postąpił idiotycznie, zostawiając w domku paszport i swoje rzeczy.

– Tak – potwierdził Göran. – To przeczyłoby teorii o jego udziale.

– Ale mogłoby wyjaśnić otwarte okno i odcisk buta na ramie – rzekł Fredrik.

Jego koledzy odruchowo przenieśli wzrok na okno.

– Kiedy ci dwoje zginęli, musiał być w środku. Uciekł przez okno.

– Cholera – skwitował Göran Eide. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

Eva z powrotem podała mu prawa jazdy.

– Przeszukajmy cały teren, żeby mieć pewność, że nie leży gdzieś zabity ani ranny. Ten, kto zamordował tę dwójkę, mógł przecież pójść za nim.

– Człowiek, którego zrani taki pocisk, nie zajdzie zbyt daleko – zauważył Ove.

– Pewnie masz rację, ale nie można tego wykluczyć.

Göran zważył dokumenty w dłoni.

– Zadzwoń, żeby to sprawdzili, i zobaczymy.

Odwrócił się, chcąc wyjść z domku, ale się zatrzymał.

– Fredrik i Sara, porozmawiajcie z tymi, od których nadeszło zgłoszenie alarmowe.

Göran wyszedł korytarzem, nie czekając na odpowiedź. Stał w namiocie przed wyjściem, żeby nikt mu nie przeszkadzał, kiedy będzie wykonywał telefon.

\*\*\*

Drzwi otworzył Magnus Forsberg.

– Mam nadzieję, że nie musimy wracać... tam – oznajmił, kiedy zrozumiał, o co chodzi.

– Raczej nie – odparł Fredrik. – Już i tak... tam nie leżą... te ciała. Jeśli to o nie panu chodziło.

Magnus Forsberg z ulgą skinął głową.

– Nieprzyjemne jak diabli. W życiu nie widziałem nic gorszego. Żona jest wstrząśnięta.

Dom był mały. Wystrój można by uznać wręcz za ascetyczny. Z lewej i prawej strony pudła przeprowadzkowe jedno na drugim.

Przywitali się z Josefin Forsberg i usiedli w kuchni. Magnus na ich prośbę opowiedział, jak to się stało, że odkrył pożar, a później znalazł ciała.

On i Josefin mieli na sobie dzinsy i grube swetry. Jej był biały, a jego szary. Zrobiło się chłodno.

– Co teraz będzie? – spytała Josefin. – Człowiek zaczyna się zastanawiać. Skoro w okolicy grasuje jakiś szalowiec strzelający do ludzi. Tyle w to wszystko wpakowaliśmy, a teraz boimy się tu przebywać.

Kobieta patrzyła to na Fredrika, to na Sarę.

– Zdajemy sobie sprawę, że to musiało być dla państwa traumatyczne przeżycie. Jesteśmy jednak przekonani, że człowiek, który to zrobił, już nie wróci. Nie muszą się państwo obawiać – powiedziała Sara.

Josefin Forsberg kilka razy kiwnęła głową.

– Tak, tak, rozumiem. Ale nie wiem, czy to mi pomaga.

– Dobrze, że tak szybko udało się pani ugasić pożar – odparła Sara.

Niebo spowijały ciemnoszare chmury, z których padał gęsty deszcz. Wszędzie było mokro. Fredrik walczył ze stopniowo ogarniającym go przygnębieniem.

– Jeśli chodzi o te dwie osoby, które zginęły tam na dole... mieli państwo z nimi jakiś kontakt? – zapytał.

– Tak, spędzali sporo czasu na wyspie i codziennie przychodzili do kiosku. Czasem nawet po kilka razy. A raczej głównie ona. Saleh. W zeszłym tygodniu byliśmy tu w zasadzie tylko my i oni. Magnus znał ich z Mården.

Fredrik i Sara spojrzeli pytająco na Magnusa.

– Tak, zgadza się, poznałem ich już wcześniej. Pracuję w restauracji przy Surbrunnsgatan, a oni kilka razy przyszli tam zjeść. Mieszkają przy Ro-

slagsgatan. Ta dziewczyna mi mówiła.

Magnus zamrugął.

Fredrik zapisał coś w notatniku.

– Mården to nazwa restauracji?

– Tak.

– Pani też w niej pracuje?

– Nie, nie – odparła Josefin. – Zajmuję się wyszukiwaniem lokacji do sesji fotograficznych.

Fredrik nie był do końca pewny, z czym to się wiąże, ale uznał, że nie będzie zgłębiał tematu.

– Czego jeszcze państwo się o nich dowiedzieli? – zapytał.

– Ona studiowała prawo i... no cóż, wiem niewiele więcej. Rozmawialiśmy głównie o pogodzie, wietrze, tym, co akurat robimy, o lokalu. Tego typu tematy – wyjaśniła Josefin.

– Nic na temat ich pochodzenia? – spytał Fredrik.

Josefin Forsberg pokręciła głową.

– Nie chciałam dociekać. W końcu ona doskonale mówiła po szwedzku. Takie pytania bywają mocno krępujące. Zrobiłoby mi się głupio, gdyby odpowiedziała, że urodziła się w Szwecji.

– Sama też o tym nie wspominała?

– Nie.

– O której godzinie państwo wstali w poniedziałek?

Mangan i Jossan Forsbergowie popatrzyli na siebie, nieco zaskoczeni pytaniem.

– Mniej więcej o wpół do ósmej. Staramy się zaczynać dni dość wcześnie.

– Zauważyli państwo coś nietypowego?

Chwilę się zastanawiali, ale potem pokręcili głowami.

– Nie widzieli państwo samochodów, nie słyszeli żadnych dźwięków ani nic w tym rodzaju?

– Mąż zawsze włącza muzykę, więc nie słyszymy zbyt wiele.

– Rano lubię trochę podkręcić głośność, żeby się rozbudzić – wyjaśnił Magnus.

– A kiedy zeszli państwo na plażę?

– Jakoś przed dziewiątą, może o ósmej trzydzieści.

Fredrik wymienił spojrzenia z Sarą. Niewiele im to dawało.

– Niczego państwo wtedy nie zauważyli? Schodząc do pracy?

Josefin zareagowała trudnym do zinterpretowania wyrazem twarzy.

– Może być cokolwiek. Nawet najbardziej błahe informacje są czasem ważne.

– Niech pomyślę. W poniedziałek rano... było całkiem ładnie, chociaż trochę zimno. Słyszałam, że ktoś wykonuje prace stolarskie.

– Prace stolarskie? – powtórzyła Sara.

– Tak, słyszałam uderzenia młotkiem i pomyślałam, że nie tylko my jesteśmy na nogach wczesnym rankiem.

– Długo to trwało?

– Nie wiem – odparła po chwili wahania. – O takich rzeczach się nie myśli. Człowiek słyszy tylko, że ktoś wbija gwoździe. No wie pani, takie „pang, pang, pang” odbijające się echem od ścian.

Uśmiechnęła się bezradnie. Wyglądało na to, że ani ona, ani jej mąż nie zastanowili się głębiej nad tym, co właśnie opisała.

Iman Habib siedziała ściśnięta w przepelnionej kolejce wąskotorowej z torbą zakupów spożywczych ze sklepu T-Jarlen między stopami. W wagonie unosiła się woń potu i kwaśnego piwa. Źródłem tego ostatniego zapachu był zapewne mężczyzna z przetłuszczonymi włosami i w podartej kurtce siedzący przed Iman.

Iman Habib była zadowolona z pracy w hotelu Strand. Poza tym dobrze jej się mieszkalo w Täby. Nie cierpiała jednak wieczornych podróży do domu. Ciasnych wagonów, zmęczonych i zrzędlivych pasażerów. Dziś doszedł do tego jeszcze niekulturalny konduktor. Jeden z tych, którzy stemplują paski biletowe, opierając je sobie o okryty rękawiczką nadgarstek, i nigdy po prostu nie spojrzą na karty miesięczne, tylko wyrywają je pasażerom z ręki wściekłym szarpnięciem.

Spojrzała na swoje odbicie w szybie. Włosy miała długie i czarne, ale nie był to ich naturalny kolor. Farbowała je. Nie chcąc wyjść na zbyt próżną, w myślach tłumaczyła się tym, że ma pracę, w której musi wyglądać reprezentacyjnie. Taka zresztą była prawda.

Kurs recepcjonistki zrobiła dopiero wtedy, kiedy wszystkie dzieci zaczęły chodzić do szkoły. Trochę się martwiła, że kobiecie w wieku czterdziestu lat trudno będzie znaleźć pracę, ale poszło jak po maśle. Może zdecydowały jej umiejętności językowe: znała arabski, perski, francuski i angielski. Nie była pewna, czy to dlatego dostała tę posadę. Tak czy inaczej w hotelu Strand była główną recepcjonistką.

Nagle przyszło jej do głowy, że powinna zadzwonić do Saleh. Zerknęła na telefon w torebce. Nie miała jednak ochoty wyciągać go w zatłoczonej kolejce. Nie chciała też, by cały wagon słuchał ich rozmowy. No i wreszcie wolała nie mówić przy wszystkich po arabsku. Zaczęliby się gapić. Wiedziała to z góry.

Kiedy dwadzieścia minut później taszczyła torbę z zakupami ścieżką wiodącą do willi z cegły wapienno-piaskowej, drzwi samochodu zaparkowanego przy ulicy się otworzyły. Na ten dźwięk Iman się odwróciła. Ze środka wysiedli mężczyzna i kobieta, zatrzasnęli drzwi i ruszyli w jej stronę.

– Iman Habib? – spytała kobieta, kiedy byli już nieco bliżej.

Natychmiast zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Mieszkała w Szwecji od dwudziestu sześciu lat, ale nie zapomniała o swoim pochodzeniu. Na widok nieproszonych gości, którzy już z daleka pachnieli urzędowo, zawsze przeszywał ją dreszcz.

– Tak – odparła i zrobiła krok w ich stronę, jakby chciała ich zatrzymać już na granicy posesji.

– Jesteśmy z policji – oznajmiła kobieta i pokazała legitymację. – Czy możemy na chwilę wejść? – spytała, wskazując głową dom.

Iman poczuła narastający dyskomfort. Natychmiast ogarnął ją chłód. Lodowaty dreszcz przeszedł od karku przez kręgosłup. Uświadomiła sobie, że tysiąc razy wolałaby, aby Bóg zesłał na nią oskarżenie o działanie na szkodę państwa od tego, co miało nastąpić za chwilę.



Göran Eide stanął przy krótszym boku stołu konferencyjnego. W prawej ręce trzymał zauszniak okularów.

– Ostrzegę was, abyście wiedzieli, czego się spodziewać. Ci tam na dole zwietrzyli już nowego Mężczyznę z Laserem – oznajmił, wskazując salę, w której odbywała się konferencja prasowa. Sam niedawno ją opuścił.

Nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy wiedzieli, jakie konsekwencje może mieć egzekucja dwóch osób obcego pochodzenia. Jeśli szybko nie posuną się naprzód ze śledztwem, bez wątpienia doprowadzi to do szalonych spekulacji w mediach, paniki na tle rasistowskim i oskarżeń między różnymi grupami i urzędami.

W najgorszym wypadku jakiś parlamentarzysta może się poczuć zmuszony popędzić na rojące się od imigrantów przedmieścia Sztokholmu i wyśpiewywać tam ksenofobiczne pieśni. Nie jest to coś, co chciałoby się znowu oglądać, choć nie sposób odmówić takim akcjom pewnej wartości rozrywkowej.

– Pierwsze zabójstwo brudasów na Gotlandii – palnął Lennart Svensson.

– Co ty wygadujesz, do cholery? – naskoczyła natychmiast na niego Sara.

O nie, pomyślał Fredrik. Tylko nie teraz. Westchnął cicho, gdy Lennart i Sara zaczęli dyskutować. Pewnie, Lennart potrafił być denerwujący czy ujmując rzecz mniej dyplomatycznie, wkurwiający jak jasna cholera, ale rzadko było to coś więcej niż kiepskie żarty i nieporadne prowokacje.

Lennart miał pięćdziesiąt osiem lat, ale wyglądał na starszego, zwłaszcza odkąd jego już i tak przyprószone siwizną włosy po ostatniej zimie prawie całkiem zbielały. Z oczywistych przyczyn coraz częściej dostawał zadania administracyjne i nie miał nic przeciwko temu. Poza skłonnością do paskudnych żartów był bystrym śledczym.

W kwestii jego „dowcipkowania” między kryminalnymi panowało milczące porozumienie. Pozostawiali wszystko bez komentarza, po prostu udając, że nie słyszą.

Sara Oskarsson nie była jednak skłonna udawać, że nic się nie stało. Zatakowała odruchowo. To, co na początku było cywilizowaną dyskusją, w

każdej chwili mogło się przerodzić w kłótnię.

– Proszę, wróćcie do tej debaty przy innej okazji. Gdy nie będziemy mieli do rozpracowania sprawy podwójnego zabójstwa – uciął Göran.

Lennart i Sara znieruchomieli z rozdziawionymi ustami.

– Dzięki – rzekł Göran. – W takim razie zaczynamy.

Dopiero w tym momencie wysunął krzesło i usiadł.

– Pomoże nam Krajowa Policja Kryminalna. Zajmą się przesłuchaniami na kontynencie. Będą rozmawiali z krewnymi i znajomymi ofiar.

Spojrzał na Lennarta.

– Przedstawisz sylwetki Thomassona i Habibów? Potem spróbujemy wszystko podsumować.

Lennart skinął głową i rzucił na stół plik dokumentów.

– Możemy zacząć od zaginionego kuzyna – oznajmił. – Samo przejście paszportu Saida Habiba dostarcza ciekawych informacji. W niedzielę wrócił z dziesięciodniowego pobytu w Iranie. Obie pieczętki, przyjazdu i wyjazdu, przystawiono w Teheranie. Rodzice Saleh Habib zeznali, że pojechał odwiedzić w Kairze przyjaciela z dzieciństwa, który mniej więcej rok temu przeprowadził się do Teheranu. Słyszeli, że ten kolega wyjechał tam na studia, ale nie wiedzieli, o jaki kierunek chodzi. Warto odnotować pewien zbieg okoliczności dotyczący Saida i tego kolegi, Muhammada Awada. Mężczyzna przeprowadził się więc do Iranu około roku temu, bardziej dokładnymi informacjami nie dysponujemy. Mniej więcej w tym samym czasie, pod koniec lipca ubiegłego roku, Said Habib przyjechał do Szwecji studiować biochemię na uniwersytecie w Sztokholmie. I rzeczywiście studiował ten kierunek, w ubiegłym roku.

Lennart przerwał i zaczął szperać w dokumentach.

– Przyleciał na Arlandę dwudziestego ósmego lipca – przeczytał bezpośrednio ze swoich notatek.

– Jak radzi sobie z językiem na studiach? Mówi po szwedzku czy wystarczy angielski? – zapytała Sara.

– Mówi po szwedzku – odparł Lennart. – Zaraz do tego przejdę. Bracia Habibowie, czyli ojcowie obojga kuzynów, przyjechali do Szwecji z rodzinami w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Innymi słowy, kuzyni urodzili się w Szwecji. Oboje mają dwadzieścia cztery lata. Bracia ubiegali się o azyl z podobnych powodów: zgłaszając, że jako dysydentom grożą im długie kary więzienia za poglądy. Otrzymali pozwolenia na pobyt. Cała rodzina Saleh to dzisiaj obywatele Szwecji. Ojciec jest inżynierem w

stopniu doktora i z łatwością dostał tu pracę, a ojciec Saida, młodszy z braci, jest literaturoznawcą. Kiedy tu przyjechał, nie miał jeszcze skończonych studiów i wydaje się, że wejście w szwedzki system było dla niego trudne. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku rodzina zdecydowała się na powrót do Egiptu. Tam mógł dokończyć edukację i zajmuje teraz dobrą posadę na uniwersytecie w Kairze. Pewnie przyznacie mi rację, że nie można ich nazwać przeciętnymi obywatelami. Kiedy wyjeżdżali ze Szwecji, Said mówił płynnie po szwedzku i zdaje się, że od tamtego czasu podtrzymywał znajomość języka. Dobrze mu się poukładało w życiu. Trzecia osoba w tym domku to Josef Thomasson. On także przyszedł na świat w Szwecji jako obywatel tego kraju. Jest o trzy lata starszy od swojej dziewczyny, urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. Ojciec przyjechał do Szwecji z Egiptu sam w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Dziś jest obywatelem szwedzkim. Matka to Szwedka. Rodzice rozwiedli się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Opiekę nad dzieckiem przyznano matce, ale Josef utrzymywał kontakt z ojcem. Ma młodszą przyrodnią siostrę i brata o trzy lata starszego, Pettera Thomassona, który jako nastolatek miał problemy z prawem, ale poważniejszych przestępstw nie popełniał. Wygląda na to, że się poprawił. Od czasu wyroku w zawieszeniu za pobicie sprzed ośmiu lat jego kartoteka jest już czysta. Matka twierdziła, że Josef nigdy nie był zamieszany w nic podobnego. Bracia bardzo się od siebie różnią. „Jak dzień i noc”, tak to ujęła. Josef i Saleh poznali się trzy lata temu na uniwersytecie w Sztokholmie. Josef był wtedy na ostatnim roku ekonomii. Pracował jako sprzedawca w firmie informatycznej, oferującej sprzęt komputerowy, kursy i usługi systemowe. Sam uważał, że to trochę poniżej jego możliwości, ale mimo wszystko radził sobie całkiem nieźle. Josef i Saleh od października dwa tysiące trzeciego roku byli zameldowani przy Roslagsgatan 63 w Sztokholmie. Kilka przecznic od restauracji Mården przy Surbrunnsgatan, w której Magnus Forsberg pracuje jako kucharz, gdy nie prowadzi ośrodka turystycznego w Nisseviken. Wydaje się, że zarówno Josef, jak i Saleh bardzo mocno postawili na studia i karierę. Mają doskonałą opinię u pracodawców i nauczycieli. Saleh Habib należała do najlepszych studentek i myślała o pracy w gospodarce. Nie przejawiała szczególnych zainteresowań politycznych. W określone święta chodziła z rodzicami do meczetu, ale poza tym zdawała się wieść życie świeckie. Religijność rodziców też nie robi wrażenia intensywnej.

Lennart Svensson umilkł i zaczął szybko przeglądać dokumenty tworzące stos, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczył.

– Tutaj coś jest. Said należy do jakiegoś egipskiego stowarzyszenia w Sztokholmie, ale z dokumentu nie wynika, czy to organizacja polityczna, czy tylko tam siedzą, grają w karty i pogryzają ziarna słonecznika.

Fredrik spojrział z niepokojem na Sarę Oskarsson, ale tym razem siedziała spokojnie z kamienną twarzą.

W domu unosił się zapach schabu w sosie koperkowym. Tommy Johansson siedział przy stole w kuchni i śledził wzrokiem ruchy siostry. Nakładała mięso do małych foliowych torebek. Wyszło jej z tego jedenaście porcji. Nakleiła na nie paski taśmy do mrozonek i wyraźnie napisała czarnym tuszem „Schab w sosie koperkowym”. Dwa opakowania włożyła do lodówki, a resztę do zamrażalnika. Zeszło jej prawie do kolacji. Długo czekał na jedzenie, ale nie narzekał.

Współczuł jej, że musiała się tym zajmować. Przyjść prosto z przedszkola z ciężkimi torbami. Załadować jedzenie do zamrażalnika, żeby tata łatwo mógł wyjąć taką bryłę i podgrzać sobie w mikrofalówce. Tommy uważał, że mogłaby dać sobie z tym spokój. Przecież ojciec nie umrze z głodu. Jakoś sobie poradzi, jeśli będzie musiał. Albo umrze. Może tak byłoby nawet lepiej.

Tę dyskusję mieli już jednak za sobą. Od dawna. Nie zamierzał się z nią kłócić. Jeśli tak chciała, to proszę bardzo. Ale ani myślał jej pomagać. Zawsze był gotów ją wesprzeć w każdej innej sprawie. Ale nie w tej, i dobrze o tym wiedziała.

Tata jak zwykle jadł przed telewizorem. Tommy i Anna-Karin w kuchni. Z talerzy z paskami w kolorach tęczy, stojących na ceracie. Korzystali z nich, odkąd pamiętał.

– Dobrze – wymamrotał między jednym kęsem a drugim.

– Kiedy przyjdzie Krister? – spytała Anna-Karin, kiedy zaspokoili pierwszy głód.

– Jutro – odparł Tommy i opróżnił szklanekę mleka.

– Już jutro?

– Tak – potwierdził. Patrzył na nią, pochylając głowę nad talerzem. – Kurczę, ale masz zadowoloną minę.

Komentarz sprawił, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Oczywiście zauważył, co się dzieje. Może powinno mu się wydawać słodkie, że siostra jest tak zachwycona jego najlepszym kumplem. Ale... Dzieliło ich sześć lat. Kiedy Krister biegał jako mały smarkacz po podwórku, ona była już prawie dorosłą kobietą.

Teraz oboje byli pełnoletni, jednak i tak... Mimo wszystko coś mu nie pasowało.

Chciał dla niej tego, co najlepsze. Zależało mu, by miała wszystko, czego potrzebuje. Czegokolwiek zechce. Nie zamierzał stawiać jej na drodze. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że ma swoje zdanie.

– Nie, chciałabym pojechać do domu – odparła. – Jutro otwieram.

Pora była późna. W każdym razie dla kogoś, kto zamierza wstać około piątej rano.

– Okej – odparł Tommy.

– Jutro znów wpadnę – oznajmiła.

– Wpadnij. – Tommy wyszczerzył zęby. – Krister będzie około wpół do trzeciej.

\*\*\*

Mimo późnej godziny jeszcze nie zamierzali kończyć pracy. Fredrik próbował wziąć się w garść, ale czuł, że coraz trudniej mu się skoncentrować. Göran Eide zbliżał się do końca podsumowania.

– Odległość od zarośli do drzwi wynosi nie więcej niż trzydzieści dwa metry. Co oznacza, że nawet posługując się prostym celownikiem, można oddać bardzo precyzyjny strzał. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że sprawca strzelał na stojąco, a cel praktycznie przez cały czas był w ruchu. To wskazuje na kogoś w pewnym stopniu obytego z bronią. Można bezpiecznie stwierdzić, że nie był to człowiek, któremu w ręce wpadła broń i użył jej pod wpływem impulsu.

– Bardziej niż cokolwiek innego to przypomina egzekucję – rzekł Gustav. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła i podwinął rękawy koszuli.

– Ale o samej broni chyba trudno cokolwiek powiedzieć? – spytał Göran, patrząc na Evę.

– To prawda. Jak wszyscy się domyślili, użyto jakiegoś rodzaju amunicji rozpryskowej, dlatego niełatwo odczytać coś z kul. Są bardzo zdeformowane. Obstawiałabym siedem i sześćdziesiąt dwie setne milimetra.

– Czy to nietypowa amunicja? – spytał Lennart.

– Nie. Używa się powszechnie na polowaniach, a także w strzelectwie. Wiem, że Gwardia Narodowa kilka lat temu wymieniła mausera na AK4B, a to jest właśnie ten kaliber. Poza tym amunicji rozpryskowej tego kalibru jest całe mnóstwo. Ale, jak zaznaczyłam, tylko zgaduję. Fragmenty zostały

wysłane do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Zobaczymy, co powiedzą.

– A zatem amunicja nie daje nam żadnych odpowiedzi. Przynajmniej na razie – rzekł Göran i w zamyśleniu przygryzał górną wargę.

Spojrzał niewidzącym wzrokiem na Fredrika, na co tamten mimo woli zmienił pozycję na krześle.

– Trzeci człowiek, który był w domu, Said Habib... – zaczął Göran.

– Właśnie, jedno mnie w tym dziwi – wtrąciła Sara, ale urwała. – Przepraszam, skończyłeś? Czy można...

– Jasne, mów – odparł Göran.

– Zgadza się, że to wygląda jak egzekucja, ale o kogo właściwie chodziło sprawcy? W tym, co się wydarzyło, było wiele przypadku. Nie mógł na przykład wiedzieć, że kobieta otworzy drzwi mężczyźnie. Może chciał zabić jego, a ona zginęła, bo akurat się tam pojawiła? A może czekał po prostu na pierwszą lepszą okazję, by zabić jedną lub więcej osób? Czy w ogóle wiedział, że w domu jest jeszcze ktoś trzeci?

– Poczekaj. W wątku tego kuzyna, który przyjeżdża rano, coś się kryje – rzekł Fredrik.

– O, proszę, Broman się obudził – rzucił Lennart.

I słusznie. Fredrik zbyt długo milczał. Miał za dużo myśli naraz. I dotyczyły zupełnie czegoś innego.

– Tak? – odparł Göran.

– Said Habib miał przyjechać do domu w poniedziałkowy poranek – podjął Fredrik. – Josef Thomasson został zastrzelony tuż po przyjeździe swoim samochodem do Nisseviken. A jeśli sprawca się pomylił? Jeśli to na Saida czekał. Wiedział, że Said ma przyjechać w poniedziałek rano, ale nie znał dokładnej godziny, więc kiedy Josef wrócił z bułkami na śniadanie, zabójca pomyślał, że to jego cel.

Göran odsunął krzesło i wstał.

– To, że do zabójstw doszło tego samego ranka, gdy miał przyjechać Said, jest niewątpliwie interesujące.

– Oznacza w takim razie, że sprawca schował się w zaroślach po tym, jak Josef Thomasson pojechał do Hemse – oznajmił Ove, zwrócony do Fredrika.

– Tak.

Göran powoli przechadzał się po pokoju tam i z powrotem.

– Ale nadal nie wyjaśnia, dlaczego zginęła również kobieta – zauważyła Sara.

– Możemy sobie wyobrazić różne scenariusze – rzekł Göran, mijając białą tablicę. – Zabójstwo honorowe, czyn z pobudek rasistowskich, jakaś sprawa polityczna, tragiczny w skutkach przypadek zazdrości, narkotyki, długi czy jakieś inne przestępstwo w tle. Nie sądzę, abyśmy mogli wykluczyć którąś z tych możliwości, chociaż gdybyśmy mieli wprowadzić stopniowanie...

– Takie pełne emocji sprawy jak zabójstwo honorowe czy zazdrość trudno mi powiązać ze sposobem działania sprawcy – stwierdził Ove.

– Ja też bym je umieściła na samym dole listy – zgodziła się Sara.

– A to, że mogliby być zamieszani w działalność przestępczą... – ciągnął Ove, kręcąc głową.

– Nie, ci dwoje wydają się wyjątkowo kulturalni i zasymilowani. O kuzynie wiemy mniej, ale ojciec to jakiś profesor od kwestii językowych, a on sam był, zdaje się, biochemikiem albo miał nim zostać – powiedział Göran i bezwiednie chwycił jeden z pisaków umieszczonych w metalowej rynnie pod tablicą.

– Musimy uważać, by nie oceniać książki po okładce, ale przy tym, co wiemy dzisiaj, nie jest to wielka pomoc.

– Poza tym mamy sposób działania sprawcy – dodał Lennart. – Kojarzy się z egzekucją. Ale jednocześnie istnieją fakty, które temu przeczą. Jeśli mówimy o jakiejś organizacji, moim zdaniem możemy wykluczyć państwową organizację wywiadowczą. Oni wiedzieliby, ile osób znajduje się w domu. Nie pozwoliliby jednemu człowiekowi wybić okna z tyłu i zniknąć. Jeśli sprawa jest polityczna, mamy raczej do czynienia z terrorystami bez zaawansowanego przeszkolenia.

Göran zdjął nasadkę z pisaka i zaplamił sobie czarnym tuszem palec wskazujący.

– Problemem jest również to, że ludzie, którzy padli ofiarą, nie wydają się ani trochę interesujący z punktu widzenia motywów politycznych. Nie są religijni ani aktywni politycznie. Są nastawieni, jak się wydaje, głównie na karierę i zarabianie pieniędzy – zauważył Fredrik.

– Jeżeli ktoś z nich jest interesujący, to kuzyn. Ojciec to jakiś profesor, ale także dysydent, który uciekł ze swojego kraju. Dlaczego nagle przyjechał do Szwecji? Żeby studiować biochemię. Czy nie można studiować tego kierunku w Egipcie? No i co robił w Teheranie? A ten przyjaciel z



dzieciństwa, którego ponoć odwiedził? Skąd się tam wziął? Dlaczego spotkali się w Iranie, a nie w Egipcie, co byłoby bardziej naturalne? – zastanawiał się Lennart.

– Nie wiedziałem, że Lennart dostał pół etatu w policji bezpieczeństwa Säpo. Czy to dlatego tak rzadko go widzimy? – odparł z uśmiechem Ove.

– Lennart ma rację – przerwał Göran. – Skupmy się na osobie Saida. Kiedy go namierzemy, wiele się wyjaśni.

– O ile on jeszcze żyje – dodał Lennart.

– Myślę, że żyje. Gdyby był martwy albo ciężko ranny, powinien się znajdować niedaleko domu, a w takim wypadku już byśmy go znaleźli.

– Ale jeśli nie zginął, dlaczego nie daje znaku życia? – zapytała Sara.

– I właśnie dlatego uważam, że coś jest nie w porządku albo z nim, albo z całą trójką – odparł Göran.

– Skoro mowa o Säpo... mają coś? Sprawdziliśmy to? – spytał Gustav.

– Zostali poinformowani, ale nie zareagowali – wyjaśnił Göran.

– Nie omówiliśmy jeszcze wątku ewentualnego rasizmu.

– Pozornie profesjonalny sposób działania, ale z ewidentnymi lukami według mnie mocno wskazuje na ten motyw. A jeśli to rasiści, mam prawie stuprocentową pewność, że miejscowi. Kto zainteresowany takimi kwestiami płynąłby promem do gminy znanej z tego, że mieszka w niej najmniej obcokrajowców?

– To prawda. Szukamy znanych rasistów, neonazistów, skrajnych pravicowców. W pierwszej kolejności tych z najbliższej okolicy – postanowił Gustav.

Göran Eide skinął głową w ich kierunku.

– Dobrze. Wy dwaj możecie zacząć wyszukiwać ludzi tego pokroju. Na papierze jeszcze dziś, a w praktyce jutro z samego rana.

Kiedy Fredrik ruszył na południe, była późna noc. Trwał najjaśniejszy tydzień lata, midsommar przypadało w piątek, a dwa dni wcześniej nastąpiło letnie przesilenie. W lusterku wstecznym widział dzień migoczący na horyzoncie odcieniami błękitu. Deszczowe chmury się rozproszyły. Nie był pewny, czy bardziej przypomina to wschód, czy zachód słońca.

Zadzwoił do Ninni i zaproponował, aby przełożyli spotkanie na następny dzień, ale ona się upierała. Dlaczego miały mieć więcej czasu akurat dzień później, skoro jest w trakcie śledztwa w sprawie zabójstwa? Oczywiście miała rację. Pojechał więc mimo późnej pory. Zostanie mu niewiele czasu na sen, ale może lepiej się wyśpi po rozmowie z nią.

Zastanawiał się tylko, co powinien powiedzieć.

Nie czuł się gotowy do przekazywania jej zdecydowanych komunikatów. Mógł oczywiście stchórzyć i dać Ninni przejąć inicjatywę, ale taka gra najczęściej nie była warta świeczki.

Jakie tematy powinien w takim razie poruszyć? Dzieci, no pewnie! Muszą się porozumieć w kwestii opieki nad dziećmi. Cokolwiek się między nimi wydarzyło, muszą rozwiązać tę sprawę. Przez ostatnie dwanaście dni spotkał Joakima i Simona tylko raz. Tak dalej być nie mogło.

Westchnął i poczuł, jak opuszcza go resztką sił witalnych.

Wjechał w ponure światło latarni ulicznych w Hemse i wyłączył długie. Był już blisko.

Zaczął wspominać tamten dzień, gdy w kilka osób zostali po pracy. On, Sara, Eva i Ove. Dokładnie siedem tygodni temu. Można by było wybrać inny moment jako początek, ale dla niego zaczęło się właśnie w tamten wieczór.

Rozmawiali o pracy i o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia, ale po chwili zeszło na tematy bardziej osobiste. Niedługo potem Ove poszedł, a Sara, która była singielką i mieszkała w centrum, zapytała Fredrika i Evę, czy pójdą z nią na piwo. Wypić nie mogli, bo czekała ich jazda samochodem, ale odpowiedzieli, że chętnie jej potowarzyszą. W powietrzu wisiało coś, czego żadne z nich nie chciało przełamać.

Usiedli przy barze w restauracji Gamla Masters. Sara wzięła duże piwo, a Eva i Fredrik zamówili piwa niskoprocentowe i spokojnie je sączyli. Zanim Sara zdążyła opróżnić swój kufel, zadzwonił jej telefon i okazało się, że musi pilnie wracać. Fredrik i Eva zostali sami. Nie mieli nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie.

Kiedy barman zapytał, czy chcą dolewkę, Eva przyznała, że niespecjalni z nich bywalcy barów. Fredrik powiedział wtedy: „Zamów piwo, jeśli masz ochotę, mogę cię odwiedzić do domu. A jutro rano przyjedziesz autobusem”.

Z perspektywy czasu nie mógłby przysiąc, że nie miał w tej propozycji ukrytego zamiaru. Nie wiedział. Kiedy jednak stał tam przy barze, nie myślał, te słowa po prostu padły.

Po kilku „nie, nie” i „tak, tak” klamka zapadła. Eva zamówiła piwo i zanim się rozstali, siedzieli razem mniej więcej godzinę. Rozmawiali przede wszystkim o toczącej się sprawie rozwodowej Evy. Ona i jej mąż byli w separacji od czterech miesięcy. Na razie nadal zajmowała dom w Östergarn, ale nie było jasne, czy po rozwodzie tam zostanie. Fredrik nie wiedział, co oznaczają jej wątpliwości. Miał doświadczenie tylko z ludźmi, którzy w kwestii wielkich decyzji wypowiadają się mętnie, nawet gdy tak naprawdę już je podjęli.

Kiedy Eva rozpoczęła długi kurs na technika kryminalistyki, obrała sobie za cel powrót na Gotlandię i podjęcie tam pracy. Udało jej się to szybciej, niż miała odwagę marzyć. W tamtym czasie założenie rodziny nie stało ani wysoko, ani nisko na liście priorytetów Evy Karlén. W ogóle nie myślała o tym zbyt często. Może należało, bo kiedy wróciła na Gotlandię i spotkała przyjaciół z dzieciństwa, zważyło jej się to na głowę.

Wiele jej byłych koleżanek od dawna miało mężów i dzieci. Kiedy poznała Månsa, minęło nie więcej niż pół roku i już była w ciąży.

Obecnie Stina miała pięć lat, a Filip skończył siedem. Eva czuła, że ma dość. Nie Stiny i Filipa, tylko życia rodzinnego. Któregoś dnia poczuła, że nie wytrzyma już ani dnia takiego życia. Miała go po dziurki w nosie. Choć był to może tylko tchórzliwy sposób na powiedzenie, że to Månsem się zmęczyła. Nie była pewna.

Kiedy wsiedli do volva Fredrika, żeby pojechać do Östergarn, dowiedział się, że przed laty Eva aktywnie działała w młodzieżówce partii Centrum. W tym samym okresie jej ojciec zasiadał w radzie gminy, więc najwyraźniej spieszyło jej się, by pójść w jego ślady. Po paru latach jej zainteresowanie polityką partyjną wygasło i od tamtego czasu głosowała nie tylko na Cen-

trum, ale też na Partię Ludową i socjalistów. To drugie tak oburzyło Sunego Karléna, że któregoś niedzieli milczał przez cały obiad.

Eva pokierowała Fredrika do dużej funkcjonalnej willi w kształcie pudła, położonej w połowie drogi między kościołem Östergarn a miejscowością Herrvik. Kiedy zahamował na podjeździe, zapytała, czy na chwilę wstąpi. Fredrik przez moment się zastanawiał, dlaczego to zrobiła. Nie mogła go przecież zapraszać na kieliszek, a poza tym na Gotlandii, w przeciwieństwie do Sztokholmu, nie wykorzystuje się pierwszej możliwej okazji do zaprezentowania komuś swojego domu. Ale nie protestował.

Kiedy tylko weszli do domu, Eva stwierdziła, że nie może go niczym poczęstować. O ile nie chce kawy, ale nie chciał. Przez chwilę stali w milczeniu, w dużych drzwiach między holem a salonem z wieloma wysokimi i wąskimi oknami. Byli naprawdę blisko siebie. Tak blisko, że powinni się czuć skrępowani, ale żadne z nich nie wykonało najdrobniejszego ruchu, żeby zwiększyć dystans.

Po wszystkim nie potrafili rozstrzygnąć, kto właściwie przejął inicjatywę. Nie mogli sobie przypomnieć, jak to przebiegło, mimo że poświęcili dużo czasu na omawianie tego tematu. W każdym razie nagle zaczęli się całować. Trwało to niezbyt długo.

Zaskoczeni i trochę zawstydzeni pożegnali się, a Fredrik odjechał, wdzięczny, że to przerwali na etapie drobnego incydentu, który można zamieść pod dywan i zapomnieć.

W drodze do domu zastanawiał się, co właściwie w niego wstąpiło. Ninni i on jeszcze jesienią przechodzili kryzys. Czy to nie wystarczyło? A może wcale go nie przeszli? Może dopiero się zaczął?

Tak, tamten pocałunek można było zamieść pod dywan i zapomnieć, ale tak się nie stało. Za to jego wspomnienie rosło w siłę...

Myśli Fredrika się rozproszyły, gdy światło reflektorów padło na tablicę przy drodze zjazdowej. Skręcił ze sto czterdziestki dwójki i próbował się przygotować mentalnie. Już za kilka minut stanie oko w oko z Ninni po raz pierwszy od dziesięciu dni. Nie przebywali tak długo osobno od wielu lat. Chwila naprawdę nie sprzyjała czułemu wspomnianiu pierwszego pocałunku z Evą sprzed siedmiu tygodni.

Zwolnił i skręcił przed dom. Powoli przejechał po trawiastym podwórku przed masywnym osiemnastowiecznym budynkiem. W kuchni i salonie na piętrze paliło się światło. Był w „domu”.

\*\*\*

Ninni wyglądała na zmęczoną. Uświadomił sobie, że pewnie nie powinien tego komentować. Poza tym, choć nie od razu, zauważył coś jeszcze. Schudła. Ile można schudnąć w ciągu dwunastu dni? Wyglądało na to, że naprawdę sporo.

– Cześć – zaczęła.

Zabrzmiało to krótko i neutralnie. Właściwie sucho.

– Cześć – odpowiedział w taki sam neutralny sposób.

Przez chwilę milczeli. W tak dziwnej sytuacji można było się poczuć skołowanym. Fredrik miał czterdzieści dwa lata i nigdy wcześniej nie przeżył czegoś podobnego. Kusilo go, by po prostu się wyłączyć. Głęboko odechnął. Pomyślał o domu, do którego się wprowadzili półtora roku wcześniej. O całej pracy, którą w niego włożyli. O jego staraniach, by dalej mieszkali na Gotlandii. A potem wydarzyło się coś takiego.

– Możemy usiąść w kuchni – powiedziała Ninni.

– Jasne – odparł. Poszli tam i zajęli miejsca przy stole.

Na środku stała otwarta butelka wina.

– Napijesz się? – spytała.

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – Prowadzę.

Pytanie sprawiło, że w jego myśli wkradły się niechciane wspomnienia. Tej krótkiej chwili w domu w Östergarn. Jego życie byłoby dziś o wiele prostsze, gdyby skończyło się na tym, może i nie całkiem niewinnym, ale jednak krótkim pocałunku. Co by było, gdyby nie zapytał Evy, czy zje z nim lunch, kiedy wpadli na siebie na parkingu? I gdyby Eva nie pojawiła się nagle na wydziale kryminalnym, gdy pracował do późna nad protokołami przesłuchań. Gdyby nie zapytała – zresztą całkiem zuchwale – czy miałby ochotę wpaść do Östergarn, a jego szeroki uśmiech i pożądlive spojrzenie zdradziły go na długo, zanim odpowiedział.

Był jednak dorosłym człowiekiem. Nie mógł zwałać wina na to, że w pewnych chwilach pojawiają się określone pokusy. Jasne, że bez nich byłoby łatwiej, ale mimo wszystko miał wybór. To, że „okazja czyni złodzieja”, było tylko półprawdą. Złodziej przede wszystkim rodzi się sam.

Wpadł do Östergarn. Kochał się z Evą. I oczywiście, wracając tamtej nocy do domu, miał poczucie winy i żałował tego, co zrobił, ale te uczucia nie były zbyt przekonujące w porównaniu z euforią na myśl o dotykaniu ciepłej skóry Evy. To były wybuchowe wibracje. Już wtedy chciał więcej.

Wtedy zdradził Ninni po raz drugi. Do pierwszej zdrady doszło wiele lat wcześniej podczas szkolenia zawodowego. Nigdy o tym nie powiedział, ale głęboko żałował, jeszcze zanim zdjął ubranie. Tym razem było inaczej. Zupełnie inaczej.

– Zastanawiałeś się trochę? – spytała Ninni.

Popatrzył na nią i uciekł wzrokiem, zawstydzony obrazami, które chodziły mu po głowie. Odchrząknął, choć wcale nie musiał.

– Tak. Jadąc tutaj, myślałem o pewnej sprawie.

Nie dało się zaprzeczyć, że tak było.

– Musimy coś postanowić w kwestii dzieci – stwierdził.

Oczy Ninni prawie niezauważalnie się rozszerzyły. Nieznacznie odchyliła głowę do tyłu.

– Może to być coś prowizorycznego, ale po prostu opracujmy jakiś plan. Fifty-fifty albo nie, jeśli nie chcesz, byle tylko sporządzić schemat, którego będziemy się trzymać. Przez dwa tygodnie prawie się z nimi nie widziałem – oznajmił.

Ninni milczała. Kiedy mówił, jej spojrzenie powędrowało w kierunku drzwi.

– Nad niczym innym się nie zastanawiałeś? – spytała.

– No cóż – odparł, czując instynktownie, że stąpa po kruchym lodzie. – Pomyślałem, że dobrze będzie zacząć od tego. Sprawa jest ważna.

– Dzieci? – odparła.

– Tak.

– Dzieci? – powtórzyła bardziej piskliwym głosem.

– Tak, a co?

Bez żadnej zapowiedzi jej oczy zaszyły łzami i poderwała się z krzesła.

– Chcesz rozmawiać o dzieciach? O tym, co zrobimy z dziećmi? Po to tu przyjechałeś?

– Tak, pomyślałem, że to... – zaczął niemądrze, ale nie zdążył powiedzieć więcej, bo Ninni mu przerwała:

– A ja?! – krzyknęła, tracąc nad sobą panowanie. – O mnie nie chcesz rozmawiać? Może nie jestem już interesująca i nagle zaczęłam odgrywać w twoim życiu tak cholernie nieistotną rolę? Tak o, z dnia na dzień!

– Ninni...

– Kurwa mać, jesteś paskudny, obrzydliwy.

Okrzyknęła stół i zaczęła uderzać Fredrika zaciśniętymi pięściami. Nawet jeśli ciosy padały na chybił trafił, była silna i nie pozostawały bez efektu.

Wstał, żeby się obronić.

– Jak, do cholery, w ogóle śmiesz tu przychodzić? Co masz tu do roboty? No? Spadaj stąd! Spadaj! Ale już!

– Ninni...

Próbował chwycić jej dłonie i ją uspokoić, ale nie pozwoliła mu na to, krzyczała tylko coraz głośniej i bardziej piskliwie.

– Idź stąd, idź, idź, idź! Ty cholerny padalcu, nie chcę cię tu widzieć.

Zaczęła go popychać w kierunku drzwi, więc uznał, że lepiej postąpić, jak każe. Im wcześniej zniknie za drzwiami, tym mniejsze ryzyko, że dzieci się obudzą. Należy tak zrobić. Nie powinny tego widzieć i słyszeć. Zwłaszcza Simon. Kto wie, jakie ślady takie zdarzenie może pozostawić u siedmiolatka. Poza tym Ninni nie należała do osób, które zmieniają nastrój na pstryknięcie palcami. Jeśli uznała, że jest paskudnym draniem, który ma ją gdzieś, pozostanie tak przynajmniej do następnego dnia.

Wycofał się za drzwi. Ninni szybko je zamknęła. Usłyszał przekręcany zamek.

Przez chwilę stał na schodach, spojrzął w okno pokoju dzieci na piętrze i zastanawiał się, czy nadal śpią.

„Idź już” wysyczone zza drzwi sprawiło, że się odwrócił i poszedł do samochodu.

Kim właściwie był? W ostatnim czasie wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, ale na razie nie znalazł żadnej dobrej odpowiedzi. Dawniej sądził, że jest zwyczajnym, porządnym chłopakiem, który dba o rodzinę, nawet jeśli czasami zdarzają się drobne zgrzyty. Zdradził żonę po raz drugi i tym razem nie można było powiedzieć, że chwilowo stracił głowę. Trwało to kilka tygodni, zanim wyznał wszystko Ninni. I wciąż się nie zakończyło.

Czy tak naprawdę był paskudnym gnojem? Okazja czyni złodzieja, ale w znacznie większym stopniu złodziej rodzi się sam.

Jechał szybko. Chciał dotrzeć do wypożyczonego domu w Vamlingbo, rzucić się na łóżko i zapomnieć o tym dniu.

Był już czwartek. Przeddzień midsommar. Spodziewał się, że czeka go praca, a potem samotny wieczór wśród medalionowych tapet w Vamlingbo. Eva będzie świętowała z dziećmi i swoją mamą. Nie chciał się im narzucać, a poza tym pewnie i tak nie był szczególnie mile widziany.

Co zrobiłby jego ojciec? Siedział sam w mieszkaniu w Nacka z widokiem na kanał Sickla? Czy tak będzie to teraz wyglądało? Samotność, izolacja? Pozbawiona sensu wędrówka przez pustynię wieku średniego. Coraz słabszy kontakt z synami.

A zresztą, co by było, gdyby separacja się przedłużała, a w końcu naprawdę by się rozwiedli? Czy Ninni w ogóle chciałaby nadal mieszkać na Gotlandii? Mocno w to wątpił. Gdyby Ninni zabrała dzieci i przeprowadziła się z powrotem do Sztokholmu, nie miałby wielkiego wyboru. Również zostałby zmuszony do zmiany miejsca zamieszkania. A wówczas to, co mieli z Evą – związek czy jakkolwiek to można nazwać – okazałoby się beznadziejną ślepą uliczką.

Czy w tym wszystkim w ogóle było miejsce na to, czego on chce? I czego właściwie chciał?

Westchnął głęboko. Destrukcyjne fantazje zwały się na głowę i nieświadomie przyspieszył. Gdyby tylko mógł uciec od własnych myśli.

Przez trzy tygodnie Eva i Fredrik spotykali się tak często, jak tylko mogli. Potem wyjawiał wszystko Ninni. Wyrwało mu się po dwóch kieliszkach wina i pytaniu, z którego w sumie można by się było wyplątać bez większego trudu. Powiedział prawdę. Może nie był w stanie dalej nosić w sobie tej brzydkiej tajemnicy, ale przede wszystkim nie mógł dalej kłamać. Nie cierpiał wykrętów, których przez lata nasłuchiwał się od ludzi, co bili, zdradzali, zabijali i kradli.

Wyleciał na zbity pysk. Ninni wybuchnęła mniej więcej tak jak przed chwilą, może było odrobinę gorzej. Tamtego wieczoru przed prawie dwoma tygodniami porządnie go wystraszyła. Przez kilka przerażających minut czuł strach, że ona zupełnie straci nad sobą panowanie. Myślał o chłopcach.



Niektóre kobiety robiły krzywdę swoim dzieciom z rozpaczy, że zostały zdradzone, albo po to, by się zemścić.

Mrok własnych myśli niemal go sparaliżował, ale wkrótce potem Fredrik się uspokoił. Znał swoją żonę na tyle dobrze, by wiedzieć, że ich nie skrzywdzi.

Tego wieczoru już nie był tak zaniepokojony. Zaczął się przyzwyczajać.

Minął Burgsvik. Było cicho i pusto, po drodze nikogo nie widział. Od Vamlingbo dzielił go niewielki dystans i od rozpadającego się gospodarstwa, tymczasowego schronienia dla człowieka, który pozwolił, by jego popędy wzięły nad nim górę.

Czy nie na tym właśnie polegała jego praca? Na przywoływaniu do porządku ludzi, którzy nie dotrzymują umowy społecznej? Ludzi, którzy poddają się żądzom, takim jak głód, chciwość, pożądanie, zazdrość, pragnienie zemsty czy potrzeba kontroli? Wszystkich tych, którzy nie dali rady zachować się w sposób cywilizowany, czyli taki, co do którego panuje powszechna zgoda? Którzy na powrót stali się zwierzętami?

Różnica sprowadzała się oczywiście do tego, że zdrada nie jest przestępstwem. Choć człowiek zostaje ukarany i trudno mieć o to pretensje.

Potrzebował snu. Brzęczenie w jego głowie było za głośne. Musiał pójść spać, żeby być w miarę wypoczęty następnego ranka. Zamierzał nastawić budzik na wpół do szóstej.

\*\*\*

Kiedy Fredrik wysiadł z samochodu przed domem, niebo na północnym wschodzie było jeszcze jaśniejsze. Mokra od rosy trawa skrzypiała pod butami. Nie mógł się powstrzymać, by nie przystanąć przed wejściem na schody. Mocno wciągnął powietrze, napełniając płuca chłodnym, rześkim powietrzem. Panowały cisza i spokój i przez chwilę również jego wnętrze było spokojne. Myśli ucichły, a życie nagle zaczęło się wydawać całkiem znośne.

Wspiął się po kamiennych stopniach i z pewnym trudem spowodowanym panującą ciemnością udało mu się włożyć klucz do zamka. Wszedł, zamknął za sobą drzwi, zdjął buty i schował klucz z powrotem do kieszeni dzinsów. Ziewnął szeroko, zapalił światło w przedpokoju, poszedł do kuchni i napełnił zimną wodą kufel o złotej krawędzi. Cały Jesper, ma

prawdziwe kufle w kuchennej szafce, pomyślał i w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Szyba otoczona wyschniętym kitem zabręczała.

Zdziwiony odstawił kufel i wrócił do przedpokoju. Włączył zewnętrzne światło i z pytającym wyrazem twarzy otworzył drzwi.

Na zewnątrz stał jasnowłosa mężczyzna około trzydziestki. Miał na sobie granatowe dżinsy i koszulkę, która lśniła bielą. Skąd on się wziął? Fredrik nigdy wcześniej go nie widział, ale mimo to przybysz wyglądał znajomo.

– Fredrik Broman? – zapytał.

– Tak? – odparł.

Nie spodziewał się ciosu. Po prostu nagle zaciśnięta pięść mężczyzny trafiła go w szczękę. Upadł do tyłu i prawie uderzył głową o podłogę. Cios był silny, ale przewrócił się głównie dlatego, że go zaskoczył.

Mężczyzna wyciągnął prawą rękę i wskazał go zdecydowanym gestem.

– Odpierdol się od Evy – powiedział.

Fredrik machał rękami, żeby znaleźć na podłodze coś, czym mógłby się bronić, ale już nie było takiej potrzeby. Napastnik się oddalił.

Fredrik klęknął, później stanął o własnych siłach. Przez chwilę się nie ruszał, żeby ustały zawroty głowy. Kiedy minęły, zgarnął latarkę z komody w przedpokoju. Nie po to, by coś oświetlać, tylko by nią uderzać. Wybiegł na schody, przystanął i usłyszał w oddali kroki człowieka idącego po trawie w kierunku jezdni. Ruszył za nim.

– Stój! – wykrzyknął.

Zanim przebył pół drogi, usłyszał dźwięk zamykanych drzwi samochodu i zaraz potem warkot odpalanego silnika. Pobiegł w kierunku drogi i dotarł do niej w samą porę, by zobaczyć odjeżdżający samochód. Zapalił latarkę i poświecił za nim. W ostrym świetle wyraźnie zobaczył tablicę rejestracyjną.

Przykucnął i dyszał. Kręciło mu się w głowie, a szczęka była obolała. Mężczyzna najwyraźniej szedł za nim do domu albo zaparkował samochód przy drodze, obok stodoły. Jak mógł go nie zauważyć? Czyżby był tak pochłonięty rozmyślaniami, że go widział, ale nie zwrócił na to uwagi?

Kiedy poczuł się trochę pewniej na nogach, wstał i wyciągnął telefon. Zadzwoił na centralę i poprosił operatorkę, by wyszukała samochód. Czekając, nie był w stanie słuchać stukania klawiszy komputera.

– Właścicielem jest niejaki Mikael Karlén z Östergarn – odczytała nazwisko operatorka.

Karlén! To było jak kolejny cios w twarz. Na pewno brat Evy. Nie mąż, tyle Fredrik wiedział. Cudownie, teraz będą mieli więcej tematów do rozmowy.

– Dzięki – odparł Fredrik.

– Karlén z Östergarn, czy to nie jest... – zaczęła operatorka.

– Dzięki – powtórzył Fredrik i zakończył połączenie.

Powoli wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi na zamek. Napełnił foliowy woreczek lodem i ostrożnie przycisnął go do szczęki. Miał nadzieję, że kiedy się obudzi, nie będzie wyglądał bardzo źle. Opadł na jeden z foteli w zaciemnionym medalionowym pokoju i sprawdził w komórce, która godzina. Dochodziło wpół do drugiej. Czy mógł dzwonić tak późno? Nie był pewny, ale i tak to zrobił.

– Eva Karlén – usłyszał w słuchawce po pięciu sygnałach.

– Tu Fredrik. Właśnie dostałem w mordę od Mikaela Karléna. Czy to ktoś, kogo znasz? – zapytał.

– Co?

– Dobrze słyszałaś.

– Od Mickiego? Naprawdę?

– Tak. A przynajmniej był tu jego samochód.

– Nie wierzę. Jak to „w mordę”, co się stało?

– Pięć minut temu wróciłem do domu. Ledwo zdążyłem wejść, kiedy rozległo się pukanie i on stał za progiem. „Fredrik Broman?”, zapytał. Odpowiedziałem, że tak, i wtedy padł cios.

– Ale dlaczego? Nic z tego nie rozumiem – odparła Eva.

– „Odpierdol się od Evy”. Tak brzmiał komunikat, który mi przekazał. Zaraz potem zwiął.

Fredrik usłyszał westchnienie.

– Co on wyprawia? Dlaczego się w to miesza? Chyba zwariował. Muszę z nim porozmawiać – odparła Eva.

– Tak, to się może przydać.

– Boże jedyny. Gdzie on teraz jest? Nadal tam? A ty? W Vamlingbo?

– Tak. Już go nie ma, a ja nie zamierzam tego zgłaszać na policję – odparł Fredrik.

– Boże.

– Tym razem – dodał.

– Jak się czujesz? Ja naprawdę... nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie szkodzi – odparł, przyciskając woreczek z lodem do szczęki. – Nie musisz nic mówić. Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć.

– Chciałabym przyjechać, ale nie dam rady. Są tu ze mną Stina i Filip.

– Nie szkodzi. Ale możesz przekazać Mickemu, że następnym razem trafi do więzienia za czynną napaść na funkcjonariusza.

Eva głośno westchnęła.

Co za cholerny dzień, pomyślał Fredrik. Zostałem wyrwany z łóżka przez dwa trupy, potem skrzyuczany i wyrzucony, a na koniec dostałem lanie. Przynajmniej dobrze się zaczął. Dopóki nie zadzwonił telefon Ewy, ranek był naprawdę udany.

Poranne gazety zabójstwom w Nisseviken poświęciły sporo miejsca. Nie tylko w działach z aktualnościami. Komentatorzy polityczni i polemici również ruszyli do akcji. Ze wszystkich możliwych scenariuszy naszkicowanych poprzedniego wieczoru na policyjnej tablicy wybrali ten polityczny.

Politykę udzielania azylu w Szwecji uznano za naiwną. Sympatycy terrorystów uciekający przed sprawiedliwością ze swoich krajów ojczystych mogli tu spokojnie budować swoje sieci, wykorzystując Szwecję jako bazę. Nawet jeśli nie była ona ich pierwszym celem, mogli stąd organizować i finansować ataki terrorystyczne na inne kraje. Z powodu wadliwego prawa szwedzkie władze miały związane ręce. Ostrzejsze kroki wymagały surowszych przepisów.

To nie były żarty. Nawet jeśli dziś Szwecja nie znajdowała się na celowniku, sytuacja szybko mogła ulec zmianie. Terrorysty podejmowali decyzje na bieżąco.

Zabójstwa w Nisseviken były wyraźnym dowodem, że interesy rozmaitych grup ekstremistów zderzały się tu ze sobą. Nic dziwnego, skoro drzwi zostawiono szeroko otwarte. Ktoś porównywał aktualną sytuację z zabójstwem Kurda w Medborgarhuset w Sztokholmie sprzed dziewiętnastu lat.

Fredrik był zdziwiony, że tak uparcie lansuje się jedynie wersję o terroryzmie.

Wkrótce miało to znaleźć wytłumaczenie.

\*\*\*

Tarek Habib pierwszy był gotów przyznać, że jego niecierpliwość stanowi problem. Sama świadomość nie bardzo jednak pomagała. Zawsze miał kłopoty z milczeniem. Nawet jeśli mądrzej byłoby poczekać na bardziej odpowiedni moment do uzewnętrznienia swoich poglądów. A kiedy już się rozkręcił, nie potrafił przestać.

Zdaniem Tareka Habiba na pewno nie było przypadkiem, że dwaj funkcjonariusze służb bezpieczeństwa przyszli po niego na uniwersytet zamiast

do domu. Wzbudziło to jego wściekłość.

Kiedy przyjechał do Instytutu Literaturoznawstwa uniwersytetu w Karirze, w dalszym ciągu był chłodny poranek. Funkcjonariusze zjawili się godzinę później, większość kolegów już znajdowała się wtedy na miejscu.

Nie potrafił się powstrzymać przed ujawnieniem, co o tym sądzi. Niewątpliwie mówił dość głośno i sporo gestykulował, aż jego zazwyczaj zaczesane do tyłu włosy stanęły dęba. Tak naprawdę nie stawiał jednak żadnego oporu. Przynajmniej w sensie fizycznym. Wyraził tylko swoje zdanie.

Rezultat był taki, że został wyciągnięty ze swojego gabinetu, a odbyło się to w atmosferze sporego zamieszania. Papiery ze stosu zrzuconego ze stołu zaległy na podłodze. Kopnięte drzwi z głośnym hukiem uderzyły o ścianę.

Cały instytut zebrał się w korytarzu. Wszyscy patrzyli zszokowani, jak wykładowca Habib jest popychany w kierunku schodów, jak patrzy dzikim wzrokiem, a ze spodni wystaje mu niedbale wsunięta koszula.

Wszyscy oczywiście znali jego historię, ale nikt nie przywiązywał do niej szczególnie dużej wagi. Z biegiem czasu egipskie reżimy okazały się stałe tylko w swojej zmienności. Ten, kto jednego dnia był dysydem, następnego mógł zostać wyniesiony na piedestał. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej nie został stracony. Pod tym względem Mubarak nie był jednak tak radykalny jak jego poprzednicy.

\*\*\*

Göran Eide zamknął drzwi swojego gabinetu i spojrzał na pięcioro najbliższych współpracowników. Ove i Gustav wzięli sobie krzesła i usiedli. Pozostali musieli stać. Fredrik założył ręce, żeby odruchowo nie dotykać prawą dłonią bolącego siniaka. Wszyscy zdążyli już go skomentować. Lennart Svensson zapytał, czy Fredrik był na wiejskiej potańcówce.

– Dziś rano dzwonił do mnie z Säpo – oznajmił Göran i wziął się pod boki jak nieco zmartwiony trener piłkarski. – Said Habib, nasz zaginiony Egipcjanin, jest w ojczyźnie poszukiwany za udział w przynajmniej jednym akcie terrorystycznym.

Drobne niecierpliwe ruchy ustały. Sara i Ove usiedli wygodniej na krzesłach.

– O kurde – skwitował Lennart i umilkł.

– Wiem zbyt mało, by stwierdzić, że to wpłynie na kierunek naszej pracy. Na razie działajmy zgodnie z wczorajszymi ustaleniami.

Chodziło im po głowie, że zabójstwa mogą mieć podłoże polityczne, ale wtedy była to tylko hipoteza. Jedna z wielu mniej lub bardziej prawdopodobnych. Teraz nagle ta zabawa myślowa okazała się ze wszech miar interesująca.

Göran wciąż trzymał się pod boki. Zrobił krok przed siebie i kontynuował:

– Delikatnie rzecz ujmując, nie jest to sprawa rutynowa. Tym więcej mamy powodów, by zachować chłodny umysł – oznajmił.

– Jak dużo wiesz? – spytała Sara.

– Nic ponad to, co już powiedziałem. Kolega z Säpo odwiedzi nas za... – Göran spojrział na zegarek. – Czterdzieści minut. Fredrik i ja zabierzemy go do Nisseviken. Pozostali niech pracują dalej według planu.

Fredrik spojrział pytająco na Gustava, a potem na Görana.

– A co będzie z naszymi rasistami?

– I tak nie budzisz dziś większego zaufania jako prowadzący przesłuchanie – odparł Göran, przykładając palec wskazujący do zuchwy.

Koledzy zarechotali krótko. Fredrik wprowadził się uśmiechnął, ale zrobił to niechętnie.

– Mówiąc poważnie – ciągnął Göran – wszystko powinno zająć około godziny. – Miejmy nadzieję, że to będzie dobrze wykorzystany czas.

\*\*\*

– Tragedia.

Åke Fröhling z Säpo przyglądał się zaschniętej krwi na posadzce i ścianach domku letniskowego – dużym czarnym plamom z odcieniami czerwieni.

– Przyjemny prezencik od Saida Habiba dla kuzynki i jej męża.

– Jak to?

Szef Åke Fröhling odwrócił się do dwóch kolegów z Gotlandii. Zwlekał z odpowiedzią, chwilowo zajęty poprawianiem rękawa koszuli pod marynarką. Miał na sobie niebieski garnitur o prostym kroju i krawat w ukośne paski. Jego ciemne szpakowate włosy były krótko przycięte i mimo wiatru przylegały do głowy.

Zanim padła odpowiedź, Fredrik pomyślał, że Fröhling musi używać jakiegoś produktu do ich stylizacji.

– Był celem i z pewnością miał tego świadomość. Kuzynka i jej partner zapłacili za to, czym się zajmował Said Habib.

Wiał zimny wiatr. Pogoda sprawiała wrażenie bliźniaczo podobnej do tej z poprzedniego dnia. Błękitne poranne niebo wkrótce zostanie całkiem pokryte gęstymi chmurami, które nadciągnęły z zachodu. Deszcz na razie nie padał.

– Za co on jest właściwie poszukiwany? – spytał Fredrik.

– Należy do egipskiej siatki terrorystycznej, która posiada odnogi w Iraku, Sudanie i kilku krajach europejskich. Siatka ta należy do Egipskiego Islamskiego Dżihadu albo jest z nim powiązana – oznajmił Fröhling, ściągnął poły marynarki i skrzyżował ręce na piersi.

Jego kurtka została w samochodzie i teraz tego żałował.

– To wyjaśnia, dlaczego nie nawiązał kontaktu z policją – rzekł Göran.

– Tak, też bym tego unikał na jego miejscu. Egipski Islamski Dżihad to wesoła grupka fundamentalistów. Zamordowali prezydenta As-Sadata, są odpowiedzialni za zamachy bombowe na ambasady amerykańskie w Kenii, Tanzanii i Pakistanie, próbowali zabić Mubaraka w Addis Abebie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym i byli bezpośrednio powiązani z wydarzeniami z jedenastego września. A to tylko ich popisowe numery – wyliczał Fröhling.

– Skąd pochodzą informacje o Saidzie Habibie? – spytał Fredrik. Pod kurtką miał tylko cienki wełniany sweter, ale zimny wiatr niespecjalnie mu przeszkadzał.

– Jest poszukiwany przez Egipcjan. Ale mamy je z różnych źródeł.

– Od wywiadu amerykańskiego i brytyjskiego, który z kolei dowiedział się tego od egipskich służb bezpieczeństwa? – podsunął Fredrik.

Oczy Åkego Fröhlinga nieco się rozszerzyły.

– Tak czy inaczej, jest poszukiwany – oznajmił.

– Ale czy uważasz, że Saleh Habib i Josef Thomasson zostali zamordowani z powodu powiązań Saída z tą organizacją? – spytał Fredrik.

– Bardzo możliwe.

– Ale kto to zrobił?

– Jest kilku kandydatów, ale nie wiem, czy mam ochotę spekulować na ten temat.

– Okej – odparł Fredrik – ale to nie Said Habib został zamordowany, tylko pozostała dwójka. Jeśli to Said był celem, coś musiało pójść nie tak.



– To prawda, ale nie wiemy, w jaki sposób Saleh Habib i Thomasson mogli być w to zamieszani. Pytanie brzmi, co Said Habib robił tutaj, na Gotlandii.

– Odwiedził kuzynkę?

– Hm – mruknął Fröhling i splótł dłonie. – A co robili tutaj oni wszyscy? Takie organizacje jak Egipski Islamski Dżihad po jedenastym września są pod stałą obserwacją. Dlatego próbują tworzyć nowe sieci poza zasięgiem obserwatorów.

To było naciągane rozumowanie.

– Czyli wyklucasz, że Saleh Habib i Thomasson mogli zostać zabici z innych powodów? – spytał Fredrik.

– Nie, nie. Wykluczyć tego oczywiście nie można – odparł Åke Fröhling i ponownie przyjrzał się plamom krwi pod folią. – Nie można. – Wydawał się rozkojarzony, jakby ta dyskusja go nie interesowała. Odwrócił się i spojrział na Görana. – Przede wszystkim jesteśmy zainteresowani nie tym, co się tu stało, tylko schwytaniem Saida Habiba i wydaleniem go z kraju. Śledztwo w sprawie zabójstwa to wasza sprawa – rzekł.

– My też bardzo chętnie nawiązalibyśmy kontakt z Saidem Habibem. To ważny świadek. Prawdopodobnie najważniejszy – stwierdził Göran.

– Dobrze – odparł Fröhling. – W takim razie mamy wspólne interesy.

Zadrzał. Jego usta przybrały niebieskawy odcień.

– Cholera, ale tu zimno. Gdzie są te wszystkie słynne słoneczne godziny?

– Lato zwykle na początku dość wolno się rozkręca, ale jesień też – odparł Göran.

– Czy Said Habib nie przyjechał tu na studia? – przerwał Fredrik.

– To zasłona dymna, chociaż może rzeczywiście studiuje. Jedno nie wyklucza drugiego. Terrorysty też mają potrzebę samodoskonalenia. Biochemia...

Fröhling kilkoma energicznymi krokami minął Görana i Fredrika, żeby stanąć plecami do wiatru.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, jest w Szwecji już prawie od roku. Więc to muszą być raczej świeże informacje – powiedział Göran.

Fröhling skinął głową. Jego rysy twarzy były coraz bardziej napięte.

– List gończy pojawił się we wtorek, kiedy on wrócił już z Teheranu. Obserwowaliśmy mieszkanie, ale się tam nie pojawił.

– Od poniedziałkowego poranka przebywał tutaj – oznajmił Fredrik.

– Właśnie – odparł Fröhling i przeszedł go dreszcz.

– Może powinniśmy wrócić – podsunął Göran.

Åke Fröhling z wdzięcznością przyjął tę propozycję. Jak tylko Göran zamknął drzwi, wyszli przez furtkę na plażę.

– Chyba trudno będzie mu się stąd wydostać bez dokumentów i pieniędzy. Nawet bilet powrotny został – oznajmił Göran.

– Jeśli nadal tu jest, zatrzymamy go. Kiedy minie midsommar, nie da rady długo pozostawać w ukryciu. Tak przynajmniej sędzę – rzekł Fredrik.

– Jeśli wciąż jest, to istotnie – odparł Fröhling. – Mógł się umówić z kimś, kto tu przyjechał i go odebrał albo zapłacił za bilet na prom. Do tego wystarczy tylko jeden telefon.

Åke Fröhling znieruchomiał, a jego wypucowane buty zapadły się głęboko w piasek. Zapatrzył się w błękitne niebo. Wysoko w górze unosił się duży ptak z długimi, prostokątnymi, postrzępionymi skrzydłami. Dryfował na wietrze, spokojnie i majestatycznie.

– Bielik! – zawołał Fröhling. – Słyszałem, że tu ponoć są bieliki.

14 czerwca 2004 roku

– Co? – zdziwił się Tommy i zmrużył oczy na widok Dannego po drugiej stronie lady.

– Tak – odparł Danne. – Musieliśmy przeprowadzić czyszczenie. Zrobiło się zbyt wiele kont. Usunęliśmy więc te prawie nieużywane. Rozwiązanie ma być praktyczne dla klientów, którzy wpadają tu często albo kupują duże ilości.

Tommy Johansson wyciągnął przed siebie ręce w pytającym, niemal agresywnym geście.

– Tak po prostu jest – powiedział Danne i dwa razy uderzył końcem długopisu o kawałek czarnej rury leżący na ladzie. Wydała krótki, nieprzyjemny brzęk.

Tommy właśnie się dowiedział, że Petterssonowie zamknęli jego konto. A raczej konto taty. Kupował od nich, odkąd Tommy pamiętał. Gwoździe, śruby, okucia, maszyny, farby...

On kupował za mało. Tak powiedział Danne. Rozumiał jednak, o co chodzi. Bali się, że nie dostaną pieniędzy, skoro nie miał teraz pracy. Chcieli otrzymywać zapłatę gotówką.

Cholera, ale słabo. Danne i on widzieli się praktycznie codziennie przez kilka lat, kiedy pracował na stacji Statoil sąsiadującej ze sklepem z artykułami metalowymi. Na tej, którą ostatnio zautomatyzowano. W czasie przerw gadali o pierdołach. Przychodzili do siebie nawzajem, kiedy mieli mniej pracy. A teraz coś takiego. Brak konta.

– Po co ci konto, skoro tak rzadko coś kupujesz? – zapytał Danne. – Przecież to tylko kłopot ciągle je utrzymywać, płacić faktury. Rabat możesz dostać i tak.

Danne poprawił porcję snusa pod górną wargą, pomagając sobie dolną i językiem, a następnie schował długopis do kieszonki kamizelki.

Rabat! Nie chodziło tylko o kredyt i rabaty. Danne wiedział o tym aż za dobrze. Ma tam stać jak przypadkowy klient, miejscowy lub przyjezdny właściciel domku letniskowego i płacić gotówką? Zbierać drobniaki z lady?

Przecież pochodził z jednego z tutejszych gospodarstw. Tu było jego miejsce. Danne i on się kolegowali.

– Kuźwa, ale słabo – powiedział.

– Daj spokój, Tommy. Poza tym to nie ja tu decyduję.

– Kuźwa, ale słabo – powtórzył, tym razem z większą nienawiścią w głosie.

Tommy poczuł, że robi się mokry na całym ciele od drobnych kropelek potu.

Danne miał udęconą minę i odwrócił wzrok.

Odezwał się dzwonek w drzwiach i ktoś wszedł do sklepu. Danne uniósł wzrok, szybko się uśmiechnął i skinął komuś głową nad ramieniem Tommy'ego. Potem spojrział na niego pytająco.

– To jak będzie? Chcesz tę rurę spustową czy nie?

Tommy poczuł, że zaczynają go szczypać nogi, mniej więcej tak jak wtedy, kiedy odpuszcza drętwienie. Mrówki rozeszły się po całym ciele, w końcu czuł je nawet u nasady włosów i na skroniach. Nagle wszystko wydało mu się nierzeczywiste. Danne zaczął się oddalać, zmałał, jakby znajdował się co najmniej sto metrów od niego. W pierwszej chwili to było nieprzyjemne, wręcz przerażające. Potem poczuł się lekki. Jakby lepiej widział, jaśniej myślał. Zobaczył, jak... wszystko się ze sobą łączy. Tak, zyskał odpowiednią perspektywę. Jakby się uwolnił od siły ciężenia. A może to był tylko ciężar tej myśli? W każdym razie miał wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Danne wrzucił rurę do reklamówki. Naliczył rabat. Tommy zapłacił i przyjął resztę. Wyszedł bez pożegnania.

Cicho przeklął Petterssonów. Chodziło jednak jeszcze o coś innego. Danne i on dawniej byli przecież kolegami. A przynajmniej znajomymi, którzy zawsze mogli pogadać o bzdurach, kiedy się spotykali. Kim byli dla siebie teraz?

Tommy otworzył bagażnik i umieścił tam rurę. Wtedy ich zobaczył. Akurat wysiadali z małego, czarnego sportowego samochodu na parkingu przed sklepem Ica. To było audi TT, najnowszy model. Śmiejąc się i paplając, weszli do sklepu.

Miał w głowie ich wyraźny obraz jeszcze długo po tym, jak zniknęli w sklepie. Widział szerokie uśmiechy na brązowych twarzach. Dziewczyna zarzuciła długimi czarnymi włosami, śmiejąc się z czegoś, co powiedział chłopak.

Takich rzadko się widywało na Gotlandii. Przynajmniej w znanych mu okolicach. Ale z tego co słyszał, tak samo było w pozostałych częściach wyspy. No i bardzo dobrze.

Był zadowolony, że się tu urodził. Gotlandia miała długie tradycje pielęgnowane przez rdzennych mieszkańców czujących swą odrębność, nieprzejmujących obcych wpływów. W Burgsvik był jeden ciemnoskóry, ale trzymał się na uboczu. Nie tak jak ci w Sztokholmie, którzy gestykulując, głośno i agresywnie gadali w metrze.

Nie rozumiał, dlaczego sztokholmczycy tolerują taki hałas. Oszalałby, gdyby musiał tego słuchać każdego dnia w drodze do pracy i z powrotem. Ciemnoskórzy zachowywali się tam, jakby miasto należało do nich. Darli się, kradli, rabowali, bili i gwałcili. Ale nigdy nie atakowali swoich. Nie dźgali nożem i nie okradali swoich czarnych kumpli. Nie napastowali kobiet innych turasów. Wyżywiali się na Szwedach i Szwedkach. Każdy wiedział, jak sprawy stoją, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć prawdy. Najgorsze przestępstwa popełniali imigranci.

Po piętnastu minutach wyszli ze sklepu. Każde niosło wypchaną torbę z jedzeniem i jadło lody. Otworzyli bagażnik i wstawili tam torby, ale zanim wsiedli do samochodu, dokończyli deser. Bali się zabrudzić piękne skórzane fotele.

Tommy prychnął.

Mężczyzna miał na sobie starannie wyprasowane jasne spodnie i cienką, czarną bawełnianą kurtkę zarzuconą na koszulę, a na nogach mokasyny. Tommy niespecjalnie zwracał uwagę na strój, ale nie był przecież głupi. Ani ślepy. Wszystkie ich ciuchy wyglądały jak nowe. Nie widział żadnych wyblakłych kolorów ani kantów zniszczonych w praniu, żadnych śladów użytkowania. Materiał był najwyższej jakości i pozbawiony zagnieceń.

Pomyślał o swoim ojcu siedzącym przed telewizorem jak wielka zrezygnowana klucha. Cuchnący, zmęczony i gruby, uśpiony alkoholem, w poświęceniu z wielkiego ekranu. Pstryk, pstryk, pstryk, jak zombie. Nigdy więcej nie wstanie. Powoli umierał. Zajmował się tym od dziesięciu lat.

A tu nagle oni. Rzucili patyczki po lodach na ziemię, wsiedli do samochodu i odjechali.

Co oni tu robili, do cholery?

24–27 czerwca 2004 roku

Materiał wywiadowczy gotlandzkiej policji obejmował dane kilku neonazistów i ludzi, którzy publicznie wygłaszali skrajne poglądy. Zahaczające o nienawiść czy podburzanie ludzi przeciwko określonym grupom.

W Sudret było trzech. Na samej górze listy znajdował się Gert Fält mieszkający na Grötlingbo.

Kiedy poprzedniego wieczoru Fredrik i Gustav przeglądali materiał, znaleźli wycinek z „Göteborgs-Tidningen”. Był stary i zawierał powiększone zdjęcie zrobione podczas wiecu politycznego w Visby, który przerodził się w bijatykę. Na fotografii widać było Gerta Fälta obok rozmazanej postaci okładającej kilku równie nieostrych uczestników spotkania.

– Ten Fröhling z Säpo naprawdę wydawał się przekonany, że odpowiedzią jest powiązanie Saida Habiba z egipskimi dżihadystami – powiedział Fredrik, kiedy jechali czterokilometrową prostą jak drut szosą z Nisseviken do trasy numer sto czterdzieści.

Gustav bębnił prawym palcem wskazującym w kierownicę.

– Tak, pytanie brzmi tylko, co mamy zrobić z tym całym Fältem. Nie ma sensu przesłuchiwać jakiegoś wujaszka, który ochrypl od krzyku, że imigrantów nie należy wypuszczać z promu, jeśli zabójcy już są w Kairze i dostają medal od prezydenta.

Zwolnił, kiedy dojeżdżali do uliczek tuż przed zjazdem na sto czterdziestkę.

– O ile tak rzeczywiście jest... – odparł Fredrik. – Że Said Habib jest terrorystą to jedno. Ale że ktoś miałby płynąć na Gotlandię, żeby się go pozbyć... Nie chce mi się wierzyć.

– Takie rzeczy się zdarzały – stwierdził Gustav.

– Może i tak. Ale po co robić to na Gotlandii? Dlaczego nie uderzy w Sztokholmie, gdzie mieszka i można mieć zupełnie inną kontrolę nad jego rozkładem dnia i zwyczajami? A skoro ktoś już zadaje sobie trud dotarcia aż tutaj, czy nie powinien lepiej wiedzieć, do kogo ma strzelić? Nie sądzisz?

– No tak – przyznał Gustav, skręcił w lewo w drogę wiodącą wzdłuż brzegu, a potem praktycznie od razu zjechał w prawo. – Ale skoro Mossad może pojechać do jakiejś dziury w Norwegii zastrzelić kompletnie niewinnego Araba, a do tego dać się złapać...

Przerwał im dzwonek telefonu Fredrika. Gustav znów skręcił w prawo, tym razem w węższą żwirową dróżkę. Za samochodem wzbił się biały pióropusz pyłu.

Ninni mówiła spokojnie i z opanowaniem. Było oczywiste, że nie zadzwoniła z myślą o pogaduszkach.

– Myślałam o tym, co powiedziałeś – zaczęła.

Zdążyłem powiedzieć coś, o czym warto myśleć? – zastanowił się.

– Pewnie, że będziesz mógł się spotykać z dziećmi.

Był pewien, że Ninni spędziła w nocy wiele godzin, wisząc na telefonie z przyjaciółką. Niemal wydawało mu się, że słyszy, z kim rozmawiała.

– Tak – zaczął ostrożnie. – Masz jakąś propozycję czy powinniśmy spróbować...

– Mam zamiar spędzić midsommar w Sztokholmie. Możesz ich wziąć do siebie. To tak na początek – przerwała.

– Okej – odparł. Pomyślał, że to wyjątkowo niekomfortowe, ale jeszcze mniej komfortowo byłoby wspomnianie o tym Ninni.

– Jadę dziś wieczorem – dodała.

– Wybierasz się na Svartlöge?

– Nie, będę świętowała z Anneli.

– Aha – odparł i stracił wątek.

Przyjął za pewnik, że Ninni pojedzie do swoich rodziców na szkiery. Zanim się przenieśli na Gotlandię, zawsze chciała świętować midsommar właśnie tam.

– Aha. I co będziecie robić? – Pytając, poczuł, że to nie jego sprawa. Dziwne, nowe doświadczenie, pomyślał.

– Nie wiem. Nic szczególnego. Nic nie zaplanowałyśmy – odpowiedziała Ninni.

– Okej, pewnie, przyjadę odpowiednio wcześniej, żebyś zdążyła na prom.

Zakończyli rozmowę.

Kurwa, zaklął w myślach. Dlaczego człowiek jest tak popieprzony?

Samochód z chrzęstem potoczył się po żwirze. To była droga na skróty prowadząca do Grötlingbo.

– Ninni? – zagał Gustav.

– Mhm.

– I jak tam?

Fredrik westchnął.

– Nie wiem. To cholerna huśtawka.

– Na którą sam wsiadłeś – odparł Gustav i przez kilka sekund na niego patrzył.

Fredrik się zmieszał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Trudno zaprzeczyć – odpowiedział po chwili.

Spojrzał przez boczną szybę.

– Ale co się dzieje? – spytał po chwili Gustav.

– No, to przynajmniej było już coś – stwierdził Fredrik, bawiąc się telefonem. – W pewnym sensie.

Opowiedział o kompletnie nieudanej nocnej rozmowie i zmianie o sto osiemdziesiąt stopni, która właśnie nastąpiła.

– Nie najlepsze wycucie czasu – stwierdził Gustav.

– No, można tak powiedzieć.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej oczywiste się stawało, że moment był naprawdę kiepski.

– Kurwa, przecież musiała zdawać sobie z tego sprawę. Wiedziała o zabójstwie już wczoraj rano. Zadzwoiła, kiedy staliśmy tam w dole.

Gustav skinął głową. To było niecałą dobę wcześniej.

– A teraz wyjeżdża sobie do Sztokholmu. Jakby naprawdę chciała mnie rozdrażnić. Albo przetestować. Dużo gadania o dzieciach: okej, zajmij się nimi teraz. Co jest ważniejsze, śledztwo w sprawie zabójstwa czy własne dzieci?

Prychnął z wściekłością.

– No już, spokój – powiedział Gustav. – Nie zaczynaj się bawić w policjanta we własnym małżeństwie.

Fredrik wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie zgadzasz się ze mną?

– Może potrzebuje wyjazdu na kilka dni. Naprawdę tak to wygląda. Albo – dodał Gustav, puszczając kierownicę prawą ręką – naprawdę chciała cię rozdrażnić. Jakkolwiek by było, to jednak szczegół. Zdradziłeś żonę, taki jest zasadniczy problem. Może nie główna przyczyna waszych trudności, co ja tam wiem, ale mimo wszystko to problem. I nie kłóć się, bo tylko wszystko pogorszysz.



Fredrik kilka razy głęboko odetchnął. Przejeżdżali przez zalesiony obszar, ale między drzewami po lewej stronie widać było pola.

– Może powinieneś się przekwalifikować i prowadzić rubrykę w jakimś niedzielnym dodatku do gazety?

Gustav zareagował grymasem.

– Jestem po twojej stronie, jeśli tak można powiedzieć, ale nie zamierzam z tego powodu zgadzać się ze wszystkim, co mówisz.

– Jasne.

– Szczególnie gdy mówisz coś tak cholernie głupiego.

Spojrzeli na siebie, a potem wybuchnęli śmiechem. Takim, który Fredrikowi trudno było powstrzymać. Jeszcze długo po tym, jak Gustav umilkł, atakowały go echa tej nerwowej wesołości.

– Słuchaj, może jakoś się uda to ogarnąć. Simona może popilnować Joakim, powinno się udać, chociaż pewnie nie będzie zachwycony.

– Jutro przecież midsommar. Należy nam się kilka godzin wolnego, nawet jeśli jesteśmy w trakcie śledztwa w sprawie zabójstwa. Lena i Martin zjedzą obiad u sąsiadów z ich dziećmi. Joakim i Simon na pewno będą mogli dołączyć, jeśli zechcą.

– Pewnie jakoś się ułoży, tylko... tak wychodzi, że to zawsze wy musicie pomagać.

– Przemyśl, co powiedziałem – odparł Gustav.

Wyjechali na Burgsviksvägen. Nie mieli stąd daleko do rasisty z Grötlingbo.

Kiedy skręcili w kierunku Kattlunds, na przednią szybę spadło kilka kropel deszczu. Droga wiała się między małymi, wiekowymi wiejskimi gospodarstwami i z pozoru zapomnianymi domami pośród idyllicznego krajobrazu. Minęli piękną małą posesję, gdzie produkujący wyroby ze szkła artysta przygotował witrynę na rozpoczęcie sezonu. Dwieście metrów dalej po prawej stronie mieszkał Fält. Miał lśniący białą kamienny dom, częściowo ukryty za zadbanymi wysokimi jabłonkami. Nie ulegało wątpliwości, że w tym raju kryje się wąż.

Krister skończył jeść płatki z kefirem. Odłożył łyżkę i spojrzął w kierunku ciemnego salonu.

Ojciec Tommy'ego siedział zgarbiony na kanapie, za zasłoniętymi żaluzjami. Migający telewizor był ściszony. Jeśli nie liczyć słabego światła sączącego się przez szpary między żaluzjami odbiornik był jedynym jego źródłem w pokoju. Przed sobą na stoliku mężczyzna miał pilota i filiżankę z brunatnym osadem po kawie, zalegającym w miejscach, gdzie przelewała się między brzegiem filiżanki a jego mięsistymi wargami.

Ze zniszczonej kanapy, na której przesiadywał całymi dniami, wstawał tylko po to, by iść do toalety albo do kuchni po coś do jedzenia. Albo też, co było znacznie ważniejsze niż jedzenie i toaleta, by napełnić termos kawą albo przynieść z piwnicy nową flaszkę samogonu.

Krister zachodził w głowę, dlaczego Stellan zadaje sobie trud chowania butelki. Ci nieliczni, którzy przychodzili tam w odwiedziny, i tak wiedzieli, że nie robił nic innego, tylko całymi dniami siedział na kanapie i chłwał.

Kiedy Krister był mały, bał się taty Tommy'ego. Dawno temu. Niesamowicie dawno, myślał, kiedy patrzył na otyłe, zaniedbane ciało Stellana. Dawniej klatka piersiowa i ramiona mężczyzny napinały się pod niebieskim kombinezonem, jego spojrzenie emanowało zdecydowaniem, mroziło błękitem i trudno było je wytrzymać. Kiedy zaciskał wielkie pięści i pomrukując, wodził po czymś wzrokiem, należało schodzić mu z drogi. A kiedy zaczynał gadać, najlepiej było trzymać głowę na kłódkę i słuchać, dopóki nie skończy.

Ostatnio rzadko cokolwiek mówił. Nadal trudno patrzyło mu się w oczy, jednak z zupełnie innych powodów. Kiedy ktoś próbował, szybko docierało do niego, że w tym spojrzeniu czai się pustka.

Ojciec Tommy'ego zaczynał każdy dzień w taki sam sposób. Po śniadaniu wychodził się przespacerować pylistymi drogami wokół gospodarstwa. Następnie opadał na kanapę i siedział tam, dopóki nie nadchodziła pora, by się położyć. Czasami sypiał także na kanapie.

Początkowo Krister traktował te poranne spacerunki jak znak, że mimo wszystko w tym nieforemnym ciele tli się iskra życia. Każdego przedpołu-

dnia człowiek ten pokonywał całkiem długi odcinek, przynajmniej jak na niego. Z czasem jednak zrozumiał, o co chodziło w tych spacerach. Było to pełne goryczy odmierzenie dawnych włości, krok za krokiem, metr za metrem.

Minęło wiele lat od czasu, gdy Stellan Johansson miał jakąś ziemię poza zarośniętym ogrodem i małym podjazdem, na którym parkował samochód.

Czas zleciał tak szybko. Początkowo Stellan był pełen siły i gniewu. Wydawało się, że może wszystko. Wtedy bardziej niż kiedykolwiek. Nawet gdy mama Tommy'ego trafiła do szpitala i musiał radzić sobie sam, ucząc się mnóstwa rzeczy, nie ugiął się pod tym ciężarem. Ale potem, kiedy zmarła Leila, poszło szybko. A teraz tylko siedział.

Krister nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że Stellan tak odpuścił. To była zdrada. Nawet jeśli nie dbał o siebie, powinien był się postarać ze względu na Tommy'ego i Annę-Karin. Szczególnie Annę-Karin. To była pieprzona zdrada godzić się na to, by oglądała go w takim stanie. No i Leila. To samo. Zdrada. Może i żona Stellana postradała zmysły, ale powinna była przewyciężyć szaleństwo ze względu na córkę.

Podczas gdy Krister dawno przestał traktować Stellana z szacunkiem, Tommy czuł do niego tylko pogardę. Niekiedy okazywał ją otwarcie, ale najczęściej wystarczyło mu udawanie, że ojciec nie istnieje. Nigdy nie wchodził do dużego pokoju, unikał kuchni, gdy przebywał w niej Stellan, w ogóle miał odmienne zwyczaje i harmonogram. Nigdy nawet nie kiwnął palcem, by mu pomóc.

Krister wstał, żeby odstawić kefir i opakowanie płatków. Tommy już wyszedł. Pewnie żeby nie oglądać ojca, nie martwić się, że ten lada chwila może wczłapać do kuchni, by napełnić termos.

Krister nie rozumiał, dlaczego Tommy nadal tu mieszka. Aktualnie był bezrobotny, ale zanim przestał pracować, miał dość czasu, by znaleźć coś swojego. Powinien od tego uciec. Przecież nie było tak, że ojciec by sobie nie poradził w razie jego wyprowadzki. Raczej przeciwnie. Tommy nie miał żadnego pożytku z ojca. Ani ojciec z niego.

Krister nie rozumiał. O ile nie chodziło o to, że Tommy został, by dręczyć Stellana. Czerpał coś z tego, że po raz kolejny może się odwrócić do niego plecami. Jeszcze raz zabić rozmowę milczeniem. A jeśli tak, to Krister rozumiał jeszcze mniej. To było marnowanie życia. Powinien mu to powiedzieć. Ale czy można coś takiego mówić?

Zaczynał żałować, że przyszedł.

Odwrócił się, żeby wyjść za Tommym, i prawie wpadł na Annę-Karin. Nie słyszał samochodu.

– Ojoj, cześć, Krister! – zawołała i brzmiało to tak, jakby miała za sobą bieg po schodach.

Z uśmiechem przecisnęła się obok niego i weszła do domu. Jej lekkie, falujące włosy pod wpływem przeciągu w przedpokoju omiotły mu policzek.

– Przyniosłam śledzie na midsommar – oznajmiła, unosząc w prawej ręce ciężki kosz.

Odstawiła go na stół i wyciągnęła do niego ręce.

– Krister. Zawsze tak fajnie cię widzieć.

Co to znaczy „fajnie”? Jak dorosła starsza siostra, która lubi patrzeć, jak kumple młodszego brata dorastają? Czy w jakiś inny sposób?

Przytulił ją. Ostrożniej, niż miał na to ochotę. Zdążył poczuć, że pachniała mydłem i czymś innym, może kawą? Trochę się zawstydził, prawie poczerwieniał.

– Jak tam?

Nic lepszego nie był w stanie wymyślić.

– W porządku. Jest lato. Jeszcze tydzień i będę miała wakacje.

Jej jasne włosy błyszczały i była trochę zaokrąglona, w przyjemny sposób. Jej oczy lśniły błękitem, jak kiedyś jej ojca. Spojrzenie wzbudzało respekt i uważał, że czasami trudno je wytrzymać. Nie miał pewności, czy to dlatego, że była siostrą Tommy’ego i bał się długiego kontaktu, który mógłby go zdradzić, czy może przez to, co się stało.

Nie za bardzo mógł patrzeć na nią w taki sposób, w jaki chciał.

To Anna-Karin opiekowała się Stellanem. Albo przynajmniej pilnowała, by zupełnie się nie rozsypał. Krister uważał to za błąd. Miała przecież wystarczająco dużo własnych spraw. A nawet więcej. A tymczasem musiała się zajmować także ich syfem. To było nie tyle niewłaściwe, ile po prostu pojebane.

– Hej, tato! – krzyknęła przez ramię w głąb domu.

Z dużego pokoju z kilkusekundowym opóźnieniem rozległ się okrzyk:

– Hej!

Anna-Karin uśmiechnęła się do Kristera w swoistym porozumieniu. Jakby przed telewizorem siedział słodki zramolały dziadunio, popijając kawkę z prądem.

Krister był zdziwiony jej uśmiechem. Wyglądało na to, że Anna-Karin jest tą osobą z rodziny, do której najłatwiej mu było się uśmiechać. Czy to

nie dziwne? Skoro ona potrafiła się uśmiechać, dlaczego nie potrafili tego jej rodzice? To była zdrada. Zdradzili ją, kiedy najbardziej ich potrzebowała.

– Krister!

Schody w przedpokoju zaskrzypiały za jego plecami. Wrócił Tommy.

Zatrzymał się na środku schodów z gazetą w ręce.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział i wskazał Kristera złożoną na pół gazetą.

Choć przybrał poważną minę, dało się w niej dostrzec żar. Coś niemal dziecinnego.

Krister zerknął na Annę-Karin.

– Mam nadzieję, że zjemy razem kolację – upewniła się.

– Tak – odparł Krister.

– Idziesz? – spytał Tommy.

Uderzył się gazetą w nogę. Jego ruchy były drobne, niecierpliwe.

Krister zszedł o jeden stopień. Powinien to powiedzieć. Marnowanie życia.

\*\*\*

– Przejedziemy się trochę – oznajmił Tommy i zamachał gazetą w kierunku samochodu.

– Dokąd? – zapytał Krister.

– Coś ci pokażę.

Najlepiej będzie siedzieć w samochodzie. Najbezpieczniej. W zamkniętym aucie, przy włączonym silniku, nikt nie usłyszy, o czym się rozmawia.

Był tego pewny. Wreszcie wyruszył w drogę. Czuł to każdym najdrobniejszym nerwem, każdą komórką ciała.

Niech szlag trafi wszystkie plany, gadki, wszystkie dawne marzenia. Tym razem coś się wydarzy. Miał wszystko, czego potrzebował, a okazja była sprzyjająca. Wszystko niemal krzyczało do niego, że już czas. Wystarczyło się rozejrzeć. Włączyć telewizor. Porozmawiać z sąsiadami. Gazeta, którą trzymał w dłoni, potwierdzała, że to słuszne.

Pokochają go. Wszyscy będą zachwyceni tym, co zrobił.

Oczywiście nie będą wiedzieli, że to on. Ale nieważne.

Wreszcie nadeszła jego kolej. Wszystko było tak wyraźne. Tak proste. Tak słuszne. Czasy, w których żyli, potrzebowały bohaterów. Mógł się stać

jednym z nich.

Wsiadli do samochodu i Tommy przekręcił kluczyk.

– Dokąd jedziemy? – spytał ponownie Krister.

– Zobaczysz – odparł Tommy i rzucił mu gazetę na kolana.

Spojrzał na swojego przyjaciela z dzieciństwa siedzącego obok w fotelu pasażera. Krister odwzajemnił spojrzenie z miną sugerującą namysł. Jakby to on zamierzał coś powiedzieć, a nie odwrotnie.

Podwójne drzwi domu nazisty z Grötlingbo były czarne, z dużymi szybami z matowego szkła, chronionymi przez kraty z kutego żelaza w formie krętych czarnych wzorów kwiatowych. Gustav zmieścił knykieć pomiędzy dwoma żelaznymi kwiatami i zapukał.

Jedno skrzydło drzwi otworzyło się raptownie. Wysoki mężczyzna, około dwumetrowy, zupełnie łysy, ubrany w dżinsowe spodnie, białą koszulę i marynarkę z mocnego zielonkawego materiału spojrzął na nich z góry pytającym wzrokiem.

– Gert Fält? – odezwał się Gustav.

– Tak, to ja – odpowiedział mężczyzna niskim, nieco chrapliwym głosem.

– Jesteśmy z...

– Tak, tak – przerwał Fält i wybuchnął krótkim, mrukliwym śmiechem. – Jesteście z policji.

Zapadła chwila ciszy, zanim Fredrik i Gustav oprzytomnieli, przedstawili się i pokazali odznaki.

Gert Fält znowu się roześmiał i wyprostował zaciśnięte dłonie, jakby się przygotowując do zakucia w kajdanki.

– Jesteście tutaj, aby schwytać zabójcę? – spytał z uśmiechem.

Fredrik ani Gustav nie odpowiedzieli.

– Bo chyba po to tu przyszliście? Myślicie, że to ja zabiłem tych obco-krajowców w Nisseviken?

– Możemy wejść i usiąść czy wolałby pan pojechać z nami do Visby? – zapytał Fredrik. To przedstawienie zaczęło go nużyć.

– Jak najbardziej, bardzo proszę – powiedział Fält.

Odsunął się i wyciągnął rękę w przesadnym powitalnym geście. Weszli do przedpokoju, a Gert Fält w dalszym ciągu wskazywał wewnątrz domu.

– Usiądziemy w salonie. Będzie chyba najbardziej odpowiedni – stwierdził i ruszył przodem.

Może to pajac, ale głupi nie jest, pomyślał Fredrik, kiedy szli za mężczyzną do pomieszczenia, które nazwał salonem: dużego jasnego pokoju z narożnikiem i telewizorem na jednym końcu, a sofą w stylu empire i pasują-

cymi do niej krzesłami wokół stołu na drugim. Nad stołem wisiał żyrandol z lampą naftową i uchwyty na świece, udekorowany kryształowymi wisiorami. Na ścianach nie było co prawda flag ze swastykami, ale rząd oprawionych fotografii, pewnie portretów rodzinnych.

– Bardzo proszę – powiedział znowu Fält, wskazując krzesła. Sam okrążył stół i usiadł na sofie.

– Nie wygląda pan na człowieka, który lubi owijać w bawełnę, więc my też nie będziemy – powiedział Fredrik, jak tylko usiadł.

Gert Fält położył prawą rękę na podłokietniku sofy i założył nogę na nogę. Był naprawdę wysoki, ale wyglądało na to, że usadowił się w miarę wygodnie.

Fredrik mówił dalej:

– Zgadza się, jesteśmy tutaj z powodu zabójstw w Nisseviken. Z pewnością rozumie pan też, dlaczego przychodzimy właśnie do pana.

– Pewnie dlatego, że kilka lat temu w Almedalen skorzystałem ze swoich swobód i praw obywatelskich – odpowiedział szybko Fält.

Uśmiechnął się szeroko do Fredrika. Kiedy był uśmiechnięty, jego twarz wyglądała starzej, pojawiały się bruzdy na czole i liczne zmarszczki wokół oczu. Z uszu wyrastały mu małe kępki białych włosów. Między dwoma włoskami utknął mały kawałek woskowiny miodowego koloru.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, nienawiść wobec pewnych grup i pobicia do nich nie należały.

– To oni zaczęli – odparł Fält.

Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, mógł być nazistą, ale mimo to budził coś w rodzaju respektu. Teraz jednak stał się trochę śmieszny.

– To byli prowokatorzy, chcieli sabotować spotkanie.

Gustav ziewnął szeroko.

– Wydawało mi się, że zależało panu, by przejść do rzeczy.

Gert Fält umilkł, zdając sobie sprawę, że odbiegł od swojego początkowo tak swobodnego zachowania.

– Oczywiście. Bardzo proszę. To wy macie zadawać pytania – powiedział po chwili.

– Mam następujące – zaczął Fredrik. – Co pan robił w poniedziałkowy poranek, około ósmej, dziewiątej?

– W poniedziałek? Czyli to w poniedziałek rano zostali zabici.

Fredrik i Gustav z kamiennymi twarzami patrzyli na Fälta bez słowa.

– Byłem u siebie.



- Co to znaczy? W tym domu czy w gospodarstwie? – zapytał Fredrik.
  - Zaczynam pracować około ósmej, może chwilę po. Do tego czasu jestem w domu – wyjaśnił Gert Fält.
  - Co robił pan po ósmej w poniedziałek?
  - Przejechałem się posprawdzać kurniki.
  - Zawsze pan to robi rankiem?
  - Tak. Ja albo moja żona jeździmy i dogłębiamy kur.
  - I w poniedziałek zajmował się tym pan? – dopytywał Fredrik.
  - Tak, moja żona odwiedza siostrę w Ljungby.
- Gert Fält uderzył lekko dłonią w szeroki podłokietnik sofy.
- Pańska żona jest w Ljungby?
  - Tak.

Kiedy chodziło o odpowiedzi na trudne pytania, Fält nie był zbyt pomocny. Odpowiadał krótko, sprawiał wręcz wrażenie naburmuszonego. Ciekawe, co sobie myślał. Że skreślą go z listy i zawrócą w drzwiach tylko dlatego, że przejrzał ich sprawę i miał odwagę z niej żartować?

- Innymi słowy, nikt nie może potwierdzić, że rzeczywiście pan tu był w poniedziałek rano?
- Wygląda na to, że nie.
- Nikt z sąsiadów nie widział pana na drodze między kurnikami?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Wracając do domu, spotkałem Engelberga, ale to było po dziewiątej. Chyba wpół do dziesiątej albo za piętnaście.
- Nie rozmawiał pan z nikim przez telefon? Ten stacjonarny, domowy?
- Nie.

Gert Fält nie miał żadnego alibi na poniedziałkowy poranek. Przed spotkaniem z sąsiadem, Engelbergiem, mógł pojechać do Nisseviken, zastrzelić Habib i Thomassona, wrócić do Grötlingbo, a nawet zajrzeć do kur. Jadąc od kąpieliska do domu Fälta, Gustav mierzył czas. Dojazd zajmował nie więcej niż piętnaście minut.

Za ich plecami rozległo się brzęknięcie. To połączony zegar ścienny przygotowywał się do wybicia jedenastej. Po kilku dodatkowych stuknięciach rozpoczął, wydając dobrze nastrojone, przenikliwe dźwięki. Musieli to przeczekać.

- Jest pan nastawiony negatywnie do imigrantów, prawda? – spytał Gustav, kiedy zegar ucichł.
- Tak i się tego nie wypieram. Przecież taki jest właśnie powód waszej wizyty. Już to ustaliliśmy.

Gert Fält położył lewą rękę na podłokietniku i próbował sprawiać wrażenie, że w całej sytuacji czuje się komfortowo.

– Są to jednak poglądy nieznajdujące tu, na Gotlandii, większego odzewu. Spotkanie, o którym niedawno wspomnieliśmy, było zaaranżowane przez ludzi z kontynentu. Pan i ktoś jeszcze zostaliście tam wezwani jako miejscowi.

– Myli się pan. Odzew jest. Brakuje zaangażowania. I właśnie to stanowi wielkie niebezpieczeństwo. Ludzie zaczynają się włączać w sprawę dopiero po szkodzie – odparł Fält. Nagle, gdy przeszli do jego ulubionego tematu, stał się bardziej rozmowny.

– Jak to „po szkodzie”? – spytał Gustav, lekko przekrzywiając głowę.

– To jasne. Imigranci nie stanowią problemu na Gotlandii z tego prostego powodu, że prawie ich tu nie ma. Nie ma żadnych ośrodków dla cudzoziemców. Gustavsvik na szczęście istniał krótko. A tych imigrantów, którzy dostają się tu na własną rękę, łatwo policzyć. Jest nam tu dobrze. Poradziliśmy sobie. Dlatego ludzie się nie angażują. Tak to działa.

– Aha, czyli wychodzicie w celach zapobiegawczych. To ma pan na myśli, mówiąc, że należy ich zatrzymywać, już kiedy schodzą z promu? – zapytał Gustav tonem, który nie był całkiem neutralny.

To chyba nie było dobre, pomyślał Fredrik.

– Pan posłucha – odparł Fält gniewnie i wskazał Gustava. – Jest pan Gotlandczykiem, mieszka tu, na wyspie, i ma ten przywilej, że może uniknąć wielu problemów, które istnieją na kontynencie z powodu beznadziejnej polityki imigracyjnej. Powinien pan być wdzięczny. Gratuluję panu tego. Proszę jednak nie patrzeć z góry na tych, którzy myślą Fprzyszłościowo, widzą problemy w innych miejscach i chcą, aby wszystkich, z panem włącznie, te problemy ominęły. Wystarczy spojrzeć na statystyki, aby wiedzieć, co nas czeka. Mamy nadwyżkę imigrantów...

A może jednak było dobre, pomyślał Fredrik. Wygląda na to, że zamierza nam wyłożyć program partii.

– Łatwo sobie siedzieć, nazywać się liberałem i udzielać przyzwolenia na pewne rzeczy tu, gdzie nie mamy żadnych problemów. Na kontynencie jednak sytuacja jest zupełnie inna – ciągnął Fält, mocno akcentując każdą kolejną złowieszczą prawdę.

Zmartwiony pokręcił głową, a Fredrik pomyślał o byłym premierze Thorbjörnie Fälllinie, który był przeciwny energii atomowej, ale napływowi obcych już nie.

– W Ljungby, gdzie mieszka moja szwagierka, mają problem. Wkrótce pewnie nigdzie na kontynencie nie będzie spokojnego miejsca. Jest tak źle, że nie chcę tam jechać.

Gustav najwyraźniej pomyślał, że usłyszał już dość na temat sytuacji w kraju. Wyciągnął złożoną kopię wycinka z gazety, rozwinął ją i położył na stole.

– Przepuszczam, że pan to rozpoznaje.

Gert Fält się nachylił. Przeciągnął lewą dłońią po błyszczącym blacie stołu.

– Tak, tak. Długo tego nie zapomnę. Okropne. Można by zapytać, dokąd zmierza ten świat, skoro już się nie przestrzega prawa do wolności zgromadzeń.

– Kto to jest? – przerwał Gustav i wskazał rozmazaną postać obok Fälta.

– Nie potrafię rozpoznać – mruknął mężczyzna i potrząsnął wielką głową. – Jest kompletnie nieostrzy.

Fält podniósł wzrok znad zdjęcia. Spojrzał na Gustava z irytacją wypisaną na twarzy.

– Zdaję sobie sprawę, że jest rozmazany – rzekł Gustav. – Ale pan tam przecież był. Kto stanął u pańskiego boku?

– Niestety nie wiem. Tam panowało takie zamieszanie...

Po tych słowach pozwolił sobie na teatralną pauzę. W jego spojrzeniu pojawiło się coś jakby smutek.

Drobne przedstawienia Fälta były testem dla ich cierpliwości. Fredrik rozumiał, dlaczego ludzie mają ochotę zdzielić go po gębie.

– Ma pan jakąś broń? – zapytał.

Fält spojrzał na niego niemal urażony.

– Tak. Starą śrutówkę. I jeszcze strzelbę Tikka, ale ona należy do mojego syna. Dlaczego?

O śrutówce wiedzieli już z rejestru, ale czasem dobrze jest zadawać pytania, na które zna się wcześniej odpowiedź.

– Jaki jest kaliber tej tikki? – spytał Gustav.

– Siedem sześćdziesiąt dwa.

– Skonfiskujemy ją – powiedział Gustav bardziej do Fredrika niż do Fälta.

– Skonfiskujecie? Na jakiej podstawie?

Fredrik westchnął i spojrzał na kolegę.

– Proszę nam po prostu pokazać szafkę na broń – powiedział Gustav.

Fredrik zadzwonił do drzwi pokoju techników. Odkąd budynek został przebudowany, wydziały kryminalny i techniczny były daleko od siebie. Na różnych piętrach i przeciwnych krańcach gmachu.

Obecnie tylko technicy kryminalistyki mieli dostęp do tych pomieszczeń. Wcześniej można było wchodzić i wychodzić do woli, co wiązało się z dużym ryzykiem zanieczyszczenia materiału dowodowego.

Miał nadzieję, że otworzy Eva, i tak właśnie się stało.

– Cześć – powiedziała, a kącki jej ust spontanicznie uniosły się w uśmiechu.

Fredrik szybko pogładził ją po ramieniu. W jej spojrzeniu pojawiło się zakłopotanie. Rozejrzała się po korytarzu.

– Mogłeś zadzwonić – wyszeptała. Nie wyglądała już na tak zadowoloną.

– To od Gerta Fälta z Grötlingbo – oznajmił i wskazał strzelbę, którą podczas oczekiwania oparł o ścianę. Należało oddać z niej próbne strzały.

– Aha – odparła Eva i mrugnęła kilka razy.

– A poza tym tak się składa, że razem pracujemy – dodał.

Eva uśmiechnęła się krzywo i wyglądało to bardziej jak grymas.

– Przepraszam.

– Co robisz w midsommar? – zapytał.

– Dzieci będą ze mną. Myślę, że pojedziemy do rodziców. A ty?

– U mnie też się zapowiada świętowanie z dziećmi.

– No widzisz – odparła.

Cokolwiek to miało znaczyć, pomyślał Fredrik.

Spojrzeli na siebie i na krótką chwilę ich dłonie się spotkały, a palce splotły. Sekundę później Fredrika już tam nie było.

Dwóch pozostałych nazistów z Sudret bynajmniej nie miało obycia, którym charakteryzował się Gert Fält. Nie troszczyli się – albo nie byli na tyle inteligentni – by ubrać swoje poglądy w schludną argumentację. Obaj jednak dysponowali solidnym alibi.

W czwartek Fredrik i Gustav mieli za sobą sprawdzanie nazistów z listy i zamierzali się przyłączyć do przeczesywania miejsca zbrodni. Droga, którą jechali, wiała się między polami kilkaset metrów na południe od Hablingbo. Właśnie minęli dużą zagrodę jeleni i zbliżali się do trzech, czterech gospodarstw położonych blisko siebie.

– Pojedziemy do Vingården na lunch? – zaproponował Fredrik.

– Zajrzyjmy jeszcze tutaj – powiedział Gustav i wskazał jasny otynkowany dom z dużą stodołą z tyłu.

Powoli jechali prosto. Minęli zardzewiałą tabliczkę na pochyłym metalowym słupie. Napis „Zbiornik przeciwpożarowy” wskazywał zarośniętą zwirową drogę. Po lewej stronie, naprzeciwko nachylonej tabliczki, znajdował się kurnik sąsiedniego gospodarstwa. Przez szczelinę w oknie słyszeli stłumione gdakanie.

Pięćdziesiąt metrów dalej, za żywopłotem z bzów, który wyrósł tak, że sięgał do gruzłowatych drzew o rzadkich liściach, znaleźli wjazd do gospodarstwa.

We wszystkich oknach z widokiem na drogę żaluzje były zasłonięte. Dom wyglądał na zapuszczony, jakby ktoś nie miał siły albo pieniędzy na dokonanie koniecznych napraw. Farba z ram okiennych odpadała płatami. Z rynien wystawały patyki. Na zwirowej ścieżce prowadzącej od furtki do drzwi rosły kwiaty, które rozpleniły się z rabatek. Cały ogród wyglądał trochę niewyraźnie. Dziko rozrastające się drzewa sprawiały, że posesja była zacieniona i mroczna, nadając gospodarstwu senny, niegościnnie wygląd.

Zbliżyli się do domu. Drzwi kuchni były otwarte na taką szerokość, na jaką pozwalała zasuwka. Gustav zaparkował. Wysiedli, rozejrzeli się i ruszyli do drzwi. W skali gotlandzkiej było to gospodarstwo rolne należące do tych większych. Przynajmniej kiedyś, bo wszystko przemawiało za tym, że jego działalność została wstrzymana.

Gustav zapukał w otwarte drzwi. Nie czekając na odpowiedź, pokonał cztery stopnie do wewnętrznych drzwi w korytarzu i do nich też zapukał. Fredrik poszedł za nim.

Gustav uchylił drzwi.

– Halo! – krzyknął.

Nie było odpowiedzi.

– Halo! – krzyknął znowu i otworzył drzwi szeroko. – Czy ktoś tam jest?

Fredrik i Gustav weszli do kuchni. Była pusta, na stole i ławach panował porządek. Z któregoś z pokoi w głębi domu dobiegała muzyka.

– Czy ktoś tu jest?! – krzyknął głośniej Gustav.

Spojrzeli na siebie, a potem weszli dalej. W kuchni było jeszcze dwoje drzwi poza tymi, przez które weszli. Jedne prowadziły do zaciemnionego pokoju, w mroku migotał telewizor. W niebieskawej poświacie dało się zobaczyć zwalistą, mocno otyłą postać wpatrującą się w ekran jak zahipnotyzowana.

Gustav dziarskim krokiem zbliżył się do pomieszczenia i mocno zapukał w otwarte drzwi.

– Halo! – prawie krzyknął. – Jesteśmy z policji w Visby.

Tym razem otyły mężczyzna na sofie zareagował. Gwałtownie odwrócił głowę w kierunku drzwi, a reszta jego ciała pozostała nieruchoma. Zmrużył oczy. Raczej nie widział nic oprócz dwóch zarysów postaci.

– Jesteśmy... – zaczął ponownie Gustav.

– Z policji w Visby. Tak, słyszałem – odparł mężczyzna.

Mówił powoli, a jego głos był trochę bełkotliwy. Tylko trochę, jak u kogoś nie do końca trzeźwego. Poświata z telewizora delikatnie rozjaśniała mu twarz, błyszczała w prawym oku. Reszta twarzy nikła w ciemnościach. Trudno było sobie wyobrazić, jak wygląda ten człowiek. Poza tym, że był wielki.

– Czy to pan Stellan Johansson? – spytał Gustav, sprawdzwszy nazwisko w wydrukach z rejestru.

– To ja.

Stellan Johansson milczał. Chwilę później stało się coś dziwnego. Podskoczył na sofie. Jakby całe jego potężne ciało oderwało się od obicia kanapy. Usłyszeli, że przetyka ślinę, a następnie zapytał:

– Chyba nic się nie stało?

Niepokój w jego głosie był wyraźnie wyczuwalny.

– Nie stało? A co mogłoby się stać? – zapytał Gustav.

Stellan Johansson wpatrywał się w Gustava jednym okiem.

– Tak! Przecież dzieją się różne rzeczy. Wypadki – dodał, tym razem już wyraźniej. Jakby niepokój wyostrzył mu zmysły.

Gustav nagle zrozumiał.

– Nie, nie. Nie jesteśmy tu po to, by poinformować o wypadku. Proszę się nie obawiać. Chcemy tylko zadać kilka pytań.

Zauważyli, że jego napięta twarz się rozluźniła. Mężczyzna zamknął oczy.

Gustav szukał włącznika światła.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli zapalimy światło – stwierdził i nacisnął przycisk przy drzwiach.

Nic się nie stało.

– To światło nie działa – powiedział Stellan Johansson.

Niepokój zniknął, głos znów był zmęczony i rozwlekły. Mężczyzna powoli przesunął cielsko w lewo na krawędź sofy i zaczął błędzić ręką po podłodze.

Po chwili włączyła się lampa podłogowa. Oświetliła sofę, stół i dużą część pokoju miękkim żółtawym blaskiem. Oświetliła też Johanssona.

Przez kilka sekund stali w zupełnym bezruchu. Ciało mężczyzny było w jakiś sposób nieproporcjonalne, co wzbudzało w nich dyskomfort. Tak samo jak nieproporcjonalne były drzewa i rośliny w ogrodzie, który zdawał się rozmazywać. To, co widzieli przed sobą, nie było czymś, co łatwo dało się rozpoznać jako ludzkie. Ciało mężczyzny wybrzuszało się i falowało w miejscach, w których ciała normalnie się nie wybrzuszą ani nie falują. Nawet te otyłe.

Trochę zawstydzeni swoim demaskującym milczeniem zrobili kilka zdecydowanych kroków i weszli do pokoju.

Fredrik ruszył za Gustavem i próbował udawać, że nie wyczuwa przykrego zapachu.

Odsunęli od ściany dwa krzesła i usiedli przy stole. Dwa zużyte, zmechaniczne fotele wyglądały na zaimpregnowane duszną, nieprzyjemną wonią i były niezachęcające.

– Gdybyśmy wyłączyli telewizor, byłoby jeszcze lepiej – oznajmił Gustav.

Stellan Johansson miał pilota obok siebie na sofie. Podniósł go, skierował w stronę telewizora i po krótkim wahaniu wcisnął czerwony guzik. Ekran poczerniał, a dźwięk ucichł.

– No dobrze – powiedział. – Chcieliście zapytać...

Stellan Johansson popatrzył w ich stronę. W jego oczach nie było żadnego zainteresowania. Dolna powieka zwisała, ukazując pasemko różowego mięsa. Włosy były przetłuszczone, a w grubej skórze wokół skrzydełek nosa tkwiło mnóstwo czarnych zaskórników. Z każdym utrudnionym oddechem Stellana rozlegał się świst dobiegający z płuc.

Pierwsza myśl Fredrika na widok Johanssona była taka, że ten człowiek nie mógł stać z bronią za jakimś krzakiem w Nisseviken. Wydawało się ze wszech miar wątpliwe, że w ogóle potrafi wstać z sofy samodzielnie.

– Jak pan pewnie wie, wczoraj w Nisseviken znaleziono dwie martwe osoby. Zostały zastrzelone – rzekł Gustav.

– Tak, widziałem w wiadomościach – odparł Stellan Johansson i wskazał telewizor pilotem, który nadal trzymał w ręce.

Podłużne szare pudełeczko prawie niknęło w jego olbrzymiej garści.

– Chcielibyśmy zapytać, czy zwrócił pan na coś uwagę w poniedziałek rano. Albo przed południem – odezwał się Gustav.

Stellan Johansson odwrócił wzrok na pusty ekran telewizora.

– W poniedziałek? Dni zlewają mi się w jeden.

Nietrudno było to sobie wyobrazić. Fredrik stłumił westchnienie.

– Gdzie pan był w poniedziałek rano? – zapytał Gustav.

– Tutaj – odparł Stellan Johansson i spojrzał na niego zdziwiony.

Choć mężczyźnie trudno było odróżnić dni, najwyraźniej nie miał wątpliwości, gdzie przebywał w poniedziałkowy ranek. Pewnie dlatego, że rzadko wychodził z domu.

– Proszę powiedzieć, co pan robił rano – rzekł Gustav.

– Po śniadaniu wyszedłem na spacer.

To było chyba ostatnie, czego mogli się spodziewać.

– Gdzie pan spacerował?

– Tutejszymi drogami – odparł Johansson i powoli omiół teren ręką. – Nie byłem daleko.

– Nie miał pan żadnego celu?

– Nie, po prostu chciałem się przespacerować.

– Kiedy to było?

– Około dziewiątej, jak zwykle.

– Jak zwykle? Często pan spaceruje?

– Tak. Codziennie rano.



– Ale nie jest pan pewny, że w poniedziałek to była dziewiąta? – zapytał Gustav.

– Dokładnie to nie. Ale mniej więcej. Mogło być wcześniej. Budzę się wcześniej z powodu światła.

– Jak długo pana nie było?

– Z godzinę.

– Zwrócił pan na coś uwagę w czasie tego spaceru? Spotkał kogoś albo zobaczył coś nietypowego?

Stellan Johansson milczał. Nie było po nim widać, że się zastanawia, ale pewnie to właśnie robił. Fredrik spojrzał na niego i jednocześnie zauważył, że to, co od początku odczuwał jako nieprzyjemny zapach w pokoju, rozdzieliło się na kilka różnych: woń wgrzyzonego brudu, kwaśnej kawy, potu, kurzu nagrzanego przez elektronikę w telewizorze, nieświeżego oddechu i uryny.

– Nie – odpowiedział Stellan. – Przez cały ten czas nie widziałem nikogo. Mignął mi w oddali jakiś samochód, ale to nie jest coś, co od razu przychodziłoby do głowy.

Gustav przytaknął. Wyglądał na niezadowolonego.

– A co pan robił przed wyjściem na spacer?

Zanim Stellan Johansson zdążył odpowiedzieć, usłyszeli samochód wjeżdżający na żwirowy podjazd. Trzasnęły drzwiczki, rozległy się głosy. Słychać było kroki na schodach i otworzyły się drzwi do kuchni. Weszli dwaj młodzi mężczyźni – obaj wysocy i umięśnieni. Jeden był rudawym, a drugi jasnym blondynem.

Nie mógł już ryzykować z domkami letniskowymi. Nie wiedział nic o Gotlandii, ale wystarczająco dobrze znał Szwedów, by próbować się ukryć w jednym z nich dzień przed midsommar.

Znalazł starą stodołę i zakradł się na poddasze, wchodząc krok po kroku po niepokojąco trzeszczących drewnianych stopniach. Był pewny, że stodoła nie jest już używana. Stanowiła wystarczająco pewne schronienie, by odważył się zamknąć oczy i kilka godzin odpocząć. Wokół siebie miał zbutwiałe siano i stare narzędzia, brunatne od rdzy.

To była rolnicza okolica. Nie brakowało stodół i przybudówek. Większość jednak znajdowała się blisko gospodarstw. A obecność rolników oznacza bliskość psów i groźbę użycia broni palnej. W każdym razie tak to wyglądało w kraju, z którego pochodził Said. Podobno. Sam był dzieckiem miasta. Co mógł wiedzieć o rolnikach i wioskach?

Musiał przestać myśleć. Potrzebował odpoczynku. Tego rodzaju idiotyczne rozmyślenia niczemu nie służyły.

Zadrzał. W stodole było zimno i wilgotno. Czuł woń pleśni i mokrej trawy. Przy wyższej temperaturze byłoby mu łatwiej. Łatwiej zasnąć i się obudzić. Dobrze wiedział, jak będzie się czuł po kilku godzinach snu. Ciało miał zimne i sztywne, czuł drapanie w gardle zwiastujące przeziębienie.

Żałował, że nie ma żadnego planu.

Boże, mówił w myślach, pozwól mi zamknąć oczy i obudzić się przy dźwięku głosów odbijających się echem od ścian domu w Al-Fallah. Spraw, abym się obudził w bezpiecznym domu.

Ta myśl natychmiast go rozbudziła. Najwyraźniej się zdrzemnął. Śnił. Modlił się jak dziecko. Zrozumiał. Może był bezpieczniejszy w tej śmierdzącej pleśnią stodole niż w swoim domu w Kairze.

\*\*\*

Trudno było dostrzec jakiegokolwiek podobieństwa między Tommym Johansonem a jego ojcem. Otyłość u Stellana Johanssona wymazała rysy twarzy, zmieniła gesty i postawę. Tommy był wysoki, ale nie tak jak ojciec. Jego

klatka piersiowa unosiła się pod koszulką polo, gdy oddychał spokojnie i głęboko.

Tommy Johansson został zabrany na posterunek w Hemse. Choć się ze sobą nie konsultowali, Fredrik i Gustav czuli, że mogli trafić na właściwy trop. Ojciec, który żył jak roślina, na kanapie przed telewizorem. W pewnym sensie opuszczone, choć jednak zamieszkałe gospodarstwo. Coś się nie do końca zgadzało.

Kristera Aspa zostawili w spokoju, kiedy usłyszeli, że dopiero dzień wcześniej pojawił się na wyspie i w Hablingbo.

– Gdzie pan był w poniedziałkowy poranek między ósmą a dziewiątą?

Fredrik prowadził przesłuchanie w jednym z dawnych gabinetów komisariatu w Hemse. Przy ciężkim i trochę zniszczonym dębowym stole usiadł Gustav.

– Byłem na przejażdżce samochodem – oznajmił Tommy Johansson.

Wyglądał, jakby był zirytowany, ale bardzo starał się to ukryć.

– Dokąd pan się wybierał?

– Właściwie donikąd. Ale byłem w cukierni Folkeryds na kawie.

– Czyli pojechał pan na południe?

– Tak.

– Mniej uczęszczanymi drogami między Hablingbo a Nisse?

– Nie, wyjechałem od razu na sto czterdziestkę i potem z Fidenäs na Burgsvik.

– Miał pan się z kimś spotkać?

– Nie – odparł Tommy z naciskiem, jakby chciał zaznaczyć, że już odpowiadał na to pytanie. – Po prostu chciałem się przejechać.

Oczy Tommy’ego Johanssona były jasnobłękitne. Mimo to Fredrikowi wydawały się ciemne. To było mroczne spojrzenie. Mężczyzna patrzył na niego, mrużąc oczy, mimo że światło z pochmurnego nieba było delikatne, a cienka firanka jeszcze dodatkowo je tłumiała. Wyglądał na zdrowego i opalonego, ale skóra pod oczami miała ciemniejszy odcień.

– Kiedy pan stąd wyjechał? – zapytał Fredrik.

– Około ósmej, może o wpół do ósmej.

– Pański ojciec już wstał? Czy mógł widzieć, jak pan wyjeżdża?

– Nie wiem. Nie zaglądałem do niego.

– Może w ogóle nie było go w domu?

Tommy rozłożył ręce.

– Ułatwi nam pan pracę, jeśli będzie odpowiadał na pytania. Słowami, nie tylko gestami – powiedział Fredrik.

Tommy przewrócił oczami.

– Nie wiem – powtórzył. – Nie zaglądałem do niego.

Fredrik poczuł, że traci koncentrację. Przeszkadzało mu wszystko – szare światło, niechętnie odpowiedzi, wyciąganie szczegółów na siłę.

Jego myśli zaczęły wędrować. Kiedy jednak zaprowadziły go z powrotem do dwóch martwych ciał w zakrwawionych drzwiach, poczuł nowy przypływ energii.

– Pański ojciec mówił, że co rano wychodzi na spacer. Czy mogło tak być, że wszedł, kiedy już pan się obudził? – spytał.

Tommy westchnął, ale potem coś sobie przypomniał.

– Przyszliśmy do domu równocześnie – oznajmił. – Czyli... no tak... pojawił się, akurat kiedy wychodziłem z samochodu. Ale czy był na spacerze, już kiedy się obudziłem...

O tym Stellan Johansson nie wspomniał. Mówił tylko o jakimś samochodzie w oddali. Czyżby zapomniał o Tommym? A może świadomie go pominął?

– Był pan sam podczas tej przejażdżki? – kontynuował Fredrik.

– Tak.

– Ale do Folkeryds pan wszedł?

– Tak.

– Ile czasu pan tam spędził?

– Powiedziałbym, że piętnaście, dwadzieścia minut.

– Czy kogoś pan tam spotkał? Kogoś, kto mógłby potwierdzić, że pan tam był?

– Do cukierni wszedł wtedy Niklas. Niklas Ahlskog. Na pewno pamięta. Fredrik zapisał nazwisko i odsunął się na krzesło kilka centymetrów.

– Jaki jest pański stosunek do imigrantów?

– Słucham? Co to ma do rzeczy? – zdziwił się Tommy.

Jego reakcja wyglądała na autentyczną.

– To ma pewne znaczenie – odparł Fredrik i czekał.

– Mój stosunek jest... nijaki. Nie obchodzi mnie to.

– Nie obchodzi pana?

– Nie.

– Co to oznacza? Co dokładnie pana nie obchodzi? – dopytywał Fredrik.

– Tu nie ma prawie żadnych imigrantów. Dlaczego ma mnie to obchodzić?

– W Nisseviken było ich dwoje.

Tommy prychnął.

– Nie mam żadnego problemu z imigrantami, okej?

Tommy skrzyżował ręce i westchnął.

– Zaraz skończymy. Jeszcze tylko kilka pytań.

– Jasne – odparł Tommy, ale z całą pewnością nie sprawiał wrażenia chętnego do współpracy. W jego oczach pojawiła się wrogość.

– Gdzie pan pracuje?

– Obecnie nigdzie. Jestem bezrobotny – odparł, wpatrując się Fredrikowi w oczy, jakby nawet mimowolnym mrugnięciem nie chciał zdradzić, co to dla niego oznacza.

– A przedtem? – zapytał Fredrik.

– Przez jakiś czas pracowałem na stacji Statoil w Havdhem, ale potem wprowadzili automatyzację.

– Czyli teraz nie robi pan nic?

– Czasem jakieś prace dorywcze, ale nie ma tego wiele.

– Na przykład co?

– Zbieram jajka u kilku osób – odparł Tommy.

– Gdzie?

– W Grötlingbo.

– U kogo?

– U Fälta.

– Gerta Fälta? – dopytał Fredrik.

– Tak.

\*\*\*

Sara znalazła się w naleśnikarni w Hablingbo. Potrawy podawano gościom do boksów urządzonych w dawnej stodole. Na talerzach leżały francuskie placki o nazwach zapożyczonych od szwedzkich krów. Za opiekaczami stał prawdziwy Francuz i łypał oczami spod czarnej kręconej grzywki.

Sara nie mogła przestać myśleć o tym, że musieli długo wszystko szorować, zanim inspekcja sanitarna zezwoliła na otwarcie restauracji w tym miejscu.

Potem pomyślała o młodym człowieku, z którym tworzyła coś w rodzaju związku. Zbyt młodym człowieku. Wiedziała, że musi z nim porozmawiać. Zamierzała jednak poczekać z tym do końca midsommar. Teraz panowało zbyt duże zamieszanie. Z kolei myśl, że miałyby siedzieć sama w wieczór midsommar w mieście będącym na liście światowego dziedzictwa UNESCO, była po prostu przygnębiająca. Nie chodziło o niego. Ani o to, że zostałyby bez faceta. Nie chciała zostać bez przyjaciół.

Nie jestem w tej sytuacji taka super, wyrzucała sama sobie z uśmiechem. Wykorzystuję go. Jest dla mnie tylko środkiem. Co za wstrętą babą się stałam.

Już chciała wziąć do ust ostatni kęs, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko Broman. Odebrała.

– Mogłabyś sprawdzić alibi pewnego świadka z Burgsvik? – zapytał Fredrik po powitaniu.

– Pewnie by się dało – odparła.

Fredrik szybko wytłumaczył, czego dotyczy sprawa.

– Mogę pojechać od razu. Ile mam czasu? – spytała Sara i włożyła do ust ostatni kawałek naleśnika.

Był smaczny, ale nie czuła się najedzona.

– Ile czasu potrzebujesz? Możemy to wydłużyć.

– Pół godziny. Albo na wszelki wypadek trochę więcej – odparła niewyraźnie z pełnymi ustami.

– Żaden problem. Możesz dostać godzinę.

Fredrik podał jej potrzebne informacje. Wstała i poszła do wyłożonego kafelkami baru, żeby zapłacić. Kiedy przyszła do lokalu, zwróciła uwagę na duży, błyszczący ekspres. Miała zamiar zakończyć lunch filiżanką mocnej czarnej kawy. Musiała to przełożyć na inną okazję.

Fredrik pobiegł do Ninni, a Gustav czekał w samochodzie. Podział obowiązków był jasny. Joakim mógł przygotować obiad i zająć się Simonem, dopóki Fredrik nie wróci do domu. Powinien być z powrotem najpóźniej o siódmej.

– Pewnie, możesz to ustalić z Joakimem – powiedziała Ninni.

Pakowała rzeczy na weekend i wydawała się zaabsorbowana głównie tym, co na siebie włoży w wieczór midsommar. Jasne, to, jak Fredrik rozwiąże sytuację z dziećmi, nie było jej problemem. Ważne, by się z tym uporał.

Joakima nie było w domu, ale Fredrik dodzwonił się na jego komórkę. Chłopak obiecał, że przyjdzie i zaopiekuje się młodszym bratem. Zrobił to bez marudzenia i protestów.

Odkąd Fredrik przeprowadził się do Vamlingbo, Joakim musiał wziąć na siebie znacznie więcej obowiązków. Fredrik był pod wrażeniem, choć wolałby widzieć, że syn staje się bardziej dorosły z innego powodu niż skok w bok, którego dopuścił się tatuś.

\*\*\*

Kiedy wracał do Visby, zadzwonił Jesper.

– Cześć! Słuchaj, nie chcę przeszkadzać, rozumiem, że macie pełne ręce roboty. Co za cholerna sprawa.

Jesper mówił szybko i nienaturalnie. Jak zwykle. Nie miało to nic wspólnego z obawą, że może przeszkadzać.

– Nie panikuj, jestem w samochodzie – powiedział Fredrik.

– Zamierzałem przyjechać jakoś w przyszłym tygodniu. W środę, może w czwartek – wyjaśnił Jesper.

Fredrik zamknął oczy. Wcześniej Jesper mówił „tydzień po midsommar”. Czyż nie?

– Możesz dalej tam mieszkać, nie o to chodzi. Chciałem cię tylko poinformować – rzekł Jesper.

– Na pewno?

– Tak, cholera. Cała przyjemność po mojej stronie.

Fredrik z powrotem otworzył oczy. Przemknął przed nimi las świerkowy. Wrzosowisko w Lojsta.

– Po następnym weekendzie przyjeżdża też Ullis, a po piętnastym przez dwa tygodnie będą u mnie dzieciaki, ale dom jest przecież duży.

– Skoro mają przyjechać dzieci... – zaczął Fredrik.

– Nie, do cholery. Zmieścisz się. Damy radę. Może będziesz musiał się przenieść do komórki, ale jasne, że możesz dalej mieszkać.

– W razie czego zajmę wychodek.

– E tam. Dom jest duży.

Zabrzmiało to nieco zuchwale. Wspólne mieszkanie zawsze najbardziej urocze jest w teorii. Potem okazuje się, że hebel do sera jest w niewłaściwej szufladzie, jeden nie znosi włosów z brody w umywalce, a ktoś inny zawsze je tam zostawia. Fredrik był jednak gotów podjąć to ryzyko. Nie miał zresztą wyboru.

– Co mam powiedzieć. Kamień spadł mi z serca – odparł szczerze.

– Ech! – zawołał Jesper. – Zadzwoń, kiedy będę znał dzień, i w przyszłym tygodniu się zobaczymy.

To powiedziawszy, zakończył rozmowę.

\*\*\*

– Mógł więc zdążyć dojechać z Burgsvik do Nisseviken, by zastrzelić Habib i Thomassona – stwierdziła Sara.

Wyglądała na zmęczoną. Kiedy brakowało jej snu, tak jak teraz, pod oczami pojawiała jej się siateczka drobnych żyłek.

Niklas Ahlskog dobrze pamiętał spotkanie z Tommym Johanssonem w poniedziałkowy poranek. Kasjerka z cukierni też go pamiętała. Problemem był czas. Ahlskogowi wydawało się, że widział Tommy'ego Johanssona około wpół do ósmej, ale nie patrzył na zegarek i w sumie nie był pewny. Kasjerka, która mówiła „koło ósmej”, też nie wiedziała dokładnie.

Gdyby Tommy Johansson wyjechał z domu najwcześniej o wpół do ósmej, jak sam twierdzi, nie zdążyłby pojechać do Burgsvik, napić się kawy, a potem wrócić na czas, by zastrzelić Habib i Thomassona. Jeśli jednak był w Folkeryds już o wpół do ósmej, sytuacja mogła wyglądać inaczej.

Znów weszli do pokoju bez okien. Białe ściany, biała tablica, podłużny stół. Było dziesięć po piątej. Ove siedział zgarbiony na krześle. Miał nastro-



szone włosy.

– Czy to nie jest zachowanie typowego szaleńca? – rozważał. – Pojeździć trochę bez celu, żeby zebrać się na odwagę, a potem nagle podjąć decyzję i wyciągnąć broń.

– Ale jeśli to był on, postąpił naprawdę głupio, wpadając do Folkeryds i narażając się na spotkanie świadków, którzy mogą potwierdzić, że zdążyłby na czas do Nisseviken – rzekł Lennart i omiół spojrzeniem siedzących przy stole. – Poza tym, jeśli chodziło mu o strzelanie do imigrantów, na pewno już wcześniej widział tych dwoje. Przecież nie jeździł, by szukać odpowiednich ofiar. Ilu imigrantów może być na Sudret?

Lennart Svensson jako jedyny nie wydawał się zmęczony. Jego spojrzenie było rzeźkie i nieco gniewne. Kiedy mówił, pomagał sobie, mocno gestykulując, jakby musiał zużyć nieco nadmiarowej energii. Ove wzruszył ramionami. Teoria o szaleńcu była tylko hipotezą.

– Może posunęliśmy się trochę za daleko z Johanssonem, ale warto było sprawdzić – powiedział Fredrik. – Szkoda, że nie widzieliście tego miejsca... Coś było nie tak. Podobnie jak z tym chłopakiem.

– To prawda, tam w środku aż ciarki człowieka przechodziły – dodał Gustav.

– Tak – odparł Lennart. – W tych gospodarstwach trafiają się różne dziwne typki. Ale bycie mało inteligentnym to chyba nie zbrodnia.

– Zauważcie, że powiedział to rodowity Gotlandczyk – odezwała się Sara, wskazując Lennarta. – Możemy to wpisać do protokołu?

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy z ojcem chłopaka, nagle sobie przypomniał, że widział, jak Tommy rankiem przyjeżdża samochodem do domu. Nie podał jednak dokładnej godziny. Stwierdził, że nie liczył tego jako spotkania z synem, bo nastąpiło w domu – rzekł Gustav.

– Niewiele nam to daje. Zobaczmy, czy strzelba coś nam powie – oznajmił Fredrik.

Okazało się, że Tommy Johansson też posiada broń kalibru siedem sześćdziesiąt dwa. Lynx Target. Skonfiskowali ją.

Göran położył ramiona na stole i zajrzał w swoje papiery.

– Widzę, że jest jeszcze siostra – zauważył.

– Tak – odparł Gustav.

– Ale nie została przesłuchana?

– Nie.

– Może powinniśmy to zrobić? Choćby po to, by mieć trochę lepszą orientację w tym, co tam się dzieje. Alibi Tommy’ego Johanssona nie jest zbyt przekonujące, poza tym mamy powiązanie z Fältem. Może warto spróbować?

– Hm. Siostra mieszka w Rone. Mogę się tym zająć jutro rano – powiedział Fredrik.

– W każdym razie strzelby Fälta nie wchodzą już w grę – powiedziała Eva.

– Mimo to obecnie jest kandydatem numer jeden. Nie ma alibi, wyznaje za to „słuszne” poglądy – rzekł Göran. – Nasz najgorętszy miejscowy kandydat.

– Dowiedzieliśmy się czegoś nowego od Säpo? – zapytał Gustav.

– Nie, na tym polu nic. Skonfiskowali komputer osobisty i trochę dokumentów ze studenckiego mieszkania Saida Habiba, ale na razie nie poznałem wyników. Pewnie nadal nad tym pracują.

Göran spojrział na Evę.

– Masz coś jeszcze oprócz strzelby Fälta?

– Otrzymałam wstępny raport z Zakładu Medycyny Sądowej – odparła i szybko powiodła wzrokiem po współpracownikach. – Potwierdzono godzinę, której już i tak byliśmy pewni. W obu ciałach wykryto rozległe uszkodzenia kluczowych organów: serca, płuc, aorty. Śmierć musiała nastąpić właściwie na miejscu. Oboje zostali trafieni jednym strzałem. Oczywiście nie tym samym. Pociski należą do mocno ekspandujących. Sami widzieliście obrażenia.

Eva trzymała przed sobą plik raportów i wyników badań próbek, ale nie musiała do nich zaglądać. Wszystko miała w głowie.

– Laboratorium zidentyfikowało też fragmenty pocisków – kontynuowała. – Potwierdzają, że to siedem i sześćdziesiąt dwie setne milimetra. Fragmenty mogą pochodzić ze standardowej amunicji używanej na polowaniach. Niestety, nie byli w stanie wskazać konkretnego producenta.

Fredrik zatrzymał wzrok na Evie. Wiedział, że za chwilę się rozstaną. Każde pojedzie do swojego rozwodowego domu spędzać midsommar z dziećmi i wielkimi, dręczącymi uczuciami pustki i tęsknoty. Tęsknoty – na jego nieszczęście – skomplikowanej i niejednoznacznej.

– Na gałęziach, które odcięliśmy w Nisseviken, znaleziono fragmenty substancji zapalającej – ciągnęła Eva. – Nie jest to bardzo zaskakujące. Niestety, nie ma śladów skóry ani krwi. A zatem brak DNA. Przesialiśmy pia-

sek w miejscu, gdzie ukrywał się sprawca. Musieliśmy wyciąć połowę tych chaszczy, żeby się tam dostać, ale nie znaleźliśmy żadnych łusek. To znaczy, że sprawca musiał je pozbierać albo miał przyczepione do strzelby coś, co je zbierało.

– Okej – odparł Göran. – Nie wiem, jak w weekend rozwinie się sytuacja, ale chciałbym wysłać Ovego, żeby przesłuchał krewnych Habib i Thomassona. Jeśli to się uda, zrobimy też swoją rewizję mieszkań przy Roslagsgatan i Hammarbyhamnen. Może dobrze będzie zobaczyć je na własne oczy.

Fredrik zerknął na zegarek. Żeby wrócić do domu o umówionej godzinie, powinien był wyjechać przed dwudziestoma minutami.

Rankiem w dniu midsommar, dwudziestego piątego czerwca, niebo było jednolicie szare i bez wyrazu. Termometr za kuchennym oknem wskazywał czternaście stopni.

Po raz pierwszy od dwóch tygodni Fredrik nocował w domu. Mogąc wejść do swojego łóżka, czuł, że rozwiązuje się w nim jakiś twardy supeł. Spał jak kamień. Kiedy rano otworzył oczy, czuł się spokojny i wypoczęty. Nawet szare niebo i ponure nagłówki porannej gazety nie były w stanie tego zmienić.

W czwartek w zamachu bombowym w Iraku zginęło co najmniej sto osób. Samochody pułapki wybuchły w Mosulu, Bakubie, Bagdadzie, Faludży i Ar-Ramadi. Ponad trzysta dwadzieścia osób odniosło obrażenia. W gazecie opisywano to z rezygnacją. Co prawda bomby były większe i liczniejsze, a śmierć poniosło więcej osób, ale to wciąż to samo. Czego innego można się było spodziewać przed przekazaniem władzy, które przypadało na przyszły tydzień?

Kilka ataków bombowych wymierzono w posterunki policji.

Na schodach rozległy się powolne kroki i do kuchni wszedł Joakim. Rzadko wstawał tak wcześnie w dzień wolny, właściwie prawie nigdy. Poszedł prosto do stołu, zgarnął dodatek kulturalny gazety i odwrócił, żeby sprawdzić prognozę pogody. Miał na sobie tylko slipy. Odgarnięte do tyłu dredy, których zrobienie babcia zafundowała mu na gwiazdkę, były spłaszczone po nocy.

– Co, kurwa? – odezwał się po szybkim przestudiowaniu dodatku pogodowego.

Odrzucił od siebie gazetę i usiadł przy stole. Fredrik zapytał, czy ma ochotę na kawę, i w odpowiedzi otrzymał wymamrotane „tak”.

– Zastanówcie się, jak będzie z tym lunchem – powiedział Fredrik, podając kawę.

– Jakim lunchem? – zapytał Joakim.

– Czy chcecie pójść z Martinem i Leną.

Joakim długo pocierał oczy.

– Nie, nie dam rady – odpowiedział.

– Na pewno?

– Tak – odparł Joakim i przeszedł do artykułów z dodatku „W mieście”.

Fredrik już chciał powiedzieć, że na miejscu z pewnością będzie więcej rówieśników jego i Martina, ale się powstrzymał. Joakim miał szesnaście lat i jesienią miał rozpocząć naukę w szkole średniej. Nie potrzebował już organizatora czasu wolnego.

– Okej, ale w takim razie wymyślimy coś tutaj, kiedy wrócę. Czyli około pierwszej.

– W porządku – odparł Joakim, ziewając.

Fredrik rzucił okiem na zegarek na piekarniku. Musiał jechać.

– Zadzwoń, jeśli chcesz, abym kupił coś konkretnego po drodze – powiedział i wstał.

– Na przykład iPod? – odparł Joakim, nie odrywając wzroku od gazety.

– Myślałem raczej o czymś na obiad. Albo na kolację.

Na to nie dostał już odpowiedzi. Kiedy wyszedł z domu, zaczęło padać.

\*\*\*

Anna-Karin Johansson mieszkała w małym sześciennym domku obłożonym żółtą imitacją cegły. Mieścił się tuż za zlikwidowanym sklepem spożywczym w Rone. Fredrik przez chwilę stał przed wejściem, drżąc z zimna, zanim drzwi się otworzyły. Kobieta spojrzała na niego z pytającym uśmiechem, trzymając dłoń na klamce.

– Dzień dobry – zaczął. – To ja dzwoniłem. Fredrik Broman, policja z Visby.

– Aha, dzień dobry. Proszę – powiedziała.

Po lewej stronie małej sieni było zejście do piwnicy.

– Nie macie wolnego w midsommar? – spytała Anna-Karin i weszła po schodku do kuchni.

– Pewnie dostaniemy kilka godzin – odparł Fredrik.

Fredrik wszedł za kobietą do starannie wysprzątanej kuchni z lat pięćdziesiątych. Wydawała się świeżo pomalowana, ale poza tym zachowana w najdrobniejszym szczególe. Na błyszczącym blacie stało sześć butelek z jasnoróżowym płynem.

– Od dawna tu pani mieszka? – zapytał Fredrik.

– Od pięciu lat. Wtedy domy były znacznie tańsze niż dziś.

Fredrik miał w głowie tylko niewyraźny plan przesłuchania. W żadnym razie nie był pewny, o co mu konkretnie chodzi.

– Czyli wcześniej też mieszkała pani w domu?

– Nie – odparła Anna-Karin z uśmiechem. – Nie, nie, przez kilka lat miałam małe mieszkanie na Hemse.

– Młodo została pani właścicielką domu. W wieku dwudziestu czterech lat – oznajmił Fredrik i natychmiast dotarło do niego, że powiedział za dużo.

Jeśli zrozumiała, że wcześniej ją sprawdził, nie dała tego po sobie poznać.

– No nie wiem. Może i tak. Nie myślałam o tym. Po prostu chciałam mieć coś własnego. Tata się dorzucił i wystarczyło na zaliczkę. Sprzedał wtedy ziemię.

Anna-Karin położyła rękę na jednym z krzeseł ustawionych wokół stołu z blatem z szarego laminatu.

– Usiądziemy?

– Oczywiście.

Fredrik wybrał krzesło naprzeciwko Anny-Karin.

– Żadna z tego luksusowa willa – powiedziała kobieta, kiedy już usiedli.

– Może i tak, ale przyjemny mały domek na pewno – odparł szczerze Fredrik.

Dom budził nostalgiczne uczucia z jego dzieciństwa: linoleum, płyty laminowane i pani z sąsiedztwa, która miała obwisłe ramiona i zapraszała na sok. Przypominał sobie już dawno nieistniejące rzeczy.

Anna-Karin, jakby czytała mu w myślach, zaproponowała szklanekę świeżo zrobionego soku rabarbarowego, wskazując butelki na ladzie. Fredrik uprzejmie odmówił. Czuł się zawstydzony. Jej troska kłóciła się z celem jego wizyty: chęcią powęszczenia nie wiadomo za czym.

– Tak się zastanawiam – powiedział powoli, szukając czegoś konkretnego, od czego mógłby zacząć – czy przypadkiem w poniedziałek nie była pani u swojego taty?

– Tak, wpadłam do niego po pracy.

– Była pani tam również w niedzielę?

– Tak, byłam. Zwykle odwiedzam go co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu. Tata wymaga zaawansowanej pomocy.

Zabrzmiało to zwyczajnie. Jak proste stwierdzenie. To był dla niej chleb powszedni.

– Od dawna choruje?  
– Tak, odkąd zmarła mama. Mniej więcej. Ale z każdym rokiem ma się gorzej.  
– Kiedy zmarła pani mama?  
– Dziesięć lat temu – odparła Anna-Karin, a jej uśmiech na chwilę stężał. Fredrik znów poczuł zawstydzenie.  
– To przykre. Na pewno nie była wiekowa. Pani też musiała być wtedy młoda.  
– Miałam dziewiętnaście lat.  
– Jak zmarła? – drążył Fredrik.  
Czuł, że wkracza na bardzo prywatne terytorium. Mógł się jednak w ten sposób dowiedzieć czegoś o rodzinie Johanssonów.  
– Popełniła samobójstwo.  
Zapadła cisza.  
– To musiało być trudne – wykrztusił w końcu Fredrik.  
– Proszę tylko spojrzeć na tatę – odparła.  
– Czy wydarzyło się coś szczególnego, co...  
– Co ją do tego skłoniło? – doprecyzowała pytanie Anna-Karin, widząc jego wahanie.  
– Tak.  
– Właściwie to nie. Już od dawna była chora, miała depresję, kilkakrotnie trafiała do szpitala.  
Skinął głową.  
Anna-Karin założyła ręce i odchyliła się na krześle.  
– Wie pan, czasami myślę, że powinnam się stąd wyprowadzić. Zostawić za sobą Hablingbo czy raczej Rone, w którym teraz mieszkam – powiedziała, rozłożyła ręce i skrzyżowała je ponownie. – Zostawić Gotlandię. Wszystko. Tatę też.  
Fredrik nie odpowiadał.  
Za zamkniętymi drzwiami rozległ się stłumiony dzwonek telefonu.  
– Tylko szybko odbiorę – powiedziała Anna-Karin i wskazała drzwi.  
– Tak, tak, oczywiście – odparł Fredrik.  
Kobieta wstała od stołu.  
– To na pewno Tommy. Umówiliśmy się na marynowanego śledzia około pierwszej.  
Poszła odebrać. Jej głos był słyszalny po drugiej stronie drzwi.

Fredrik rozejrzał się po kuchni, zerknął w kierunku salonu. Kiedy rozmowa się nie kończyła, wysunął krzesło i wstał. Pokoje były małe, tak jak i cały dom. Wystarczyło zrobić kilka kroków i już znalazł się w salonie.

Ściany były błękitne. Bufiasta sofa z Ikei z kolorowym kocem ułożonym na oparciu stała naprzeciwko odnowionego regału z książkami, płytami CD i sporą liczbą ozdób.

Na najwyższej półce umieszczono długi rząd srebrnych pucharów różnej wielkości. Fredrik z zaciekawieniem podszedł bliżej, żeby zobaczyć, w jakim sporcie odnosiła takie sukcesy. Sięgnął po największe trofeum.

– „Pierwsza nagroda, mistrzostwa okręgowe dziewczynek w strzelectwie” – odczytał z pucharu.

– Już dawno na nikim nie zrobiło to wrażenia – rozległ się głos Anny-Karin za jego plecami.

Odwrócił się. Nie słyszał, jak nadchodziła. Zważył puchar w ręce.

– Zajmuje się pani strzelaniem?

– W każdym razie kiedyś się zajmowałam – odparła. – Teraz nie robię tego zbyt często.

– Wygląda na to, że była pani całkiem zdolna – stwierdził, wskazując głową półkę.

– Tak, byłam całkiem zdolna. Zaczęłam od broni małokalibrowej, w wieku trzynastu lat. Kiedy przyszedłam na zajęcia po raz trzeci, odbywały się akurat mistrzostwa klubu. Dwa razy trafiłam w dziesiątkę i wygrałam termos ze stali nierdzewnej.

Roześmiała się na to wspomnienie, ale było jasne, że jest w tym także pewna doza dumy.

– Gdy ma się piętnaście lat można było zacząć z mauserem – kontynuowała. – To również dobrze mi szło.

– Miała pani swoją broń czy musiała pożyczać od klubu?

– Pożyczałam. Ale teraz mam swoją. Dostałam od Tommy’ego, kiedy skończyłam dwadzieścia pięć lat.

– Ładny prezent.

– Tak. On też dostał trochę pieniędzy za ziemię. Najpierw kupił broń dla siebie, a potem pomyślał, że też powinnam mieć. To lynx.

– Czyli nie mauser? – zapytał Fredrik.

– Nie.

– Ma go tu pani?

Zawahała się i zrobiła taką minę, jakby miała wyrzuty sumienia.



– Tak, ale nie jest zamknięty na klucz. Tata ma szafkę na broń i zwykle go tam trzymam. Ale któregoś razu przyniosłam tutaj i tak sobie stałam...

– Ale wie pani, gdzie jest?

– Tak, tak, oczywiście. Stoi w szafie w sypialni.

– To pójdziemy po niego. Muszę go zabrać.

– Bo nie był zamknięty? – spytała. Wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie. Konfiskujemy każdą sztukę broni określonego typu – skłamał. – To rutynowe badanie. Z powodu zabójstw w Nisseviken.

– Aha – odparła i odchrząknęła.

Poprowadziła go do jednej z szaf w sypialni. Odsunęła ubrania wiszące na wieszakach, żeby mógł się dostać do broni.

– Czy ktoś jeszcze oprócz pani ma klucz do tego domu? – zapytał.

– Tak, klucz wisi u taty i Tommy’ego.

Broń Anny-Karin Johansson stała oparta o ścianę przed drzwiami wydziału technicznego. Fredrik czekał przy drzwiach.

Czuł ulgę. Ta jednak szybko minęła, gdy drzwi się otworzyły. Per Granholm spojrział na niego ponuro przez okulary o grubych czarnych oprawkach. Był młodym kolegą, który od pół roku równolegle z Evą kształcił się na technika kryminalistyki.

Fredrik nie bardzo potrafił go rozszyfrować.

– Eva już poszła – oznajmił Granholm.

Fredrik przez chwilę miał wrażenie, że na jego twarzy widzi złośliwy uśmieszek. Podniósł broń i wyjaśnił, o co chodzi.

– Dzisiaj jestem pół dnia – oznajmił Granholm.

Aha, to po jaką cholere otworzyłeś drzwi? – pomyślał Fredrik.

– Chciałem tylko to zostawić. Eva się tym zajmie w poniedziałek.

Granholm spojrział na Fredrika, jakby ten właśnie zakwestionował jego kompetencje. Fredrik nic sobie z tego nie robił.

Odszedł rozczarowany. Miał nadzieję na chociaż chwilowe spotkanie z Evą. Tak naprawdę, wioząc do Visby broń w bagażniku, cieszył się przez całą drogę.

Przy kąciku kuchennym stał włączony telewizor. Właśnie pokazywał zapowiedź wieczornego meczu ćwierćfinałowego między Francją a Grecją.

\*\*\*

Anna-Karin nakryła do stołu w gospodarstwie. Położyła haftowany obrus, który mama zawsze wyciągała na czas midsommar. Marynowanego śledzia *glasmästarsill*, śledzia w sherry i śledzia czosnkowego przyrządziła samodzielnie. Krister rano pokroił składniki na sałatkę *gubbröra*. Śledź musztardowy został kupiony w sklepie rybnym na Hemse.

Razem z Kristerem nakryli do stołu. Tommy zbyt nie pomógł. Oczywiście był w sklepie monopolowym. Kupił piwo i dużą butelkę akvavitu Skåne. Zazwyczaj Tommy nie odmawiał też samogonu. Anna-Karin podej-

rzewała, że kiedy tata usiądzie z nimi, samogon na stole to będzie już za dużo dla Tommy'ego. I za dużo taty.

Ona i tata siedzieli na drewnianej ławie, Krister naprzeciwko, a Tommy przy krótszym boku, najbliżej niej. Rozmieszczenie było trochę dziwne, ale tylko tak Tommy mógł być jak najdalej od taty i jednocześnie nie siedzieć do niego plecami.

Zapaliła kilka świeczek. Nastrój zrobił się raczej bożonarodzeniowy, ale czuła, że w jakiś sposób musi stworzyć atmosferę, skoro niebo jest takie szare.

Kiedy jednak zebrani zaczęli jeść, bardziej się odprężyli.

Midsommar to jedna z dwóch okazji w ciągu roku, gdy zbierali się całą rodziną. Drugą była Wigilia. W te dni zdarzało się nawet, że Stellan i Tommy Johanssonowie ze sobą rozmawiali. Nawet jeśli rozmowy te wyglądały tak, że Stellan rzucał jakąś ogólną uwagę, a Tommy mruczał na potwierdzenie, mimo wszystko była to wielka różnica w porównaniu z pozostałymi dniami w roku, gdy Tommy zachowywał się tak, jakby tata nie istniał.

Anna-Karin nałożyła sobie jeszcze jednego ziemniaka i podała dalej rondo. Spojrzała na Kristera. Znów dostrzegła to coś w jego oczach. Pojawiło się tego lata. Patrzył w ten sposób na Tommy'ego, gdy ten coś mówił. Albo gdy ten chwycił kieliszek samogonu, żeby wznieść toast. Albo kiedy Tommy odwracał głowę, gdy tata coś powiedział, i patrzył na Annę-Karin, Kristera, na cokolwiek, tylko nie na ojca.

Zauważyła to, już kiedy usiedli. Nagle zrozumiała, w czym rzecz. Krister sprawiał wrażenie zmęczonego. Powieki opadały mu prawie niezauważalnie, ale wystarczająco, by wyglądał na nieobecnego.

Tommy i Krister tak bardzo się od siebie różnili. Anna-Karin sama o tym myślała. Wielokrotnie w ciągu ostatnich lat. Stali się tak różni. Krister patrzył przed siebie. Tommy wgryzł się w przeszłość. Rozpamiętywał, chodził jak struty. Żałowała, że Tommy nie jest trochę bardziej jak Krister. Choć oczywiście nigdy by mu tego nie powiedziała.

Pamiętała gadanie Tommy'ego i Kristera o komandosach. I o całej reszcie – sile, odwadze i metodach zabijania. W wakacje zawsze się bawili w wojskowy obóz treningowy tam w dole, w okolicach zbiornika przeciwpożarowego. Jakby w wieku dziewiętnastu lat kontynuowali dziecięce zabawy. Jakby utknęli w świecie rodem z jakiegoś komiksu. Potem potoczyło się, jak się potoczyło – z wszystkimi rozbuchanymi fantazjami. Krister mu-

siał odbyć służbę wojskową jako zwykły żołnierz piechoty. Tommy został z niej zwolniony. Nigdy nie zdradził, co dokładnie się stało, ale nie było jej trudno sobie wyobrazić. Powiedział coś niewłaściwego w niewłaściwym momencie. Zadowolony z siebie palnął coś, co sprawiło, że skreślili jego nazwisko. Na wszelki wypadek.

Pytała go, ale tylko coś bąknął.

Potem spoglądał na Kristera z mieszaniną zazdrości i wręcz pożądlivej ciekawości. Chciał wiedzieć wszystko. A Krister opowiadał. O ćwiczeniach, broni, taktyce i strategiach. Anna-Karin miała pewność, że pytania były bardziej męczące niż odpowiedzi satysfakcjonujące. Ale Tommy nie umiał odpuścić.

Krister odbył dziewięćmiesięczną służbę wojskową i zamknął ten rozdział. Zauważyła, że kiedy tylko ten temat się pojawia, on coraz bardziej go unika. Nie chodzi o to, że się wstydził swojej niepozornej pozycji. Po prostu nie był tym zainteresowany. Miał swoją dzieciinną fantazję. Nie stała się rzeczywistością. Poszedł dalej. Dla Tommy'ego było to kolejne rozczarowanie.

Boże, ależ była tym zmęczona. Miała dość tego całego zgorzknienia.

Tommy potrafił zademonstrować siłę i zdolność działania, byłoby niesprawiedliwe twierdzić, że nie, ale zachowywał się tak, jakby rozwiązanie tkwiło w przeszłości. Może w jego przypadku tak musiało być. Ona jednak tak nie potrafiła. Uważała, że należy mieć jakieś uziemienie.

Przyszłość nie lubi, gdy człowiek ma ze sobą zbyt duży bagaż.

Spojrzała na Kristera. Chyba był u nich po raz ostatni. Widziała to w jego ruchach i oczach.

Dwie godziny później tata wrócił na sofę w salonie. Tommy także wstał od stołu. Może tylko poszedł do toalety, nie wiedziała.

Krister i Anna-Karin zostali na miejscach, rozmawiali. Zmęczenie zniknęło z oczu Kristera. Może tylko od alkoholu miał lekko zamglony wzrok. Wyglądał na ciężkiego, statecznego i zadowolonego. Siedział lekko nachylony, trzymając łokcie na stole. Dzielilo ich zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Może to sobie wmawiała, ale kiedy się śmiał, miała wrażenie, że czuje ciepło jego oddechu.

Chciała, by jej dotknął. To uczucie zaskoczyło ją swoją intensywnością. Była to silna tęsknota. Wiedziała jednak, że on nigdy tego nie robi. Zatrzymało go to, co się wydarzyło. Pod tym względem on także był uziemiony.

Sama może naprawdę to zrobi. Po prostu zostawi wszystko. Nagle była to nie tylko buntownicza myśl, lecz także coś jak najbardziej realnego. Czowała się silna. Miała plan. To było konieczne.

\*\*\*

Dostali wolne na pół popołudnia, żeby świętować midsommar. Fredrik otrzymał kilka dodatkowych godzin ze względu na opiekę nad dziećmi.

Pod wieczór wpadli Gustav i Lena razem z Martinem. Kiedy zajechali, Fredrik siedział na ławce przed domem, patrząc na Joakima i Simona, którzy ospale podawali sobie piłkę. Słońce wynurzyło się zza chmur mniej więcej koło trzeciej. Znajdowało się dokładnie nad dachem długiej przybudówki. Iskrzyło w kieliszku jasnego żółtozielonego chablis, który Fredrik odstawił na ławkę.

Było to wino klasy premier cru, które właściwie zamierzał zatrzymać na szczególną okazję. Doświadczenie nauczyło go jednak, że takie szczególne okazje prawie zawsze są rozczarowujące. Lepiej odkorkować butelkę, kiedy poczuje się ochotę. Na przykład w deszczowe, nieudane midsommar, wciśnięte pomiędzy śledztwo w sprawie zabójstwa a rozwód.

Zbyt późno przyszedł do domu, by zdążyć przygotować obiad i odwieźć chłopaków na parafialne świętowanie na stadionie. Zresztą nie wydawali się tym szczególnie zainteresowani. Zamiast tego Fredrik z pomocą Simona wystrugał i ozdobił mały świąteczny słupek, który wzniesli na środku podwórka.

Nagle uderzyła go myśl, że Simon wcześniej tylko raz widział słupek majowy w święto midsommar. Kiedy Joakim był mały, zawsze uciekali od zwyczaju stawiania takich słupów i od tańców wokół nich przy dźwiękach akordeonu i skrzypiec. Simonowi musiało wystarczyć patrzenie, jak rodzice do późnych godzin popołudniowych jedzą śledzie i popijają samogon.

Teraz w każdym razie słupek majowy stał – ulistniony, ozdobiony kwiatami i trochę krzywy po uderzeniu piłką.

– Wygląda sielsko – stwierdziła Lena i usiadła na ławce.

Gustav wziął krzesło.

– Pozory mylą. To, co widzisz, to szczątki rozbitej rodziny – powiedział Fredrik.

Chciał zażartować, ale nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

– Naprawdę? – zapytała w końcu Lena.

Wzruszył ramionami.

Znowu to zrobił. Powiedział coś, czego sekundę później żałował.

– W tym momencie tak – odparł i zaproponował Lenie kieliszek wina, a Gustavowi wodę mineralną.

Fredrik przeniósł wzrok na chłopaków kopiących piłkę. Do zabawy dołączył Martin. Simon miał kłopoty z nadążeniem. Dwaj starsi chłopcy do pewnego stopnia brali na to poprawkę, ale mimo wszystko od czasu do czasu nie mogli się powstrzymać przed upokorzeniem go zaawansowanym trikiem.

\*\*\*

Nadszedł czas.

Ostrożnie opuścił pokrywę i wsunął przegródkę z benzyną na swoje miejsce. Dwa pudełka z plastycznym materiałem wybuchowym odstawił na posadzkę. Strząsnął kurz z pokrywy. Każdy z nich wziął pudełko i zaniósł do stołu roboczego.

Tyle siły skoncentrowanej w czymś tak małym. Kiedy cały pakiet będzie zmontowany i gotowy, nie zajmie więcej miejsca niż dziesięć, dwanaście wytłoczek z jajkami. Nikt nie powinien go zauważyć.

Miało się to zdarzyć teraz. To odpowiedni moment. Pozwoli na wielokrotne zwiększenie siły tego małego pakunku. Nastaną inne czasy.

To zmieni wszystko, pomyślał. Naprawdę wszystko.

– Okej – powiedział. – Jesteś gotowy?

– Spokojnie. Potrafię to zrobić z zawiązanymi oczami.

– Wiem, że potrafisz. Miałem na myśli poniedziałek – odparł, spoglądając chłodno na towarzysza.

– Co takiego?

– Wiesz, co robić? Jesteś gotów to przeprowadzić?

– A jak ci się wydaje? Jasne, że jestem gotów.

Brzmiał, jakby był pewny siebie, ale na takiego nie wyglądał. Miał wytrzeszczone oczy, a kiedy odpowiedział, jeden z kącików jego ust kilka razy drgnął. Wyglądał jak ktoś, kto w każdej chwili może stchórzyć.

28 czerwca 2004 roku

Jeden z jaskrawożółtych ciągników terminalowych wjechał z białą naczepą wypełnioną jajkami z firmy Suderägg przez część dziobową statku M/S Visby. Kierowca z wprawą manewrował długim pojazdem po dolnym pokładzie. Światło ostrzegawczego reflektora na dachu ciągnika omiatało białą gródź. Na pokładzie było słychać warkot silników, trzeszczące komunikaty z krótkofalówek i rzucane komendy.

Członek załogi w odblaskowej żółtej kurtce wsunął podporeę pod naczepę z jajkami, dopasował i dał znak kierowcy, że może odłączać i odjeżdżać.

Kierowca obrócił swój fotel o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył po zielonym metalowym pokładzie w kierunku wyjazdu na dziobie. Członek załogi zabezpieczył przednią część naczepy dwoma mocnymi pasami i pobiegł po-deprzeć następną, już czekającą po jego prawej stronie. Jej kierowca niecierpliwie bębnił palcami w deskę rozdzielczą.

Samochody osobowe nadal czekały na zielone światło, by móc wjechać na pokład. Na ogrodzonym terenie portu stało ponad dwieście aut, były ustawione rzędami na wyznaczonych pasach. Na górnym piętrze, za szklanymi ścianami terminalu pasażerskiego, widać było przechodzących ludzi. Przez całą niedzielę odpływały promy wypełnione ludźmi wracającymi do domu po midsommar. Prom odpływający w poniedziałkowy wieczór miał wolne miejsca, ale i na jego pokładzie należało się spodziewać wielu pasażerów.

\*\*\*

Ove Gahnström stał przy relingu na pokładzie słonecznym. Przypominający megafon szary głośnik tuż za jego plecami zatrzeszczał i przewoźnik znowu przeprosił za opóźnienie. Ove stracił rachubę, który to już raz.

Głos zakomunikował, że rozwiązano już problem ze szwankującą rampą. Jeszcze tylko kilka drobnych napraw i rampa zostanie podniesiona, furta dziobowa zamknięta i będą gotowi odbijać od brzegu.

Ove zerknął na ekran telefonu. Siedemnaście po ósmej wieczorem. Godzina i siedem minut po czasie. Irytacja, którą czuł przez pierwsze pół godziny, zmieniła się w wyczekiwanie naznaczone swoistym spokojem.

Spojrzał na port lśniący złotem w wieczornym słońcu. Po prawej stronie stały cysterny, dalej mieściło się dawne więzienie, a jeszcze bardziej na lewo knajpy huczały od muzyki z list przebojów, słyszalnej aż na przystani promowej. Było ciepło, na górnym pokładzie wiał przyjemny wiaterek.

Nie spieszyło się mu. Musiał tylko dotrzeć do hotelu. Jeśli pojawi się godzinę później, nie będzie to miało większego znaczenia. Planowali zacząć pracę następnego dnia od mieszkania Habib i Thomassona przy Roslagsgatan. Następnie zając się mieszkaniem studenckim w Hammarbyhamnen, a około pierwszej czekało go umówione spotkanie z rodzicami Saleh Habib.

Zaczął myśleć o strusiach. Osobliwe zwierzęta. Duże i niebezpieczne. A przynajmniej mogły za takie uchodzić. Wymagały wysokich i solidnych zagród. Najbardziej fascynujące było chyba ich spojrzenie. Te duże oczy i długie rzęsy. W pewnym sensie niemal ludzkie. Patrzyły na niego pytająco. Czuł, że chyba nigdy nie zostanie prawdziwym rolnikiem. Miał stanowczo zbyt osobisty stosunek do swoich zwierząt.

Z indykami nie miał żadnego problemu. Wysyłanie ich na rzeź nie sprawiało mu trudności. Były męczące, agresywne i srały na potęgę. Kiedy postanowił zrezygnować z tego projektu i wszystkich się pozbyć, wcale ich nie żałował.

Myśl o farmie strusi była znacznie bardziej nęcąca. Wręcz fascynująca. Nie czuł rozczarowania, kiedy zagroda była gotowa i pierwsze strusie zaczęły uparcie wydeptywać ścieżki wzdłuż wysokiego ogrodzenia. Wyciągały długie szyje i patrzyły ku wolności. No i te ich oczy. Nie potrafił sobie wyobrazić, by kiedykolwiek zdołał wysłać te ptaki na rzeź. A przecież hodował je w takim właśnie celu. Na befsztyki. Nie mógł sobie pozwolić na prowadzenie kosztownego gospodarstwa ze strusiami tylko dlatego, że to fajne zajęcie.

Może powinien zacząć sprzedawać bilety ciekawskim, którzy zatrzymywali się, żeby popatrzeć na te dostojne stworzenia. Stałby się konkurencją dla gotlandzkiego zoo. Dodałby do tego kilka świnek morskich, które dzieci mogłyby głaskać, kozę...

Ove spojrzał w lewo. Dwaj mężczyźni w jego wieku zabijali nudę piwem w plastikowych kubeczkach. Jeden był w trakcie długiego wywodu na te-



mat cen biletów i monopolu armatora. Drugi poprzestawał na wtrącaniu „Tak, to pojebane”.

Ove znów wziął do ręki telefon. Zastanawiał się, czy zadzwonić do domu. Kiedy dotrze do hotelu, będzie już późno. Lepiej zadzwonić od razu i poinformować, że prom jest opóźniony.

Dokładnie w momencie, gdy postanowił wykonać telefon, rozległ się ryk elektrycznego silnika unoszącego rampę. Rozbrzmiewał wzdłuż całego kadłuba.

Wreszcie, pomyślał Ove.

Zaraz potem jakaś brutalna siła przewróciła go na ziemię. Telefon wypadł mu z ręki, a on przejechał po pokładzie. Zatrzymała go dopiero stalowa krawędź przy relingu. Zdążył jeszcze usłyszeć głośny huk z wnętrza statku, a potem fala dźwięku tymczasowo go ogłuszyła. Pozostałe zmysły jednak zachował.

Widział płomienie. Czuł gorąco.

\*\*\*

Wybuch na pokładzie samochodowym zrobił dużą dziurę w dolnej części burty. Odłamki stalowej płyty trafiły pracownika portowego na brzegu. Duży, powyginany kawałek blachy z oderwanymi krawędziami odciął mu głowę i zarówno ona, jak i reszta ciała pod wpływem fali uderzeniowej zostały rzucone dwadzieścia metrów dalej.

Starszy mężczyzna, który zszedł zajrzeć do swoich dwóch kotów, otworzył drzwi przeciwpożarowe prowadzące na dolny pokład akurat w momencie eksplozji bomby. Fala uderzeniowa go zmiażdżyła. Benzyna wypływająca z jednego z rozerwanych kontenerów zapaliła się i wkrótce z mężczyzny pozostały tylko twarde, zwęglone zwłoki.

Opony samochodów i przyczep zaczynały się palić, uwalniając gęsty, duszący dym. Eksplozja zniszczyła elementy systemu spryskiwaczy, więc niewiele pomógł w walce z płomieniami.

Nad promem zawisła wielka czarna chmura dymu. Siedmiuset dziewięćdziesięciu trzech pasażerów na pokładzie doświadczyło dziwnej mieszanki niewzruszonej ciszy i istnego piekła. Ogień, dym i szeroko otwarte krzyżące usta, ale brak dźwięku, jakby ktoś nagle ściszył wszystko do zera.

Kiedy pierwszy szok minął, ludzie, którzy zostali przewróceni siłą eksplozji, stanęli na nogi i zaczęli pędzić do wyjścia. To od godziny było za-

mknięte. Trap jak na złość spoczywał na rampie dla pieszych, zaledwie kilka metrów od statku.

Dwóch członków załogi powoli torowało sobie drogę przez morze wzburzonych pasażerów. Wreszcie udało im się dotrzeć do trapu i mogli go umieścić z powrotem na miejscu.

Jak tylko drzwi zostały otwarte, nacisk z tyłu się wzmógł. Jakaś starsza kobieta upadła, ale ludzie pomogli jej wstać. Ci, którzy stali najbardziej z przodu, pobiegli po trapie, żeby uciec przed tłumem napierającym z tyłu. Ci, co znaleźli się z boku, zostali przyparci do ścian i nie mogąc nic zrobić, byli przesuwani w kierunku wyjścia.

Nagle jeden z członków załogi podniósł rękę i krzyknął coś do drugiego. Z niepokojem powiódł wzrokiem po kadłubie.

Prom nabierał wody i zaczynał się przechylać. Nachylenie się powiększało, a kil był coraz dalej od nabrzeża.

Dwaj członkowie załogi usiłowali zatrzymać napierających pasażerów, ale nikt nie słuchał ich ostrzeżeń. Nie widział ich wyciągniętych rąk. Wszyscy byli zajęci tą samą myślą: dostać się na ląd.

Trap przemieszczał się po rampie. Był coraz dalej i dalej, aż w końcu dotarł do krawędzi.

Dwaj mężczyźni znajdujący się między statkiem a lądem spadli. Jeden z nich wpadł w spienione kaskady wody między nabrzeżem a burtą, ale wynurzył się kilka sekund później. Drugi uderzył głową w nabrzeże z głośnym plaśnięciem.

Przerażeni pasażerowie wpatrywali się w puste miejsce, w którym chwilę wcześniej znajdował się trap. Utknęli na płonącym promie.

Rozległy się krzyki i płacz. Oczy błyszczały paniką. Przez dziurę wybitą w burcie statku wydostawały się płomienie. W ogłupiałych od przerażenia mózgach pojawiały się ponure obrazy. Spalą się. Utoną. Może zostaną rozerwani na strzępy.

W nierównych odstępach czasu z pokładu samochodowego dobiegały głuchoe odgłosy eksplozji. Młoda kobieta w różowym T-shircie z napisem „Pornstar”, która znalazła się na końcu kolejki do wolności, szaleńczo wymachiwała rękami przed sobą. Chciała coś zrobić, ale nie wiedziała co. Jej policzki były mokre od łez.

Młoda matka opadła na kolana. Kurczowo obejmowała swoje dzieci. Dziewczynkę w wieku około siedmiu lat i małego czteroletniego chłopczyka w intensywnie czerwonej koszulce. Rękami ochraniała ich małe

ciała. Dzieci mocno przyciskały buzie do jej policzków. Mieli umrzeć razem. Blisko siebie, wypełnieni sobą, kiedy ujdzie z nich życie.

Nad schodami unosił się gęsty dym.

Pojawili się członkowie załogi. Jeden z nich miał megafon. Zaczął wykrzykiwać instrukcje. Pasażerowie mają wejść na pokład słoneczny. Umieszczą tam nowy trap, jak tylko statek zostanie ustabilizowany.

\*\*\*

Fredrik odsłuchiwał wiadomość z poczty głosowej, wciąż zdyszany po ośmiokilometrowym treningu biegowym. Zesztywniał z telefonem przyciśniętym do ucha. Ciężkie krople potu skapnęły z jego brody na drewniany blat kuchennego stołu.

Cyfrowy głos Anny Gardell zdawał się przybliżać i oddalać, a Fredrik nie potrafił zrozumieć sensu słów. Mówiła poważnie. Ale jednak... Zadzwoił do centrali, ale odpowiedział mu tylko sygnał przeciążonej linii. To wystarczyło za potwierdzenie.

Szybko się przebrał, ustalił z Joakimem, że ten jeszcze raz popilnuje brata, i wskoczył do samochodu. Pod czystymi ciuchami był rozgrzany i spocony. Czuł pragnienie, bo zapomniał się napić.

Wybuch i pożar na pokładzie M/S Visby w porcie promowym. Stawić się natychmiast.

Kiedy wyjechał na pierwszy prosty odcinek za Hemse, zadzwonił do Gustava.

– To mogła być bomba. A właściwie są raczej pewni, że była. Wybuchający samochód nie robi dziur w metalowym kadłubie.

– Kurwa, to nie może być prawda – wydusił z siebie Fredrik.

– Na dziewięćdziesiąt pięć procent to prawda – odparł Gustav.

Nic więcej nie wiedział.

\*\*\*

Ove patrzył niespokojnie na brutalne płomienie, które wydawały się nienasycone. Ogień stanowił wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli stalowy szkielet statku zostanie wystarczająco rozgrzany, elementy w środku ulegną samozapłonowi.

Kiedy podeszwy butów zaczną dymić, przyjdzie czas, by rzucić się za burtę.

Popatrzył na ludzi tłoczących się na pokładzie słonecznym i ogarnęło go poczucie, że to się źle skończy. Wcześniej na pokładzie salonowym ludzie się jeszcze kontrolowali. Teraz wyglądało to tak, jakby wszystkie hamulce puściły.

Wszyscy chcieli się wydostać. Ocalić życie. Własne. Nie miało znaczenia, czy będą musieli się tłoczyć, rozpychać łokciami, czy odepchnąć kogoś stojącego im na drodze.

Wiele osób rozpaczało w przekonaniu, że zginą, inni zachowywali się agresywnie. Silny mężczyzna o wzroście mniej więcej metr dziewięćdziesiąt, bezwzględnie się rozpychając, brnął do punktu, w którym miał zostać ułożony trap. Ludzie napierali z tyłu i panował coraz większy ścisk.

Dzieci były zadziwiająco spokojne, blade i spoglądały na to wszystko wielkimi oczami. Kilkoro płakało, ale większość stała nieruchomo, mocno ściskając kogoś z dorosłych. Tuż przed Ovem stała dziewczynka w wieku siedmiu, ośmiu lat. Miała jasne włosy i mocno zaciskała usta. Jedną ręką trzymała mamę, a w drugiej ściskała czarnego game boya.

Daleko w tłumie potężny mężczyzna odepchnął ramieniem dziesięcioletniego chłopca i uderzył łokciem w bok niską i chudą kobietę, która prawie straciła równowagę.

Ove poczuł, jak coś w nim wzbiera. Miał ochotę cofnąć mężczyznę i przykuć go do relingu na samym końcu kolejki. Kuszące, ale nie do końca możliwe do wykonania, bo też musiałyby się przepchnąć w taki sam sposób przez coraz gęstszy tłum.

\*\*\*

Piętnaście minut później trap był na miejscu. Poszło szybciej, niż Ove się spodziewał. Prom M/S Visby stał już stabilnie na dnie basenu portowego. Na pokładzie samochodowym w dalszym ciągu szalał ogień, ale płomienie były już mniejsze.

Dwaj członkowie załogi chcący zabezpieczyć trap mieli trudności z przedostaniem się przez coraz bardziej zestresowany i nerwowy tłum. W końcu musieli się wspiąć na zewnętrzną stronę relingu, żeby dotrzeć do miejsca, w którym rampa dla pieszych styka się ze statkiem. Przymocowali ją do relingu i zaczęli pomagać przejść pierwszym pasażerom. Wyrośnięty mężczyzna nie potrzebował żadnej pomocy. Zwinnie przeskoczył na trap jako jeden z pierwszych.

Kiedy pasażerowie wbiegali na ląd, nagłe szarpnięcie spowodowało, że napór przeniósł się na przód grupy. Ludzie byli raczej ciągnięci, niż parli o własnych siłach, a wielu zaczęło się przewracać. Spychano ich, a nie mieli gdzie postawić stopy. Zginali się wpół.

Ove natychmiast zrozumiał, co się dzieje.

Zaczął krzyczeć, by ich ostrzec. Próbował też przystopować ten ruch. Mężczyźni z załogi również krzyczeli. Coraz bardziej rozdzierająco.

Ale ich wysiłek nie miał sensu. Ruchu nie dało się zahamować. Kilka osób próbowało się zatrzymać, widząc przed sobą przewracanych pasażerów, ale ci dalej z tyłu ciągle napierali. Nie widzieli albo nic ich nie obchodziło. Chcieli tylko się wydostać. Za wszelką cenę.

Przeciskali się nad ludźmi, tratowali innych, ściskali, drapali, szarpali, byle tylko nie znaleźć się na dole. Ove desperacko chwycił kilka osób stojących na samym końcu, żeby je zatrzymać, ale szybko został odepchnięty na bok. W środku tłumu zobaczył, że dwoje dzieci w wieku sześciu, siedmiu lat znika w chaosie wymachujących rąk i nóg oraz bezlitośnie szturmujących ludzi. Wessała je niewidzialna siła, jakby zostały wciągnięte do morza, w którym szaleją silne prądy.

Ove bez zastanowienia rzucił się pomiędzy spanikowanych pasażerów, szarpał i ciągnął za ciężkie ciała, odpychał dorosłych mężczyzn, ślepo deptających po tych, którzy upadli. To było jak walka zapaśnicza połączona z bokserską. Wreszcie dotarł na miejsce.

Zobaczył je, widział oczy tych dzieci. Żyły i dzieliło je od niego zaledwie kilka metrów. Po chwili jednak nacisk był już nie do zniesienia. Ove sam stracił równowagę, został stratowany, czuł na sobie ciężar deptających po nim pasażerów. Nie mógł się ruszyć, nawet kiwnąć palcem. Nie mógł unieść klatki piersiowej nawet na kilka decydujących o życiu centymetrów. Zamigotało mu przed oczami, a potem zupełnie pociemniało.

Kiedy Fredrik zjechał z portowego wzgórza, zobaczył przed sobą nieprawdopodobny widok. W burcie statku była wielka dziura. Dolna część logotypu Destination Gotland – czerwono-szara podwójna strzałka – została oderwana, a metal wokół niej stał się czarny od sadzy. Prom tkwił dziwnie zanurzony, nachylony ku brzegowi i wydobywały się z niego kłęby dymu. Jeden z nich, długi i czarny, sunął z wiatrem nad ląd.

Na zachodzie zbliżające się do horyzontu słońce zabarwiło niebo na różowo i pomarańczowo. Czarujące tło dla katastrofy.

Niewiele rzeczy w porcie wyglądało jak zwykle. Cały teren został ogrodzony i ewakuowany. Wszędzie znajdowały się pojazdy policji i służb ratunkowych. Na asfalcie wiły się węże straży pożarnej i były wsunięte przez otwór w dziobie statku. Do burty przystawiono drabiny. Od północy nadjeżdżała karetka na sygnale, a druga w tym samym czasie opuszczała pogrążony w chaosie teren portowy i z dużą prędkością wjeżdżała na promenadę.

Wysoko nad portem unosiło się stado mew, wydając schrypnięte okrzyki i nic sobie nie robiąc z zamieszania wokół statku rozsadzonego przez bombę.

Fredrik przyhamował i bardzo wolno podjechał do ogrodzenia pilnowanego przez ciężko uzbrojonych funkcjonariuszy jednostki specjalnej gotlandzkiej policji. Opuścił szybę i wystawił głowę, żeby koledze łatwiej było go zidentyfikować.

Został rozpoznany, ale musiał zaparkować poza odgrodzonym obszarem.

Wysiadł z samochodu. Woń płonącej gumy była tak silna, że mimo woli się skrzywił. Kiedy biegł do wyjścia, przyszło mu do głowy, że smród katastrofy nigdy nie wywietrzeje. Od teraz stanie się częścią Visby, szczypiąc w nosy mieszkańców kontynentu, których reklamy turystyczne próbują zważyć na wyspę.

Na wzniesieniu nad terenem portu stało trzech fotografów prasowych z długimi szarymi teleobiektywami wymierzonymi w dymiącą dziurę w burcie. Jeden z nich kucnął nad leżącym na ziemi laptopem. Zdjęcia katastrofy drogą satelitarną rozchodziły się już na cały świat.

Fredrik szedł dalej w stronę terminalu. Otworzyły się przed nim drzwi na fotokomórkę. Ruchome schody jeździły jak zwykle. Zdziwiony, że coś tu w dalszym ciągu działa, jak należy, wjechał do poczekalni.

Zatrzymał się nad ruchomymi schodami. Górne piętro po obu stronach stanowisk odprawy wypełnione było morzem ludzi. Tkwili zgarbieni w plastikowych fotelach, zajmowali każdy fragment podłogi, siedząc lub leżąc. Z różnych stron dochodziły stłumiony płacz i jęki, ale poza tym było dziwnie cicho. Mało kto się odzywał.

Połowa budynku terminalu została zamieniona w namiot dla chorych. Zbierano tu lżej rannych, których dało się opatrzyć na posadzce, a także tych, którzy musieli poczekać, aż znajdzie się dla nich miejsce w karetce. Niektórzy byli ubrani swobodnie, w jaskrawe kolory, ale byli też nieliczni w garniturach, zdążający na poranne spotkania na kontynencie. Setki zszokowanych, cierpiących z powodu rozmaitych urazów obolałych ludzi. Sanitariusze w czerwonych kamizelkach usiłowali pomóc jak największej liczbie, najszybciej jak się da.

Ci, którzy wyszli z tego bez szwanku, również musieli czekać w terminalu. Część najwyraźniej wbrew własnej woli.

Fredrik poszedł do kawiarni. Za ekranami, które oddzielały stoliki od reszty lokalu, znalazł Görana i resztę. Na miejscu byli Eva, Lennart, Sara i Gustav.

– Gdzie Ove? Nie miał być na pokładzie? – zapytał Fredrik, kiedy się zorientował, kogo brakuje.

Spojrzeli na niego z powagą.

Dlaczego się gapicie? – pomyślał.

– Ove został ranny na promie – rzekł Göran.

Fredrik poczuł ukłucie w skroniach.

– Jest w szpitalu. Nie wiem zbyt wiele poza tym, że żyje – dodał Göran.

– Co się stało? Czy to od wybuchu? – pytał Fredrik.

– Nie. Rozpętała się panika, gdy ludzie mieli schodzić na ląd. Został zdeptytany. I nie tylko on.

W oczach Görana pojawiły się złowieszcze błyski.

– No? – ponaglił Fredrik z pytającym wyrazem twarzy.

– Dotychczasowe wieści ze szpitala są raczej ponure. Podczas samej ewakuacji zginęło siedem osób. Z czego cztery to dzieci. Ofiar może być więcej – relacjonował Göran.

Fredrik zrozumiał, że prawdziwą katastrofą, jeśli chodzi o obrażenia i życie ludzi, była ewakuacja. Siedem ofiar śmiertelnych, kilka osób w stanie krytycznym. Ludzi ze zwykłymi złamaniami czy pęknięciami kości albo zerwanymi mięśniami można było liczyć w setkach.

– Pasażerowie muszą dostać chwilę na oddech, ale tylko chwilę – rzekł Göran. – Zaczniemy od przesłuchania załogi pracującej przy załadunku pokładu samochodowego, potem reszty, a następnie zaczniemy rozmawiać z pasażerami. Każde przesłuchanie ma zostać zarejestrowane i sfilmowane. Nikomu nie wolno opuścić tego miejsca, zanim nie zostanie zidentyfikowany. Ani jednej osobie. Personel, dzieci, dorośli, niemowlęta, wszystko jedno. Sprawdźcie, czy w najbliższym czasie zamierzają przebywać gdzieś indziej niż pod adresem domowym, a jeśli tak, to gdzie możemy ich zastać. Jak tylko trochę uporządkują tu sytuację i zaczną mieć kontrolę nad ranymi, wprowadzimy więcej ludzi do pomocy.

W oddali rozległo się wycie syren. To karetki wracały ze szpitala. Po drugiej stronie ekranu ktoś zaczął głośno się skarżyć i Göran na chwilę stracił wątek.

– Okej – powiedział w końcu. – Zanim zaczniecie: samolotami i helikopterami lecą tu antyterrorysty, funkcjonariusze Krajowej Policji Kryminalnej, Säpo, a także eksperci do spraw materiałów wybuchowych z Linköping. Ruch statków Destination Gotland został tymczasowo wstrzymany. Promy, które płynęły z Nynäshamn i Oskarshamn, kiedy doszło do eksplozji, musiały zawrócić. Port jest zamknięty. Wszelki ruch promowy i loty pasażerskie w całym kraju wstrzymano do momentu zapewnienia wymaganego poziomu bezpieczeństwa.

\*\*\*

Zastanawiali się, czy zahamować ruch uliczny. Wielu ludzi musiało dotrzeć na Gotlandię. Samoloty pasażerskie lądowały na podstawie specjalnych pozwoleń, a w oddali słychać było pomruki myśliwców. Z pierwszych samolotów wysiedli policjanci i przedstawiciele innych służb razem z personelem medycznym i dziennikarzami.

Przedstawiciele prasy i telewizji wydawali się równie dobrze przygotowani do katastrofy jak ci, którzy mieli prowadzić śledztwo i ratować ludziom życie. Dwie godziny po tym, jak pierwsi fotografowie pojawili się z teleobiektywami i komputerami, nie dało się ich dostrzec w tłumie. Naj-



szybciej na miejsce przybyli sztokholmscy dziennikarze i zagraniczni korespondenci stacjonujący w stolicy. Z każdym lądującym samolotem ich liczba rosła. Zaczynali się też pojawiać obcokrajowcy.

Komendantka okręgowa Agneta Wilhelmsson zdążyła zorganizować krótką konferencję prasową. Nie mogła zrobić wiele więcej poza stwierdzeniem tego, co oczywiste. Coś eksplodowało na pokładzie M/S Visby. Pewne okoliczności wskazywały, że nie był to wypadek, ale nie dało się wykluczyć, że ktoś próbował przetransportować materiały niebezpieczne bez ich rejestracji. Wszystkie spekulacje na temat aktu terroryzmu – a były liczne – pozostawiano bez komentarza. Tak samo jak spekulacje dotyczące powiązań z zabójstwem dwojga Egipcjan. Mówiło się teraz o nich właśnie tak – „Egipcjanie”. Przynajmniej w tytułach i leadach artykułów. Pisanie o „Szwedach egipskiego pochodzenia” nie bardzo się sprawdzało w krótkich, treściwych wstępach.

\*\*\*

Fredrik właśnie zakończył przesłuchanie jednego z pracowników portu, kiedy zadzwoniła Ninni. Był na dole, w hali bagażowej, i odszedł na bok, żeby odebrać.

– Co się dzieje? – zapytała od razu.

– Co się dzieje? Ktoś zdetonował bombę na pokładzie promu. Zginęło kilka osób, większość została zdeptana podczas ewakuacji. A Ove leży w szpitalu. Oto, co się dzieje.

– Ove? Ove Gahnström?

– Tak.

– Boże, jak on się czuje?

– Nie wiem dokładnie, ale wyjdzie z tego.

– Co to ma być? Brzmi okropnie.

– Jest okropne. Stoję w środku tego wszystkiego.

Miał przed oczami dziurę w kadłubie statku, ledwie sto metrów dalej.

– A gdzie są Joakim i Simon? – zapytała Ninni.

– W domu.

– Sami?

– Tak.

– Ale czy...

Urwała.

– Co takiego? – zapytał.

– Nie, nic. Po prostu chciałabym tam być. To pewnie dla nich trudne, że muszą być teraz sami – odparła.

– Wiem, ale nie ma wyboru. Wszyscy, którzy są w stanie ustać na nogach, zostali wezwani na służbę. Jeśli przeciągnie się to do późna, na pewno będą mogli przenocować u Leny. Jakoś to się rozwiąże.

– Już jest bardzo późno – powiedziała Ninni.

Fredrik spojrział na zegar w hali bagażowej. Za jedenaście pierwsza. Letnia noc na zewnątrz zdawała się mocno kontrastować z intensywnie oświetloną halą.

– Natychmiast zadzwonię do Leny – powiedział.

– Naprawdę? – odparła Ninni i usłyszał, że łamie jej się głos.

– Joakim za miesiąc skończy szesnaście lat. Dadzą sobie radę.

Ninni westchnęła.

– Nie wiem, co tu się dzieje, ale chyba nie dam rady wrócić jutro do domu, jak to było zaplanowane – powiedziała.

– Nie nastawiaj się na to.

Powinna się cieszyć, jeśli wróci do domu w tym tygodniu, pomyślał. Oni powinni się cieszyć.

– Wiesz coś? – zapytała.

– Właściwie to nie. Promy teraz nie kursują. Nie wiem, kiedy port zostanie z powrotem otwarty. Możliwe, że tymczasowo promy będą kursować do Kappelshamn albo może do Slite. O ile spełnią wymogi bezpieczeństwa. Ale mają o jeden prom mniej. Już jutro będzie kilkanaście obleganych rejsów, więc sobie wyobraź.

– Ale muszę się jakoś dostać do domu. Powinni wyczarterować statki. Państwo powinno jakoś wkroczyć i... albo rząd...

– Jakoś to się rozwiąże – powiedział Fredrik. – Nam nic złego się nie dzieje. Nic się nie zmieniło. Przynajmniej z grubsza. Nie zostaliśmy zdepotani na promie wysadzonym przez terrorystów.

– Czyli to jednak atak terrorystyczny?

Usłyszawszy to pytanie, poczuł, że powinien się pośpieszyć.

– Terrorystyczny... sam nie wiem. W każdym razie nie był to wypadek. Ale nikomu nie mów. Zwłaszcza bratu.

– Nic nie powiem. Obiecuję.

Szwagierka Ninni pracowała w trzecim programie szwedzkiego radia. Fredrik nie zamierzał być źródłem przecieku, że prom z Gotlandii stał się

obiektem zamachu terrorystycznego. Zwłaszcza jeśli okaże się to nieprawdą.

– Chyba będę musiała pojechać do Sandhamn i przekupić jakiegoś żeglarsza – powiedziała Ninni.

– Brzmi nieźle. Powodzenia – odparł.

Mimo katastrofy czuł się wręcz szczęśliwy, że mogli odbyć rozmowę, która nie była pełna powstrzymywanych wyrzutów, poczucia winy i złości. Straszne zdarzenia tak nimi wstrząsnęły, że wszystko, co było niewypowiedziane i niejasne, po prostu z nich spłynęło. Rozmawiali wprost o nieskomplikowanych, lecz przerażających sprawach.

Po 28 czerwca 2004 roku

Jak tylko skończyły się radiowe wiadomości, Gert Fält poszedł prosto do skrzynki na listy i zabrał gazetę.

Usiadł, rozłożył ją i szybko przebiegał wzrokiem krótkie rzędy słów.

Pisano o zamachach terrorystycznych. O tym, że nikt nie może się czuć bezpieczny. Że celem jest cały świat.

Po raz kolejny wspomniano o wątpliwym elemencie, który znalazł przystań w Szwecji. Że ludzie, którzy tak naprawdę byli podejrzani o terroryzm, mogli się tu ukrywać, działać i przygotowywać nowe przestępcze działania. Nazywali siebie dysydentami, twierdząc, że są prześladowani za poglądy, a w Szwecji przyjmowano ich z otwartymi ramionami. Tak naprawdę byli po prostu przestępcami i powinno się ich traktować jak przestępców.

Gert Fält wydał pomruk na znak zgody. Wiedział aż za dobrze, jak to wygląda. Kiedy pieniądze szwedzkich podatników są marnowane na kryminalistów nagle przemieniających się w godnych współczucia uchodźców ogłupione baby ze sztokholmskiej lewicy biją brawo. Pewnie mają orgazm za każdym razem, gdy mogą przyznać zasiłek jakiemuś Arabowi. Zdradzieckiemu mordercy, który udaje wdzięczność, a jednocześnie planuje, w jaki sposób dokonać najskuteczniejszego zamachu.

Zbyt wielu ludzi przyłącza się do tego chóru. Mają ochotę głaskać tych biednych uchodźców. Tym razem jednak ton był inny. Nagle można było powiedzieć prawdę. To, za co trzy lata wcześniej oberwało mu się w Almedalen, można było teraz napisać na pierwszej stronie lokalnej gazety.

Najwyższy czas.

– Właśnie o tym cały czas gadałem – powiedział i pomachał gazetą nad talerzem żony jedzącej *filmjolk*. – Że też tak trudno jest skłonić ludzi do słuchania. Spójrz, co teraz piszą.

– Straszne. Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło tutaj, na Gotlandii – powiedziała Margareta Fält, patrząc na opublikowane w gazecie zdjęcie uszkodzonego promu.

\*\*\*

Gustav zapukał dwa razy, zanim otworzył drzwi do szpitalnej sali. Była ona czteroosobowa, we wszystkich łóżkach leżeli pacjenci. Spojrzał na niebieską wykładzinę PCV, białe ściany i dwa duże okna z widokiem na morze. Wszedł do środka, a zaraz za nim wkroczyli Fredrik i Sara. Mrużyli oczy od słońca.

Ove Gahnström leżał w łóżku po prawej, najbliżej drzwi. Zobaczył ich, zanim zdążyli go rozpoznać w ostrym świetle. Sara podeszła do niego jako pierwsza, położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Jak się czujesz? Nie wiem, czy można cię dotykać – powiedziała.

– Nie ma problemu – odparł Ove z uśmiechem i skinął głową w kierunku jej dłoni. – Ale to chyba było jedyne miejsce, które mnie nie boli.

– W takim razie miałam szczęście – stwierdziła Sara.

– Albo ja.

Ove miał na policzku zadrapanie, które przechodziło w duży siniak w okolicach ucha. Prawa ręka była w gipsie, a lewą owinięto bandażem.

– Jak się czujesz? – zapytał Fredrik. – Sporo się nasłuchaliśmy.

– Oprócz tego, że wszystko mnie boli, jest całkiem nieźle – odpowiedział Ove.

Kilkoro z nich zareagowało krzywym uśmiechem, nie za bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– No cóż, nie jest to coś, czego człowiek by sobie życzył – kontynuował Ove, podnosząc usztywnioną rękę o kilka centymetrów. – Złamana ręka i trzy pęknięte żebra. Ale mogło być gorzej.

Fredrik i Gustav w milczeniu pokiwali głowami.

– Tak, cholernie się martwiliśmy, zanim dostaliśmy wiadomość – oznajmiła Sara.

– Bardzo za to przepraszam, ale nie zdążyłem zadzwonić.

– Nie ma problemu.

Ove zakaszłał, zasłaniając usta zabandażowaną dłonią, i lekko się podźwignął.

– Pewnie wyjdę stąd po południu albo najpóźniej jutro rano – powiedział.

– Zadzwoń, to przyjedziemy i odwieziemy cię do domu – zaoferował Gustav.

– Nie, nie, nie myśl o tym. Helena obiecała, że mnie odbierze. Lepiej, abyście się zajęli tym bomberem. Albo tymi, jeśli sprawców jest więcej. Ale dzięki za propozycję.

Miesiąc wcześniej córka Ovego zrobiła prawo jazdy. Ove zdawał im relację z jej starań. Od nieszczęsnej lekcji, podczas której instruktor kazał jej pojechać prosto na rondzie i zrobiła dokładnie to, o co prosił – pojechała prosto, przecinając okrągły trawnik, aż po zdany egzamin.

Ove spojrział na Fredrika i Gustava, a potem na Sarę.

– Musimy dorwać tych gnoi – powiedział i nagle w jego głosie pojawiła się ponura nuta. – To, co tam widziałem, co zdarzyło się na tym promie... – Pokręcił głową, przełknął ślinę i mówił dalej: – Ogarnia mnie taka wściekłość, kiedy o tym myślę... Nie macie pojęcia.

Musiał zebrać siły, zanim był w stanie mówić dalej. Cierpliwie czekali.

– Dorośli mężczyźni, duże chłopcy jak ja, tylko że dwumetrowe, no kurwa...

Fredrik pomyślał, że nieczęsto słyszał, jak Ove przeklina. Może nawet zdarzyło się to po raz pierwszy.

– Dorośli faceci, którzy zdeptywali maluchy. Kilkuletnie dzieci, żeby uratować siebie. Zupełnie bezwzględni. Przebijali się przez tłum, odpychali kobiety, mężczyzn zresztą też. Wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Byle tylko ratować siebie. Ale to, co robili dzieciom, było najgorsze. Potężni, silni faceci przedzierają się po ciałach dzieci, żeby mogli jako pierwsi opuścić płonący prom. Zwyczajni Szwedzi. Najgorsze, że sytuacja była w zasadzie pod kontrolą. Ich życiu nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo. Mogło im się wydawać, że jest inaczej, ale...

Ove spojrział na nich pytającym, błyszczącym wzrokiem. Nie skomentowali jego słów.

– Ci, którzy zginęli na pokładzie, te dzieci, wszyscy ponieśli śmierć na marne. To atmosfera, panika, pozbawiły ich życia. Nic innego. Mężczyźni tratujący dzieci... – Westchnął. – Próbuję sobie tłumaczyć, że zadziałało u nich coś w rodzaju instynktu. Coś, czego nie dało się zatrzymać. Ale nawet szaleni terroryści i wysadzone w powietrze promy nie ważą tyle, ile but w rozmiarze czterdzieści pięć na plecach małego dziecka. Dwoje zniknęło mi z oczu. Próbowałem... Podbiegłem do nich. Chwyciłem. Ale potem...

Pozostali patrzyli w oczy Ovego, ale nie byli w stanie nic powiedzieć. Nie istniały żadne dobre słowa.

– Nie mam pojęcia, co się wydarzyło – ciągnął Ove. – Straciłem przytomność. Nie wiem nawet, czy przeżyły, czy też były jednymi z tych, które...

Sara ścisnęła niebolące miejsce na ramieniu Ovego.

– A teraz muszę tu leżeć z tą przeklętą ręką w gipsie – powiedział i chciał rozłożyć ręce, ale ból mu na to nie pozwolił.

\*\*\*

Milcząc, szli przez parking. Fredrik myślał o swoich dzieciach. Jak by sobie poradziły, gdyby brały udział w ewakuacji? Potem zaczął myśleć o sobie, co by się stało z nim.

Ranny kolega z pracy natychmiast przywoływał myśli o ryzyku zawodowym. Tyle że się o tym nie mówiło.

Zajęli miejsca w samochodzie, żeby pojechać z powrotem do komisarjatu.

Prom M/S Visby nadal stał na dnie basenu portowego. Dziura w kadłubie zostanie zaspawana, żeby można było odpompować wodę i zwodować jednostkę. Armator poinformował już, że wyczarteruje inny prom, żeby zastąpić ten uszkodzony, który wypadnie z użytku na jakiś czas. Najpierw technicy kryminalistyki i komisja badania wypadków zrobią swoje, a dopiero potem będzie można zacząć naprawy.

Do absolutnego szczytu sezonu pozostało pięć dni, ale trzeba poczekać, by zobaczyć, jak popularnym celem letnich wakacji będzie w tym roku Gotlandia. Dwa lata wcześniej trzy brutalne morderstwa w lipcu wyraźnie zmniejszyły napływ turystów. Jakie skutki w takim razie będą miały wysadzony prom i pogłoski o terrorystach?

Wieczorem dzień wcześniej premier zwołał konferencję prasową, na której w swój charakterystyczny sposób, ojcowski i zdecydowany, składał mgliste obietnice. Mówił, że państwo weźmie odpowiedzialność i transport na wyspę nie ucierpi. Za co dokładnie państwo weźmie odpowiedzialność albo jaki będzie jego wkład, z wystąpienia nie wynikało, co od razu zauważył komentator w studiu telewizyjnym. Ale może trudno wymagać, by Göran Persson był bardziej konkretny zaledwie kilka godzin po zamachu.

Ninni zadzwoniła znowu wczesnym rankiem. Ruch promowy na Gotlandię zawieszono na cały wtorek i nie było wiadomo, kiedy będzie go można przywrócić. Niepokoiła się, chciała jak najszybciej być z dziećmi. Anneli pracowała, a Ninni siedziała sama w mieszkaniu przy Karlbergsvägen, przyklejona do telewizora, nerwowo przełączając się pomiędzy programami informacyjnymi różnych kanałów. Do niczego innego nie potrafiła się zmusić.

– Nie możesz mnie dokooptować do jakiegoś samolotu z policjantami czy coś? – zapytała.

Gdyby istniała taka możliwość i gdyby miał jakąś władzę w tym zakresie, spełniłby jej prośbę. Był jednak tylko zwykłym inspektorem policji kryminalnej, a poza tym wątpił, czy i sama komendantka okręgowa mogłaby w tej sytuacji wygospodarować miejsce dla swojego partnera.

\*\*\*

– Kiedy tędy przeszedł, do odbicia od brzegu pozostało niecałe piętnaście minut – oznajmiła postawna kobieta, którą Fredrik zaprowadził na górny poziom budynku terminalu.

W niedzielne popołudnie pracowała właśnie tam – w punkcie nadawania bagażu.

Agnes Jansson mieszkała w Färosund na Gotlandii, ale jak wiele innych osób poprzedniego wieczoru nie wróciła do domu. Miała cienkie jasne włosy sięgające do ramion i bladą cerę. Była ubrana w strój służbowy. Biała koszula wyglądała na wymiętą, a na granatowym garniturze było pełno zagnieceń. Jakby kobieta spała w ubraniu.

– Czy tu w środku było dużo ludzi? – spytał Fredrik.

– Tak, całkiem sporo. Kolejka posuwała się powoli. Było dużo bagaży.

Przez pierwsze lata funkcjonowania szybkich promów pasażerowie sami zostawiali bagaże przed budynkiem terminalu. O bezpieczeństwie w tych warunkach nie mogło być mowy. Każdy mógł przecież dostawić torbę z ukrytym niebezpiecznym ładunkiem i nie wsiąść na prom. Obecnie bagaże zostawiało się dopiero po przejściu kontroli biletów.

Ale tym razem problem leżał gdzie indziej. Wszyscy bowiem byli zgodni, że bomba musiała się znajdować w samochodzie, ciężarówce albo przyczepie na dolnym pokładzie samochodowym. Wózki z bagażami ustawiano zawsze na samym przodzie albo z tyłu tego pokładu, a eksplozja nastąpiła pośrodku. Mimo wszystko informacja o człowieku idącym pod prąd była interesująca. Jeśli kierowca, który wjechał na pokład samochodem z bombą, miał świadomość, co wiezie w bagażniku, mógł chcieć zejść z promu przed wypłynięciem z Visby.

– Gdzie dokładnie go pani widziała? – zapytał Fredrik.

– Stałam tutaj, za ladą, a kiedy po nadaniu walizki podniosłam wzrok, zobaczyłam mężczyznę idącego w stronę stanowiska kontroli biletów.



Mniej więcej tam. – Agnes Jansson machnęła ręką w kierunku północnej części poczekalni.

– Podejźmy tam – oznajmił Fredrik. – Proszę stanąć w miejscu, w którym on, pani zdaniem, stał.

Kobieta wypełniła polecenie. Ruszyła krótkimi krokami, przez co jej masywna sylwetka chwiała się na boki. Zatrzymała się pomiędzy wejściem do stanowiska kontroli biletów a wyjściem na kładkę.

– Szedł dosyć szybko. Zwróciłam na niego uwagę pewnie dlatego, że wydawał się tak pewny siebie i zachowywał się inaczej niż wszyscy inni.

– Jak długo pani na niego patrzyła?

– Był przy kontroli biletów, wtedy wzięłam do ręki kolejną torbę, a kiedy się znów odwróciłam, już go nie było.

– Czyli właściwie nie widziała pani, by wracał przez stanowisko kontroli biletów?

– Yyy... nie, chyba nie widziałam – odparła po krótkim wahaniu.

– Czy to możliwe, że szedł gdzieś indziej? Do automatu z napojami albo do toalety?

– Nie – odparła stanowczo kobieta. – Był już w zasadzie tam, przy kontroli biletów. Zresztą to dziwne. Dlaczego miałby zawracać w celu kupienia napoju albo pójścia do toalety, kiedy już można było wchodzić na pokład?

Agnes Jansson stała na szeroko rozstawionych nogach, ręce opadały swobodnie wzdłuż tułowia. Wydawała się pewna tego, co mówi. Przez wielkie okna za jej plecami nie można było zobaczyć nic oprócz osmolonej burty statku.

– Czy często się zdarza, że ludzie wychodzą po kontroli biletów?

– Czy często... raz na jakiś czas się zdarza. Powiedziałabym, że raz dziennie.

– Zwykle z jakiego powodu?

– Najczęściej chyba ludzie o czymś zapominają. Albo zmieniają zamiar. Ktoś dzwoni, jest jakiś problem z rodziną czy coś takiego. Czasami pytają, czy można, ale najczęściej po prostu wychodzą. My kontrolujemy tylko tych, którzy chcą wejść, a nie tych, którzy chcą opuścić prom – wyjaśniła.

Otóż to, pomyślał Fredrik.

– Czy jeszcze coś przyszło pani do głowy w związku z tym mężczyzną?

– Nie, raczej nic szczególnego.

– Nie miał żadnego towarzystwa ani z nikim się w żaden sposób nie kontaktował?

– Niczego takiego nie widziałam.

– Jak wyglądał?

Kobieta chwilę się zastanowiła.

– Miał czarne włosy, nieco ciemniejszą skórę, był wysoki, mniej więcej jak pan, i chudy. Nie tyczkowaty, ale szczupły, wysportowany.

– A jego twarz? Mogłaby pani ją dokładniej opisać?

– To trudne. Widziałam go z pewnej odległości i raczej się nie przyglądałam, a jedynie zwróciłam na niego uwagę.

– Proszę spróbować!

– No dobrze. Był ciemny, to już mówiłam. Raczej nie był Szwedem. Pewnie obcokrajowcem.

– Obcokrajowiec to szerokie określenie.

– Tak – odparła ze śmiechem. – Wyglądał jak ktoś z Europy, a jednak nie do końca. Mógł być na przykład Turkiem.

Mimo że Agneta Wilhelmsson zakończyła konferencję prasową dwadzieścia minut wcześniej, w drzwiach roiło się od dziennikarzy, którzy wykrzykiwali pytania po szwedzku i angielsku, kiedy tylko ktoś przechodził.

Liczba dziennikarzy rosła z każdą godziną. Pojawiali się reporterzy dużych stacji telewizyjnych z całego świata. BBC, NBC, CBS, ZDF, RTL, France 2... I oczywiście CNN.

Jeździli wynajętymi samochodami między komisariatem, portem a szpitalem. Czasem tylko zatrzymywali się przy jakimś pięknym widoku, by go zarejestrować i zestawzić z ponurym obrazem zniszczonego promu. Potem szybko odjeżdżali, żeby zmontować materiały i wysłać do swoich redakcji.

## TERRORYZM NAD BAŁTYKIEM

### TERRORYŚCI UDERZAJĄ W SZWECJI

Visby, Szwecja – w wybuchu na promie ginie dziewięć osób, a trzysta zostaje rannych

Światowa prasa nie czeka na ustalenia techników kryminalistyki.

Gdyby bomba wybuchła na pełnym morzu, byłby to największy zamach terrorystyczny od czasów jedenastego września.

Ta myśl przyprawiała o zawroty głowy, ale samo stwierdzenie było dziwne. Robiono sensację z czegoś, co się nie wydarzyło, lecz mogło się wydarzyć.

\*\*\*

Wchodząc na spotkanie, Fredrik miał ciężką głowę. W ustach czuł kwaśny posmak kawy. Spał mało i kiepsko. Trudno mu się było zrelaksować po wczorajszej ciężkiej pracy. Albo w ogóle leżeć w łóżku, gdy wiedział, że kolejne dni będą wymagały całodobowych wysiłków jak największej liczby osób.

W nocy miał koszmary. Joakim i Simon stali samotnie na wapiennej skale pośrodku morza. Spienione fale tłukły o tę małą wysepkę, a chłopcom coraz trudniej było się utrzymać. W każdej chwili mogli zostać zabrani przez fale i wessani w głębinę. On siedział w jakiejś nędznej łódce i ze wszystkich sił starał się skłonić zbyt słaby silnik zaburtowy do przewyciężenia mocy fal, ale nie ruszał się z miejsca. Chociaż dodawał gazu, łódka kołysała się w tym samym miejscu.

Usiadł obok Gustava. Przy stole było kilka nieznanych mu twarzy. Jakaś kobieta wyglądająca na jego rówieśniczkę usiadła obok. Wyciągnął rękę i się przywitał. Okazało się, że była z Krajowej Policji Kryminalnej.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, w sali zrobiło się ciasno. Oprócz Görana Eidego i jego najbliższych współpracowników byli tam komendantka okręgowa, szef policji porządkowej, prokurator, komisarz Stefan Pettersson z Krajowej Policji Kryminalnej i jego trzech współpracowników, Åke Fröhling z Säpo i dowódca operacji z grupy antyterrorystycznej.

Wszędzie widział zacięte i stanowcze twarze. Pod stabilną powierzchnią czaiło się jednak rozedrganie. Wszyscy byli wstrząśnięci tym, co się stało, i nadal z trudem pojmowali, że to prawda.

Bomba na promie i dziewięć ofiar – to straszliwy cios dla całego kraju. Dla Gotlandczyków – coś niesłychanego i niepojętego.

Zszokowani ludzie płakali w telewizyjnych wiadomościach i z rozpaczą powtarzali: „Nikt nie wierzy, że coś takiego mogło się zdarzyć tutaj”. Fraza, którą coraz trudniej było traktować poważnie za każdym razem, gdy pojawiał się powód do jej użycia.

Policjanci w sali zebrania nie stanowili wyjątku. Tragedia z dnia poprzedniego wszystkich rozczuliła. Nikt jednak nie chciał tego okazać.

Po szybkiej turze prezentacji Göran zaczął omawiać sytuację:

– Już wiemy, że bomba, która wybuchła, znajdowała się w samochodzie albo ciężarówce na dolnym pokładzie samochodowym. Niestety pokład jest teraz pod wodą, co oczywiście utrudnia badania techniczne. Niemniej technicy dali radę pobrać sporo próbek i mamy nadzieję, że przed końcem dnia zyskamy nieco większą jasność w kwestii tego, co dokładnie eksplodowało. Zgodnie z zeznaniem świadka, jednego z członków załogi, podczas wchodzenia na pokład znajdującego się przy trapie, pewien mężczyzna zszedł z promu z powrotem w kierunku terminalu. Inny świadek, pracownica punktu nadawania bagażu, zwróciła uwagę na mężczyznę, który – jak się wydaje – opuścił statek przez punkt kontroli biletów. Rysopisy trochę się rozmiągają,

ale też w kilku miejscach są zbieżne. Obaj świadkowie mówią o wysokim, szczupłym lub wysportowanym mężczyźnie w wieku dwudziestu kilku lat lub najwyżej trzydziestu. Miał czarne włosy i był opalony lub miał ciemną karnację. Pracownica punktu bagażowego wydaje się pewna, że to musiał być ktoś z południa Europy, a świadek stojący przy trapie o tym nie wspominał. Dopytywany stwierdził, że nie sądzi, by to była prawda. To wszystko może oznaczać, że ktoś wjechał na pokład pojazdem z bombą, a potem opuścił prom.

Göran spojrział na Lennarta. Tamten zabrał głos:

– Sprawdziliśmy w liniach lotniczych, którzy pasażerowie wylatywali z Visby w okolicach planowanego czasu wypłynięcia promu aż do momentu, gdy ruch lotniczy został wstrzymany. Podążamy ich tropem.

Głos zabrał Stefan Pettersson z Krajowej Policji Kryminalnej, człowiek niewiele ponadpięćdziesięcioletni, o wąskim, kościstym nosie, ostrzyżony na jeża z łysym plackiem na czubku głowy. Zanim zaczął mówić, rozcapierzył palce obu rąk.

– Jeśli chodzi o ewentualnego sprawcę z zagranicy, widzę dwa główne tropy. Jeden jest taki, że atak bombowy na prom jest zemstą za zabójstwa w... – Pettersson zawahał się przed podaniem nazwy miejscowości, podrapał się po głowie, ale po chwili kontynuował: – W Nisseviken. Odpowiedzialni za zamach mogli działać w przeświadczeniu, że te dwie osoby zostały zabite na przykład przez egipski wywiad, a całą operację zatwierdził szwedzki rząd. To mógłby być motyw mocnego uderzenia w szwedzki cel. W takim kontekście wybór promu wypływającego na Gotlandię nasuwa się sam.

Pettersson spojrział na Åkego Fröhlinga. Ten usiadł wygodniej i zaczął mówić:

– Wiecie o poszukiwaniach Saida Habiba z powodu jego powiązań z Egipskim Islamskim Dżihadem. To oczywiście czyni go możliwym celem egipskiego wywiadu, ale nie tylko. Nie mamy jednak nic, co by wskazywało na to, że Muchabarat rzeczywiście prowadził operacje na terenie Szwecji.

– Można by też sobie wyobrazić, że ofiary zabójstwa były w taki czy inny sposób zamieszane w ten zamach – zaczął Pettersson, rozwijając inną teorię. – Że zabito tych ludzi, żeby zapobiec zamachowi, ale i tak dało się go przeprowadzić, bo wspomniany Said Habib przeżył. Może bardziej poprawnie było nazywać to wariantem pierwszej teorii niż drugą, oddzielną.

Tak czy inaczej najwyższy priorytet powinno mieć schwywanie Habiba. Bez względu na to, czy jest na Gotlandii, na kontynencie, czy gdzie indziej.

– My w Visby spekulowaliśmy, że może te zabójstwa były pomyłką – odezwała się Sara. – Że komuś zależało na Saidzie Habibie, ale zamiast niego zabił kuzynkę i jej partnera.

Pettersson szybko i kilkakrotnie pokiwał głową, jakby już to wiedział.

– Tak, to jeszcze jeden wariant, którego nie możemy odrzucić – stwierdził. – Dobrze pasuje do głównej koncepcji.

– Wariant pierwszy, trop wskazujący na zemstę, wydaje się najbardziej prawdopodobny. Jeśli ktoś wiedział o planach wysadzenia promu i chciał zatrzymać zamachowców, powinien chyba się skontaktować ze szwedzkimi władzami? – rzekł Gustav.

– Niekoniecznie – odparł Fröhling. – Jeśli jednocześnie chcieli usunąć te osoby z drogi, kontakt ze szwedzkimi władzami byłby niewskazany.

Zapadła chwila ciszy, podczas której większość w sali zastanawiała się nad doborem słów użytych przez Fröhlinga.

– Ale czy czas od poniedziałku do środy nie jest zbyt krótki na zorganizowanie samochodu pułapki, który mógłby zatopić gotlandzki prom? – zastanawiała się Sara.

– Niestety – odparł Fröhling i odchrząknął – muszę chyba się zgodzić z poglądami przedstawionymi wiosną w mediach. W Szwecji, także u naszych władz... a może powinno się powiedzieć „szczególnie u naszych władz”... widoczny jest brak wiedzy, do czego ci ludzie są zdolni. I jakimi środkami dysponują. Szwecja od dawna była i nadal jest czymś w rodzaju przystani dla osób o niejasnych sympatiach i powiązaniach z terroryzmem. Oczywiście, często są to uchodźcy, którzy mają bardzo dobre powody do ucieczki ze swych ojczyzn. U nas na razie problem nie jest wielki. Ci ludzie są jednak tutaj nie tylko po to, by uciec prześladowcom. Chcą się przygotować. Są wyjątkowo aktywni, budują sieć kontaktów, zdobywają wiedzę i wyposażenie. Wiemy, że w naszym kraju są tacy, którzy w bardzo krótkim czasie potrafią przygotować zamach taki jak ten na M/S Visby. Mogą to zrobić tutaj albo w jakiejś innej części Europy. Oczywiście wielu mamy na oku, ale jestem też pewny, że o części z nich nie mamy pojęcia. Z całą pewnością mogą stać za tym zamachem. Albo się do niego przyczynili. Poza tym zapominasz o Saidzie Habibie. Mógł nawiązać kontakty już w poniedziałek – to dałoby mu prawie cały tydzień na przygotowania. W zupełności wystarczy.

Zrozumiał, że zachował się zbyt tchórzliwie i będzie musiał za to zapłacić. Powinien był jak najszybciej opuścić wyspę. Kraść, kłamać, zabrać się w jakiejś ciężarówce, zrobić cokolwiek, byle uciec. Zamiast tego trwał w ukryciu, drżąc o życie. Kiedy tak leżał przyuczajony w śmierdzących stęchłą domkach letniskowych, sytuacja tylko się pogarszała. Tchórzostwo zaprowadziło go w ślepią uliczkę.

Początkowo nie mógł uwierzyć. Był przekonany, że to niedoskonała znajomość szwedzkiego wprowadziła go w błąd. Rozmowa, którą usłyszał, musiała dotyczyć niezadowolenia z ruchu promowego albo jakiegoś incydentu w porcie. Może wybuchła butla gazowa albo zaczął się palić jakiś samochód... Potem jednak zobaczył nagłówki gazet i nie minęło wiele czasu, a ucieczka stała się niemożliwa. Nikt nie mówił o niczym innym. Gazety, radio i telewizja – wszyscy emitowali ten sam komunikat. Dobiegał z domków letniskowych, rozbrzmiewał między drzewami, gdy leżał ukryty.

Po kilku godzinach miał już pełny obraz sytuacji. Dla niego oznaczała, że wydostanie się stąd będzie jeszcze trudniejsze, by nie powiedzieć niemożliwe. Aktualnie nie miał na to żadnego pomysłu. Mógł najwyżej ukraść łódkę i wypłynąć na Bałtyk zupełnie sam. Nie wiedział wiele na temat łodzi, nie potrafił nawigować, ale nie był głupi – umiał rozróżniać strony świata i wiedział, jak się używa kompasu. Gdyby wierzył, że przedsięwzięcie ma jakiegokolwiek szanse powodzenia, wykorzystałby okazję. Był jednak pewny, że daleko nie dopłynie, ponieważ środki bezpieczeństwa, jakie należy podjąć w wypadku zamachu terrorystycznego, doprowadzą do tego, że zgarnie go policja albo straż ochrony wybrzeża. Nasuwał się ponury wniosek, że najlepiej będzie, jeśli nadal pozostanie w ukryciu.

Rozmyślał, jak to może się ze sobą łączyć – morderstwo jego przyjaciół i podłożenie bomby na pokładzie promu. Trudno było uwierzyć, że między tymi zdarzeniami nie ma żadnego związku, ale równie trudno było sobie wyobrazić, jak to się ze sobą łączy.

Czy prom mogli wysadzić ci sami ludzie, którzy zabili jego przyjaciół? Wątpliwe. Ludzie pokroju nowych przyjaciół Muhammada detonowali bomby na statkach, ale to przecież nie oni, tylko ich wrogowie zastrzelili

Saleh i Josefa. Muhammad ostrzegał. Mówił, że oni są zdolni do wszystkiego i że może źle skończyć tylko dlatego, że się spotkali.

Dzięki, drogi przyjacielu. Jeszcze raz dziękuję za ostrzeżenie i za to, że tak bardzo chciałeś się spotkać z dawnym przyjacielem z dzieciństwa, że zwabiłeś mnie do Teheranu i doprowadziłeś do sklasyfikowania jako wroga państwa egipskiego.

Jedno z drugim mu się nie łączyło. Nie wszystko do siebie pasowało. Jeśli prom i zabójstwa miały ze sobą coś wspólnego, to za jednym i drugim musiała stać organizacja, która zatopiła szpony w Muhammadzie. Żadna inna możliwość nie wydawała mu się prawdopodobna. Jednocześnie brzmiało to zupełnie niedorzecznie, więc nie potrafił sobie tego poukładać.

Oparł czoło na kolanach i podłożył dłonie pod kark. Siedział oparty o pień drzewa i skulony, żeby pozostać niewidocznym i żeby nie odkryły go ciekawskie dzieci. Zamknął oczy, pozwolił sobie na kilka sekund wyłączyć czujność i po prostu odpoczywać.

Słyszał głosy z domu znajdującego się tuż obok. Zaledwie dziesięć minut wcześniej słuchał raportów telewizyjnych na temat bomby na promie. Teraz akurat nadawali co innego, ale w regularnych odstępach na wszystkich kanałach emitowali wydania specjalne. Słyszał było skwierczenie patelni i mamrotanie dorosłych zagłuszane przez śmiechy i krzyki bawiących się dzieci. Wkrótce maluchy dostaną obiad. Życie toczyło się dalej.

Mocno zamknął powieki i przycisnął kciuki do uszu, żeby zupełnie wyłączyć świat zewnętrzny.

Sprawiło to tylko, że myśli coraz intensywniej wirowały mu w głowie.

Opuścił ręce wzdłuż tułowia i popatrzył pod światło, które przedostawało się między sosnami i świerkami. Szczecioczące głosy dzieci cichły i powracały. W pewnym sensie wypoczywał, kiedy mógł ich słuchać, zajętych terazniejszością, obojętnych na to, co się niedawno zdarzyło. Jednocześnie samą swoją obecnością stanowiły dla niego zagrożenie. One, a zwłaszcza ich rodzice. Gdyby go zobaczyli, widzieliby w nim tylko bezwzględnego, szalonego arabskiego terrorystę z krwią na rękach.



W środę medialny huragan jeszcze bardziej się nasilił. Po tym, jak we wtorek szwedzkie środki masowego przekazu zajęły się głównie raportowaniem samego zdarzenia – za pomocą zdjęć lotniczych, map, szkiców, strzałek, relacji z policyjnych konferencji prasowych i obecności w Visby ministra sprawiedliwości ze zmarszczonym czołem i opadniętymi kącikami ust – w środę komentatorzy obudzili się na dobre. Autorzy wstępniaków, felietoniści – wszyscy chcieli uszczknąć dla siebie kawałek tego tortu.

W artykule wstępnym w dzienniku „Dagens Nyheter” na wszelki wypadek domagano się odejścia jednocześnie premiera i ministra sprawiedliwości. Ten drugi miał ustąpić dlatego, że nie potraktował poważnie zagrożenia międzynarodowym terroryzmem, tylko pozwolił, by Szwecja stała się przystanią dla złoczyńców i morderców.

Premier miał zrezygnować ze stanowiska jako człowiek pod każdym względem odpowiedzialny za zbyt pobłażliwą i naiwną postawę. Kiedy w dwa tysiące pierwszym roku Stany Zjednoczone zostały zaatakowane przez fundamentalistów, Göran Persson szybko pokazał swoje sympatie na arenie międzynarodowej, ale wydawało się, że nie wyciągnął żadnych wniosków dla swojego narodu.

Na stronie z komentarzami w tej samej gazecie kilku członków parlamentu jeszcze dołało oliwy do ognia. Zadali pytanie, dlaczego Szwecja jest tak beznadziejnie przygotowana na tego rodzaju zdarzenia. Dlaczego policja nie zwiększyła bezpieczeństwa potencjalnych celów po tym, jak kilka dni wcześniej na wyspie terroryści dokonali dwóch egzekucji?

„Niezdolność Görana Perssona do poradzenia sobie w trudnych sytuacjach zaczyna być regułą. Premier uderza w ojczyźniane tony, zamiast działać i dźwigać odpowiedzialność, która na nim spoczywa. W dotkniętej katastrofami Szwecji on sam jest katastrofą”.

\*\*\*

Fredrik i Gustav pojechali na południe, żeby przesłuchać dwóch pasażerów M/S Visby czy też „bombowego promu”, jak został ochrzczony w mediach.

Jazda do Eskelhem zajęła nie więcej niż dwadzieścia minut. Co dziwne, szeroka czarna wstęga asfaltu była prawie pusta. Zwykle od midsommar na przybrzeżnej trasie tworzyły się korki takie jak w Sztokholmie w godzinach szczytu. Dziś sytuacja wyglądała inaczej i miało to konkretną przyczynę – żadne promy nie dostarczyły turystów. Gotlandię ominęło już prawie dwadzieścia tysięcy odwiedzających.

Stan rannych pasażerów w dalszym ciągu był krytyczny, ale liczba ofiar od poniedziałku nie wzrosła. Nadal było ich dziewięć.

Robert Ubbens, lat dwadzieścia osiem, zginął w wyniku eksplozji. Ingvar Jansson, lat sześćdziesiąt dziewięć, spłonął natychmiast po detonacji. Pozostałe siedem osób zginęło podczas ewakuacji. Były to: Lisa Fransson, lat jedenaście, Kristina Gustafsson, lat sześćdziesiąt dwa, Axel Karlsson, lat sześć, Anders Lundström, lat pięćdziesiąt sześć, Gustav Lundström, lat sześć, Annika Mild, lat trzydzieści cztery, i Matilda Skog, lat cztery.

Kobiety i dzieci, pomyślał Fredrik. To nadawało zupełnie nowego znaczenia zwrotowi „najpierw kobiety i dzieci”.

Skęcili z nadmorskiej drogi w kierunku Eskelhem, gdy radio nadało komunikat: w Gnisvärd kilku gości domku letniskowego złapało złodzieja na gorącym uczynku.

Początek nie był szczególnie ciekawy, ale dalszy ciąg przeciwnie. Podany przez gości rysopis odpowiadał wyglądowi Saida Habiba.

– Zawracaj – powiedział Fredrik do Gustava.

Odczepił mikrofon.

– Sześć zero dwa jeden, przyjąłem, jesteśmy prawie na miejscu.

– Dobrze. Pokierujemy was przez telefon, odbiór – rozległ się głos Cariny.

– Zadzwoń do mnie, nie do Wallina, bez odbioru.

Słyszeli, jak kolejni koledzy odpowiadają na wezwanie, a potem zadzwonił telefon Fredrika.

– Tak...

– Jedźcie w stronę Gnisvärd, weźcie trzeci zakręt w prawo. To będzie pierwszy brązowy dom po lewej.

– Pierwszy dom czy pierwszy brązowy dom?

– Pierwszy brązowy – odparła cierpliwie Carina.

Gustav już zawrócił, wjechał na nadbrzeżną drogę i pokonywał krótki odcinek na południe, w kierunku Gnisvärd. Na północ od kąpieliska Tofta Strand znajdował się teren domków letniskowych i całorocznych.

Fredrik widział już właściwy zjazd.

– Skręcamy teraz na Gnisvård. Będziemy za kilka minut – powiedział do telefonu.

– Czekać na jednostkę specjalną. Są już w drodze. Dostaniecie posiłki. Ten człowiek może być niebezpieczny.

Fredrik poczuł uderzenie adrenaliny, od którego serce zaczęło bić szybciej.

– Rozumiem – odparł. – Przekażemy raport z sytuacji, gdy już będziemy na miejscu.

Zakończył rozmowę.

– Mamy czekać. Przyślą jednostkę specjalną.

Gustav skręcił na Gnisvård i przyspieszył, wzbijając przed pensjonatem chmurę pyłu. Niedługo potem wjechali w zalesiony obszar, w którym zabudowania były gęstsze. Między drzewami można było dostrzec małe drewniane domki letniskowe z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, mocno przypominające domki z piernika. Czasem trafiał się też duży dom z wapienia.

Wkrótce dotarli do trzeciej drogi prowadzącej w prawo. Gustav trochę za szybko wszedł w zakręt i zasypał żwirem długi szereg skrzynek na listy. Za szybą mignął biały dom, potem żółty, znowu biały, jeszcze jeden biały, a następnie Fredrik zobaczył na poboczu trzy kobiety i mężczyznę. Stali i obserwowali drogę. Za nimi widać było mały brązowy domek na słonecznej polanie, na tle ciemnego muru utworzonego przez wysokie świerki.

Gustav skręcił w prawo, gdzie teren był równy i nie brakowało miejsca.

Szybko wysiedli z samochodu i pokazali odznaki.

– Co się dzieje? – zapytał Fredrik.

– Jörgen przyłapał go na gorącym uczynku – odpowiedziała kobieta w T-shircie i dole od bikini. – Pobiegł prosto do lasu.

Wskazała zagajnik po przeciwnej stronie drogi, gdzie zaparkowali samochód. Pozostali troje wskazali ten sam kierunek i próbowali poprawiać kobietę.

– W porządku, nie wszyscy naraz, jeśli mamy coś z tego zrozumieć – uspokajał ich Fredrik. – Kto pobiegł do lasu?

– Ten człowiek, który grzebał w naszych rzeczach, kiedy wszedł Jörgen. Wybiegł przez drzwi werandy prosto w las.

– Czy to pan nazywa się Jörgen? – zapytał Fredrik, patrząc na mężczyznę.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

– On za nim pobiegł – odezwała się kobieta.

– Jörgen za nim pobiegł?

– Tak.

– I tylko on?

– Nie, Kenny i Leif też pobiegli, kiedy usłyszeli, co się stało – odparł mężczyzna.

– Kenny wziął ze sobą śrutówkę – poinformowała jedna z pozostałych kobiet, spoglądając z niepokojem na Fredrika i Gustava. – Mówiłam, żeby ją zostawił, ale...

Fredrik i Gustav popatrzyli na siebie i dotarło do nich, że muszą coś zrobić.

– Dokąd można dotrzeć, biegnąc tędy dalej przez las? – zapytał Gustav.

– Kawałek dalej jest kilka domów. To tylko mały pas lasu.

– A oni wbiegli tutaj? Widzieli to państwo?

Kobieta skinęła głową.

– Jak wyglądał ten mężczyzna, który dostał się do domku?

– Tylko mi mignął, kiedy przebiegł obok, ale miał ciemną karnację i czarne włosy, był wysoki i szczupły. Z północnej Afryki albo Hiszpanii. Tego typu wygląd.

– Okej – odparł Gustav. – Proszę zostać tu, przy drodze. Wkrótce przyjadą posiłki.

Nie czekając na odpowiedź, wbiegli między drzewa. Ryzykowali, ale musieli założyć, że obserwacje kobiety były prawidłowe. Że wszyscy naprawdę pobiegli do lasu. Nie zatrzymując się, Fredrik wydobył telefon i próbował skontaktować się z centralą, ale nikt nie odbierał. Uznał, że Carina zobaczy numer i oddzwoni, jak tylko będzie miała czas.

Między wysokimi drzewami iglastymi było ciemno, ale ich oczy szybko się przystosowały. Biegli dalej, najszybciej jak mogli. Omijali pnie, uważnie obserwując podłoże, żeby się nie potknąć o wystające korzenie.

Utrzymywali między sobą pięciometrowy odstęp. Wydawało im się, że sto metrów dalej las robi się rzadszy. Pomiędzy drzewami wpadało ostre światło słońca.

Fredrik był zdyszany, a jego serce waliło jak młotem. Bardziej ze stresu niż z wysiłku. Próbował coś dojrzeć w gęstwinie. Wydawało mu się, że widzi kilka domków w dziwnym szarzielonym kolorze. Grunt pod stopami był miękki. Pędząc, czuł, że się zapada.

– Tam – syknął Gustav i gwałtownie się zatrzymał.

– Gdzie? – zapytał Fredrik.

– Tam – powtórzył Gustav i wskazał kierunek.

Fredrik do niego przyskoczył. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów dalej zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie dżinsy i dżinsową koszulę. Drugi szorty i czarny T-shirt z jakimś napisem. Mężczyźni stali spokojnie i się rozglądali, jakby czegoś szukając.

Nagle ukazał się trzeci. Też był ubrany w szorty i T-shirt. Na głowie miał czapkę z daszkiem. W rękach trzymał strzelbę.

Fredrik i Gustav odruchowo wyciągnęli pistolety.

– Policja! – krzyknął Gustav. – Odłóż broń!

Mężczyzna odwrócił się powoli w ich kierunku. Obaj stanęli za drzewami.

– Odłóż broń na ziemię! – zawołał Gustav. – Jesteśmy z policji.

Mężczyzna stał nieruchomo, nie sprawiając wrażenia, jakby zamierzał spełnić polecenie.

– Jesteśmy po waszej stronie! – krzyknął ten w dżinsach. – Szukamy tego skurczybyka.

– Brzmi dobrze, ale mimo wszystko odłóżcie broń. Już! – ryknął Gustav.

Mężczyzna w czapce powolnym ruchem przełamał strzelbę, pochylił się i powoli ją odłożył.

– A teraz cofnij się o pięć metrów – rozkazał Gustav.

Tym razem posłuchał bez protestów. Fredrik i Gustav podeszli do trzech mężczyzn. Fredrik opróżnił magazynki, łapiąc w dłoń pociski.

– Mam na to pozwolenie – mruknął właściciel strzelby.

– Hmm, ale chyba nie dotyczy ono polowania na ludzi – odparł Fredrik i włożył naboje do kieszeni.

– Gdzie on jest? – zapytał Gustav. – Pobiegnij w tę stronę?

– Widzieliśmy tylko, jak wbiega do lasu – powiedział człowiek w dżinsach.

– Czyli nie jesteście pewni?

– Nie. – Mężczyzna pokręcił głową.

Fredrik spojrział w kierunku szarozielonych domków. Był tam jeden domek letniskowy i dwie większe szopy.

– Może być w którymś z tych domków – rzekł Fredrik zduszonym głosem i dał znak pozostałym, by również mówili ciszej. – Sprawdźcie to?

Wszyscy trzej pokręcili przecząco głowami.

– Okej, zostańcie tutaj – polecił Gustav i zdecydowanym gestem wskazał ziemię przed trzema mężczyznami.

– I nie odzywajcie się – dodał Fredrik.

Ostrożnie podeszli do trzech budynków. Fredrik trzymał strzelbę w lewej ręce. Nie był zadowolony, że ją ze sobą taszczy. Przeszkadzała mu. Nie chciał jednak zostawiać jej mężczyznom. Nie ufał im.

– Zaczniemy od tych szop – wyszeptał Gustav.

Większy dom miał pozbawioną okien ścianę szczytową po ich stronie. Jedna z szop służyła prawdopodobnie za wychodek. Druga była nieco większa – jak buda na narzędzia albo może mały domek dla gości. Między szopami a dużym domkiem był trawnik, ale zaledwie kilka metrów dalej rosły paprocie i czarne borówki.

Nagle aż podskoczyli, słysząc wyraźne pacnięcie świerkowej szyszki. Dostali rozkaz, by czekać na jednostkę specjalną. Sytuacja jednak, jak to zwykle bywało, nie rozwinęła się zgodnie z ich przewidywaniami.

Fredrik zaczął się zastanawiać, czy człowiek w czapce z daszkiem strzelił za uciekającym mężczyzną. Tym, który mógł przebywać w domku w Nisseviken jako trzeci. Pomyślał, że może wyczuje to po zapachu.

Powąchał tylną część lufy otwartej strzelby, ale wyczuł tylko typowy zapach nasmarowanego metalu.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku mężczyzn, pochylił się i wsunął strzelbę pod domek.

– Będziesz mnie osłaniał? – zwrócił się do Gustava.

Gustav skinął głową i wyjął pistolet. Stał nie więcej niż trzy metry od wychodka. Fredrik podszedł i szarpnął drzwi. W środku było pusto. Styropianowa deska na sedesie z niemalowanego drewna. Rolka papieru toaletowego. Nic więcej.

Fredrik skinął głową w kierunku drugiej szopy i bezszelestnie przemieścili się kilka metrów w bok. Spojrzeli na drzwi, a potem na siebie. Z metalowego uchwyty zwiślał haczyk. Gustav dał znak Fredrikowi, że jest gotowy. Fredrik wyciągnął rękę i otworzył drzwi gwałtownym szarpnięciem.

Natychmiast rozpoznali Saida Habiba ze zdjęcia w paszporcie. Siedział na obróconej do góry dnem lekkiej metalowej taczce i wpatrywał się w nich szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Ale to nie na twarzy zatrzymali wzrok.

Z dwóch paskudnych ran na nadgarstkach mężczyzny tryskała krew. Na posadzce przed nim leżała zakrwawiona piła.

– O kurwa – wyjąkał Fredrik.

Chwilę później byli już przy mężczyźnie i pomagali mu wyjść z ciasnej komórki.

W tej samej chwili Said Habib postanowił, że zacznie zadawać ciosy. Wymachując pięściami, trafił Fredrika w szyję. Krew trysnęła na twarz, ale policjant prawie tego nie poczuł. Był zbyt zajęty chwytaniem zakrwawionej ręki Saida Habiba i przytrzymywaniem jej.

Nawet wątły, osłabiony człowiek może stawiać zdecydowany opór, kiedy uzna, że nie życzy sobie pomocy.

Fredrik i Gustav kontynuowali zmagania, każdy z jedną ręką Saida. Ten dyszał z każdym ruchem i wydawał ciche jęki.

– Said – odezwał się Fredrik, mając nadzieję, że na dźwięk swojego imienia mężczyzna poczuje się lepiej. – Chcemy ci pomóc, słyszysz?

– Potrzebujecie pomocy? – rozległ się głos za ich plecami.

– Nie mówiliśmy, że masz się zamknąć?! – ryknął Gustav.

Krzyki znów zestresowały Saida. Akurat w momencie, gdy Fredrik poczuł, że opór chyba zaczyna słabnąć.

– Musimy go znieść, zanim się wykrwawi – wyjaśnił Fredrik.

Rzucili się na niego i przycisnęli do ziemi swoim ciężarem. W końcu Fredrik wbił mu kolano w plecy i przytrzymał ręce. Dłońmi mocno zacisnął rany. Prawdopodobnie wywołało to potworny ból, ale zatrzymało krwawienie. Ból zdawał się również odbierać Saidowi wszelką ochotę do walki. Nagle mężczyzna zupełnie zwiotczał.

– Musisz pobiec do samochodu po bandaż uciskowy – powiedział Fredrik.

– Dasz sobie radę? – spytał Gustav.

– Leć – powiedział Fredrik. – Jeśli znów zacznie sprawiać kłopoty, poproszę o pomoc bohaterów, którzy tam stoją.

Gustav stanął na nogi, obrócił się i popędził do samochodu.

Zatrzymał się gwałtownie na widok funkcjonariuszy grupy specjalnej, którzy mierzyli w nich z odbezpieczonych pistoletów maszynowych MP5.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – odezwał się dowódca.

– Co wy wyrabiacie, do jasnej cholery?

Tym razem nie był to szef grupy specjalnej, tylko ich przełożony, Göran Eide. To wcale nie poprawiało sytuacji.

Miał prawo zadać takie pytanie. To nie wyglądało dobrze. Zatrzymany był cały we krwi, tak jak połowa trawnika. Fredrik miał krew wszędzie. Na bluzie, spodniach, dłoniach i twarzy. U Gustava skończyło się na kilku plamach na koszuli.

– Mieliście czekać na grupę specjalną, a nie interweniować. Żadnych interwencji. Co w tym poleceniu jest takie trudne do pojęcia?

Fredrik wielokrotnie widział Görana marudnego i w złym humorze, zwłaszcza odkąd rok wcześniej szef przestał ukradkiem popalać, ale nigdy wcześniej nie widział go naprawdę wściekłego. Przynajmniej w sytuacji, gdy wściekłość jest wymierzona w jego własnych pracowników.

– Nie mieliśmy wyboru – oznajmił spokojnie.

– Kurwa, co wyście narobili? To wyglądało jak rzeźnia.

Fredrik wiedział, że z perspektywy czasu przyzna im rację. Postąpili słusznie. Życie Saida Habiba było zagrożone. Wkroczyli do akcji, a ponieważ nie narazili nikogo prócz siebie, nie można było mieć do nich pretensji. Jeśli dodać do tego, że poszukiwany – nawet jeśli nieco zakrwawiony – został przez nich przyciśnięty do ziemi, gdy wparowała grupa specjalna w hełmach i z ciężką bronią, zdarzenie również nie powinno zadziałać na ich niekorzyść, kiedy już znajdzie swoje miejsce w policyjnej mitologii.

Na razie jednak wszyscy byli wzburzeni i zszokowani, dowódca grupy czuł, że ktoś wszedł w jego kompetencje, a Pettersson dąsał się bez wyraźnego powodu. Dlatego jeśli chodziło o ten dzień i może resztę tygodnia, trzeba się było spodziewać reprimend i innych tego typu atrakcji. Gównu na patyku, jak by to wyraził gospodarz wynajmujący Fredrikowi mieszkanie w Vamlingbo.

– Nie mieliście wyboru? – powtórzył Göran, wpatrując się w nich obu. Miał rozpalone policzki i trzymał się pod boki.

Stali obok samochodów, przy drodze na dole. Said Habib był już w drodze do Visby, eskortowany przez pięciu ciężko uzbrojonych kolegów o mu-



skularnych przedramionach. Jego przerażone oczy podczas tej jazdy raczej nie znajdą punktu zaczepienia.

– Podciął sobie nadgarstki piłą. Co mieliśmy zrobić?

Göran zaczerpnął powietrza, żeby rzucić kolejnym przekleństwem, ale się powstrzymał.

– Jeźdźcie z powrotem do Visby, tam porozmawiamy.

Pokiwali głowami na znak, że zrozumieli.

– I nie opuszczajcie komisariatu, dopóki nie odbędziemy tej rozmowy.

Gwałtownie odwrócił się do nich plecami i poszedł do swojego samochodu, zanim zdążyli choćby skinąć czy odpowiedzieć w jakiś inny sposób.

– Cudowny dzień – skwitował Gustav, gdy Göran z trzaskiem zamknął drzwiczki samochodu.

Fredrik się nie odzywał.

– Chyba mam w szafce koszulę, którą mogę ci pożyczyć – powiedział Gustav.

Fredrik spuścił wzrok na swoje poplamione krwią ubranie.

– Lepiej włożę mundur.

\*\*\*

Tak też się stało. Koszula zaproponowana przez Gustava nie wystarczyła. Dlatego gdy kilka godzin później Fredrik kłócił się ze Stefanem Petterssonem z Krajowej Policji Kryminalnej, po raz pierwszy od lat miał na sobie mundur.

Już po kilku zdaniach tego, co zaczęło się jak spokojna rozmowa, zrozumiał, że to chyba nie był dobry pomysł. Nie mógł jednak się powstrzymać.

Pogłoska dotarła do niego przez Sarę Oskarsson: Said Habib nie miał być przesłuchiwany na Gotlandii, tylko natychmiast przetransportowany samolotem do Sztokholmu. Egipcjanina poinformowano, że jest poszukiwany w swojej ojczyźnie, że może zostać deportowany ze Szwecji i że decyzja należy do szwedzkiego rządu. Teraz pozostawał pod nadzorem w oczekiwaniu na transport.

– Ale jak mamy prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa, skoro nie możemy przesłuchać najważniejszego świadka? – wyrzucił w końcu z siebie Fredrik, spoglądając z rozdrażnieniem na Petterssona.

Nie krzyczał, to prawda, ale mimo wszystko nie można już było tego nazwać spokojną rozmową.

Stefan Pettersson długą chwilę milczał, patrząc na Fredrika i nie zdradzając żadnych uczuć.

– O ile wiem, ty nie prowadzisz żadnego śledztwa – powiedział na końcu i lekko przekrzywił głowę.

Fredrik nie znalazł na to żadnej dobrej odpowiedzi.

– Jeśli nie wiesz, jak wykonywać swoje obowiązki, porozmawiaj z bezpośrednim przełożonym – podsunął Pettersson. – A może to on chciałby z tobą porozmawiać.

Po tych słowach Stefan Pettersson precyzyjnie przeszedł obok niego i zszedł po schodach na parter.

Miał oczywiście rację. Göran istotnie chciał porozmawiać z Fredrikiem i zależało mu na tym jeszcze bardziej, niż kiedy zamykał drzwi samochodu w Gnisvård.

– Jedź do domu.

– Co?

Fredrik nie zamierzał się kłócić także z Göranem, ale po prostu nie rozumiał, co szef ma na myśli. Albo nie chciał zrozumieć.

– Po prostu weź sobie wolne na resztę dnia. Miałeś ciężkie przedpołudnie, dokonałeś, delikatnie mówiąc, efektownego zatrzymania i nawet jeśli było to...

Göran urwał, jakby zobaczył, że przed nim długi wykład, na który nie miał teraz siły ani czasu.

– Jedź do siebie i zajmij się dziećmi, a jutro otworzymy nowy rozdział. Katarina będzie już wtedy w domu, a tobie odpadnie jeden powód do niepokojów.

Katarina. Już dawno nie słyszał, by ktoś tak ją nazywał. Göran musiał ją mieć świeżo w pamięci, po wysłaniu jej pierwszym promem z Nynäshamn.

Czy właśnie tak odbierali go koledzy? Jako nadmiernie zestresowanego mężczyznę w trakcie rozwodu, który nie może dojść do ładu z byłą żoną, dziećmi i dziewczyną? Inspektora policji kryminalnej w średnim wieku, który zaczyna svirować, kłóci się z przełożonymi i nic sobie nie robi z poleceniami służbowych? Czy było w tym ziarno prawdy?

– A Said Habib? Nie powinniśmy go przesłuchać? – zapytał, żeby okazać profesjonalizm.

– Ja się tym zajmę, Fredrik. Ty jedź do domu. Dobrze?

Samolot był jednym z tych zwyczajnych turbośmigłowców, które zwykle obsługiwały odcinek między Visby a Brommą. Nie był to jednak zwyczajny lot. Na pokładzie znajdowali się młody Egipcjanin oraz sześciu policjantów, którzy go eskortowali. Między innymi komisarz Stefan Pettersson i Åke Fröhling z Säpo.

Młody człowiek został przesłuchany, jak tylko zsztyto jego rany w szpitalu w Visby. Dodatkowa analiza śladów zabezpieczonych w Nisseviken, a także zeznania mężczyzny uwolniły go od podejrzeń o udział w zabójstwach. Podejrzanie o terroryzm w ojczystym kraju nadal jednak istniało. Nadal był też uznawany za poszukiwanego.

Niebo miało piękny błękitny kolor, a pasiasty rękaw lotniczy przy pasie do lądowania miękko falował na ciepłym wietrze.

Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Przed przybyciem podejrzanego o działalność terrorystyczną Egipcjanina budynek lotniska i teren wokół niego zostały zabezpieczone przez antyterrorystów.

Jak tylko samolot wzbił się w powietrze, dołączyły do niego dwa myśliwce JAS ze skrzydła sił powietrznych F17 Kallinge.

\*\*\*

Serce Saida pod zieloną koszulą szwedzkiego zakładu karnego biło mocno i szybko. Bluza, którą miał wcześniej na sobie, została mu odebrana. Była skąpana we krwi. Saida bolały nadgarstki. Próbował podnieść prawą rękę, ale poczuł nagłe szarpnięcie.

Siedział przykuty do ubranego po cywilnemu mężczyzny zajmującego krzesło po jego prawej stronie. Po lewej, na drugim końcu korytarza, był policjant w mundurze. Za jego plecami – kolejni. Nie miał odwagi obrócić głowy. Nie wiedział, co to za jedni. Mógł się tylko domyślać. Policjanci, funkcjonariusze służb bezpieczeństwa, urzędnicy państwowi? Wyglądało na to, że samolot jest ich pełen.

Wszystko z jego powodu. To było przerażające.

Na razie obyło się bez czopków, pieluch i czarnego worka na głowę. Czytał kiedyś o dwóch rodakach deportowanych trzy lata wcześniej i debacie, która wybuchła, kiedy wyszło na jaw, jak to się odbyło. Już był przygotowany na to, że umrze, w najgorszym razie pobity na śmierć.

Mimo to jeszcze tliła się w nim nadzieja, że wyjdzie z tego żywy. Nie do końca wiedział, w jaki sposób mogłoby się to stać, i był przekonany, że przyjdzie mu za to zapłacić wysoką i bolesną cenę. Chciał jednak wierzyć, że świat nie jest na tyle zgniłym miejscem, by trzeba było umierać przez dawnego przyjaciela, który zabłądził w ideologicznych ostępach.

Może się mylił.

\*\*\*

Blżej popołudnia wiatr zelżał. Płytkie wody zatoki Ekeviken stały nieruchomo, błyszczące jak lustro i mieniające się odcieniami błękitu i turkus. Niczym w egzotycznej lagunie, w której zestresowani ludzie o zbyt krótkich urlopiach mogli zaznać chwili wypoczynku i odrobiny luksusu. Wydawało się, że lato wreszcie zostanie na dłużej.

I nagle coś takiego.

Minister sprawiedliwości oglądał morze ze swojego domku letniskowego w północnej części wyspy Fårö, zakątka Gotlandii, który z jakiegoś powodu stał się miejscem letnich pobytów socjaldemokratycznych ministrów, polityków i innych ludzi z tego ugrupowania. Można się było poczuć jak w przeniesionym ośrodku partyjnym Bommersvik. W dobrym i złym znaczeniu. To miejsce miało taki charakter już wtedy, kiedy spędzał w nim wakacje jako mały chłopiec.

O dziewiątej rano następnego dnia powinien być w Sztokholmie na posiedzeniu rządu, który miał podjąć decyzję w sprawie deportacji. Chodziło o Egipcjanina poszukiwanego za kontakty z terrorystami. Człowiek ten został zatrzymany na Gotlandii zaledwie kilka godzin wcześniej. Już dwa dni po tym, jak na pokładzie promu M/S Visby wybuchła bomba.

Minister sprawiedliwości westchnął. Po posiedzeniu rządu miał pozostać w Sztokholmie. Nie wiadomo, na jak długo. Istniało jednak ryzyko, że tego wieczoru nie zobaczy już Fårö. Wciąż znajdował się na wyspie, bo oceniono, że obecność ważnego ministra na miejscu przez kilka dni po zamachu będzie dobrze widziana.

Przywykł pracować dużo i ciężko. Robił to przez wiele lat jako prawnik. Istniała jednak zasadnicza różnica między pracą w charakterze adwokata a ministra. Jako adwokat mógł iść na urlop. Miał też względną pewność, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Choć rozmowy telefoniczne miał praktycznie z głowy. Jako minister sprawiedliwości mógł najwyżej spędzić dwa tygodnie na Fårö. I raczej nie potrafił się wtedy uspokoić, a co gorsza: w każdej chwili mogło mu przeszkodzić jakieś nieprzewidziane zdarzenie.

Nie skarżył się. W zasadzie. Jeden z najważniejszych szlaków komunikacyjnych w Szwecji stał się obiektem zamachu, dziewięć osób zginęło, a znacznie więcej odniosło obrażenia. Wśród nich był policjant. Bardzo prawdopodobne, że zdarzenie miało związek z międzynarodowym terroryzmem i muzułmańskim fundamentalizmem. Mogła to być najtrudniejsza sytuacja, w jakiej znalazł się kraj od czasu drugiej wojny światowej. On sam jako osoba prywatna był w tym kontekście nieważny.

Jednocześnie nie mógł zignorować faktu, że to wszystko wiele go kosztuje. Nigdy nie mieć chwili na oddech, nie móc zaznać spokoju. Wszystko miało swoją cenę. Najgorzej było, gdy pozwalał uśpić swoją czujność w przekonaniu, że ma przed sobą dwa tygodnie wolnego, a potem patrzył, jak zostają mu odebrane. I to akurat w chwili, gdy już zaczynał wierzyć w tę obietnicę.

Zamierzał wyjechać do Sztokholmu dopiero wczesnym rankiem następnego dnia. Chciał zostać w tym miejscu jak najdłużej. Najchętniej usiadłby na plaży. Tylko na pół godziny. Wygrzewał się w słońcu i spokojnie, głęboko oddychał. Dobrze by mu to zrobiło. W pewnym sensie również rząd, a zatem i kraj skorzystałyby na ministrze, który ma szansę oddychać głęboko i spokojnie. Był o tym przekonany. Ale oczywiście nie miał takiej możliwości. Zostałby rozpoznany i nie ulegało wątpliwości, co w takim wypadku pisałyby gazety.

**SZWECJA W KRYZYSIE TERRORYSTYCZNYM:** minister na wakacjach grzeje się w słońcu.

Nie był nawet pewny, czy dostanie pozwolenie, by zejść nad morze od dwóch strażników z Säpo, którzy od poniedziałkowego wieczoru parkowali przed domem.

Chciał zaczekać, aż słońce zacznie zachodzić, a na plaży zrobi się pusto. Wtedy urządzi sobie spacer brzegiem morza. Tego nikt mu nie zabroni.

Fredrik pojechał do domu w mundurze. Zakrwawione ubrania leżały w reklamówce w bagażniku. Mniej więcej do Hejde był wściekły i obrażony, ale potem te uczucia go opuściły.

Zatrzymał się w Hemse, wszedł do sklepu rybnego i kupił kilogram okoni. Coraz rzadziej można je było spotkać w ladach chłodniczych, więc trzeba było korzystać z okazji, kiedy już się pojawiały obok tuńczyków i przegrzebków.

Nie przywykł do chodzenia po mieście w mundurze. Czuł się tak, jakby wszyscy wokół nagle zwracali uwagę na to, co robi. Patrzcie, teraz policjant kupuje okonia.

Wybrał objazd przy boisku piłkarskim. Tak jak przypuszczał, Simon tam był. Fredrik go odebrał, a potem zatrzymał się w gospodarstwie Svena i Eivora, żeby kupić truskawki. Podbiegł do niego ich mały piesek, wściekle ujadając. Natychmiast rozległ się głos Eivora z wnętrza domu: „Boris!”. Piesek położył uszy po sobie i pobiegł z powrotem.

Wzięli dwa pudełka owoców, a Simon dostał od Eivora lody.

Fredrik pojechał na skróty między polami pylistą drogą dobrą dla traktora. Dotarli do domu, w którym dudniła muzyka Boba Marleya. Joakim nie wyglądał, jakby cierpiał przez to, że został sam w domu. Wstawił wzmacniacz do dużego pokoju i ćwiczył utwory Marleya. Fredrika uderzyła myśl, że Joakim wygląda tak jak jego idol na czarno-białym plakacie w pokoju. Taka sama fryzura, niemal identyczna gitara, choć jednak jej tańsza kopia, podobna postawa.

Po wakacjach miał rozpocząć naukę w liceum. Profil artystyczny w szkole Donner w Klinte. Fredrik był sceptyczny. W sztuce nie ma przyszłości. Skrycie się jednak cieszył, że nie stanęło na Visby. Wielu młodych ludzi dojeżdżających do Visby załatwia sobie pokoje na noc i w wieku szesnastu lat praktycznie wyprowadza się z domu.

Odstawił w kuchni torbę z rybami, wszedł do łazienki i wepchnął zakrwawione ubrania do pralki. Przyjemnie było nacisnąć „Start”. Jakby tym ruchem wymazywał jakąś część zdarzeń tego dnia. Poza tym mógł być pewny, że nikt inny z rodziny tych ubrań nie zobaczy. Niewątpliwie wyglą-

dały znacznie gorzej, niż w rzeczywistości przedstawiała się sytuacja. Przynajmniej dla niego.

Przebrał się w cywilne ciuchy i zaczął filetować okonie. Zamierzał przygotować duszoną rybę z ziemniakami.

Dokładnie w chwili, gdy posiłek był gotowy, przed dom podjechał samochód Ninni. Fredrik zdążył zupełnie zapomnieć, że wracała do domu. Simon pobiegł utonąć w ramionach mamy, a on nagle poczuł się bezradny. Co teraz zrobić? Czy powinien ich zostawić z duszoną rybą?

– Też jestem zaproszona? – zapytała Ninni.

Nie wyczuwał w tonie jej głosu ironii ani innych dwuznaczności.

– Oczywiście – odparł i z niezbyt przyjemnym uczuciem nakrył także dla niej.

– Mamo, dlaczego nie byłaś zaproszona? – zapytał Simon.

– Ale przecież byłam. Tylko zapytałam.

– Dlaczego zapytałaś?

– Bo nigdy nie wiadomo – odparła Ninni. – To mógł być męski wieczór.

Posiłek był gotowy, więc usiedli do stołu. Fredrik nie mógł się odprężyć. Nic dziwnego – jeśli wziąć pod uwagę, jak ostatnio kończyły się ich spotkania. Podał dalej półmiski z rybą, ziemniakami i sałatką, jednocześnie bacznie obserwując uśmiech Ninni. To, że straci panowanie nad sobą w obecności dzieci, było może mniej prawdopodobne, ale nie miał całkowitej pewności. Jeśli coś ją wkurzy, może nie da rady się powstrzymać.

Jedzenie znalazło się na talerzach, zaczęli jeść i nic nie zapowiadało wybuchu. Ze zdziwieniem stwierdził, że ostatecznie spędzili całkiem miłą chwilę z całą rodziną przy jednym stole. Wyszło tak, jakby w cieniu katastrofy potrafili się zebrać i odłożyć kłótnie na bok. Przynajmniej tego dnia.

Nie mógł się nie zastanawiać, czy to on wszystko zaaranżował. Może tak naprawdę wcale nie zapomniiał, że Ninni wraca, tylko idealnie zsynchronizował w czasie podanie obiadu z jej przyjazdem? A skoro tak, co to oznaczało?

Minister sprawiedliwości jechał samotnie windą na poranne posiedzenie rządu.

Było mu bardzo nieprzyjemnie przed czekającą go decyzją o deportacji. Zbyt wiele przypominało mu o dwóch Egipcjanach z dwa tysiące pierwszego roku. Choć oczywiście aktualna sytuacja była zupełnie inna. Przy deportacji sprzed trzech lat nie było podejrzeń o związki z działalnością terrorystyczną na terytorium Szwecji. Dziś niewielu ludzi zagłosuje przeciwko tej decyzji.

Tak sytuacja wyglądała tego dnia. Nikt jednak nie wiedział, co się stanie za pół roku czy za dwa lata. Jeśli podejrzenia wobec niejakiego Saida Habiba, studenta uniwersytetu w Sztokholmie, okażą się nieuzasadnione, ale z ich powodu w swojej ojczyźnie padnie ofiarą łamania praw i swobód obywatelskich, ton wypowiedzi może szybko ulec zmianie. Można być pewnym jedynie tego, że sprawa jeszcze przez długi czas będzie pod lupą mediów.

Zanim przyjął propozycję objęcia stanowiska ministra sprawiedliwości, często reprezentował ludzi ubiegających się o azyl i był zaangażowany w kwestie uchodźców i imigrantów. Dochodzi do wniosku, że jeśli kiedykolwiek będzie mógł wrócić do podobnej działalności, nie przyczyni się do kolejnej niepewnej deportacji. Jednocześnie właśnie to musiał za chwilę zrobić, o ile nie zamierzał wstać i zrezygnować ze stanowiska. A nie zamierzał.

Sytuacja była beznadziejna. Jeśli za pół roku wybuchnie skandal, nikogo nie będzie obchodziło, w jakich okolicznościach podjęto tę decyzję. Machina pójdzie w ruch i zaczną walczyć o to, kto pierwszy zetnie mu głowę. Mógł jedynie trzymać kciuki, by tak się nie stało.

Nadal był w tym środowisku świeżakiem, ale szybko się nauczył obowiązujących zasad. Adwokaci i piłkarze błyskawicznie sobie z tym radzili.

Minister sprawiedliwości stłumił westchnienie. Przypomniał sobie, że tego samego wieczoru Portugalia i Holandia grają w półfinale, ale to było marne pocieszenie.



– Czyli została wyprodukowana materiału wybuchowego stosowanego w szwedzkim wojsku? – zapytał Gustav i opadł na jedno z krzeseł przy ścianie.

– Nie wygląda to na robotę Al-Kaidy – stwierdziła Sara.

Słońce przypiekało przez duże sufitowe okno nad schodami, które było widać z pokoju Görana.

– Czekaj chwilę – powiedziała Eva, unosząc obie ręce. – Do produkcji bomby, która wybuchła na pokładzie M/S Visby, użyto plastycznego materiału wybuchowego firmy Bofors, zwanego m46. Produkowano go wyłącznie na potrzeby szwedzkiej armii. Jak dotąd masz rację.

– Ale? – dodała Sara.

– Siedemdziesiąt kilogramów m46 zniknęło w wyniku włamania do magazynu wojskowego w Härjedalen w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim! To przecież jedenaście lat temu – odparł Lennart.

– Co byśmy bez ciebie zrobili – podsumowała Eva z lekkim uśmiechem.

Późnym wieczorem poprzedniego dnia dziura w kadłubie M/S Visby została zaspawana. Wypompowano też wodę z wnętrza promu. To oznaczało, że można było na poważnie zacząć przegląd techniczny. Mała armia techników była zajęta wywracaniem na lewą stronę pokładu dla samochodów.

Na razie stwierdzono, że bomba została umieszczona w przyczepie ciężarówki. Na pokładzie nie było kierowcy. Człowiek, który zawrócił na trapie, kimkolwiek był, prawdopodobnie nie miał z zamachem nic wspólnego.

Mieli do czynienia ze sporym ładunkiem kierunkowym m46, ważącym około dwudziestu kilogramów i wyposażonym w zapalniki elektryczne. Z bombą zegarową.

– Dopisało im szczęście – oceniła Eva. – To ładunek kierunkowy, więc musiało chodzić o przedziurawienie statku, żeby nabrał wody. Gdyby ładunek znalazł się głębiej na pokładzie samochodowym albo był skierowany w niewłaściwą stronę, zamach zakończyłby się niepowodzeniem.

– Może był w to zamieszany jeden z dokerów – podsunął Gustav.

– Albo zaryzykowali – odparł Göran. – Tak duży ładunek może narobić szkód, gdziekolwiek się znajdzie.

Göran stał przy biurku, na którym przez ostatni tydzień tylko przybywało papierów i segregatorów.

– Jak niektórzy z was być może pamiętają, włamanie w Härjedalen było dziełem tych samych ludzi, którzy stali za napadem na korpus obrony przeciwlotniczej LV3 w Norrtälje w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Zginęło wtedy pięć karabinków Ak-5, kilka innych i duże ilości amunicji. Wszyscy sprawcy należeli do małej organizacji nazistowskiej, choć może bardziej pasowałoby do niej określenie „grupka”. Liczyła zapewne maksymalnie dziesięć osób. Dwóch spośród jej członków zostało zatrzymanych po napadzie na bank ponad rok temu.

– Jeden siedzi chyba teraz w więzieniu Hall? – odparł Fredrik.

Stanął przy ścianie, w odpowiedniej odległości od szefa. Po wczorajszym wybuchu zależało mu, by się nie wychylać.

– Zgadza się – potwierdził Göran. – Sześć lat za napad z bronią w rękę i poważniejszą kradzież. Drugi dostał chyba o rok mniej. W każdym razie broń i materiały wybuchowe znalezione w domu tego pierwszego faceta, Walla, pozwoliły powiązać go z kradzieżą w Härjedalen.

– To też nie brzmi jak działania Al-Kaidy – stwierdziła Sara.

Przeciągnęła się na krześle obok Gustava i utkwiała wzrok w dużym białym sejfie po lewej stronie za drzwiami.

Kilka dni wcześniej podczas chaotycznej pracy dochodzeniowej doszła do wniosku, że musi zerwać z chłopakiem. Nie może czekać już ani dnia dłużej. Pewnie był to skutek stresu. Czuła, że sobie nie poradzi, jeśli się nie pozbędzie jednego z ciężarów.

Poszło znacznie łatwiej, niż sądziła. Miał trochę zaciętą minę, ale rozstali się jak przyjaciele. A przynajmniej odniosła takie wrażenie.

Mimo to późnym wieczorem nagle zadzwonił do jej drzwi nawalony jak stodoła. Chciał zadać wszystkie pytania, które przemilczał dzień wcześniej. Poprosiła, by sobie poszedł. Kiedy się upierał, w końcu spróbowała wypchnąć go za drzwi.

Wtedy ją uderzył. Niezbyt mocno, ale bardziej przez to, że chwiał się na nogach i miał nieskoordynowane ruchy, niż dlatego, że nie chciał zrobić jej krzywdy. Zareagowała odruchowo i wymierzyła mu prawy prosty w oko. Nie miała najmniejszych problemów z równowagą ani koordynacją.

Jego zgłoszenie spoczywało w białym sejfie – tam, gdzie lądowały tego typu dziwne sprawy.

Sama oczywiście też zawiadomiła policję. Nie obawiała się. Była dość rozbawiona, że jej życie prywatne stanie się przedmiotem wewnętrznego śledztwa.

– A pozostali? Mówiłeś, że było ich około dziesięciu. Zostali sprawdzeni? – zapytał Fredrik.

– Tak, zostali. Ci, którzy siedzą za kratkami, mają alibi na poniedziałek. I to dobre – odparł Göran.

– Mimo wszystko może warto przesłuchać Walla – podsunął Fredrik.

Podskoczyli, słysząc trzy ostre stuknięcia do drzwi.

– Proszę! – krzyknął Göran.

Drzwi otworzył Ove Gahnström – w gipsie, bandażach i z siniakami na twarzy. Wszyscy tymczasowo zapomnieli o przeglądzie technicznym i pomieszczenie wypełnił łagodny szmer wyrazów sympatii i zaciekawionych pytań. Gustav podsunął swoje krzesło i Ove, chcąc nie chcąc, został zmuszony, by na nim usiąść. Kiedy paplanina trochę się uspokoiła, Göran spojrział na niego pytająco.

– Nie myśl, że nie cieszę się na twój widok, ale czy naprawdę powinieneś tu być?

– Spokojnie, nie będę próbował pracować w takim stanie – odparł, lekko unosząc gips. – Chciałem tylko zajrzeć i się przywitać. Zaraz wracam do swoich strusi.

Göran przyjął tę wiadomość z wyraźną ulgą. Nie chciał uczynić zwyczaju z wysyłania podwładnych do domu.

– Jak wygląda sytuacja? – spytał Ove. – Słyszałem, że macie trzeciego chłopaka z Nisseviken.

– Tak, po zaimprovizowanej interwencji grupy specjalnej Broman-Wal-lin.

Ove spojrział pytająco na obu kolegów. Fredrik lekceważąco machnął ręką.

– Co takiego? – zapytał Ove, lekko rozczarowany.

– Z pewnością będą mogli cię odwiedzić w czasie twojej rekonwalescencji. Wtedy usłyszysz wszystkie szczegóły – oznajmił Göran i zrobił minę, która sugerowała, że to może być ciekawe.

Na razie jednak Eva raz jeszcze omówiła analizy techników, tym razem skrótowo.

– W takim razie koncepcja, że za wybuchem stoją arabscy terroryści, wydaje się trochę naciągana – stwierdził Ove.

– Weź jednak pod uwagę, że minęło jedenaście lat, odkąd ta nazistowska grupa weszła w posiadanie materiałów wybuchowych – rzekł Gustav.

– Sugerujesz, że sprzedali je komuś innemu? – zapytał Ove.

– Tak. W ciągu jedenastu lat mogły zawędrować naprawdę daleko. Banda nazistów może nie sprzedabyła materiałów wybuchowych islamistom, ale wielu innych pewnie by się nie zawahało.

– To samo pomyślałem – odparł Göran. – Gdyby te materiały wybuchowe zostały skradzione rok temu, nazwałbym to gorącym tropem, ale teraz... Przez taki długi czas mogły zostać sprzedane dalej wieloma kanałami.

Göran wsunął na czoło okulary do czytania.

– Ale oczywiście nie można wykluczyć, że to ugrupowanie nazistów miało coś wspólnego ze sprawą. Zbadamy to bardziej dogłębnie.

Spojrzał na Ovego.

– Może tak być?

– Doskonale. Chyba mogę liczyć, że poradzicie sobie beze mnie.

\*\*\*

Dobę po tym, jak Said Habib poleciał z Visby do Sztokholmu, nadszedł czas, by znów się oderwał od szwedzkiej ziemi. Tym razem cel lotu znajdował się dalej i było mało prawdopodobne, by Said jeszcze kiedykolwiek zobaczył Szwecję. A na pewno nie ujrzy jej bardzo długo. Mały odrzutowiec, który miał go zabrać do Kairu, mógł pomieścić trzydziestu pasażerów. W czasie tej podróży zajętych było dziesięć miejsc. Oprócz eskorty policyjnej uczestniczyło w niej dwóch urzędników państwowych i prawnik Saida. Przedstawicielka Amnesty International zaproszona na pokład odmówiła udziału w podróży, nie chcąc, by z jej obecności ktoś wysnuł błędny wniosek, jakoby Amnesty International nie tylko obserwowała, lecz także legitymizowała deportację do kraju, który, jak wiadomo, nie przestrzega podstawowych praw człowieka.

\*\*\*

Wycie silników przybrało na sile, kiedy pilot przyspieszył przed startem. Said miał skute nie tylko ręce, ale i nogi, które połączono nieprzyjemnie

krótkim łańcuchem. Kajdany na nogi zostały założone dopiero po wejściu na pokład samolotu. Said przypuszczał, że pewnie nie czuli już przymusu przestrzegania szwedzkich zasad skuwania więźniów na czas transportu. Skupianie się na takich konkretnych obserwacjach trochę pomagało, ale nawet proste rozmyślenia o sprawach praktycznych zdawały się zawierać sugestię tego, co nastąpi w przyszłości.

Said się bał. Przerażały go myśli o więzieniu, przemocy i torturach. Nie był twardzielem, tylko studentem, wychudzonym młodym intelektualistą z klasy średniej.

Czuł strach, ale jeszcze bardziej rozpacz.

Był zdruzgotany, że odebrano mu przyszłość. Wiedział, że jakkolwiek to wszystko się skończy, nic nie będzie wyglądało tak, jak sobie zamierzył. Wyda swojego świeżo nawróconego przyjaciela z dzieciństwa. Nie miał powodu tego nie robić, a nawet gdyby chciał postąpić inaczej, wiedział, że nie będzie w stanie milczeć. Nawet jeśli w Egipcie istniała sprawiedliwość, a on z czasem dowiedzie swojej niewinności i zostanie zwolniony z więzienia, jego plany i tak nigdy się nie ziszczą.

Szukał pocieszenia w swojej rozpacz. Pocieszenia i ochrony. Albowiem rozpacz była silniejsza niż strach.

\*\*\*

Jesper siedział na jednym z wysłużonych krzeseł z metalowych rurek, z siedziskiem i oparciem, z których płatami odpadała czerwona farba. Podniósł wzrok na nadjeżdżający samochód, kilka razy przejechał dłonią po ogolonej głowie i odłożył czytana książkę.

– Siema! – zawołał w swoim trochę chrapliwym sztokholmskim dialekcie. – Gadaj mi tu zaraz, co kombinujecie. Dopiero przyplłynąłem promem. Musiałem dzwonić i się podlizywać szefowi działu informacji Destination Gotland. Zdarzyło mi się już wykonywać dla nich jakieś prace.

Fredrik sporo rozmyślał, jak to będzie dzielić dom w Vamlingbo najpierw z Jesperem, a potem także z jego dwiema córkami i nową dziewczyną. Kiedy jednak zobaczył Jespera popijającego piwko w wieczornym słońcu za niskim wapiennym murkiem, poczuł, że miło będzie mieć towarzystwo. Cholernie miło.

Jesper zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę.

– Wybawca w potrzebie – powiedział Fredrik i uściśnął mu dłoń.

– Co takiego? – odparł Jesper. – Chyba nie nadążam.  
– Mam na myśli dom. Wybawca to ty. Ja jestem w potrzebie.  
– Oj, daj spokój. I tak tu stoi. Jak tam? Jaki jest plan? Rozwód, pojednanie czy co?

Fredrik wzruszył ramionami.

– Właściwie to nie wiem.

– Okej – odparł Jesper i już więcej nie naciskał.

Zgarnął książkę, którą chwilę wcześniej odłożył.

– Musisz to przeczytać – oznajmił, trzymając okładkę tak, by Fredrik mógł zobaczyć napisy. Joyce Carol Oates, *On Boxing*.

– Na stu dwudziestu stronach udało jej się uchwycić esencję boksu. Niewiarygodne. Czytam już trzeci raz. Jeśli ktoś miałby przeczytać tylko jedną książkę o boksie, powinien wybrać właśnie tę.

– Nie jestem taki pewny, czy powinienem przeczytać choćby jedną książkę o boksie – odparł Fredrik.

– Oj, daj spokój. Obiecuję, że nie będziesz rozczarowany. Dziś wieczorem skończę i będziesz mógł ją zabrać.

Zanim Fredrik przeniósł się na Gotlandię, Jesper włożył mnóstwo energii w próby ściągnięcia go na salę treningową. W końcu się spakował i pojechał. Miał dwa próbne treningi w ciągu dwóch tygodni, słaniał się po ringu, dopóki nie poczuł, że zaraz zemdleje, odpierał grad ciosów, które zadawali żądni krwi mężczyźni w średnim wieku, a Jesper wykrzykiwał instrukcje: „Uderzaj w głowę, do cholery, przecież nie masz trafiać w gardę!”.

Podobało mu się to. Tyle tylko, że w niewłaściwy sposób. Budziło do życia takie jego cechy, które lepiej chyba byłoby pozostawić uspione. Dlatego przestał równie szybko, jak zaczął.

– Taa... lepszy już ten boks niż golf – odparł i przypomniał sobie, ile razy próbował go na golfa namówić inny znajomy.

– Golf! – wycedził Jesper, kręcąc głową.

Odrzucił książkę na stół.

– Mój trener uważa, że za rok powinienem profesjonalnie zadebiutować w Mombasie.

Wybuchnął śmiechem i popatrzył na Fredrika dzikim wzrokiem.

– Co ty na to? Mombasa. W wieku cholernych czterdziestu lat!

– Jasne, próbuj – odparł Fredrik.

– Ha, ha! Problem tylko w tym, że to wymaga treningów siedem dni w tygodniu przez rok. Emma chyba nie byłaby zachwycona.

Jesper zrobił w tył zwrot, wbiegł do domu i wrócił z piwem dla Fredrika.

– Miałeś ochotę, prawda? – spytał i usiadł z powrotem. Fredrik zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Jasne. Dzięki.

– Cholera, co za historię usłyszałem kilka dni temu – zaczął Jesper. – Mój znajomy, nieważne który, opowiedział mi, że rok temu próbował popełnić samobójstwo.

– Zapowiada się wesoło – odparł Fredrik.

– Wiem, ale poczekaj – odparł Jesper i łąpczywie upił kilka łyków piwa. Kilka kropel wylało się na jego znoszoną koszulkę Mötley Crüe, którą kupił w second handzie w Los Angeles.

– Przez kilka lat chłopak był cholernie zdołowany. Miał coś w rodzaju depresji. Próbował terapii, ale nie pomogła. Pewnego dnia powiedział sobie: „W cholerę z tym wszystkim”. Poszedł do lekarza, skarżąc się na bóle pleców, bo gdzieś wyczytał, że połączenie silnych leków przeciwbólowych z alkoholem to dobry i bezbolesny sposób, by się zabić. Lekarz przepisał mu słoiczek z osiemdziesięcioma tabletkami leku o nazwie Distalgesic, a on pognął z nimi do domu. Tyle tylko, że nie chciał robić tego tam. Nie uśmiechało mu się leżeć i gnić na podłodze w kuchni przez trzy tygodnie, zanim ktoś go znajdzie.

– Zapobiegliwie z jego strony – wtrącił Fredrik.

Jesper wyglądał na rozweselonego. Na razie Fredrik miał kłopot z dostreżeniem komizmu sytuacji. Zdarzało mu się wchodzić do mieszkań, w których samobójcy „gnili” na podłodze w kuchni. Powstrzymanie się od śmiechu przychodziło mu z łatwością.

– Rozwiązaniem może być zameldowanie się w hotelu. Zarezerwował więc pokój, mając przy sobie w torbie słoiczek distalgesicu i zero siedem wódki. Doszedł do wniosku, że jeśli zrobi to wczesnym wieczorem, będzie miał wystarczająco dużo czasu na śmierć, bo znajdą go pewnie następnego dnia przed południem. Taki był plan. Tylko że – Jesper uniósł palec wskazujący – w tym momencie popełnił błąd. Jakkolwiek na to spojrzeć. Zaczyna pić. Ma zamiar wlać w siebie pokaźną dawkę alkoholu, a potem połączyć tabletki. Prawdopodobnie jeszcze się waha. Odebranie sobie życia zapewne nie jest łatwe, nawet jeśli człowiek tego chce. Ale alkohol ma mu dodać odwagi. I dodaje. Po chwili facet jest już kompletnie zalany i w imprezowym nastroju.

Jesper nie potrafił już się powstrzymać i wybuchnął głośnym śmiechem, rozbawiony opowiadaną historią.

– No i co się stało? Dał sobie spokój z tabletkami i zszedł do baru. Spędził cały wieczór w hotelowym barze, zaczął gadać z jakąś dziewczyną i zaprosił ją do swojego pokoju. Obudził się z kacem gigantem, ale żywy. I doszedł do wniosku, że właśnie tego chce. Nadal żyć. Mowy nie ma o samobójstwie. Wyrzucił tabletki do śmieci, opłacił rachunek i wrócił do domu.

– Mógł zażyć jedną z tych tabletek, żeby zwalczyć ból głowy – zauważył Fredrik.

– Ale wspaniale, co? – zapytał Jesper.

– Tak – zgodził się Fredrik. – Naprawdę radosna historia. Morał brzmi: „Więcej wódki dla tych, którzy są w depresji”.

– Ej, cholera, nie bądź taki. Musisz dostrzec w tym poezję. Właśnie w tej unikalnej historii. Nie zaczynaj ze mną tej swojej gównianej kryminologii.

Fredrik pomyślał, że to będzie długie wspólne lato.



Eva Karlén przyszła osobiście, żeby przedstawić rezultat.

– Gotlandsfrakt? – zapytał Göran Eide. – Nie ma żadnych wątpliwości?

– Nie, wiadomo na sto procent – odparła Eva.

Niecałe cztery doby od eksplozji na pokładzie M/S Visby technikom kryminalistyki udało się ustalić, że naczepa, w której umieszczono bombę, była własnością firmy Gotlandsfrakt AB.

Nowoczesne tablice rejestracyjne stopiły się i nic z nich nie zostało, ale mogli skorzystać z innych wskazówek: typu naczepy, koloru, fragmentów logotypów, modelu agregatu chłodniczego, pozostałości po numerze podwozia. Wszystko zostało porównane z listami Destination Gotland i danymi pozyskanymi z rejestru pojazdów i od firm spedycyjnych, które nadawały ładunek w poniedziałek o godzinie 19.10.

– Sprawdziłam listy – oznajmiła Eva. – Gotlandsfrakt miał na pokładzie trzy przyczepy.

– A ta z bombą to FLG 891 – stwierdził Göran, zerkając na kartkę, którą położyła na jego biurku.

Nie musiała odpowiadać. Prawa ręka Görana już wykonała ruch w kierunku książki telefonicznej. Znalazł numer do Gotlandsfrakt i sięgnął po słuchawkę. Już miał wcisnąć pierwszą cyfrę, kiedy uświadomił sobie, że jest sam w pokoju.

– Dobra robota! – krzyknął w kierunku drzwi, mając nadzieję, że Eva nie zdążyła odejść zbyt daleko i go usłyszała.

Po pewnych trudnościach w końcu połączył się z kimś, kto mógł mu pomóc.

– Zobaczmy... Ustalenie tego nie powinno stanowić problemu – oznajmiła z ociąganiem rozmówczyni.

Słyszał stukanie w klawisze. Czekał.

– O proszę, mamy. FLG 891, dwudziesty ósmy czerwca, poniedziałek – kontynuowała kobieta w ten sam denerwująco ociężały sposób.

– Tak?

Göran zaczął bębnić długopisem w notes.

- Załadowywali jajka w czterech różnych punktach. Dwóch w Burgsvik i dwóch w Grötlingbo.
- Ta przyczepa była wypełniona jajkami?
- Tak. Pół miliona jajek czy coś koło tego.
- Kim byli klienci?
- W Burgsvik firma AB Suderägg, ten sam klient pod dwoma adresami. W Grötlingbo zaś Gert Fält AB. Tu również w obu filiach pojawił się ten sam klient.

\*\*\*

Strażnik w niebieskich spodniach i szarej koszuli wprowadził Fredrika do jednego z pokoi przesłuchań w więzieniu Hall. Była to malutka salka z dwoma przytwierdzonymi do posadzki drewnianymi stołami o ciemnoszarej, niemal czarnej powierzchni oraz z dwoma krzesłami. Przez zakratowane okno od północy wpadało do środka niebieskawe światło. Drzwi zamknęły się za jego plecami. Spojrzał na Mikaela Walla, który już siedział przy stole. Mężczyzna miał dwadzieścia dziewięć lat, urodził się i dorastał w Eskilstunie, lista jego grzeszków była długa, ale dopiero nieco ponad rok wcześniej po raz pierwszy dało się go powiązać z poważniejszym przestępstwem.

Fredrik wyciągnął rękę na powitanie. Mikael Wall ścisnął ją bez słowa. Był wyrośnięty, a jego ramiona i barki świadczyły o tym, że ciężko pracował ze sztangą. Spojrzenie Walla było chłodne i zdystansowane. Fredrik zaszczał krzesłem, odsuwając je od stołu. Usiadł.

– Jedenaście lat temu uczestniczył pan we włamaniu do magazynu wojskowego w Härjedalen – zaczął Fredrik. – Pan z Perem Nilssonem i może jeszcze kilkoma innymi osobami wszedł w posiadanie co najmniej siedemdziesięciu kilogramów m46, a poza tym wielu sztuk broni.

– Tak jest napisane w protokole – odparł Mikael Wall z pokerową twarzą. Fredrik odwzajemnił jego spojrzenie. Nie będzie łatwo, pomyślał.

– W pańskim domu półtora roku temu zostały znalezione cztery kartonowe pudła, a w każdym z nich kilogram m46. Wie pan, co się stało z pozostałymi sześćdziesięcioma sześcioma kilogramami? – zapytał.

Mikael Wall skrzyżował ręce. Jego już i tak wydatna muskulatura wydawała się jeszcze większa. Rękawy białej koszulki były opięte. Na jednym ramieniu, dokładnie w miejscu, gdzie kończył się rękaw, można było do-

strzec czarny tatuaż. Wyglądał jak błyskawica z cyframi jeden i dziewięć po obu stronach.

– Sprzedaliście je?

Na ustach Mikaela Walla pojawił się lekki uśmiech. Pełen pogardy. Mężczyzna się nie odzywał.

– Dostał pan już wyrok za to przestępstwo. Nie o pana mi chodzi. Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie one mogą teraz być – oznajmił Fredrik.

– Nie mam pojęcia. Minęło już tyle czasu. Proszę zapytać kogoś z tych, o których pan wspominał. Może będą lepiej zorientowani.

– Kiedy po raz ostatni widział pan te materiały? – zaryzykował Fredrik.

– Z tego co pan powiedział, wynika, że więcej osób dokonało napadu, za który ja zostałem skazany. To przecież może oznaczać, że nigdy ich nie widziałem.

– Cztery kilogramy znaleziono w pańskiej piwnicy.

– Tak, to dziwne. Zastanawiałem się przez półtora roku, jak mogły tam trafić. Przychodzi mi do głowy tylko to, że ktoś musiał je podrzucić.

Tak też twierdził podczas procesu.

– Możliwe, że przez ten materiał wybuchowy zginęło dziewięć osób. Dziewięcioro pańskich rodaków. Kobiety i dzieci. Czy to nic dla pana nie znaczy? – zapytał Fredrik.

Mikael Wall milczał.

\*\*\*

Kiedy strażnik wyprowadzał Walla korytarzem o błyszczących ścianach, Fredrik skorzystał z okazji i zapytał o tatuaż.

– Ach, to – odpowiedział mężczyzna. – Oni lubią takie zabawy z cyframi. Ale wyjaśnienie przeważnie jest proste.

– Najwyraźniej nie dość proste dla mnie – odparł Fredrik, zastanawiając się, kiedy strażnik przejdzie do rzeczy.

– To nie błyskawica, tylko litera S. Storm 19, tak się nazywa milutka grupka nazistów, którzy wzięli na siebie zadanie zreformowania szwedzkiego społeczeństwa. Siłą, jeśli będzie trzeba. Nie brakuje takich grup. Najczęściej liczą nie więcej niż cztery, pięć osób.

– A dziewiętnaście? Co oznacza?

– Dziewiętnastą literę alfabetu łacińskiego. Czyli? – zapytał strażnik jak nauczyciel.

Fredrik musiał policzyć.

– S – odpowiedział po chwili.

– Zgadza się. SS albo *Schutzstaffel*. Po prostu.

\*\*\*

Gustav zrobił się głodny i uznał, że powinien znaleźć kogoś, z kim mógłby zjeść lunch, gdy do jego gabinetu wparował Göran.

– Bomba na M/S Visby była ukryta w naczepie, razem z tysiącami jaj, między innymi z fermy Gerta Fälta z Grötlingbo – powiedział i położył na biurku Gustava kartkę wyrwaną z kołonotatnika.

– Fält. Niech to szlag – skwitował Gustav. – Myślisz, że to on?

– Tak czy inaczej go zatrzymamy. I wywrócimy całe gospodarstwo do góry nogami. Włącznie z kurnikami. Najpierw jednak chciałbym, abys przesłuchał kierowcę, który wjechał z tą przyczepą na statek. Tu masz nazwisko i numer telefonu – oznajmił Göran i wskazał kartkę. – Odszukaj go natychmiast. Nie obchodzi mnie, co teraz robi. Trzeba go przesłuchać, i to już!

– W takim razie mam nadzieję, że nie przebywa na kontynencie – powiedział Gustav.

– Znajduje się na wyspie, więc nie ma problemu – odparł Göran. – Odebrał pustą przyczepę o siódmej w poniedziałek rano i za piętnaście trzecia zostawił ją w porcie wyładowaną jajkami. Chcę mieć sprawozdanie, sekunda po sekundzie, aż do momentu, gdy przekazuje naczepę pod opiekę Destination Gotland. Godziny, miejsca, informacje, gdzie zostawił przyczepę bez nadzoru, kto mógł mu pomagać w załadunku, kogo spotkał podczas pracy, kogo choćby widział tamtego dnia. Wszystko.

Björn Holst siedział za kierownicą jednej z wielkich ciężarówek Gotlandsfrakt i jechał do portu w Visby po kontener, kiedy zadzwoniono do niego z policji.

Samochód był pusty. Zwykle kiedy odpinano mu kontener albo naczepę, zamieniano je na inne, ale tym razem było inaczej.

Björn Holst zaczął tłumaczyć, że musi tylko odebrać tamten kontener i dostarczyć go klientowi w Smittenslund, co zajmie maksymalnie pół godziny. Potem pojedzie prosto do komisariatu. Policjant jednak nie chciał o tym słyszeć. Zażądał, by Holst przyjechał od razu, bez chwili zwłoki.

Björn pomyślał, że pod tym względem policjant nie różni się od klientów, z którymi ma do czynienia. Szybka dostawa. Najlepiej na wczoraj. Nigdy nie chcą słuchać, gdy ma się jakieś „ale”.

Siedział teraz w sali przesłuchań na parterze komisariatu i gładził się po brodzie, świeżo wypielegnowanej na lato.

– Niech to szlag! Mówi pan, że bomba znajdowała się w naczepie, którą zostawiłem?

– Tak właśnie było – odparł Gustav.

Björn Holst zdeglustowany pokręcił głową. Uświadomił sobie, że spędził z tą naczepą cały dzień. Miał ją dosłownie kilka metrów za plecami. Pomyślał o zniszczonym promie, który widział na własne oczy zaledwie kilka minut wcześniej. Gdyby bomba wybuchła, kiedy jechał sto czterdziestką dwójką, można byłoby go zbierać pęsetą. O ile w ogóle dałoby się znaleźć jakieś szczątki.

– Ale jak, do cholery, ta bomba się tam znalazła? Przecież kiedy wyjeżdżałem, naczepa była pusta.

Jeśli sam ją tam podłożył, jest naprawdę dobrym aktorem, pomyślał Gustav. Przerazająco dobrym. Stawiał jednak, że sprawcą jest Gert Fält. Naziści z Grötlingbo.

– Nie wiemy. I dlatego to niezwykle ważne, aby opisał nam pan wszystko tak szczegółowo, jak to tylko możliwe.

– Rozumiem – odparł Björn Holst.

Oparł ramiona na krawędzi stołu i nachylił się nad blatem.

– Można się chyba cieszyć, że nie spartolili ustawiania czasu.

Podniósł wzrok na Gustava.

– Wiem, że to nie jest temat do żartów, ale jeśli człowiek pomyśli, co mogło się stać, gdyby... Oczywiście wiem, że na tym promie zginęli ludzie.

– Dziewięć osób – uściślił Gustav.

– Tak – odparł Holst i zamilkł.

– Zaczniemy od początku. Gdzie i kiedy odebrał pan naczepę?

– W Gotlandsfrakt, tu w mieście. To moje pierwsze zadanie w ciągu dnia, więc robię to około siódmej.

– A który adres był pierwszy? – spytał Gustav.

Nagrywał przesłuchanie na taśmę, ale kluczowe słowa zapisywał w notesie.

– Firma Suderägg z Burgsvik. Mają dwa oddziały. To tak naprawdę Öja, ale zazwyczaj mówimy Burgsvik. Pierwszy znajduje się w Unghanse. To gospodarstwo. Oprócz tego mają jeszcze nową siedzibę z trzydziestoma pięcioma tysiącami kur, pod którą wycięli las na południu od Sibbenarve.

– Czyli do Unghanse pojechał pan z pustą naczepą?

– Tak, zgadza się. Chociaż zależy, co rozumiemy pod hasłem „pusta”. Mam palety i puste opakowania. Wie pan, takie kartonowe wytłoczki.

Narysował ich kształt w powietrzu.

– Czyli odebrał je pan gdzieś po drodze? – spytał Gustav.

– Nie, nie. Kupujemy je w Sztokholmie i magazynujemy u siebie. Ale były przygotowane późnym wieczorem poprzedniego dnia. Czyli w piątek.

– Palety i wytłoczki były już w naczepie, kiedy odebrał ją pan rano? Dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– I stały załadowane do naczepy na terenie Gotlandsfrakt od piątkowego wieczoru?

– Od czwartej po południu w piątek. Ale jeśli pan myśli, że coś zostało między nimi umieszczone, to powiem, że nie mogło tak być. Wszystko zostawiam w Suderägg i w Fält AB, a potem ładuję palety z napełnionymi wytłoczkami.

– Okej – odparł Gustav. – Rozumiem. I nie ma żadnego innego miejsca w przyczepie, w którym mogłaby być schowana bomba?

– Nie. Taśmy mocujące wiszą na ścianach. Nie ma żadnych skrzynek ani niczego takiego.

– Kiedy dotarł pan do Unghanse?

- Kilka minut po ósmej.
- Rozumiem, że zostawił pan tam opakowania i załadował jajka.
- Tak.
- Ile czasu to zajmuje?
- Powiedziałbym, że godzinę – odparł Björn Holst.
- Godzinę? To chyba dość długo?
- Zgadza się, w końcu mamy do czynienia z jajkami. Nie można nimi rzucać.
- Oczywiście, to prawda. Zajmuje się pan tym sam czy pomaga panu ktoś z gospodarstwa?
- Zwykle ktoś mi pomaga. W poniedziałek też pomagał.
- Kto to był?
- A wie pan, że nie mam pojęcia, jak on się nazywa? Pracuje tam sporo osób. Bywali Polacy, chyba też Jugosłowianie.
- Jugosłowianie? – powtórzył Gustav.
- Tam chyba mieszkają muzułmanie? – zastanawiał się. Czy mudżahedini z Afganistanu nie przybyli do Jugosławii, gdy wojna domowa w Afganistanie dobiegła końca? Czy wtedy przeprowadzili się muzułmanie, czy tamci drudzy? A może i ci, i ci? Nie bardzo się orientował.
- Chyba tak – odparł Holst. – Jugosłowianie czy jak tam ich się teraz nazywa.
- Myśli pan, że ten ktoś, kto pomagał panu w poniedziałek, pochodził z któregoś z krajów byłej Jugosławii?
- Nie wiem. Wydaje mi się, że mieli tam Jugosłowian, ale czy akurat tamten chłopak...
- Okej, rozumiem – odparł Gustav i zapisał: „Jugosłowianin?”, ale poczuł, że ten pomysł blednie. Nadal stawałby na Fälta.
- Czy podczas całego procesu ładowania ma pan naczepę na oku? – zapytał.
- Mniej więcej. Jeśli pan pyta, czy widzę ją przez cały czas, to odpowiedź brzmi „nie”. Wchodzę jeszcze na chwilę do kurnika.
- Jak długo nie widzi pan wtedy przyczepy?
- Raczej krótko. Może pięć minut. Maksymalnie dziesięć, jeśli przystaję, żeby z kimś pogadać.
- Czy w poniedziałek to się zdarzyło?
- Nie, te chłopaki nie znają zbyt dobrze szwedzkiego.

\*\*\*

– Co poniedziałek jeździ tą samą trasą. Od września, kiedy została ukończona nowa siedziba Suderägg, trzymał się tego samego planu. Holst twierdzi, że jest bardzo punktualny.

Gustav siedział u Görana razem z prokuratorem Peterem Klintem, Sarą i z Fredrikiem, który właśnie wrócił od Halla.

– Czyli te zwyczaje mogło znać wiele osób – stwierdziła Sara.

– Zgadza się – potwierdził Gustav i kontynuował sprawozdanie: – Piętnaście po dziesiątej Holst miał już odhaczone obie siedziby w Burgsvik. Pomagający mu chłopak to zresztą Polak, potwierdziłem to w rozmowach z kilkoma osobami, które tam znam. Potem, piętnaście po dziesiątej, a najpóźniej w pół do jedenastej odpiął naczepę i pojechał pustą ciężarówką do Folkeryds na lunch. Nie było go jakieś pół godziny, sama jazda zajęła mu tylko kilka minut. To jedyny moment, w którym zostawił przyczepę bez nadzoru przez dłuższy czas. Potem pojechał do Grötlingbo i załadował kolejne jajka w dwóch siedzibach firmy Gerta Fälta. Stamtąd kieruje się prosto do portu.

– Czy ktoś był w kurniku, kiedy naczepa tam stała? – zapytał Fredrik.

– Nie, Polak odjechał na rowerze, jak tylko skończyli ładować. Ja tu widzę trzy możliwości. Bomba została umieszczona w naczepie, kiedy Holst jadł lunch, albo znajdowała się w specjalnie przygotowanym wózku z wytłoczkami do jajek, który został załadowany przez kogoś z Suderägg albo Fält.

– A port? – spytał Göran, patrząc na Sarę.

– Bardziej wierzę w Burgsvik albo Grötlingbo. Przed wjazdem na pokład M/S Visby przyczepa przez mniej więcej cztery i pół godziny stała na ogrodzonym terenie Destination Gotland. Pojazdy towarowe są oddzielone od osobowych, więc w grę może wchodzić tylko personel zajmujący się nimi. No i oczywiście pewna liczba kierowców zawodowych. Nawet jeśli te ustawione naczepy nie znajdują się pod ciągłą obserwacją, wiele osób ma je na oku. Ludzie, z którymi rozmawiałam, twierdzili, że gdyby przy naczepach kręcił się człowiek z zewnątrz, ktoś by go zauważył.

– Jasne, że będą tak mówić – odparł Fredrik.

– Nie wierzę, że tak było po prostu dlatego, że to najgorszy wariant. Ryzyko przyłapania jest największe. Nawet kilkuminutowe przerwy, kiedy ludzie wbiegają i wybiegają z wózkami pełnymi jajek, są bardziej dogodne.



Göran wstał i zdjął okulary.

– Musimy sprawdzić wszystkich, którzy byli w pobliżu tej przyczepy i czterech ferm.

Odwrócił się do Klinta.

– Najpierw jednak chcę zatrzymać Fälta i tego Tommy’ego Johanssona. Nawet jeśli w poniedziałek nie pracował dla Fälta, na pewno zna zwyczaje zarówno w gospodarstwie, jak i związane z transportem.

– Zatrzymamy też Stellana Johanssona i przeprowadzimy rewizję w obu miejscach – powiedział Klint, poprawiając kołnierz marynarki. Ale jeśli nic nie znajdziemy albo nie dowiemy się niczego podczas przesłuchań, nie będziemy mogli ich trzymać dłużej niż jeden dzień.

– A poza tym ten chłopak z Burgsvik, który zapewnił Tommy’emu Johanssonowi alibi na Nisseviken – powiedział Göran, gestykulując okularami, które trzymał w ręce.

– Niklas Ahlskog? – spytała Sara.

– Tak. Jego też powinniśmy zatrzymać. On i Tommy może tylko udają przed nami, że tak słabo się znają.

– Zrób to – odparł Klint. – Tam też przeprowadźmy rewizję.

– Dobrze – zgodził się Göran. – Będzie trzeba to zaplanować w najdrobniejszych szczegółach. Nie chcę więcej krwawej łaźni.

Siedem minut po szóstej w sobotni poranek dwa pojazdy zjechały z trasy sto czterdzieści dwa i skierowały się na Kattlunds. Nad drogą, która poza tym była pusta, świeciło słońce, a niebo było błękitne.

Nieoznakowane pojazdy – volvo i niebieski volkswagen bus – stanęły trzysta metrów od gospodarstwa Gerta Fälta. Szybko i cicho sześciu mężczyzn tworzących grupę specjalną wysiadło z busa. Po krótkiej naradzie ruszyli w kierunku domu, w którym Fält i jego żona nadal spali. Przynajmniej jeśli wierzyć sprawozdaniu Fälta z jego porannych zwyczajów.

W drugim samochodzie znajdowali się Göran Eide, Gustav i ich dwaj koledzy z policji porządkowej, którzy podczas zatrzymania mieli pilnować, by droga była zagrodzona. Akcja została starannie przygotowana.

W porozumieniu z Göranem i szefem policji porządkowej komendantka zdecydowała, że należy wezwać grupy specjalne. Nie chciano podejmować żadnego ryzyka. Człowiek, który był na tyle szalony, by wysadzać w powietrze prom z niewinnymi ludźmi na pokładzie, nie zawaha się, gdy będzie trzeba w nerwowej sytuacji użyć przemocy wobec policji.

Zbliżali się do domu. Osłonięci przez duży jaśmin mogli się skradać, nie będąc zauważeni. Okna znajdowały się wysoko. Kiedy stali przyciśnięci do fasady, nie musieli nawet kucać, by pozostać w ukryciu.

Czując intensywny zapach jaśminu, członkowie grupy zajęli pozycje. Cztery osoby przy wejściu, żeby obezwładnić Fälta, a dwie dalej, po obu stronach domu, na wypadek gdyby ktoś z domowników próbował uciec.

Wystarczyło już tylko czekać na sygnał dowódcy akcji. Plan zakładał, że Gert Fält zostanie zatrzymany, gdy będzie wychodził z domu około wpół do ósmej. Fält był zwalisty i ciężki. Gdyby postanowił stawiać silny opór, mógłby stanowić problem nawet dla dwóch wysportowanych policjantów. Dlatego przy drzwiach było ich czterech. Jak tylko Gert Fält zostanie zakuty w kajdanki, dwóch z nich dostanie się do środka i zabezpieczy dom.

Taki był plan. Dlatego czterech funkcjonariuszy czekających przy drzwiach zawahało się na chwilę, gdy już cztery minuty przed siódmą otworzyły się drzwi i Gert Fält wyszedł na schody.

\*\*\*

Kiedy otwierał drzwi swojego domu w Hablingbo, Niklas Ahlskog wstał mleko do lodówki i wsuwał tubkę z serkiem szynkowym na jedną z półek w drzwiczkach. Potem poszedł do łazienki i umył zęby. Szczotkował je starannie przez trzy minuty.

Bardzo dbał o higienę. Szczególnie jamy ustnej. Sama myśl o wejściu do poczekalni w przychodni dentystycznej napawała go przerażeniem. Pójście o krok dalej – wyobrażenie sobie siebie na fotelu u dentysty – przekraczało możliwości jego wyobraźni.

Kiedy zęby już lśniły, wyszedł do przedpokoju. Przejrzał się w lustrze, zaczesał włosy za uszy, włożył czapkę z daszkiem i zamknął drzwi do swojego małego mieszkania. Kawalerka mieściła się w dużej i starej willi przebudowanej na dom wielorodzinny.

Przeciął trawnik ocieniony trzema dużymi kasztanowcami. Do zakładu stolarskiego miał mniej więcej dwie minuty spacerem.

Dokładnie w chwili, gdy zamknął za sobą furtkę, po jego lewej stronie pojawił się inspektor policji Leif Knutsson. Chwycił Niklasa za lewe ramię zdecydowanym, ale niebrutalnym ruchem. Niemal jednocześnie kolega Knutssona, Johannes Persson, znalazł się po prawej stronie Niklasa i chwycił go za prawe ramię. Niklas usłyszał za plecami jakieś skrzypnięcie, a zaraz potem poczuł na nadgarstkach zimny metal.

Knutsson spokojnym i opanowanym głosem wyjaśnił, że są z policji, a on zostaje zatrzymany i ma się udać z nimi do Visby na przesłuchanie.

Niklas Ahlskog oniemiał i zamarł w bezruchu. Ostrożnie się rozejrzał i dostrzegł dwóch innych policjantów – jednego trzydzieści metrów przed sobą na skrzyżowaniu i drugiego dziesięć metrów za nim. Obaj mieli kamizelki kuloodporne i gotowe do strzału pistolety.

Niklas przełknął ślinę i spojrzał na Knutssona. Nie mógł się poruszyć, ale nie stawiał też żadnego oporu.

– Podejźmy do tamtego rogu i wsiądźmy do samochodu – oznajmił Knutsson pouczającym tonem.

Niklas Ahlskog wolno stawiał stopy. Wszystko wokół wydawało mu się nierealne. Kiedy skręcił za róg i zobaczył radiowóz, przemknęło mu przez głowę, że przynajmniej nie musi jechać do dentysty.

Ta myśl trochę poprawiła mu samopoczucie.

\*\*\*

Nikt się nie spodziewał, że Gertowi Fältowi aż tak będzie się spieszyło do otwarcia porannej gazety i przekonania się, że i tego dnia opinia publiczna była niechętna uchodźcom. Przecież zawsze wolał wiadomości w radiu.

Nie wahali się jednak dłużej niż kilka chwil. Kiedy Fält zszedł po schodach i zrobił dwa kroki w kierunku skrzynki na listy, rzucili się na niego. Postawny mężczyzna zeszywniał i zaczął się bronić, gdy chwytaly go obce ręce. Nie mógł jednak wiele zdziałać, gdy przewróciło go czterech mężczyzn.

To była kwestia zaledwie sekund, zanim znalazł się na ziemi, z nosem wciśniętym w krótko skoszoną trawę.

Kiedy wkrótce potem dwóch mężczyzn w pełnym rynsztunku i z wyciągniętą bronią automatyczną wpadło do domu, Margareta Fält zaczęła panicznie krzyczeć. Nie była kobietą, która miałaby w zwyczaju wpadać w histerię, ale interwencja grupy specjalnej wyprowadziłyby z równowagi nawet najbardziej opanowaną osobę. Należało brać to pod uwagę.

Zabezpieczenie domu zajęło im pół minuty. Potem Göran mógł wejść, by spróbować ją uspokoić i wytłumaczyć, co właśnie im się przydarzyło. Zdążyła już się uspokoić na tyle, by przeczytać słowo „policja” wypisane wielkimi literami na plecach członków grupy. Zanim Göran zdążył otworzyć usta, „zażądała” wyjaśnienia. Szybko podkreśliła, że ma swoje prawa i zamierza złożyć zażalenie na wszystkich funkcjonariuszy, którzy wzięli udział w tym zakłóceniu miru domowego.

Jedno warte drugiego, pomyślał Göran i poprzestał na poinformowaniu jej, że nie zostaje zatrzymana, ale musi pojechać z nimi do Visby na przesłuchanie. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że dla zasady będzie stawiała opór. Po kilkuminutowym słuchaniu jej słowotoku myśl, że będą musieli ją wynieść, wydawała się naprawdę kusząca.

\*\*\*

Niecałe pół minuty po tym, jak silne ręce Gerta Fälta zostały skute – tak, tym razem naprawdę użyli kajdanek – członkowie drugiej grupy specjalnej z gotlandzkiej policji otrzymali sygnał, na który czekali.

Drzwi domu Johanssona w Hablingbo nie były nawet zamknięte na klucz. To ułatwiło sprawę. Mogli wejść po schodach i praktycznie bezsze-

lestnie dostać się do kuchni. Gdyby nie byli tak skoncentrowani na zadaniu, usłyszeliby pianie koguta w sąsiednim gospodarstwie.

Natychmiast zauważyli monstrualną postać Stellana Johanssona leżącą na sofie w dużym pokoju. Przystanęli i zaczęli nasłuchiwać. Nie ulegało wątpliwości, że Johansson spał. Oddychał głęboko i spokojnie.

Dwaj spośród mężczyzn zostali przy nim. Nie powinien się obudzić, dopóki nie zatrzymają jego syna.

Z największą ostrożnością czterej pozostali ruszyli po schodach na piętro.

Tommy Johansson najwidoczniej miał lekki sen. Kiedy namierzyli jego pokój, już siedział na łóżku i z przerażeniem wpatrywał się w drzwi.

To, co zobaczył, najwyraźniej nie skłaniało do stawiania oporu: czterech ubranych na czarno policjantów, w tym dwóch celujących prosto w niego z broni automatycznej. Nie miał najmniejszych problemów z wykonaniem wykrzychanego rozkazu, by położyć ręce na karku.

– Twierdzicie najzupełniej poważnie, że miałbym z zimną krwią zabić dziewięcioro moich rodaków, kobiet i dzieci? – ryknął Gert Fält i oskarżycielsko wycelował palec we Fredrika i Gustava.

Wstał tak gwałtownie, że za jego plecami przewróciło się krzesło.

– Całe szczęście, że nie jesteśmy u mnie w domu. Wyrzuciłbym was za drzwi. Własnoręcznie.

Gert Fält oparł ręce na biodrach i popatrzył z góry na dwóch mężczyzn po drugiej stronie stołu.

– Kurwa mać – zaklął.

Jego słowa ociekały pogardą.

– Nie jesteśmy u pana w domu. Proszę usiąść i zacząć odpowiadać na pytania w sposób opanowany, bo inaczej zamkniemy pana w areszcie do czasu, aż się pan uspokoi – ostrzegł Fredrik.

– Dobra, zróbcie to. Zabierzcie mnie do aresztu. Wolę celę niż siedzenie tutaj i słuchanie was dwóch! – wrzasnął Fält.

Wyglądało to tak, jakby sam się nakręcał swoim wybuchem. Może wyobrażał sobie, że cała scena rozgrywa się na oczach publiczności, która wielbi go jako swego rodzaju bojownika o wolność.

Gustav westchnął.

– Jest pan tego pewny? – zapytał.

– Weźcie mnie do aresztu! – krzyknął Fält i wyciągnął przed siebie rękę niczym dowódca na polu bitwy.

O mój Boże, pomyślał Gustav.

\*\*\*

Z okna sypialni Tommy’ego Johanssona widać było oborę i kawałek podwórka. Za oborą były pola.

Pokój miał spadzisty sufit. Przy oknie stało biurko z komputerem. Pod dłuższą ścianą był stary kredens z potężnym zestawem stereo.

Eva otworzyła szafę. Wisiało w niej kilka koszul i czarny garnitur, z którego Tommy Johansson musiał wyrosnąć kilka rozmiarów temu. Na podłó-

dze leżały akcesoria sportowe: ochraniacze do gry w hokeja na lodzie, które również wydawały się na niego za małe, piłka nożna, piłka do siatkówki, kilka par korków.

Zamknęła szafę i wysunęła górną szufladę biurka. Były tam długopisy, monety, papiery, śmieci, czyste płyty CD. Zajrzała do kredensu. Kolejne kompakty i więcej ubrań.

To, co ciekawe, znajdowało się teraz w komputerach. Przynajmniej jeśli chodziło o dowody materiale.

Zauważyła jeden twardy dysk i zniosła go do samochodu.

Miała do pomocy dwóch mężczyzn. Ich zadaniem było przeszukanie reszty domu, podczas gdy ona zajmie się gigantyczną stodołą. Była pewna, że jeśli coś znajdą, to właśnie tam. Nie chowa się materiałów wybuchowych w domu, mając dostęp do stodoły.

Uniosła zasuwę blokującą wielkie czarne drzwi stodoły. Jedna połowa otworzyła się sama. Eva podniosła ciężką torbę ze sprzętem i weszła do środka.

Stodoła wyglądała na używaną bardziej jako park maszynowy. Brona, pług i inne maszyny rolnicze, których nazw nie знаła, stały obok beli siana. Strych na siano był pusty.

Coś zatrzepotało za jej plecami i pod dachem przeleciała jaskółka. Z imponującą precyzją trafiła do gniazda pod kalenicą, sześć, siedem metrów nad głową kobiety.

Eva powoli przeszła przez duże pomieszczenie, zwracając uwagę na szczegóły takie jak stos drewnianych skrzyń i zużyte opony do traktora. Ewentualne kryjówki, które zamierzała zbadać później.

Najpierw chciała zyskać ogólny obraz sytuacji.

Ruszyła dalej, drzwiami w ceglanej ścianie działowej, i zastała długi rząd boksów dla zwierząt, które wyglądały, jakby od dawna nie były używane. W jednym z nich stały trzy ule, w innym silnik do łodzi marki Mariner o mocy dwudziestu koni mechanicznych.

Za boksami była jeszcze jedna ścianka z pomalowanych na czerwono desek. Eva otworzyła drzwi i zajrzała do podłużnego ciemnego pomieszczenia. Za drzwiami, po lewej stronie znajdował się włącznik światła. Naciśnęła. Pomieszczenie objawiło się w świetle trzech dużych, okrągłych lampek z mocnymi żarówkami.

Okazało się, że to warsztat z przyrządami do prac stolarskich i nie tylko. Były tu mocno zużyty stół roboczy, wiertło na statywie, metalowe imadło,

półki z narzędziami, elektryczna piła kątowa. W powietrzu wyczuła zapachy trocin, terpentyny i smaru.

To jej się spodobało. Odstawiła torbę na posadzkę, otworzyła, wyjęła jednorazowe rękawiczki, patyczki i sporej wielkości zestaw wacików. Zamierzała przetrzeć stół i wysłać próbki do laboratorium kryminalistycznego, gdzie sprawdzi je suczka wyszkolona do wykrywania materiałów wybuchowych. Jeśli są tam chociaż ich śladowe ilości, zwierzę je znajdzie.

\*\*\*

Gert Fält spędził godzinę w areszcie.

– Sześć plus sześć – powiedział Peter Klint. – Jeśli mam go zatrzymać na dłużej niż dwanaście godzin, musicie mieć coś więcej niż tę przyczepę.

– Jest przecież podejrzany o poważny sabotaż powiązany z zabójstwem – próbował Gustav.

– Podejrzenia mają słabe podstawy. Każdy mógł umieścić ten ładunek wybuchowy wśród jajek. To, że on trzy lata temu wygłaszał rasistowskie wypowiedzi, nie wystarczy. Musimy mieć coś więcej. Coś materialnego. Zeznanie świadka. Albo jakąś sprzeczność w jego słowach. Coś, czego nie jest w stanie racjonalnie wytłumaczyć – wyjaśnił Peter Klint.

– Sprzeczność! On nie chce z nami rozmawiać.

Klint wzruszył ramionami.

– To jego prawo.

Klint wsunął dłonie do kieszeni spodni i spojrzał na czterech zestresowanych funkcjonariuszy policji.

– Proponuję, abyśmy zrobili rozsadę – rzekł Göran. – Jeśli Sara przejmie Fälta, ja zajmę się Ahlskogiem. Wy dwaj weźcie Johanssonów, ojca i syna.

Sara skinęła głową. Fredrik i Gustav również.

– Warto spróbować – stwierdził Fredrik.

Peter Klint wyciągnął rękę z prawej kieszeni spodni i spojrzał na zegarek.

– Macie dziewięć godzin – oznajmił.

\*\*\*

Niklas Ahlskog przejechał dłonią po odsłoniętym lewym ramieniu i z niepokojem śledził wzrokiem Görana Eidego.



– Pomyślałem, że porozmawiamy o minionym poniedziałku. O dwudziestym ósmym czerwca – uściślił Göran.

Zrobił krótką pauzę. Ahlskog nie kiwnął głową ani w żaden inny sposób nie potwierdził, że zrozumiał.

– Proszę powiedzieć, co pan robił w poniedziałek – kontynuował Göran.

Ahlskog wziął bardzo głęboki oddech, jakby się przygotowywał do długiej wypowiedzi.

– Byłem w pracy, jak zwykle.

– Zacznijmy od początku. O której się pan obudził? – zapytał Göran.

– O wpół do siódmej.

– To znaczy, że nie miał pan wiele czasu.

– Dojście tam na piechotę zajmuje tylko dwie minuty – wyjaśnił Ahlskog.

– Rozumiem – odparł Göran. – Miał pan z kimś kontakt rano, przed przyjściem do pracy?

– Kontakt?

– Czy rozmawiał pan z kimś przez telefon, wysyłał SMS-y, maile – uściślił Göran.

– Nie.

– I nie jadł pan śniadania. Coś jeszcze?

W poniedziałek rano Niklas Ahlskog obudził się z potężnym wzrodem i szybko zjechał na ręcznym, patrząc na zdjęcie skąpo odzianej gwiazdy reality show w niedzielnym dodatku do „Aftonbladet”. Ale tego chyba nie musiał opowiadać szefowi policji kryminalnej w Visby.

– Okej, w takim razie kontynuujemy – rzekł Göran.

– Potem poszedłem do pracy. Przejrzałem dostawy na ten dzień i załadowałem furgonetkę. Potem rąbałem drewno aż do przerwy o dziesiątej. Po przerwie wyjechałem z meblami.

– A sama przerwa? – spytał Göran.

– Spędziłem ją w Folkeryds. Zwykle piję tam kawę i zamawiam jakąś kanapkę. Prawie nigdy nie zdążam zjeść śniadania w domu.

Ahlskog przeciągnął kciukiem i palcem wskazującym po krawędzi stołu. Nie czuł się już tak przerażony i pomyślał, że gadka zaczyna mu iść całkiem płynnie. Nie było to takie trudne, jak początkowo sądził.

– Czy w Folkeryds spotkał pan kogoś, kto mógłby pamiętać, że pan tam był? – zapytał Göran.

– Oczywiście – odparł niemal z entuzjazmem. – Dlatego właśnie tam chodzę. Inni z zakładu stolarskiego tam nie bywają, ale mam kilku kolegów, którzy zwykle przychodzą w podobnych godzinach.

– To tam spotkał pan Tommy’ego Johanssona w poniedziałek prawie dwa tygodnie temu?

– Tak.

– Czy on należy do tych ludzi, którzy zwykle przychodzą o podobnej porze?

– Co takiego? Nie, Tommy raczej tam nie bywa. Poza tym nie znam go zbyt dobrze. Tylko Bullen i Henke przychodzą codziennie.

Niklas Ahlskog opowiedział, że po przerwie w Folkeryds odjechał furgonetką i nie wchodził już do stolarni. Aż do wpół do dwunastej był zajęty dostawami.

– Czyli nikt nie może potwierdzić, gdzie pan był między, dajmy na to, ósmą pięćdziesiąt a jedenastą trzydzieści?

– Mogą to zrobić klienci, którym dostarczyłem towar.

– W takim razie sporządźmy ich listę.

\*\*\*

Tommy Johansson patrzył na Fredrika stanowczym wzrokiem, ale jego spojrzenie było puste. Cienie pod oczami wydawały się większe niż podczas przesłuchania tydzień wcześniej. Tommy mówił z takim samym ociąganiem.

– Jak ma na nazwisko ten kolega, Tobias? – zapytał Fredrik, przykładając długopis do kartki w notatniku.

– Sundin – odparł Tommy.

– A gdzie mieszka?

– W Burgsvik.

Burgsvik. Fredrik pomyślał, że ostatnio wszystkie drogi najwyraźniej prowadzą właśnie tam.

Tommy Johansson twierdził, że w poniedziałek dwudziestego ósmego czerwca on i Tobias Sundin zajęci byli majstrowaniem przy samochodzie Sundina przez całe przedpołudnie. Tobias przyszedł do domu Tommy’ego około dziewiątej. Pracowali przy samochodzie do dwunastej i Tobias odjechał około wpół do pierwszej. A zatem nie mógł być obecny w Burgsvik w krytycznym momencie, gdy naczepa stała przy siedzibie Suderägg.

- Jaki samochód ma Tobias? – spytał Fredrik.
- Volvo 240 – odparł Tommy.
- Kolor?
- Słucham?
- Jaki kolor ma ten samochód?
- Aha. Czarny.

Trudno było cokolwiek wyczytać z zachowania Tommy'ego Johanssona. Wydawał się spokojny, ale Fredrik nie był do końca przekonany. Jego rozmówca poniekąd zamykał się w sobie. Przypominał Fredrikowi chłopaka, który chodził z nim do podstawówki. Jego facjata była zawsze tak samo pozabawiona wyrazu, niezależnie od tego, czy został przyłapany na gorącym uczynku przy robieniu czegoś głupiego, czy oskarżony niesłusznie. Nie było czego się chwycić. Cokolwiek czuł, przechowywał to w środku.

Nie tylko wyzerowane oblicze przypomniało mu dawnego kolegę. Fredrika nie opuszczało też silne wrażenie, że w pokoju przesłuchań ma przed sobą dziecko. Jakby Tommy tymczasowo został wciągnięty w coś, co go raczej nie dotyczyło. To wszystko razem – policjanci, przesłuchania, śledztwa – należało do świata dorosłych, który nie był jego światem. Został zaciągnięty do gabinetu dyrektora, odpowie na pytania i będzie po wszystkim.

Od tej myśli Fredrikowi zrobiło się niedobrze. Nie siedziało przecież przed nim dziecko, miał przed sobą dwudziestotrzyletniego mężczyznę.

- A po wyjeździe Tobiasa? Co pan robił?
- Zjadłem obiad, trochę przeczytałem gazetę, a potem pojechałem po zakupy – wyjaśnił Tommy.
- Która była wtedy godzina?
- Około drugiej.
- Gdzie pan robił zakupy?
- W sklepie Ica.
- W Hemse? – spytał Fredrik.
- Nie, w Havdhem.
- Zapłacił pan gotówką czy kartą?
- Kartą.

To było łatwe do zweryfikowania. Pozostawało półtorej godziny od chwili, gdy Tobias wyjechał z Hablingbo, do momentu, gdy Tommy w pojedynkę pojechał po zakupy.

- Fredrik spojrział na Tommy'ego.
- Pusta kartka, pomyślał.

- Co właściwie dolega pańskiemu ojcu? – zapytał po chwili.
- Tommy lekko potrząsnął głową, ale z tą samą neutralną miną.
- Co mu dolega? A nie widać?
- Sugeruje pan, że ojciec jest alkoholikiem? – zapytał Fredrik.
- Pije, zgadza się.
- Od zawsze?
- Nie.
- Kiedy to się zaczęło?
- Może z dziesięć lat temu.
- Po śmierci pańskiej matki?

Po chwili ciszy Tommy potwierdził.

Pozorny spokój i nieobecność widocznych oznak oporu w pewnym sensie nabrały grozy. Mężczyzna nie marszczył brwi, nie pytał: „Co to ma do rzeczy?”. Łatwo było zacząć fantazjować o tym, co tak naprawdę dzieje się w głowie Tommy’ego Johanssona.

– Czy jedno wynika z drugiego? Pańska matka zmarła i wtedy ojciec zaczął pić?

– Możliwe. Nie wiem.

Znowu to samo. Powolność, nieobecność. „Nie wiem”. Ta udawana obojętność. Jakby nigdy go nie zastanowiło, dlaczego jego ojciec wycofał się z życia i był jak umierające zwierzę w swojej norze.

Jaki wpływ na młodego mężczyznę wywiera patrzenie, jak rodzic zamienia się w bezwonną, wegetującą amebę, która nigdy nie jest w pełni świadoma, nawet za dnia?

– Nie rozmawiacie ze sobą zbyt często?

Tommy spojrzał na Fredrika i nie odpowiadał.

– To było pytanie – dodał Fredrik.

– Nie. O czym mielibyśmy rozmawiać?

Fredrik nie bardzo wiedział, do czego zmierza. Napędzało go raczej niewyraźne uczucie. Wydawało się, że Tommy Johansson ma alibi na poniedziałek, więc może powinno mu to wystarczyć. Tommy Johansson miał trupa w szafie, ale nie czyniło go to automatycznie człowiekiem, który wysadza w powietrze promy. Fredrik rozważał, czy nie zakończyć przesłuchania.

– Pańska matka popełniła samobójstwo? – zapytał.

Tommy Johansson popatrzył na Fredrika jak na kompletnego wariata.

Zapadła ciężka cisza. Fredrik zakaszłał.

– Wie pan, z jakiego powodu?

– Już pan o to pytał Annę-Karin – odparł Tommy.

– Tak, ale teraz pytam pana – powiedział Fredrik.

Tommy Johansson milczał.

Fredrik próbował go przeczekać. Przełamać tę obojętność, w którą nie wierzył. Udało mu się, lecz tylko na krótką chwilę.

Twarz Tommy'ego znów zrobiła się niedostępna. Chłopak patrzył pustym wzrokiem. Na pozbawionym wyrazu obliczu Fredrik widział tylko odbicia myśli, które – jak mu się wydawało – krążyły Tommy'emu po głowie.

– Aha. Teraz mam zmięknąć na widok odrobiny kobiecego uroku. Tak to sobie obmyśliliście? – mruknął Fält, gdy znalazł się z powrotem w pokoju przesłuchań.

– Nie, chyba nie. Ale mimo wszystko dziękuję – odparła Sara.

Gert Fält prychnął. Pod koniec dźwięk zaczął drgać. Mógł to być mimowolny wybuch śmiechu.

– Rozumiem, że jest pan wzburzony. Takie doprowadzenie na przesłuchanie bywa wstrząsające. Dotknął nas jednak straszny zamach terrorystyczny. I ze względu na to...

– Niech pani posłucha! Już mówię, dlaczego jestem wzburzony – przerwał Gert Fält.

Okej, pomyślała Sara. Dopóki nie przewraca krzesel, można mu pozwolić.

– Jestem wzburzony, bo tych dwóch oskarżyło mnie o zabicie dziewięciu moich rodaków. Twierdzili, że owładnięty jakimś ideologicznym szaleństwem podłożyłem bombę na pokładzie tamtego promu. Samo to jest przecież oskarżeniem. To mną wstrząsnęło. To, że człowiek zostaje obezwładniony przed własnym domem, upokorzony i zakuty w kajdanki, najwyraźniej jest w tym kraju naturalną konsekwencją rzekomej wolności słowa. Zaczynam się przyzwyczajać. Niestety, co chyba warto dodać.

– Zgadzam się, że to poważne oskarżenie – odparła Sara.

Fält znów prychnął i skrzyżował ręce.

– Ale to także poważne przestępstwo, a my musimy wykonywać swoją pracę. Nie możemy powiedzieć, że pan rzeczywiście jest zamieszany w zamach na promie. I sądzę, że moi koledzy tak nie powiedzieli, choć nie było mnie na przesłuchaniu. Istnieją jednak pewne okoliczności, które kierują podejrzenia na pana. Musimy je zbadać. Chyba się pan ze mną zgodzi?

Czuję się jak nauczycielka z podstawówki, pomyślała Sara po tej przemowie, która wymagała od niej sporej cierpliwości. No i jeszcze musiała zakończyć pytaniem do przesłuchiwanego trudnego rozmówcy! To jak prośzenie się o kłopoty.

Czuła się jednocześnie zmobilizowana i poddana presji przez rozządę Görana. Istniało wyraźne oczekiwanie, że się wykaże i dostarczy rezultaty. Göran nie dokonał zmiany na stanowisku głównego przesłuchującego ze względu na Tommy'ego Johanssona czy Niklasa Ahlskoga. Chodziło o Gerta Fälta.

Próbowała się odprężyć i skoncentrować na mężczyźnie po drugiej stronie brzozonego blatu w kształcie fali.

– Doskonale wiem, co myślicie – zagrzemiał Gert Fält.

No proszę, pomyślała.

– Mamy tu szalonego ekstremistę, który pół dekady wcześniej wypowiedział się, mając w pogardzie poprawność polityczną. Wysadził w powietrze prom, żeby rzucić podejrzenie na arabskich terrorystów w rodzaju tych, którzy pozabijali się nawzajem w Nisseviken, a do tego tworzyć w kraju atmosferę wrogości wobec imigrantów. Stara, wypróbowana metoda terrorystów i służb specjalnych na całym świecie: wysadzić coś i sprawić, by wyglądało to na dzieło wroga. Cieszę się, że choć raz ktoś ma odwagę powiedzieć prawdę o wszach pośród tej fali uchodźców, która zalewa nasz kraj. To chętnie przyznam. Ale powiem pani, że nigdy nikogo bym nie skrzywdził, żeby to osiągnąć. Nie posunąłbym się też do manipulacji i kłamstw w celu zdyskredytowania imigrantów, których sobie tu nie życzę. Żadne kłamstwa nie są potrzebne. Gdyby ludzie po prostu mieli odwagę mówić prawdę na ich temat, wystarczyłoby aż nadto.

Podkreślił ten wniosek, uderzając wyciągniętą prawą ręką w stół.

Sara patrzyła mu w oczy. Czekwała, aż się uspokoi.

– Bomba, która w poniedziałek wybuchła na pokładzie promu, znajdowała się w naczepie ciężarówki, do której zaledwie kilka godzin wcześniej ładowano jajka w pańskim gospodarstwie.

Gert Fält oniemiał. Cofnął się na krześle i spojrzał na Sarę, ale niedawna wściekłość go opuściła.

Podjęła ryzyko. Być może postąpiła głupio, informując go o tym, co wiedzą. Taki ruch mógł się jednak opłacić. Na przykład sprowokować go do wyjaśnień – prawdziwych lub nie.

– Co, co takiego? Uważacie, że co niby zrobiłem? Nafaszerowałem kury prochem? – odparł. Głównie po to, by coś powiedzieć.

– Życzylibyśmy sobie, aby pan współpracował. Opowiedział, w jaki sposób przebiegało ładowanie jajek, kto panu pomagał przy pakowaniu, kto w poniedziałek przebywał w pobliżu gospodarstwa i kurników.

– Na to łatwo odpowiedzieć. Tylko ja i Margareta – oznajmił Fält. Kiedy nie grzmiał jak zwykle, wydawał się wręcz słaby.

– Nikt wam nie pomagał?

– Nie. Kierowca pomaga przy załadunku, ale poza tym nie mamy żadnej pomocy. I oczywiście nie wszystkie jajka są pakowane jednego dnia. Dokładamy je do wyłoczek stopniowo. Codziennie kilka razy.

– To znaczy, że ktoś mógł wam przy tym pomóc w którymś momencie po transporcie tydzień wcześniej.

– Hm – mruknął Fält i chwycił się za czubek nosa. – Tak właśnie pomyślałem. Że Tommy musiał gdzieś tam być.

– Ma pan na myśli Tommy’ego Johanssona?

– Tak jest. Ale zastanawiam się, czy tak było. Nie, w zeszłym tygodniu go tam nie widziałem.

– Mimo że pańska żona wyjechała?

– Tak, przydałaby mi się wtedy pomoc. Ale on chyba miał jakichś gości z kontynentu czy coś takiego.

– Czyli poprosił go pan, a on odmówił?

– Tak. Ale tydzień wcześniej był u nas.

Sara wyjęła wycinek z gazety. Była na tyle czujna, że zabrała go na przesłuchanie. Położyła na stole pomiędzy nimi, żeby oboje go widzieli.

To było zdjęcie Gerta Fälta podczas kłótni z publicznością w Almedalen.

– Kto to jest? Ten człowiek, który panu pomaga – spytała, wskazując rozmazaną postać na mównicy.

– Znowu? Już mnie o to pytali – oznajmił, a cała jego wysoka postać odwróciła się od lekko pożąłkłego wycinka na stole.

– Wiem – odparła Sara. – Ale pan nie odpowiedział.

– Nieprawda – oznajmił Fält z irytacją. – Nie wiem, kto to. I właśnie tak im odpowiedziałem.

– Wcześniej wydawało się, że jest pan wstrząśnięty śmiercią dziewięciu osób na promie.

Zrobiła efektowną pauzę, by słowa do niego dotarły.

– Chce nam pan w tym pomóc czy nie?

Fält westchnął i się przygarbił.

– Nie lubię wskazywać ludzi palcami.

– Kto to jest? – Sara, nie dając za wygraną, stuknęła w zdjęcie. – To tylko nazwisko. Jeśli on nie ma nic wspólnego ze śledztwem, będziemy to wiedzieć i puścimy całą sprawę w niepamięć. A gdyby się okazało, że jest w



jakimś stopniu w to zamieszany, nie będzie pan chyba chciał go chronić? Mam rację?

Fält na chwilę spojrział w bok, a następnie z powrotem na Sarę.

– To Tobias Sundin – oznajmił. – Tobias Sundin z Burgsvik.

Dostawy, pomyślała Sara Oskarsson.

\*\*\*

– O Jezu, ja pierdołę, co za kobieta. Chyba się zakochałem – powiedział Lennart Svensson i ciężko opadł na jedno z krzeseł u Görana.

Komentarz dotyczył Margarety Fält i pewnie nie należało go rozumieć dosłownie. Lennartowi nie udało się wyciągnąć z niej jednego sensownego słowa, a przecież gadała praktycznie bez przerwy.

Lennart Svensson i Margareta Fält. Małżeństwo z piekła rodem. Lennart wyglądał na kompletnie wypompowanego, ale może wszyscy oni tak wyglądali.

Dochodziła siódma. Pracowali od piątej rano. Oprócz Gerta i Margarety Fältów, Tommy’ego i Stellana Johanssonów oraz Niklasa Ahlskoga przesłuchali właściciele firmy Suderägg, dwóch pracujących dla nich Polaków, siedem osób, które mieszkały albo były zatrudnione w najbliższym sąsiedztwie obiektów w Burgsvik i Grötlingbo, personel Folkeryds i oczywiście Tobiasa Sundina.

Wszyscy opuścili komisariat przed godziną.

Göran wyglądał na zmęczonego i rozzarowanego. Siedział w milczeniu, wpatrzony w promyk wieczornego światła odbijający się w jego pokoju, wpadając przez okno w dachu.

Nazwisko, które w końcu podał im Gert Fält – Tobias Sundin – zostało skreślone równie szybko, jak się pojawiło. Tommy Johansson już zapewnił mu alibi. Oczywiście nie trzeba było w nie wierzyć, ale zostało wzmocnione tym, co oznajmił Stellan Johansson, który w poniedziałek widział zarówno Sundina, jak i czarne volvo.

Eva Karlén i pozostali, którzy pracowali przy rewizjach, nie znaleźli niczego, co mogłoby choćby luźno powiązać jakiegokolwiek podejrzanego z zamachem na promie. Wyniki badań próbek były negatywne. Suczka nie wykryła żadnego śladu materiałów wybuchowych. Jedynym rezultatem ciężkiej pracy tego dnia była możliwość skreślenia ich z listy podejrzanych.

– Aha – podsumował Göran. – Niespecjalnie się udało.

– Mnóstwo roboty na nic – odparł Gustav.

Göran poczuł, że brakuje mu Ovego. On potrafił podtrzymywać dobry nastrój w takich sytuacjach. Teraz było ciężko. Wprawdzie należało się liczyć z trudnościami, ale akurat w tym wypadku chodziło o coś więcej. Dzień wcześniej wydawało mu się, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki. Tam, na Gotlandii. Że sprawca albo może sprawcy nie należą do międzynarodowej grupy terrorystycznej, której członkowie dawno opuścili wyspę i kraj.

Przestudiował rozkłady jazdy i stwierdził to, co było oczywiste. Jeśli ładunki wybuchowe zostały umieszczone w przyczepie, kiedy stała w Burgsvik, zamachowcy mieliby dość czasu na opuszczenie wyspy przed wybuchem bomby na pokładzie M/S Visby. Mogli wybierać spośród dwóch kursów promowych i co najmniej dziesięciu różnych lotów. Poza tym niewykluczone, że dysponowali szybką motorówką i opuścili wyspę na własną rękę.

Słumił westchnienie. Nie zamierzał wzdychać w obecności podwładnych.

– Czy można ufać temu, co mówi Stellan Johansson? – spytała Sara, wachlując się broszurą rekrutacyjną, która leżała na stoliku obok krzeseł dla interesantów Görana.

– Myślisz, że może być w to zamieszany? – spytał Fredrik.

– Tego nie wiem, ale chyba odleciał. Jak dobry kontakt z rzeczywistością może mieć ten człowiek, skoro wciąż siedzi na kanapie i sapie?

Göran przerwał ich rozważania.

– Posłuchajcie, wykonaliście dzisiaj kawał dobrej roboty. Nie przyniosło to korzyści, na które liczyliśmy, ale czasem tak bywa. Na razie się pakujemy. Idźcie do domu i pomyślcie o czymś innym. Chyba nic lepszego dla tego śledztwa nie możemy teraz zrobić.

Sara zaczęła protestować bez większego przekonania, ale nikogo nie trzeba było długo namawiać. Powoli wstali.

– Do zobaczenia w poniedziałek o dziewiątej, ze świeżymi pomysłami.

\*\*\*

Portowa restauracja z Herrvik, którą zaledwie kilka lat wcześniej otwarto w świeżo wzniesionym budynku, szybko wyrobiła sobie markę. Ogródek był wypełniony do ostatniego miejsca. Fredrik i Eva musieli się zadowolić sto-

likiem w środku lokalu. Może i tak było lepiej. Dyskretniej. Nigdy nie wiadomo, kto akurat będzie przechodził i poczuje ochotę, by dać mu w twarz.

Woda chlupotała o bloki skalne na brzegu. Na nabrzeżu w porcie rybackim kilku rybaków ładowało na pokład sieci na nocny połów. Trzy młode kelnerki biegały tam i z powrotem, uwijając się przy wymagających gościach na drewnianym tarasie.

Zdecydowali się na żabnicę i halibuta. Nie były to ryby z Bałtyku. Eva zamówiła kieliszek australijskiego białego wina. Fredrik prowadził, więc poprzestał na niskoprocentowym piwie.

– Bierzymy coś jeszcze? – spytała Eva.

– Zajrzyjmy do menu – odparł Fredrik i dał znak jednej z zestresowanych kelnerek.

Eva z zadowoloną miną spojrzała na port, a potem odwróciła się do Fredrika. W jej oczach widać było miłość. Nagle, ni z tego, ni z owego zapytała:

– Myślisz, że powinniśmy nadal się widywać w ten sposób?

Te słowa go zszokowały, co było trochę zabawne, bo sam mógłby powiedzieć to samo.

W jakimś sensie wiedzieli przecież, że to nie jest coś na dłuższą metę. Albo przynajmniej, że cena za kontynuowanie związku jest niedorzecznie wysoka. Wiedział to, ale wolał zamknąć oczy i oddawać się temu szaleństwu tak długo, jak się dało. Teraz Eva otworzyła je za niego. Sama to powiedziała.

Poczuł się wstrząśnięty.

Poza tym nie był pewny, dlaczego zapytała. Czy naprawdę zależało jej, by przestali się spotykać, czy raczej chciała go przetestować? To w końcu był klasyczny kobiecy sposób na sondowanie terenu: dać do zrozumienia, że sama ma wątpliwości. Jeśli facet nie zareaguje wystarczająco żywo, jest ugotowany.

Fredrik zdał sobie sprawę, że być może już za długo milczał. Że już dostała odpowiedź.

Sięgnął po jej dłoń. Chwycił ją. Eva też zareagowała, ściskając jego rękę i gładząc kciukiem nadgarstek. Spojrzała mu w oczy. Nadal patrzyła z miłością, tak to odbierał. Czy jednak jej uśmiech nie stał się odrobinę nostalgiczny?

– Naprawdę mi się to podoba – powiedział. – Jesteś... Naprawdę cię lubię. Ale...

Co on, do diabła, powiedział? Skąd się wzięło to „ale”? Czy właśnie wszystko niszczył? Czego właściwie chciała Eva? Czego chciał on? Był teraz szczery czy tylko nieporadny? Niezręcznie się wyraził, wykazał brakiem taktu?

Dwie godziny wcześniej kochali się na sofie w salonie Ewy. Namiętnie. Teraz zaś siedzieli i dyskutowali, czy przestać się spotykać. Jak do tego doszło? W jaki sposób tak szybko przeszli od jednego do drugiego?

Myśl o deserze nagle stała się całkowicie obca. Zapłacili i ruszyli spacerem w kierunku Snabben, latarni morskiej na samym końcu przylądka. Przez chwilę szli w milczeniu, patrząc na wysepkę Östergarnsholm. Zachodzące słońce było na tyle silne, że parzyło w kark.

– Wiedzieliśmy przecież, że to na dłuższą metę nie przetrwa – powiedziała Eva, przystając.

W tego typu sytuacjach kobiety potrafiły wykazywać taki cholerny rozsądek.

Wieczne słońce sprawiało, że w oczach Ewy pojawiły się iskry. Do tego uśmiechnęła się w ten swój uwodzicielski sposób. Czy musi się tak uśmiechać, kiedy zamierza zerwać? Ziemia pod stopami Fredrika na chwilę zafalowała.

Pocałowali się, a potem rozdzielili na parkingu. Proponował, że podwiezie ją do domu, ale odpowiedziała, że woli się przejść.

Kiedy wsiadł do samochodu, żeby pojechać do Vamlingbo, bardziej niż zwykle ucieszył się, że dom nie jest pusty. Poprzedniego wieczoru przyjechały dzieci Jespera. Życie i ruch to było wszystko, czego potrzebował. Jesper potrafił przez cały wieczór opowiadać o boksie albo dziwnych niemieckich rodzajach piwa. Fredrik zamierzał zamienić się w słuch.

W poniedziałek piątego lipca zebrali się o umówionej porze w biurze Görana.

Fredrik próbował się skoncentrować, ale raz za razem powracał do restauracji w Herrvik. W jego głowie wciąż uparcie odtwarzała się ta sama scena: ich rozmowa, słowo po słowie. Jego katastrofalne w skutkach wahanie. A może nie miałyby znaczenia, co powie? Kiedy po jakimś czasie scena zaczęła się zmieniać i odtwarzać w bardziej pożądanym wariantach, czuł się głupio. Jak siedemnastolatek, który przegapił swoją szansę i teraz fantazjował o tym, na co zabrakło mu odwagi.

Czy to, co się wydarzyło, nie było najlepszym wariantem? – spytał głos, który, jak Fredrik podejrzewał, był głosem rozsądku. Musiał trochę uporządkować życie. Czy związek z Evą nie kosztował więcej, niż był wart? Czyż nie było to dziesięć procent rozkoszy i dziewięćdziesiąt procent niepokojów? Ale za to jakie dziesięć procent!

Miał niewyraźne wspomnienia, które wskazywały, że zakończył tamten wieczór, pijąc piwo z Jesperem, a nad ranem odbył naprawdę żenującą rozmowę z Evą. Błagał, zapewniał. I poniósł klęskę.

Wspomnienia były nieostre nie dlatego, że wypił za dużo piw, lecz dlatego, że ze wszystkich sił starał się je stłumić. Muskał je tylko, zupełnie niechcący, a potem zmuszał się do myślenia o czymś innym.

W każdym razie nie było jej na spotkaniu. Zawsze to coś.

– Zróbmy krok do tyłu. Może nawet więcej niż jeden – powiedział Göran. – Chcę, abyśmy wrócili aż do Nisseviken. W ubiegły poniedziałek Ove był w drodze do Sztokholmu, żeby przesłuchać krewnych ofiar. Będziemy kontynuować od momentu, w którym nam przerwano.

To była słuszna decyzja, ale wymagała zimnej krwi. Presja, zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna, była duża. Wiele osób domagało się wyników.

– Saro, możesz jechać – rzekł Göran.

Lennart wsunął nogi pomiędzy stopy Gustava a nogę stołu i w końcu udało mu się je w pełni rozprostować. Zmarszczka znamionująca zakłopotanie zniknęła z jego czoła.

– Co robimy z Tommym Johanssonem i Tobiasem Sundinem? – zapytał.

– Wyznaczę kogoś do znalezienia na temat tej dwójki tego, co się da. W zasadzie myślę, że już się uporaliśmy prawie ze wszystkim, ale chcę wykonać jeszcze jeden ruch, zanim ich puścimy – oznajmił Göran.

– Sundin był zamieszany w kilka awantur w knajpach, no i jeszcze zdarzenie w Almedalen, które uszło mu na sucho. Na tego drugiego nic nie mamy. Czy to nie dość szalona myśl, że nagle mieliby wpaść na pomysł wysadzenia promu? – zapytał Gustav.

– Trochę tak, ale silne przekonania ideologiczne potrafią pchnąć ludzi do ekstremalnych czynów, nawet gdy nie mają przeszłości obfitującej w przemoc. Znamy na to aż zbyt wiele przykładów z ostatnich lat z całego świata – powiedział Göran.

– Ale to już byłby fanatyzm – odparł Gustav.

– Tak. Tu może niczego takiego nie ma. Nie wydaje się też, by oni mieli cokolwiek wspólnego z materiałami wybuchowymi. Są jednak pewne elementy, które sprawiają, że nie chce się do końca odpuścić. Ekstremalnie prawicowe poglądy Fälta, relacje Sundina i Johanssona z Fältem, to, że przyczepa z bombą była załadowywana w gospodarstwie Fälta i w Burgsvik, gdzie mieszka Sundin...

– Ale gdzie wtedy nie przebywał – wtrącił Gustav.

– No i wreszcie materiał wybuchowy, który ma albo przynajmniej mógł mieć związek ze skrajnie prawicową czy wręcz nazistowską grupą – dokończył Göran.

– Jasne, w tym ideologicznym bagnie może dalibyśmy radę znaleźć jakiś motyw – przyznał Gustav. – Nie ma jednak znaczenia, jak bardzo są nazistowscy czy fanatyczni, jeśli nie znajdziemy nic konkretnego.

– Krister Asp – wyrzucił z siebie Fredrik, zanim Göran zdążył odpowiedzieć.

– Krister Asp? – powtórzyła Sara.

– Kolega Tommy’ego Johanssona, który tu świętował midsommar. Był w domu, kiedy rozpytywaliśmy mieszkańców, ale go nie przesłuchaliśmy. Pojawił się tu dopiero w środę. Po prostu przyszło mi do głowy, że rozmowa z nim mogłaby coś dać. Jeśli dobrze zrozumiałem, on i Tommy znają się od dzieciństwa.

– A gdzie można znaleźć Kristera Aspa? – spytał Göran.

– Mieszka w Nyköping. Choć oczywiście może być gdzieś na urlopie...

– Okej, sprawdź to. Pojedź tam i go przesłuchaj, jeśli jest w domu – polecił Göran.

\*\*\*

Po zakończeniu spotkania Fredrik poszedł do sekretariatu i poprosił, by przygotowano bilety. W drodze powrotnej do swojego gabinetu pomyślał o zaskakującej wiadomości od Säpo dzień po tym, jak w Nisseviken znaleziono ciała.

Wszedł do siebie, znalazł numer telefonu i uniósł słuchawkę.

– Åke Fröhling – rozległo się po trzech sygnałach.

– Cześć, mówi Fredrik Broman z policji w Visby. Oglądaliśmy razem miejsce zabójstwa w Nisseviken.

– Tak, tak, pamiętam.

– Chciałbym cię prosić o przysługę.

Fredrik podniósł telefon z biurka i odwrócił się plecami do szklanej ściany, za którą był korytarz.

– Oczywiście, jeśli mogę coś zrobić, to chętnie pomogę – odparł Fröhling.

– Chodzi o kilka nazwisk, które pojawiły się w toku śledztwa...

– W sprawie zabójstw w Nisseviken?

– Nie, chodzi o prom. Przede wszystkim. Ale nigdy nie wiadomo...

– Czy jedno ma związek z drugim. Zgadza się.

– Właśnie. Pomyślałem więc, że warto sprawdzić, czy te nazwiska figurują u was w jakimś kontekście.

– Oczywiście – powiedział znowu Fröhling. – Przyślij nazwiska i numery PESEL. No i numery telefonu, których twoim zdaniem mogli używać.

– Okej. Nic poza tym? – spytał Fredrik.

– Nie, tyle wystarczy.

– Dostaniesz wszystko za dziesięć minut.

– Brzmi, jakby ci się spieszyło – zauważył Fröhling.

– Zawsze nam się spieszy, mniej lub bardziej.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale niczego nie obiecuję.

– Hm... jak to?

– Jeśli chodzi o czas. Nie wiem, ile to zajmie. Ale powinieneś dostać odpowiedź do końca tygodnia.

– Okej.

Nastała chwila ciszy.

– Wiesz coś więcej o tym, co było dalej z tym Habibem? – spytał w końcu Fredrik.

– Nie mam pojęcia – odparł Fröhling. – To już nie nasze zmartwienie, całe szczęście.

Może i tak. Fredrik miał kłopoty z równie beztroskim oczyszczeniem głowy ze wspomnienia o mężczyźnie, który wpatrywał się w niego z paniką w oczach, podczas gdy z jego przeciętych piłą nadgarstków płynęła krew. Były to oczy patrzące na kata.

Zakończyli rozmowę. Fredrik odszukał informacje potrzebne Fröhlingowi i je wysłał.



Dom został wybudowany w latach osiemdziesiątych i mieścił się zaledwie kilka przecznic od wejścia do metra w Aspudden. Jakaś dziewczynka w wieku około siedmiu lat spoglądała na Sarę z jednego z dużych balkonów, które lokatorzy wypełnili meblami ogrodowymi i oponami zimowymi. Wydymuchała kilka baniek mydlanych, a te powoli poleciały wzdłuż ulicy.

Sara od razu znalazła nazwisko Thomasson na tablicy przy drzwiach. Pierwsze piętro. Wybrała schody.

Kobieta, która otworzyła drzwi, Anna Thomasson, wyglądała mniej więcej na swój wiek. Sara wiedziała, że to pięćdziesiąt trzy lata. Anna była średniego wzrostu i miała długie jasne włosy z siwymi pasmami. Jej spojrzenie było czujne, chociaż trochę smutne.

Thomasson uścisnęła Sarze dłoń i przesunęła torbę z papierem do recyklingu.

– Proszę wejść, jeśli się pani precieśnie – oznajmiła.

Sara zrobiła kilka dużych kroków do mieszkania i przez otwarte drzwi po prawej zobaczyła fragmenty salonu. Anna Thomasson rozłożyła ręce w niepewnym geście.

– Gdzie usiadziemy?

– Tutaj będzie dobrze – odparła Sara, wskazując salon. – Proszę zdecydować.

– W takim razie siadamy tam – odparła kobieta i przepuściła Sarę przodem.

Wskazała stary fotel klubowy z połyskującego aksamitu. Sara w nim usiadła. Anna wybrała kanapę, która była obita szarym materiałem przypominającym koc i nie wyglądała na zbyt wygodną.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało pana Josefa – powiedziała Sara, kiedy usiadły.

Anna Thomasson coś wymamrotała i jej spojrzenie powędrowało w kierunku okna. Stała tam monstera wyciągająca wielkie liście ku słońcu.

– Jak wyglądają postępy w śledztwie? – zapytała.

Sara powinna była przewidzieć to pytanie. Było uzasadnione i nie dało się go pominąć.

– Jak pani wie, jeszcze nikogo nie zatrzymaliśmy. Przyszłam tutaj, ponieważ chcemy się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Brzmi, jakby nie szło za dobrze.

Anna Thomasson zrobiła przeproszający gest dłonią, jakby odpędzała własną krytykę, i powstrzymała Sarę, która właśnie otwierała usta, żeby się wytłumaczyć:

– Czasami myślę, że to nie ma żadnego znaczenia. Josef nie żyje. Saleh nie żyje. Nic tego nie zmieni, nawet jeśli uda się wam znaleźć tego, kto to zrobił. – Umilkła i zaczerpnęła kilka głębokich oddechów, jakby chciała dojść do siebie po wysiłku fizycznym. – Czasami jednak czuję, że po prostu muszę mieć jasność. Bo to niepojęte. Nie rozumiem, kto mógł zrobić coś takiego. Ledwo mieści mi się w głowie, że to się wydarzyło. – Powoli pokręciła głową i spojrzała na Sarę. – Pani to rozumie?

– Mnie też trudno to zrozumieć – przyznała Sara.

Zapadła długa cisza. Za oknem jakiś samochód zwolnił, żeby wjechać pod górkę.

– Tak to już jest – stwierdziła po chwili Anna Thomasson. – Proszę zadawać te pytania.

Ostatnie zdanie zabrzmiało opryskliwie i Sara Oskarsson poczuła, że najchętniej by się stamtąd wymknęła. Próbowала sobie tłumaczyć, że ich rozmowa mimo wszystko będzie dla Anny formą pomocy.

– Chciałabym, aby trochę pani opowiedziała o Josefie. Czym się zajmował, jakie były jego zainteresowania, z kim się spotykał.

– Cóż... nie bardzo wiem, od czego zacząć – odparła matka, która niedawno straciła syna. Zastanawiała się, a w jej ponurych oczach nagle zapłonęła mała iskierka. Wciągnęła powietrze. – Tak bardzo się cieszyłam z powodu jego i Saleh. Poznali się trzy lata temu i myślę, że to spowodowało dużą różnicę w jego życiu. Josef zawsze walczył. Był ambitny i uporządkowany. Od dziecka. Ale bywał też niezadowolony. Uważał, że nie spotyka go to, na co zasługiwał. A przecież miał dobrą pracę i wynagrodzenie, przynajmniej według mnie, ale chyba uważał, że to poniżej jego poziomu. Czasem sprawiał wrażenie trochę zgorzkniałego. Mówiłam mu, że jest przecież młody i nie może liczyć na to, że dostanie wszystko od razu. Wiele jednak z tego niezadowolenia zniknęło, kiedy poznał Saleh. Zaczął dostrzegać w życiu inne wartości. Tak mi się wydaje. Może po prostu to, czego mu brakowało. Miłość. Uważam, że w dzisiejszych czasach tak wielu młodych ludzi walczy o to, by wyciągnąć ze swojej kariery coś, czego tam nie ma. Dlatego

tak się cieszyłam z powodu Saleh. No i oczywiście dlatego, że była fantastyczną dziewczyną.

Sara zaczynała wątpić, czy to do czegokolwiek doprowadzi. Była prawie w stu procentach przekonana, że Saleh i Josef to ofiary. I kropka. Ich przeszłość nie mogła dostarczyć żadnego wyjaśnienia, dlaczego zostali zamordowani. Rozwiązanie nie znajdowało się w domu Anny Thomasson.

– A rodzice Saleh? Co oni sądzili o tym związku? – zapytała Sara.

Wygląda poważniej, niż go zapamiętałem. To była pierwsza myśl, która przyszła Fredrikowi do głowy, gdy znów stanął przed Kristerem Aspem. Mężczyzna był taki sam, ale w jakimś sensie dojrzały, i nie miało to nic wspólnego z wyglądem.

Rozważał, czy ściągnąć go do komisariatu w Nyköping, czy odwiedzić w miejscu zamieszkania. Zdecydował się na drugie rozwiązanie i kiedy go zobaczył, wiedział, że to był dobry wybór. Krister Asp miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Umieszczenie go w sali przesłuchań mogłoby wzbudzić opór, a wtedy nie dowiedziałby się tego, na czym mu zależało.

O ile było się czego dowiedzieć.

– Na pewno zna się pan z Tommym od dawna – zaczął Fredrik.

Krister Asp miał małe mieszkanie w niepozornej okolicy na skraju miasta. Za oknem kuchni widać było niewielki trawnik, dwie jarzębiny, których korony poruszały się nerwowo na wietrze, przytwierdzoną do podłoga ławkę i trzepak. Dalej był kolejny dom. Podobny do tego, w którym się znajdowali.

– Tak. Od dwudziestu lat.

– Czyli od trzeciego roku życia. Czy to był ten sam rok, w którym pańska rodzina kupiła domek letniskowy na Gotlandii?

– Tak. Osiemdziesiąty czwarty.

– Jak zostaliście przyjaciółmi?

Krister Asp się uśmiechnął.

– Nie pamiętam. Było nas tylko troje. Nasz dom znajdował się dwieście metrów od ich domu. W tym wieku, żeby się zaprzyjaźnić, nie trzeba chyba wiele więcej niż podobny wiek i odległość możliwa do pokonania na piechotę.

Mieszkanie było wysprzątane, przynajmniej jak na lokum samotnego młodego mężczyzny. W powietrzu unosił się świeży zapach, jakby niedawno było wietrzone.

– To prawda – przyznał Fredrik – ale teraz mają panowie po dwadzieścia trzy lata, więc chyba musicie mieć ze sobą sporo wspólnego?

Krister Asp prychnął krótko i dmuchnął na jasnorudą grzywkę, która zasłaniała mu jedno oko.

– Czy tu chodzi o Tommy’ego? – zapytał.

– A sądził pan, że czego będzie dotyczyła nasza rozmowa? – odparł Fredrik.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Pańscy rodzice nie mają już domu w Hablingbo?

– Nie.

– Czy Tommy też pana odwiedza? Tu w Nyköping?

– Raczej nie. Był raz.

– Aha. Dlaczego?

– Ja chętnie jeżdżę na Gotlandię, a poza tym ostatnio on nie ma pracy.

– No tak, oczywiście. To nic przyjemnego. Od dawna jest bezrobotny?

– Wydaje mi się, że od listopada. Około ośmiu miesięcy.

– Ale dorabiał trochę u Gerta Fälta.

– Tak, ale to praca dorywcza – odparł Krister Asp.

– Gert Fält ma bardzo negatywny stosunek do imigrantów.

– Słyszałem.

– A jakie nastawienie do nich ma Tommy?

– Powinien pan jego zapytać – powiedział Krister Asp.

– Ale teraz pytam pana – odparł Fredrik i utkwiał stanowcze spojrzenie w błękitnych oczach Aspa.

– Nie rozumiem. Podejrzewacie o coś Tommy’ego? Czy o co chodzi?

– Chcę usłyszeć odpowiedzi na pytania. To wszystko – rzekł Fredrik.

Krister w milczeniu skinął głową i wykonał szeroki gest ręką. Co to oznaczało? Że zamierza odpowiedzieć?

– A jaki jest pański stosunek do imigrantów? – zapytał Fredrik.

Krister Asp zeszywniał zaskoczony tym, że nagle sprawa zaczęła dotyczyć jego. Następnie przysunął krzesło kilka centymetrów bliżej do stołu. Odchrząknął i się zgarbił.

– No cóż, nie jestem ich wielkim miłośnikiem, jeśli mam być szczery – przyznał. – Ale przeciwko imigracji nic nie mam.

Rasista z reguły od tego zaczyna, pomyślał Fredrik. Nie mam nic przeciwko imigracji, ale... To ważne „ale”. Ale nie tamtych ani siamtych ani jeśli są stąd i stąd albo jeśli... Na koniec zostawała grupka szczególnie dobrze ułożonych Skandynawów.

– Miałem kiedyś bardziej... no cóż, ekstremalne poglądy, to prawda. Ale dawno. Kiedy byłem nastolatkiem.

– Czy coś szczególnego sprawiło, że zmienił pan zdanie?

– Wie pan, człowiek w młodości bywa porywczy. To nie zawsze było przemyślane.

– A Tommy? Jak to jest w jego przypadku? Nadal ma bardziej ekstremalne poglądy? – zapytał Fredrik.

– Tommy, no cóż... Trzeba sobie zdać sprawę z pewnych rzeczy – odparł Krister Asp i umilkł.

Patrzył w stół i bawił się szwem po zewnętrznej stronie lewej nogawki.

– Na przykład z jakich?

– W pewnym sensie go rozumiem, ale jednocześnie...

Krister Asp zacisnął zęby i wydmuchał powietrze przez nos.

– Z czasem pewne rzeczy trzeba zostawić za sobą.

– Jakie na przykład? – spytał Fredrik.

Krister Asp przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nie wiem, czy mogę o tym mówić.

– Jeśli coś pan wie, musi pan powiedzieć – odparł Fredrik. – To oczywiste, że z rodziną Johanssonów coś jest nie tak, jak powinno. Widać to już na pierwszy rzut oka. Ale nie wiadomo, czy powinno nas to interesować. Jeśli ma pan coś ważnego do powiedzenia, może będziemy w stanie rozwiązać tę wątpliwość, skreślić ich z listy i zostawić w spokoju.

– No nie wiem – odparł Krister Asp.

– Czego pan nie wie? Co pan próbuje powiedzieć? – Fredrik nie dawał za wygraną.

– To trudne. Nie chodzi o to, że próbuję kogokolwiek chronić. Zupełnie nie w tym rzecz. Tommy... – Przerwał, przeciągnął dłońią po czole i dalej po włosach. Mocno, jakby usiłował stłumić myśli. – Kiedy kolegujemy się z kimś od trzeciego roku życia, sytuacja jest szczególna – powiedział, patrząc na Fredrika. – Przyjdzie taki dzień, gdy to już nie będzie wystarczało. Sam się pan zastanawiał nad tym samym. Człowiek zadaje sobie pytanie: „Co mamy teraz ze sobą wspólnego jako dwudziestotrzylatkowie?”. – Pownownie umilkł.

Jeśli rzeczywiście, jak twierdził, nie próbował nikogo chronić, co było dla niego takie trudne? Było bowiem widać, że Krister Asp z czymś się zмага.

– Z czego trzeba sobie zdać sprawę, jeśli chodzi o Tommy’ego? – spytał Fredrik.

– Nie chodzi o niego. Chociaż nie, oczywiście, że chodzi. O Tommy’ego, o Stellana... Po prostu nie spodobałoby im się... Czułbym się jak zdrajca.

Krister Asp spojrział na Fredrika błagalnym wzrokiem.

– Nie wiem, co pan wolałby przemilczeć – powiedział Fredrik – ale jeśli jest coś, czego ujawnienia nie życzą sobie Tommy i Stellan, to, jak mi się wydaje, zatajenie tego nie zadziała na ich korzyść. Jak pan uważa?

Można było odnieść wrażenie, że męki Kristera Aspa zostały przerwane. Przesunął krzesło jeszcze kilka centymetrów do przodu i położył przedramiona na stole. Kiedy odpowiadał, patrzył w bok.

– To było trzynaście lat temu – zaczął słabym głosem.

Klas Hagman wjechał do stodoły z dużym workiem sianokiszonki i postawił go w rogu. Był to pierwszy worek z wczesnego zbioru. Zamierzał dostawić jeszcze około dwudziestu, a reszta miała stać na zewnątrz, za stodołą. Potrzebował jeszcze miejsca na słomę.

Już chciał wycofać, kiedy zobaczył coś, co sprawiło, że zahamował i zeskoczył z traktora. Zostawił pracujący silnik i poszedł na drugi koniec stodoły.

– Co, do diabła? – mamrotał pod nosem.

Stojące tam beły zostały rozwiązane i słoma leżała rozsypana na ziemi.

Wrócił do traktora i wyłączył silnik. Kiedy ostry warkot ucichł, zrobiło się przyjemnie cicho.

Otworzył drzwi do dawnych boksów dla zwierząt.

Aha, stara śpiewka, stwierdził. Wkrótce nie zostanie już nic, czego by nie rozwalili.

Mamrocząc z irytacją, poszedł dalej do warsztatu. Pchnął drzwi ramieniem i lewą ręką nacisnął włącznik światła. Natychmiast spostrzegł, że brakuje kilku narzędzi tak starannie posegregowanych w przegródkach na ścianie.

– Teraz to już przesada.

Kiedy Stellan powiedział mu, że policjanci byli w stodole, nie myślał o tym zbyt wiele. W końcu pukali do drzwi w całej okolicy. Ale teraz naprawdę się wściekł.

Wyciągnął telefon z kieszeni roboczych spodni i już chciał wystukać sto dwanaście, gdy zmienił zamiar. Doszedł do wniosku, że może zamiast tego powinien wybrać któryś z numerów komisariatu. Nie chciał przecież rozmawiać z centrum przyjmowania zgłoszeń. Chciał się połączyć z kimś, kto za to odpowiada. Z jakimś szefem.

Zgasił światło w warsztacie i wrócił do traktora. Należało wejść do domu i odszukać właściwy numer.

Kiedy wyjechał ze stodoły, zobaczył na podwórku Tommy'ego Johansona. Zatrzymał się kilka metrów od niego.



– Cholera, ależ tam buszowali – powiedział. – Brakuje mi narzędzi i w ogóle.

Tommy osłonił dłonią oczy przed słońcem i podniósł wzrok na Klasa Hagmana siedzącego na traktorze.

– Mogliby chociaż po sobie posprzątać. Zadzwoń i się rozmówię z kimś tam w Visby – ciągnął Hagman.

– Co?

Tommy nie ruszał się z miejsca, trzymając dłoń złożoną w łódeczkę na wysokości brwi.

Klas Hagman wyłączył silnik.

– Policja. Muszą chyba posprzątać – stwierdził, wskazując kciukiem przez ramię.

Tommy opuścił rękę i spojrzał w kierunku stodoły.

– Zadzwoń, to kogoś tu przyślą – dodał Hagman. – Wiesz, kto tu był? Znasz nazwisko?

– Strata czasu. Nikogo nie przyślą – odparł Tommy.

Klas Hagman się skrzywił. Pomyślał, że Tommy ma zupełnie niewłaściwe nastawienie. Nie można na wszystko pozwalać. Nie zamierzał jednak się z nim spierać.

– Dobrze, zobaczymy. Zobaczymy – powtórzył, uruchomił silnik, wrzucił bieg i z hukiem wyjechał na drogę.

\*\*\*

Po uchyleniu drzwi balkonowych Anna Thomasson wróciła i usiadła. Podmuch chłodnego powietrza dotarł do siedzącej w fotelu Sary.

– Czyli nie było też żadnych przeszkód natury kulturowej ani religijnej.

– Nie – odparła spokojnie matka Josefa Thomassona. – Nic z tych rzeczy. Josef jest przecież w połowie Egipcjaninem... i Arabem. Cieszyli się z tego, ale nie sądzę, by stanowiło jakąkolwiek różnicę, gdyby był stuprocentowym Szwedem.

– A ojciec Josefa? – spytała Sara.

– Szalał ze szczęścia. Kochał Saleh. Z nim też zamierza się pani spotkać?

– Tak – odparła Sara. – Ma pani z nim jeszcze jedno dziecko, prawda?

Anna skinęła głową, bawiąc się swoim srebrnym naszyjnikiem.

– Najpierw urodził nam się Petter. Samiemu bardzo zależało, by imię brzmiało szwedzko. Miał taki okres, że chciał zostawić dawne życie za

sobą, nauczyć się perfekcyjnie języka, być Szwedem do szpiku kości. Trzy lata później, kiedy na świat przyszedł Josef, trochę mu minęło. Stąd takie imię. Po Yussufie, dziadku.

Anna odgarnęła siwiejące włosy na ramiona.

– Rozwiedliśmy się, kiedy Josef miał siedem lat. Trzy lata później urodziła się Anja.

– Czyli teraz ma szesnaście, siedemnaście lat?

– Skończy siedemnaście we wrześniu.

– Dzieci po rozwodzie wychowywały się z panią czy pełniliście opiekę naprzemienną?

– Można powiedzieć, że wychowywały się ze mną, ale miały kontakt z Samim, jeździły do niego na weekendy i tak dalej. Petter miał kłopoty z zaakceptowaniem Roberta, więc był u Samiego częściej niż Josef.

– Robert to ojciec Anji? – spytała Sara.

– Tak.

– On i Petter się nie dogadywali?

– Rzecz chyba w tym, że wszystko było nowe: rozwód, Robert, Anja. Kiedy urodziła się Anja, on miał trzynaście lat. Może dlatego przede wszystkim po jej narodzinach pojawiły się problemy. Z całą pewnością sytuacja uległa zmianie. Staliśmy się nową rodziną. Dzieci chyba zawsze fantazjują, że mama z tatą zamieszkają razem i wszystko będzie jak dawniej.

– Ale Josef nie zachowywał się jak Petter?

– Nie, zupełnie inaczej. W końcu, kiedy się rozwiedliśmy, był jeszcze mały. Petter miał dziesięć lat. Ale nie wiem, jak wielkie to miało znaczenie. Są bardzo różni. Różnili się już jako dzieci. Josef jest spokojny, utalentowany, nastawiony na cel. Petter bardziej... niespokojny. Miewał kłopoty z nauką i... no, po prostu był trudny. Też jest utalentowany, ale się rozpraszał. Miał mnóstwo energii i zużywał ją na wszelkie możliwe sposoby – powiedziała Anna i rozczapierzyła palce. – Był taki czas, że naprawdę się o niego martwiliśmy. Za chwilę miał się stać pełnoletni. Chciał mieszkać u Samiego, ale to się niezbyt dobrze sprawdzało. Sami nie miał czasu albo nie potrafił być ojcem dla trudnego nastolatka. Albo zwał na niego winę, albo po prostu go nie było. A Petter nie chciał mieszkać u mnie. Próbowalam, ale nie miałam tak wiele do zaoferowania. A kiedy Robert chciał coś powiedzieć, kończyło się totalną katastrofą. Wtedy po prostu uciekał. W tamtym czasie chyba robił, co chciał. Żył po swojemu. W wieku szesnastu lat.

Anna westchnęła.

– Wydawało się, że jeśli któryś z nich źle skończy, to właśnie on.

– Brzmi poważnie. Co takiego robił?

– Szczerze mówiąc, nie wiem zbyt wiele na ten temat. Nawet teraz, po czasie. Tak jak mówiłam, żył po swojemu, a my nie mogliśmy nic na to poradzić. Ale zdawałam sobie sprawę, że nie jest dobrze. Kiedyś spotkałam go z nowymi kolegami i nie były to przyjemne typy. Nie wiem, czym się zajmowali. Narkotykami, rozbojami czy po prostu zwykłym chuligaństwem. Drobni gangsterzy. Okropni mali chłopcy.

Skrzywiła się na to wspomnienie.

– Jak sobie teraz radzi? – spytała Sara.

– Teraz dobrze. Trochę zajęło, zanim znów trafił na właściwe tory, ale już jest w porządku. Mieszka w Malmö i pracuje jako pośrednik nieruchomości. Zdobył wykształcenie w Lund, a potem tam został. Można więc powiedzieć, że synowie robią to samo, choć mają inne zarobki. Chodzi mi o to, że są sprzedawcami. Czy raczej byli...

Przerwała i zapatrzyła się przed siebie. Miała pusty wzrok, a jej oczy błyszczały.

– Nie – powiedziała jakby do swoich myśli, wstając. – Może chce pani zobaczyć jakieś zdjęcia?

Nie czekając na odpowiedź, szybko podeszła do jednej z półek i zaczęła szperać wśród albumów ze zdjęciami.

Sarze nie przeszkadzało, gdy ludzie wyciągali albumy ze zdjęciami. Dzięki temu mogli się odprężyć i wydobyć dawne wspomnienia. Pytanie tylko, czy mogło to wnieść coś do śledztwa.

Anna Thomasson wróciła z dwoma albumami, które wybrała. Położyła je na stole, usiadła i otworzyła jeden z nich.

– Zobaczmy... to nie jest takie ciekawe – stwierdziła, szybko przerzucając pierwsze strony – ale tutaj mają chyba sześć i dziewięć lat.

Obróciła album i położyła go tak, by Sara widziała.

– Mówiła pani chyba, że bardzo się od siebie różnią – zauważyła Sara.

– Charakterem tak! Ale z wyglądu są podobni jak dwie krople wody.

Po tych słowach zachichotała, ale śmiech szybko przeszedł w chlipanie.

– Proszę spojrzeć na to – powiedziała, przewróciła dwie strony albumu i wskazała jedno z czterech zdjęć na czarnym tle.

– Dzielą ich trzy lata, ale mimo to są niewiarygodnie podobni.

– To prawda – przytaknęła Sara. – Niewiarygodnie podobni.

Wpatrywała się w album. Dwaj chłopcy ze zdjęcia mogliby wręcz być bliźniakami.

Sięgnęła po uparcie dzwoniący telefon.

– Eva Karlén.

– Dzień dobry, mówi Klas Hagman. Czy dodzwoniłem się do komisariatu?

Po tonie głosu domyśliła się, że o cokolwiek chodzi, nie będzie to przekazywanie pochwał.

– Zgadza się. Tu komisariat – odparła.

– Chciałem właściwie rozmawiać z kimś na górze, ale najwyraźniej nie dało się skontaktować mnie z komisarzem i zasugerowali, że przełączą mnie do was.

– Aha. W czym mogę pomóc? – spytała Eva.

– Jestem właścicielem gospodarstwa w Hablingbo. Wygląda na to, że przeprowadziliście coś w rodzaju rewizji w mojej stodole. Mam do powiedzenia kilka rzeczy na temat tego, co zostawiliście po sobie.

– Aha. Powiedział pan „Hagman”? – spytała Eva.

– Klas Hagman. Rozbijaliście się tam, przestawialiście rzeczy, a najgorsze jest to, że w moim warsztacie brakuje narzędzi. Chyba moglibyście po sobie posprzątać. Minimum, którego można by żądać, to informacja o tym, co robicie.

– Proszę chwilę zaczekać – poprosiła Eva. – Kiedy to było?

– Niedawno – odparł Klas Hagman z narastającą irytacją. – Kilka dni temu.

– Pan Klas Hagman z Hablingbo?

– Tak. Nie orientujecie się, do kogo włazicie z butami? Nie potrzeba już pozwolenia na coś takiego?

Eva czuła się coraz bardziej zdezorientowana.

– Gdzie to dokładnie jest? – zapytała.

– Nie wie pani? – zrzędził Hagman. – Przecież sama pani tam była.

Naprawdę? – pomyślała Eva.

– Tak, ale przecież nie mogę znać wszystkich gospodarstw z nazwy. – Zdecydowała się na półprawdę. – Więc jeśli pan...

– Stodoła przy gospodarstwie Johanssonów – przerwał Hagman.

Usłyszała w słuchawce jego wzburzone sapanie.

– Zdawało mi się, że mówił pan, że to pańska stodoła.

– Moja i nie moja. Mam ją do dyspozycji, że tak powiem. To coś w rodzaju dzierżawy.

– Czyli dzierżawi pan stodołę Johanssonów? Tak mam to rozumieć? – zapytała.

– Tak. To znaczy... nie spisaliśmy żadnej umowy. Ale to ja korzystam z tego budynku. Oni mogą czasem wstawić samochód czy inny pojazd, ale ja dysponuję stodołą.

No to przynajmniej nie złamaliśmy prawa, pomyślała Eva.

– Od jak dawna tak jest? – spytała.

– Oj, już długo. Kupiłem od nich ziemię dziesięć lat temu. Mieli tam składzik, którego Stellan nie był w stanie wysprzątać, więc umówiliśmy się, że na razie mogę sobie wziąć stodołę. I na tym stanęło. Nie mam nic przeciwko. W końcu stodoła jest sporo większa od tamtego składziku.

– Składzik, mówi pan? Jest tam coś takiego?

– Tak.

– I należy do Johanssonów? Albo raczej czy Johanssonowie nim dysponują? – poprawiła się Eva.

– Zgadza się.

– I nadal go używają?

– Tak. O ile wiem, ich stary złom nadal tam jest.

– Hm... Ale nie dokładają tam już nowych rzeczy?

– Tego nie wiem. Chyba kogoś tam kiedyś widziałem. Ale jeśli tak robią, to rzadko.

– Coś na to poradzimy – odparła Eva trochę niejasno. – Czy mogę do pana zadzwonić za kilka minut? Spróbuję najpierw nawiązać kontakt z komisarzem.

– Myślę, że tak – odparł Hagman. Wydawał się bardziej zadowolony, gdy padło słowo „komisarz”. – Jeśli to naprawdę będzie kilka minut. Nie mogę...

– Już za momencik – odparła Eva. – Proszę nigdzie nie odchodzić.

Rozłączyła się i zadzwoniła do Görana. Nikt nie odbierał. Ani telefonu stacjonarnego, ani komórkowego. Bębniąc palcami w plastikową obudowę telefonu, próbowała myśleć.

Potem znów podniosła słuchawkę i wybrała numer Klasa Hagmana.

– Chciałabym przyjechać i zerknąć na ten składzik – oznajmiła, gdy już odebrał.

– Składzik? – odparł Klas Hagman, jakby to było najdziwniejsze słowo, jakie słyszał od dawna.

Ma demencję czy co? – pomyślała Eva.

– Tak. Składzik, o którym pan opowiadał.

– Aha. Myślałem, że rozmawialiśmy o stodole.

– Zajmiemy się tym – zapewniła Eva. – A narzędzia odzyska pan tak szybko, jak się da. Teraz jednak jest ważne, abym mogła jak najszybciej spojrzeć na ten składzik. Czy mógłby się pan tam ze mną spotkać za godzinę? – Spojrzała na zegar nad drzwiami. Było dziesięć po dwunastej. – Powiedzmy... piętnaście po pierwszej?

– Hmm, myślę... Tak, chyba może być – odparł Klas Hagman, ale nie wydawał się szczególnie zadowolony z informacji.

– Jestem ogromnie wdzięczna. – Eva wzięła go pod włos. – Ważne, by tym razem zrobić to, jak należy.

– Pewnie tak. Ale tam przecież są rzeczy Johanssonów. Czy oni nie powinni...

– Nie – przerwała Eva tak szybko, by Klas Hagman zrozumiał, iż nie życzy sobie ich udziału.

– No dobrze, w takim razie nie zawracajmy sobie tym głowy.

– Jak tam dojechać? – zapytała.

Przyszli i zabrali go z aresztu bez ostrzeżenia. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedział tylko, że pewnie nadal w Kairze. Na pewno nie jechali rozklekotanym minibusem dłużej niż pół godziny.

W małej celi brakowało okien, a ściany były wykonane z niepomalowanego betonu. Wprowadzili go tam mało delikatnie, ale nie stosując przemocy.

Siedział na przytwierdzonej do ściany pryczy i wpatrywał się w garnek.

Zobaczył go natychmiast, gdy strażnicy otworzyli drzwi do celi. Był jednak za bardzo zamknięty w sobie, zbyt spięty, by zauważyć, że w jego obecności jest coś dziwnego.

Dopiero kiedy zamknęli drzwi i przekręcili klucz, i został sam w środku, zaczął o tym myśleć.

Miał przed sobą duży garnek. Na dobrych dziesięć litrów. Stał na płycie grzejnej, która z kolei była ustawiona na małym, lecz stabilnym drewnianym stoliku.

Dlaczego zostawia się więźnia samego w celi z wielkim, ciężkim garnkiem na płycie podłączonej do działającego gniazdka? A przynajmniej domyślał się, że gniazdko działa, na podstawie czerwonej lampki kontrolnej powyżej.

To wszystko stanowiło złamanie regulaminu. W areszcie nie można było mieć nawet długopisu.

Z pewnością chcieli go przestraszyć.

Doszedł do takiego wniosku po długim wpatrywaniu się w garnek – miał wrażenie, że minęło kilka godzin. Może zresztą rzeczywiście tak było.

W dalszym ciągu nie otrzymał informacji, dlaczego został przeniesiony i dokąd.

Bo przecież o to chodziło. Żeby go wystraszyć.

Powoli zbliżył się do garnka. Spostrzegł, że jest w dwóch trzecich wypełniony wodą.

Wystraszyć.

Bo gdyby zamierzali... Chyba nie dawaliby więźniowi szansy na przygotowanie?



Na pewno o to chodziło. O wystraszenie go. Uczepił się tej myśli. Wystraszenie.

Garnek na stole. Żeby on go widział. Płyta grzejna. Czerwona lampka. Fantazje na temat gotującej się wody.

– Tamten dzień jest jak wryty w pamięci. Wszystko uległo zmianie. Wszystko się rozsypało. Nie jestem w stanie tego pojąć.

Oparł czoło o końce palców prawej dłoni.

– Najgorsze, że oskarżyłem Tommy’ego o oszustwo. Prawie zaczęliśmy się kłócić, kiedy usłyszeliśmy dobiegający z domu krzyk jego matki – oznajmił Krister i wybuchnął suchym śmiechem. – Wiem, że oszukiwał. Zawsze. Przynajmniej w grach. Podkradał też z banku, kiedy graliśmy w Monopol.

Zawahał się i skrzywił z zakłopotaniem, jakby pomyślał, że ta refleksja w jakiś sposób nie jest do końca właściwa.

– Mama Tommy’ego była chyba najbardziej zdruzgotana. Zdaje się, że nawet trafiła do psychiatryka. Nie wiem do końca, jak się czuła Anna-Karin, ale mogę próbować to sobie wyobrazić. Mimo to początkowo jakoś się udawało. Miałem dopiero dziesięć lat, więc nie wszystko rozumiałem. Wiele pojąłem dopiero po latach. W każdym razie pamiętam i po czasie potrafiłem sobie poskładać, że to Stellan pilnował, by w domu wszystko działało... Tak jak powinno w rodzinie. Posiłki, szkoła, terminy i co tam jeszcze... Dopiero potem, kiedy Leila odebrała sobie życie, wszystko się zaważyło. To cholerstwo nie mieści się w głowie. Matka Tommy’ego popełniła samobójstwo. Niepojęte.

Tommy miał wtedy trzynaście lat. Trzynaście, a mama wolała śmierć niż jego i córkę.

– Sprawcy byli obcego pochodzenia, prawda? Jest pan tego pewny? – spytał Fredrik.

– Tak, tak. Sami możecie sprawdzić. Zostali skazani. Przynajmniej dwóch z nich. Ale trzeci też był imigrantem. W tej kwestii całkowicie ufam Annie-Karin.

– Powiedziała to panu?

– Nie. Nie tak... bezpośrednio. Ale Tommy mówił, że było ich trzech.

– Czyli, innymi słowy, nie usłyszał pan tego od Anny-Karin?

Krister Asp westchnął, najwyraźniej sądząc, że szczegóły, którego uczeplił się Fredrik, jest nieistotny.

– Nie rozumiem, jak można tak po prostu odpuścić. Może nie da się nic na to poradzić, ale mimo wszystko. To, co spotkało Annę-Karin, było straszne, potworne, ale przecież przeżyła, mieszkała w domu. I Tommy też. Pozwolić sobie na taki upadek jak Leila to nie w porządku. No a potem Stellan. Widział go pan. Kiedy miałem dziesięć lat, bałem się tego człowieka. A teraz?

Dziesięćolatek pewnie dalej mógłby się bać Stellana Johanssona, pomyślał Fredrik. Nie z tych samych jednak powodów co trzynaście lat temu.

\*\*\*

Krister spojrzał na policjanta, który usiadł przy stole w jego kuchni. Fredrik Broman z Visby. Zajmował dużo miejsca. Nie żeby był wielki i przerażający jak Stellan Johansson, gdy Krister miał dziesięć lat i bał się spojrzeć mu w oczy. Chodziło o coś zupełnie innego. Siedział tak, jakby miał do tego prawo. Jakby miał prawo zostać, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Okupował całe mieszkanie. Nie dało się przed nim uciec.

Krister mówił. Nie czuł się z tym najlepiej. Niezbyt go obchodziło, co powie Tommy. Myślał o Annie-Karin.

Nigdy go nie prosiła o milczenie. Tommy zresztą też. Ani Stellan. Nie musieli. To były sprawy, o których się nie gada.

Mimo to powiedział. Powiedział, bo tylko tak dało się zdradzić cokolwiek na temat Tommy'ego, Anny-Karin i Stellana.

A poza tym to była prawda. Coś, co naprawdę się zdarzyło. Gliniarz mógł wszystko sprawdzić. Gdy Anna-Karin była w odwiedzinach u koleżanki w Sztokholmie, napadło na nią trzech imigrantów. Szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Anna-Karin została zgwałcona na jakimś cholernym parkingu w przemysłowej okolicy Enskede. Rzucili się na nią jak zwierzęta.

Powiedział o tym.

Jednocześnie nie widział powodu, by wspominać o wszystkim, co pieprzył Tommy. On sam też się nagadał. Ale to były tylko słowa. Wielkie plany, które nigdy nie zostały zrealizowane. Bełkotliwe zapowiedzi padające z ich ust przy bimbry i tanich browarach. Groźby. Szczegółowe opisy tego, co by zrobili tym skurwysynom. Albo innym takim jak oni. Obcokrajowcom. Czarnuchom. Ciapatym.

Bla, bla, bla. Po co wspominać o czymś takim? Powiedział to, co mógł powiedzieć, nawet jeśli to też było swoistą zdradą.

Miał wrażenie, że policjantowi to się podoba. W ciągu pierwszej godziny funkcjonariusz prawie nie patrzył na swój notatnik. Ale potem, gdy Krister zaczął opowiadać o Annie-Karin, notował każde słowo.

\*\*\*

– Dziwne, że to nie wyszło na jaw – powiedziała Sara Oskarsson do telefonu.

Stała oparta o golfa zaparkowanego przy Sigfridsvägen w Aspudden. Lubiła ten samochód, bo dzięki niemu wyglądała na dziewczynę trzydzieści plus, która dokądś jedzie, a nie ubraną po cywilnemu policjantkę załatwiająca sprawy służbowe. Trochę śmieszne, ale tak właśnie było. Za słabo przypominała kobietę robiącą karierę albo dobrze sytuowaną gospodynię domową, żeby pasować do nowiutkiego volva.

Jak tylko włączyła telefon, pojawiła się wiadomość od Fredrika.

– Rzecz chyba w tym, że to się wydarzyło na kontynencie. No i sprawa dotyczyła gwałtu. Tajemnica – powiedział Fredrik.

– No tak, ale wszystko i tak wyjdzie na jaw – stwierdziła Sara.

– Już wyszło.

Odblokowała drzwi samochodu i usiadła za kierownicą.

– Pojadę przygotować dokumenty. Jedziesz z powrotem?

– Chyba nie ma sensu, abym wracał do Sztokholmu. Pojadę teraz do Ny-näs, ale zadzwoń, jak już sprawdzisz materiał.

– Dobrze, zadzwonię.

– Według wersji Kristera sprawców było trzech, ale skazano tylko dwóch. Jeśli dobrze zrozumiałem, trzeci nie został zidentyfikowany. Sprawdź, proszę, zeznania Anny-Karin w materiałach z postępowania przygotowawczego.

– Wezmę cały materiał.

Powinno pójść szybko i sprawnie. W końcu to był rejon południowy, dawne miejsce pracy Sary.

Wyciągnęła kluczyk z kieszeni spodni i włożyła go do stacyjki. W czasie, który spędziła u Anny Thomasson, całą przednią szybę pokrył pyłek kwiatowy.

– To było trzynaście lat temu? – zapytała.

- Tak jest – odparł Fredrik.
- Trzynaście lat temu...
- Tak, przecież powiedziałem.
- A Petter Thomasson się staczał – powiedziała Sara.
- Co takiego?
- Zobaczymy. Przy odrobinie szczęścia może znajdziemy więcej niż jeden motyw.
- Co? Petter Thomasson? Chodzi ci o brata Josefa Thomassona?
- Tak.
- Co on ma z tym wspólnego?
- Pewnie nic. Później się tym zajmiemy – odparła Sara. – Najpierw muszę przeczytać protokół.
- Ale o co chodzi? Dlaczego...
- Zadzwoń do ciebie, okej?

\*\*\*

Fredrik się poddał i zakończył rozmowę. Było pięć minut przed pierwszą. Uznał, że równie dobrze może znaleźć w Nyköping jakiś lokal, w którym zje lunch. Miał mnóstwo czasu do następnego promu, ale zbyt mało, by spotkanie się z Sarą w Sztokholmie miało jakiś sens.

Był głodny. Nie jadł nic od czasu śniadania na promie o wpół do ósmej. Petter Thomasson? O co, do diabła, jej chodziło?

– Przykro mi, ale musiałem.

– Pewnie, że tak. To przecież był policjant. Dlaczego miałbyś kłamać?

Anna-Karin robiła przedpołudniowe zakupy dla ojca. Już wszystko zapakowała, by pojechać do Nybro i popływać z koleżanką z pracy, kiedy zadzwonił Krister. Na stole w kuchni stał koszyk z bułkami, sokiem rabarbarowym i kawą.

– Nie wiem. Po prostu wydawało mi się to niewłaściwe.

– Nie myśl o tym. Jasne, że kiedy pytanie zadaje funkcjonariusz policji, trzeba odpowiedzieć.

– Tak właśnie uważam – odparł.

Anna-Karin stała z kostiumem kąpielowym w ręce, pocierając jedwabisty materiał kciukiem i palcem wskazującym.

– Rozmawiałeś z Tommym? – zapytała.

– Nie.

Czyli zadzwonił najpierw do mnie, pomyślała.

– Nie bardzo wiem, co tu się dzieje. Policja przesłuchiwała Tommy’ego i tatę w sprawie bomby na pokładzie. Nie tylko ich. Wypytywała też jakiegoś kolegę Tommy’ego, Fälta w Grötlingbo i całe mnóstwo innych ludzi. Kompletne szaleństwo.

– Tak, słyszałem o tym – odparł Krister.

– Zgarnęła ich jakaś grupa specjalna, przerywając im sen. Kiedy Tommy wrócił, wydawał się załamany. Chore, prawda?

– Tak.

– No i do tego tata. Wyobrażasz sobie, że tata mógłby zdetonować ładunek na promie na Gotlandii? Nie rozumiem ich toku myślenia. To jakaś paranoja.

– Zgadza się.

Czekała, aż Krister powie coś więcej, ale w słuchawce panowała cisza.

– Idę popływać. Mia na mnie czeka. Ale miło, że zadzwoniłeś.

– Nie ma sprawy – odparł.

– Do usłyszenia – zakończyła Anna-Karin.

Rozłączyła się i włożyła strój kąpielowy do koszyka. Wychodząc, zgarnęła kolorowe czasopismo. Zamknęła drzwi na klucz.

A zatem już wiedzieli. To z pewnością zrodzi więcej pytań. Do niej i Tommy'ego. I do taty. Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć. Tak jak powiedziała Kristerowi. I tak nic nie mogła zrobić.

Wpakowała koszyk na tylne siedzenie i wsiadła do samochodu. Kąpiel i słońce. Ani jednej chmurki.

\*\*\*

Przy składziku był zaparkowany duży traktor New Holland z błękitną pokrywą silnika. Droga prowadząca w to miejsce była tylko dwoma błotnistymi śladami między jednym polem a drugim.

Składzik miał niskie, obskurne, szare ściany z drewnianą górną częścią pomalowaną na czerwono. Kiedy Eva skręciła na właściwą drogę zjazdową, wkrótce już z daleka zauważyła zarówno traktor, jak i budynek. Kiedy podeszła bliżej, otworzyły się drzwiczki traktora i wysiadł z niego mężczyzna w niebieskich roboczych spodniach i koszuli z krótkim rękawem.

Skręciła i stanęła przy traktorze, który górował nad jej samochodem technika.

– Klas Hagman? – spytała, kiedy już wysiadła.

– To ja.

– Eva Karlén – odparła, wyciągając rękę.

– Aha. Jest pani takim jakby technikiem kryminalnym? – zapytał, ściskając jej dłoń i mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Zgadza się.

Patrz sobie, patrz, pomyślała. W Szwecji nie ma wielu takich jak ja.

– To jest ten składzik? – zapytała.

Zarówno z tynku, jak i panelu farba odpadała wielkimi płatami. Brakowało mnóstwa dachówek, a dach był czarny od porostów. Duże drzwi zamknięto na solidną kłódkę i szeroki, zardzewiały stalowy rygiel. Wyglądał, jakby niedawno zainstalowano mu nowe mocowania. Nierdzewne śruby lśniły na tle rdzy wyzierającej spod łuszczącego się czarnego lakieru.

Klas Hagman zauważył jej spojrzenie.

– Kilko młodych ludzi kręciło się tu jakiś rok temu. Wtedy Tommy założył ten zamek. Często tak się dzieje z domami, które są opuszczone. Albo na takie wyglądają.

Wskazał na szprosowe okno na szczycie.

– Wybili też szybę – dodał.

Eva skinęła głową i wolnym krokiem okrążyła składzik. Nieopodal pasły się krowy, a budynek był ogrodzony z kilkumetrowym zapasem. Z tyłu znajdowały się mniejsze drzwi. Również zamknięte. Były jednak jeszcze dwa okna na wysokości umożliwiającej dostanie się przez nie do środka.

– Dziękuję, że znalazł pan czas – powiedziała, okrążywszy budynek. – Nie trafiłabym tu bez pomocy.

A już na pewno byłoby to kłopotliwe.

Hagman spojrzał na Evę pytająco.

– Nie będę pana już dłużej zatrzymywała – stwierdziła i wyciągnęła rękę.

– Przyjedziemy popatrzeć na bałagan w stodole, obiecuję. Ale nie mam pewności, czy zdążymy dzisiaj.

Zrozumiał, że właśnie poprosiła, by sobie poszedł.

– Rozumiem. Obym tylko odzyskał narzędzia – odparł i szybko ścisnął jej dłoń.

Traktor ruszył z ogłuszającym rykiem. Kiedy już odjechał kawałek drogą, która ledwo przypominała drogę, Eva wyjęła telefon i znów próbowała się dodzwonić do Görana. Tym razem też nikt nie odbierał. Zostawiła krótką wiadomość.

Rozejrzała się zamyślona. Na zachodzie, od strony morza, był duży las. Poza tym otaczały ją pola i pastwiska.

Mogła wytłumaczyć decyzję o przeszukaniu tym, że zwłoka stanowi potencjalne niebezpieczeństwo. Potrzebowała tylko chwili, by się rozejrzeć i pobrać próbki.

Przystąpiła do pracy. Otworzyła bagażnik i wyjęła z niego jedną z walizek. Wyciągnęła przybory potrzebne do pobierania próbek i wzięła też pakiet woreczków, na wypadek gdyby potrzebowała zabezpieczyć jakieś przedmioty.

W drodze do obiektu zawahała się, wyjęła rolkę taśmy i rozwinęła pięć metrów, blokując wejście przez ogrodzenie od strony drogi.

Tak jak przypuszczała, nie musiała nawet uszkadzać okna, żeby odblokować zaczepy. Na tyłach składziku stał kozioł do piłowania drewna. Podsunęła go pod okno. Potem wystarczyło tylko się wspiąć i wejść do środka.

Pod oknem znajdowało się coś w rodzaju stołu roboczego. Wolała na nim nie stawać. Wyjęła jeden z woreczków, wyciągnęła rękę i spuściła go na blat. Wystarczył, aby postawić stopę. Nie chciała, by najważniejszy ślad



utknął pod jej podeszwą. Jeśli było tu coś wartego zabrania, to właśnie na tym stole.

Trzymając jedną rękę na ramie okna i nogę na stole, odepchnęła się i zeskoczyła na podłóżę, na którym zbudowano składzik. Łądując, wznieciła niewielki obłok pyłu.

Oprócz stołu znajdowało się w nim jeszcze kilka ciemnozielonych metalowych szafek w rodzaju tych, które zwykle stawia się w przebieralniach. Poza tym zobaczyła mały i bardzo stary traktor częściowo nakryty plan-deką, zardzewiałą broną i mnóstwo złomu, części samochodowych i popsutych pudeł różnej wielkości. Za drzwiami zamkniętymi na dużą kłódkę stało stare volvo 343.

Przyjrzała się podłóżu ze świeżymi, wyraźnymi odciskami butów. Nie mogła jednak w żaden sposób ich zabezpieczyć.

Zaczęła pracę przy stole. Partiami pobierała próbki z niego i ze ściany za nim. Wykonała prosty szkic i nadała poszczególnym partiom takie same numery jak próbkom.

Kiedy skończyła, przystąpiła do oględzin reszty składziku.

Trzymała się przy ścianie, żeby niepotrzebnie nie zniszczyć śladów na ziemi. Podeszła do rogu i zrobiła kilka kroków wzdłuż drugiej ściany, kiedy nagle poczuła, że coś się zmieniło. Po kilku sekundach zrozumiała, w czym rzecz.

Chodziło o podłóżę. Stało się równiejsze i twardsze. Nie stała już na ziemi.

Przejechała tam i z powrotem bocznią krawędzią stopy i wkrótce spod cienkiej warstwy ziemi wyjrzało kilka desek. Ostrożnie podskoczyła kilka razy. Wydawało jej się, że dźwięk jest głuchy i nie przypomina tego towarzyszącego skakaniu po deskach ułożonych na ziemi. Jeśli pod spodem była piwnica, gdzieś musiało się znajdować wejście. I to wewnątrz składziku. Na dworze nie widziała żadnej klapy ani zejścia.

Trzy metry od niej stała niebieska beczka na paliwo, bardzo dużych rozmiarów. Podeszła sprawdzić. Beczka była pusta i łatwo dało się ją odsunąć. Tam, gdzie krawędź beczki zostawiła wyraźny okrąg na warstwie ziemi, znajdowała się kłapa, której szukała. Zamknięta na kłódkę. Nie tak solidną, jak ta w drzwiach, ale Eva uznała, że da się ją otworzyć narzędziami, które ma przy sobie. Z elektryczną piłą do metalu zajęłoby to zaledwie minutę. Nie miała jej jednak w walizkach.

Przyjrzała się okuciom. Doszła do wniosku, że oderwanie ich od drewna rozwiązałyby problem. Pytanie brzmiało tylko, jak długo jej to zajmie.

Skoro jednak już postanowiła powołać się na zasadę o niebezpieczeństwie związanym ze zwłoką, mogła doprowadzić sprawę do końca.

Kiedy Sara dotarła do swojego dawnego miejsca pracy przy ulicy Västberga gårdsväg, czekał już na nią cały materiał z postępowania przygotowawczego. Po okazałej liczbie uścisków dłoni, objęć i klepnięć w plecy usiadła i zaczęła czytać.

Szybko przebiegła wzrokiem wybrane fragmenty, żeby się z grubsza w nich zorientować. Materiał był zbyt obszerny, by zdążyła przejrzeć wszystko, zanim trzeba będzie wyruszać na prom. Postanowiła skopiować kilka ważnych stron i poprosić o przysłanie reszty.

Niemal od razu się zorientowała, że do gwałtu doszło po drugiej stronie torów kolejowych, zaledwie kilometr od miejsca, w którym się właśnie znajdowała Sara.

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Anna-Karin Johansson była w Enskede u koleżanki, Sofii Blomgren. Poznały się w czasie wakacji sześć lat wcześniej. Wieczorem szesnastego czerwca wyszły z domu około ósmej, żeby się spotkać z kilkoma przyjaciółkami Sofii. Rodzice dziewczyny pojechali odwiedzić kilkoro znajomych w Gottröra na północ od Sztokholmu i mieli tam nocować. Starsza siostra Sofii obiecała, że będzie pilnowała dziewczynek i się stamtąd nie ruszy. Rodzice Anny-Karin znali te ustalenia.

Wieczorem Anna-Karin i Sofia odwiedziły kilka mieszkań i dołączyły do nich kolejne osoby, również kilku chłopaków w tym samym wieku. Było trochę alkoholu, głównie niskoprocentowe piwo kupione przez chłopaków w okolicznym sklepie. Zgodnie z informacjami, które wyszły na jaw w toku śledztwa, Anna-Karin i Sofia piły alkohol, ale żadna nie powiedziała o sobie, że jest pijana. Młodzi ludzie przebywający w mieszkaniu odwiedzonego jako ostatnie przez dziewczyny tamtego dnia, również nie zauważyli, by byli pod wyraźnym wpływem alkoholu.

Co ma do tego stopień upojenia, pomyślała Sara.

Okolo pierwszej w nocy Anna-Karin i Sofia wyszły z mieszkania w Enskede, żeby wrócić do domu. Do Sofii, która mieszkała w pobliżu stacji metra Svedmyra, miały nieco ponad kilometr. Kiedy przecinały parking pod halą sportową mieszczącą się między terenem przemysłowym a osiedlem

mieszkaniowym w dzielnicy Enskedefältet, spotkały trzech młodych mężczyzn. Jeden miał około dwudziestu lat, a dwaj pozostali byli nieco młodszy. Według zeznań dziewczyn wszyscy trzej mieli egzotyczny wygląd – północnoafrykański, arabski czy coś w tym rodzaju. Jeden z mężczyzn, najstarszy, zagadał do dziewczyn i przez chwilę rozmawiali. Także dwóch młodszych włączyło się do rozmowy. Dziewczyny twierdzą, że trwało to kilka minut, najwyżej pięć. Według tych dwóch, którzy później zostali zidentyfikowani i zatrzymani – pół godziny. Dwudziestolatek zapytał dziewczyny, czy pójdą z nimi na imprezę, ale one odmówiły i chciały odejść. Wtedy mężczyźni je zatrzymali i namawiali dalej. Dziewczyny kilkakrotnie powtarzały, że nie chcą iść na imprezę, a potem próbowały się przecisnąć między mężczyznami, ale oni je powstrzymali. Sofii udało się wyrwać i odbiegła. Jeden z młodszych mężczyzn, ten, któremu uciekła, pobiegł za nią, ale nie zdołał jej dogonić.

Anna-Karin, przytrzymywana przez dwóch napastników, nie dała rady uciec. Została powalona na ziemię za halą sportową i zgwałcona. Przez obu. Wtedy trzeci wrócił na miejsce i również ją zgwałcił. Dwaj pierwsi pobili potem Annę-Karin i uciekli.

Sofia Blomgren zawiadomiła policję z telefonu domowego. Patrol zjawił się na miejscu o pierwszej trzydzieści cztery, ale Anny-Karin już we wskazanym miejscu nie było. Próbowła się dostać do domu, ale nie umiała tam trafić. Błądziła nie wiadomo jak długo, a potem schowała się w ogrodzie jednej z willi. Później opowiadała, że bała się ponownego spotkania z mężczyznami. Znalaziono ją dopiero rankiem, a rodzice zostali zawiadomieni, kiedy trafiła do szpitala.

Dwaj zatrzymani, a później skazani przestępcy w ogóle nie mówili o tym, co się wydarzyło, jak o gwałcie. Zaprzeczali też, by był z nimi ktoś trzeci. Mimo że zeznały tak Anna-Karin i Sofia.

Obrona cały czas utrzymywała, że Anna-Karin zgodziła się na współżycie z mężczyznami. Ta linia nie okazała się skuteczna. Dwudziestojednolatek, wskazany jako prowodyr, został skazany na cztery lata więzienia. Osiemnastolatek na dwa. Obaj też mieli zapłacić Annie-Karin odszkodowanie. Nie przyznawali się do winy.

Sara była zdziwiona, że napaść na szesnastolatkę połączona ze zgwałceniem nie została zakwalifikowana jako gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Śmierdziało jej tu trochę kompromisem.

Śledczym nigdy nie udało się zidentyfikować trzeciego mężczyzny. Kilku spośród znajomych dwóch sprawców, którzy w jakimś stopniu odpowiadali rysopisowi, zostało wezwanych na przesłuchanie, ale każdy z nich został wykluczony po konfrontacji ze świadkami. Anna-Karin z dużym przekonaniem twierdziła, że ich nie rozpoznaje. Jej przyjaciółka Sofia miała kłopoty z przypomnieniem sobie, jak wyglądał trzeci z mężczyzn.

Podczas przesłuchań Anna-Karin opisała człowieka, którym mógł być Petter Thomasson.

Eva szukała czegoś, czym można by wyłamać zamek. Próbowala już łomem, ale był za gruby. Trochę poszperała wśród gratów i w końcu znalazła długi i zardzewiały żelazny pręt, który pasował idealnie. Włożyła go w pętlę okucia i zaczęła je rozwalać. Długość narzędzia wystarczyła do uzyskania efektu dźwigni. Poczula, że śruby ustępują. Nagle pręt pękł, a Eva straciła równowagę i odruchowo zrobiła dwa kroki przed siebie, żeby ją odzyskać.

Zakłęta cicho i przykucnęła, żeby zobaczyć, co osiągnęła. Okucie udało się obluźować o kilka centymetrów. Tak że teraz z pewnością mogła się już do niego dostać za pomocą łomu. Przez chwilę próbowała znaleźć jak najlepszy punkt podparcia i w końcu wyłamała ostatnią śrubę.

Dyszac, pochylila się, wcisnęła czubki palców w wąską szczelinę i podniosła klapę. Zobaczyła strome schody wiodące w ciemność. Przy pasku miała małą latarkę. Wolałaby coś lepszego, ale to musiało wystarczyć na pierwsze oględziny.

Otworzyła klapę do końca, wyciągnęła latarkę i ją włączyła. Zeszła tyłem po schodach, przytrzymując ręką otwartą klapę. Zauważyła dużą różnicę między ciepłym, pachnącym suchym drewnem powietrzem w składziku a chłodem piwnicy. Poczula, że włoski na rękach stają jej dęba.

Pomieszczenie było tak płytkie, że kiedy zeszła po schodach na sam dół, wystawała jej głowa. Przykucnęła i szybko oświetliła wnętrze. Ściany na dole były betonowe. Na oko piwnica liczyła trzy metry na trzy. Była pusta, jeśli nie liczyć niskiej i czarnej drewnianej skrzyni przy jednej ze ścian i czegoś, co było za nią wciśnięte.

Odłożyła latarkę na jeden ze stopni i naciągnęła na ręce jednorazowe rękawiczki. Z powrotem wzięła latarkę i pochyłona zbliżyła się do drewnianego pudła. Oświetliła też sufit, żeby się upewnić, że nie ma tam żadnych wystających gwoździ, które mogłyby ją skaleczyć, gdy znowu się podniesie. Następnie przykucnęła obok skrzyni.

Odłożyła latarkę na posadzkę. Oświetlenie naprawdę było beznadziejne i żałowała, że nie ma lepszego sprzętu. Mogłaby pójść po inny, który został

w samochodzie, ale wolała szybko mieć to z głowy, a potem zadzwonić po wsparcie i spenetrować cały składzik milimetr po milimetrze.

Pochyliła się i chwyciła to coś, co było wciśnięte za skrzynię. Okazało się to zwiniętym kawałkiem plandeki. Jeszcze zanim otworzyła pakunek, miała podejrzenie, co może być w środku. Bez trudu zidentyfikowała ten szczególny model PS90. Używana przez siły zbrojne broń snajperska, uchodząca za jedną z najlepszych na świecie do precyzyjnego strzelania. Wariant broni wykorzystywanej przez brytyjski SAS.

Nie dotknęła jej, tylko zawinęła z powrotem i odłożyła na bok.

Wyłamała rygle drewnianej skrzyni, uniosła pokrywę i spojrzała na sześć pudełek plastycznego materiału wybuchowego. W każdym pudełku było osiem wkładów ważących łącznie kilogram. Zaryzykowałyby stwierdzenie, że nie tak dawno temu w skrzyni było więcej.

Kiedy przyjrzała się jej dokładniej, stwierdziła, że to drewniana skrzynia sił zbrojnych, którą ktoś pomalował sprejem na czarno. Dzięki temu aż tak nie rzucało się w oczy, że to materiały wojskowe.

Eva szybko zabezpieczyła jedną próbkę, opuściła pokrywę i umieściła rygle na miejscu. Podniosła zawiniętą broń i latarkę, a następnie ruszyła z powrotem w kierunku światła wpadającego przez szparę w pokrywie. Wyłączyła latarkę, wsunęła ją z powrotem w uchwyt przy pasku i stanęła na najniższym stopniu.

Przez ułamek sekundy widziała mężczyznę, który zasłonił światło, ale nie zdążyła zobaczyć, co ją uderzyło.

Przyjemnie było wrócić do klimatyzowanego komisariatu. Göran Eide przeciągnął się, trzymając ręce nad głową, a następnie opuścił je za kark. Ziewnął szeroko. Na zewnątrz dzień był gorący i duszny.

Wyjął komórkę z kieszeni, włączył ją i odłożył na biurko.

Wrócił ze spotkania przy lunchu z komendantką regionu i szefem policji porządkowej. Chodziło o pieniądze. W odróżnieniu od policji z innych części kraju na Gotlandii nie narzekali na sytuację finansową. W ciągu zaledwie kilku lat zwiększyli liczebność mundurowych o prawie dwadzieścia procent. Wszystko zgodnie z planem i budżetem. Poza tym odnowili wysłużony komisariat. Teraz jednak prognozy na kolejne lata były niekorzystne. Nie z ich winy. Zanosilo się, że obiecanych dopłat nie będzie. Na spotkaniu budżetowym w zarządzie krajowej policji ktoś zmienił priorytety.

Zamach na prom jeszcze bardziej nadwyrężył budżet. Komendantka Agneta Wilhelmsson odbierała to nie jako coś negatywnego, lecz jako szansę. Kiedy dzieje się coś tak nietypowego, co angażuje cały naród, ci, którzy w Sztokholmie trzymają łapę na pieniądzach, nie bardzo mogą odmówić mocno obciążonej jednostce policji pośrodku Bałtyku.

Dlatego zwołano spotkanie budżetowe w trakcie pogoni za zamachowcami bombowymi i rasistowskimi mordercami.

Göran Eide westchnął i usiadł, żeby odsłuchać wiadomości. Prędko rozumiał znaczenie pracy przy budżecie. Chodziło oczywiście o środki, ale przede wszystkim o władzę. Można było sobie zarządzać do woli, ale niewiele to pomagało, gdy nie miało się funduszy na wprowadzanie w życie swoich decyzji. To oczywiście było ważne. Kiedy jednak obejmował kierownictwo wydziału, wyobrażał sobie coś innego: że będzie za pan brat z takimi pojęciami jak zasoby ludzkie. Bardziej niż wszystko inne dostrzegał możliwość planowania i kierowania pracą dochodzeniową zgodnie z tym, co podpowiada mu głowa. Ale znów zderzył się z tym samym. Jeśli człowiek chce zbudować taki wydział kryminalny, na jakim mu zależy, musi najpierw zdobyć kasę.

Eva Karlén nagrała wiadomość o jakimś składziku u Johanssonów w Hablingbo. Ponoć przegapili to podczas rewizji. Göran poczuł, że się budzi.



Bardziej niż chętnie odsunął rozważania budżetowe na bok, zastępując je na chwilę prawdziwą policyjną robotą.

Głos Evy Karlén umilkł, a cyfrowej telefonistki obwieścił, że wiadomość została zostawiona o trzynastej trzydzieści pięć. A zatem około dwudziestu minut wcześniej. Po chwili głos Fredrika Bromana poinformował, że przesłuchanie Aspa przyniosło rezultat – możliwy motyw Tommy’ego Johansona. Potem dodał coś niejasnego na temat przesłuchania Sary Oskarsson. Mieli się odezwać ponownie po spotkaniu na promie.

Göran spojrzął na zegar. Dochodziła druga. Prom powrotny miał wypłynąć dopiero około piątej.

Zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Fredrika. Oceniał, że nie warto. Zamiast tego wybrał numer Evy. Wydawało się, że zależało jej na decyzji. Czekał.

Telefon Evy był wyłączony. Od razu odzywała się poczta głosowa.

\*\*\*

Eva powoli oprzytomniała. Otworzyła oczy, ale nic nie widziała. Przez kilka sekund wydawało jej się, że oślepla, a potem że jest noc, aż w końcu zrozumiała, że wciąż znajduje się w piwnicy. Wywnioskowała to z zimna i słabego światła, które wpadało przez szczelinę i pokazało się dopiero po chwili.

Ostrożnie usiadła. Natychmiast poczuła ukłucie w głowie. Zarówno w środku, jak i z boku, ból promieniował w kierunku szyi.

Musiała stracić przytomność. Czyżby ktoś ją uderzył? Tak przypuszczała, ale nie mogła sobie tego przypomnieć. Czy ktoś tam był?

Uniosła lewą rękę, pomacała twarz i bok głowy. Nie czuła krwi, ale kiedy sięgnęła dalej, zabolą ją z tyłu głowy.

Opuściła rękę. Wtedy dotarło do niej, że została okradziona. Kieszenie kamizelki, którą na siebie włożyła, żeby mieć miejsce na sprzęt, zostały opróżnione. Sprawdziła kieszenie spodni. Też były puste. Wszystko zniknęło. Telefon komórkowy, klucze, nawet mała latarka z uchwyty przy pasku. I wszystkie próbki.

Nagle usłyszała dźwięk uruchamianego samochodu. Musiał być tuż za ścianą. Nie, jednak w składziku. Silnik warczał tuż nad jej głową. Grube deski tworzące dach piwnicy trzeszczały.

Woń spalin drażniła jej nos. Ogarnęła ją fala paniki. Mimo bólu głowy zerwała się na nogi i podeszła do kłapy. Ta ani drgnęła. Nie chciała ustąpić nawet o milimetr.

Czy miała umrzeć zaczadzona w tej małej piwnicy? Otruta tlenkiem węgla? Czy na tym polegał plan?

Zaczęła łomotać w klapę.

– Halo! Jestem tu na dole. Musicie mnie wypuścić!

Warkot silnika przybrał na sile, woń spalin stała się ostrzejsza. Eva uderzyła zaciśniętą pięścią w klapę.

Miała pełną świadomość, że ma niewielkie szanse, jeśli jej obawy są słuszne. Skoro osoba tam na górze naprawdę miała zamiar ją zabić. Ale nawet nikła nadzieja to zawsze coś. Nawet zabójca może zmięknąć i zmienić zdanie. Poza tym nawet gdyby była bez szans, nie potrafiła się powstrzymać. Zadziałał czysty instynkt. Instynkt przetrwania.

Miała dwójkę dzieci. W tym momencie widziała przed sobą tylko je. Nic innego.

Dźwięk silnika nagle ucichł. Ten sam instynkt, który chwilę wcześniej nakazał jej stukać w klapę, teraz podpowiadał, by przestać. Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego. Stała w kompletnym bezruchu, wciąż z zaciśniętą pięścią w powietrzu, i nasłuchiwała.

Drzwiczki samochodu otworzyły się i zamknęły. Usłyszała szybkie kroki, najpierw na dachu z desek, a potem na posadzce z ziemi. Zamknęły się drzwi na skrzypiących zawiasach i usłyszała metaliczny chrobot, gdy ciężka żelazna zasuwa trafiła na swoje miejsce.

Chwilę później drzwi znowu się otworzyły i kroki powróciły.

Eva opuściła pięść, ale nadal stała w tej samej pozycji, kompletnie nieruchomo, prawie wstrzymując oddech.

\*\*\*

Tommy ostrożnie zamknął maskę silnika. Zamontowanie ładunku wybuchowego nie zajęło mu dużo czasu. Był dziwnie skoncentrowany. Jakby jego poczynania oświetlał mocny reflektor. Wszystko dookoła było za to mętne. Mgliste. Ale to nie przeszkadzało.

Nie była to elegancka robota ani nawet nie starał się jej ukryć. Nikt jednak nie będzie szukał. To nie do końca była jego działka, ale czegoś się nauczył. Tego, co najważniejsze.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i chwilę się wahał z kluczykiem w ręce. Najpierw miał zamiar go zostawić, ale coś go powstrzymało. Nie była to jego specjalność i tyle. Nie wiedział zbyt dobrze, w jaki sposób to działa. Jedynie tyle, że ma zadziałać. I zrobić huk.

Myśl o wprowadzeniu kluczyka do stacyjki wprawiała jego dłoń w drżenie. Miało to być całkowicie bezpieczne i nie doprowadzić do detonacji. Ale może lepiej się powstrzymać?

Dłoń trzymająca kluczyk drżała.

Nie mógł tak stać i się gapić. Marnować czasu. Na dole była kobieta. Na tym się nie kończyło. Przecież wiedział. To było tylko odroczenie. Przesunięcie w czasie. Musiał działać. Polować dalej.

Rzucił kluczyk na siedzenie kierowcy i lekko zamknął drzwiczki. Wybiegł ze składziku. Zamknął zasuwę z dużą kłódką.

Na pokładzie roіło się od pasażerów. Albo zamach nie podziałał odstrasza-  
jąco na wielu ludzi, albo był to w dalszym ciągu skutek trzydniowego prze-  
stoj.

Fredrik szedł przed siebie, omijając pasażerów, którzy szukali swoich  
miejs. To był mniejszy, trochę szybszy prom. Fredrik miał miejsce na gór-  
nym pokładzie salonowym i umówił się z Sarą przy barze.

Kiedy wszedł po schodach, już na niego czekała. Po drugiej stronie baru  
pracownik napełniał oświetlone szklane pudło chipsami bekonowymi. Za-  
pach dało się wyczuć na całym górnym pokładzie.

Okazało się, że Sara ma miejsce na dole, więc zaproponował, że wyjdą  
na zewnątrz.

Bałtyk przy brzegach Nynäshamn był jak nieruchoma turkusowa tafla.  
Nie wyczuwało się żadnych podmuchów wiatru. Słońce ogrzewało skórę.  
Nie mogąc się powstrzymać, stanęli przy relingu i patrzyli w stronę hory-  
zontu.

Gdyby nie szwankujący silnik rampy, prom M/S Visby wyleciałby w po-  
wietrze. Ta myśl zakłóciła spokojny nastrój.

– Popatrz na nich – powiedziała Sara i pokazała mu kolorową kopię kilku  
zdjęć rodzinnych.

Fredrik odwrócił ją w dobrą stronę.

– To Thomasson? – zapytał, patrząc na dwóch uśmiechniętych młodych  
mężczyzn, którzy spoglądali na niego z kartki.

– Tak. I ten też. To Josef Thomasson – mówiła Sara. – A to jego starszy  
brat, Petter – dodała, przesuwając palec w lewo. – Dostrzegasz podobień-  
stwo?

– Pewnie, że tak – odparł Fredrik.

Prom HSC Gotlandia zaczął odbijać od brzegu. Z początku tak wolno, że  
prawie nie było tego czuć.

– Kiedy Anna Thomasson mi ich pokazała, o czymś sobie pomyślałam.  
Rozmawialiśmy przecież o możliwej pomyłce. Ale myśleliśmy o Josefie  
Thomassonie i Saidzie Habibie.

– Tak, tak – ponaglił ją Fredrik.

– Łatwo byłoby pomylić ich ze sobą.

Fredrik skinął głową.

– Z całą pewnością.

– To była tylko myśl. Ale nie mogłam jej nigdzie zaczepić. Kto miałby się pomylić i dlaczego? Matka Pettera Thomassona twierdziła, że syn się staczał. Chodziło o narkotyki, drobną przestępczość, problemy wychowawcze. Trafił w złe towarzystwo, jak to się zwykle nazywa w opowieściach rodziców.

– Hm.

– Ale to było dawno. Przynajmniej według matki. Teraz podobno jest poważnym pośrednikiem nieruchomości w Malmö. Sprawdziłam go i na razie się zgadza. W rejestrze nie ma nic po wyroku w zawieszeniu za pobicie z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. I wtedy zadzwoniłeś ty z informacją o gwałcie.

Fredrik podniósł wzrok na Sarę. Nic nie mówił, ale przez głowę przelatywały mu obrazy z ostatnich tygodni. Gospodarstwo w Hablingbo, groteskowo otyły, wegetujący Stellan Johansson, mroczne spojrzenie Tommy’ego Johanssona podczas pierwszego przesłuchania, schludny mały domek Anny-Karin Johansson, jej uśmiech i bezpośrednie spojrzenie.

– Trzeci sprawca? Ten, którego nigdy nie znaleziono? To masz na myśli?

– Właśnie – odparła Sara.

– Zgadza się czasowo?

– Tak.

– No, no – odparł Fredrik.

– „No, no”? To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Nie. To ma większą wagę niż wszystko, co ustaliliśmy do tej pory. Ale w dalszym ciągu dysponujemy tylko poszlakami.

– Cholernie ważna poszlaka, że tak powiem. Peter Klint też na pewno będzie tego zdania.

– Jeśli trzecim sprawcą jest Petter Thomasson, to tak. Na razie jeszcze tego nie wiemy.

– Wiem. Próbowałam się skontaktować z przyjaciółką Anny-Karin z Enskede i na razie dodzwoniłam się tylko do jej pracy. Do soboty przebywa w Grecji.

– W takim razie padnie na Annę-Karin – stwierdził Fredrik.

– Tak.

– Jeśli wskaże Pettera Thomassona, sprawa niewątpliwie stanie się poważna. Powiedzmy, że to on jest tym nieznanym trzecim gwałcicielem z Enskede z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Trzynastcie lat później Josef Thomasson pojawia się w Nisseviken i zostaje uznany za swojego brata. Tommy Johansson zabija go w akcie zemsty za gwałt. Ma wiele argumentów. Cierpienie siostry, samobójstwo matki, ojciec żyjący jak warzywo i jego własne nieudane życie. Jest bezrobotny, zgorzkniały, czuje się zdradzony. To w nim pracowało latami. Pragnął się zemścić. Kiedy Anna-Karin odnosi wrażenie, że rozpoznała gwałciciela, i mówi o tym Tommy’emu, wszystko osiąga punkt krytyczny. Tommy od nowa przeżywa dawną traumę. Musi coś zrobić, żeby się od tego uwolnić. Musi działać. Zemścić się.

– Widzę, że załapałeś – oznajmiła Sara.

– Tyle że nadal nie mamy prawdziwych dowodów. Żadnego świadka, żadnych materiałów fizycznych. Gdzie są dowody? Samo alibi Tommy’ego nie jest stuprocentowe, ale bardziej go uniewinnia, niż pogrąża. Wszystkie sztuki broni w tej rodzinie zostały sprawdzone. Żadnej z nich nie użyto przy zabójstwach.

Statek opuścił port i zwiększył prędkość. Wibracje metalu pod nimi przybrały na sile. Zapach morza mieszał się z oparami spalin.

Sara połączyła kopię ze zdjęciami i schowała do walizki, którą wzięła ze sobą na pokład.

– Cofnijmy się trochę. Do czego możemy się odnieść? – zapytała. – Mamy fragmenty amunicji siedem i sześćdziesiąt dwie setne milimetra. Zarówno Anna-Karin, jak i Tommy Johansson należą do klubu strzeleckiego Havdhem. Oboje mają zarejestrowaną broń tego kalibru. Żaden z tych egzemplarzy nie został użyty do zabicia Habib i Thomassona.

– Tak jak mówiliśmy niedawno: szukamy broni – powiedział Fredrik.

– Tak. Gdzieś musi być inna broń. Niezarejestrowana. Podczas rewizji Eva nic nie znalazła, ale broń łatwo schować. Może jest gdzieś zakopana. Mogła też oczywiście zostać zniszczona. Albo leży gdzieś na dnie morza.

To ostatnie powiedziała, wskazując głową piękny turkus, w którym prom wzbijał delikatne fale.

– Może być i tak, że sprawcą wcale nie był Tommy Johansson. To najprostsze wytłumaczenie – stwierdził Fredrik.

– Na razie trzymajmy się tej teorii – poprosiła Sara.

– Trzymamy się. Proponuję jedynie odrobinę stosownego oporu.

– W porządku – kontynuowała Sara. – Może to był ktoś inny. Ojciec albo wręcz Anna-Karin. Jeśli moja teoria jest słuszna, oboje mieliby motyw.

Fredrik oparł się przedramionami o reling.

– Ojciec wydaje mi się wątpliwy. Pod wieloma względami jest do tego niezdolny. A Anna-Karin... Poza tym że na jej niekorzyść jako potencjalnej morderczynie w tym wypadku bardzo mocno działa statystyka, to jeszcze jest tą, której najlepiej udało się skierowanie życia z powrotem na właściwe tory. A przynajmniej tak to wygląda.

– Żadnego z nich nie można jednak wykluczyć – stwierdziła Sara.

– To prawda – musiał przyznać Fredrik.

Na pokład słoneczny weszła jakaś kobieta około siedemdziesiątki. Natychmiast wprawnym ruchem zapaliła papierosa. Dym poleciał prosto na nich. Fredrik poczuł szczypanie w nosie, ale nie potrafił się zdobyć na poproszenie kobiety, by przeszła gdzieś dalej. Uznał, że palacze w tych czasach i tak mają ciężko.

– Do tego dochodzi zamach na prom – ciągnął. – Poza tym sporo przemawia za Tommym. Między innymi za nim, jak może powinienem powiedzieć. Pytanie tylko, czy to wszystko trzyma się kupy.

Sara machnęła ręką przed twarzą. Paląca kobieta zauważyła ten gest i gwałtownie odwróciła się do nich plecami.

– To dwie różne rzeczy – odparła Sara. – W jednym wypadku cel jest bardzo wyraźny, a motyw głęboko osobisty, w drugim cel bardziej rozmyty, natomiast motywy w taki czy inny sposób mają naturę ideologiczną. Nie pasuje mi to do siebie. Poza tym wydaje się kompletnie idiotyczne na tydzień przed zaplanowanym zamachem bombowym na prom zabijać dwie osoby, bo przecież to musiało sprowokować wzmożoną aktywność policji. Szczególnie jeśli ktoś mieszka w pobliżu miejsca zbrodni i musi się liczyć z ryzykiem, że mimo wszystko będzie podejrzany.

– A zatem nadal zakładasz, że trzecim gwałcicielem był Petter Thomason.

– Tak, oczywiście – odparła Sara i odgarnęła włosy do tyłu. – Zobaczmy, co na temat tego zdjęcia powie Anna-Karin. Chyba powinniśmy od tego zacząć.

17 czerwca 1991 roku

Krister, podnosząc wysoko nogi, biegł po nierównym terenie po drugiej stronie brzozonego zagajnika. Co jakiś czas pojawiał się między drzewami. Czarna sylwetka okrążająca zarośnięty zbiornik przeciwpożarowy.

Tommy zerknął na wyświetlacz żółtego stopera. Minęły dwadzieścia trzy sekundy. Krister miał dobry start. Był szybki, szybszy od niego. Ale w pokonywaniu przeszkód nie był równie dobry.

Dotarł do pierwszej z nich, padł na ziemię i zaczął się czołgać pod palami zawieszonymi pół metra nad ziemią. Po drugiej stronie szybko zerwał się na nogi. Na treningowych spodniach i kurtce miał mnóstwo suchej trawy i pyłu.

Rzucił się na następną przeszkodę. Ruszył przed siebie, trzymając się belki zawieszanej pomiędzy dwiema grubymi sosnami. Dziesięć razy tam i z powrotem. Tommy znów sprawdził czas. Krister nadal dobrze sobie radził, choć było widać, że zaczyna być zmęczony. Zatrzymał się, wziął dwa głębokie wdechy, a następnie wszedł na belkę, by chodzić po niej tam i z powrotem jak po równoważni.

Byli między stodołą a drogą, kurniki sąsiada stały dwa kroki dalej. W nieregularnych odstępach dobiegały stamtąd odgłosy spadającego kurzego gówna. Krister zwykle głośno się na to skarżył. Ale głównie dla żartów. Wystękał przeciągle „Oooooo!” i złapał się za nos. Ale to było zabawne przez pierwsze dni. Potem mu się znudziło albo przywykł. Tommy nie myślał o smrodzie z kurnika. Mieszkał obok niego przez całe swoje dziesięcioletnie życie.

Był pierwszy tydzień wakacji i Krister przypłynął na Gotlandię, żeby przez tydzień mieszkać u Tommy’ego. Krister i jego rodzice mieli mały, brązowy letni domek zaledwie kilkaset metrów dalej przy tej samej drodze. Ale do urlopu rodziców pozostał jeszcze tydzień.

Chłopcy znali się od trzeciego roku życia. To były trzecie wakacje, gdy Krister miał mieszkać przez tydzień u Johanssonów.

Dzień przed jego przyjazdem z Nyköping siostra Tommy’ego Anna-Karin pojechała do Sztokholmu odwiedzić swoją przyjaciółkę Sofię z En-



skede. Cała rodzina odprowadzała ją na prom. To było w czwartek. W piątek przyjechał Krister.

Jeszcze tego samego dnia zaczęli budować tor przeszkód. Za dużym białym domem z różowym dachem znajdował się teren z małym zagajnikiem, w połowie zarośniętym zbiornikiem przeciwpożarowym i łąką. Do ich ćwiczeń pasował idealnie.

Pożyczyli kosiarkę i przycięli część trawy, tworząc bardzo równy kwadrat. Tam mieli wykonywać część ćwiczeń. Tam również stał ten z nich, który spisywał protokoły. Krister dobrze rysował, więc to on przygotowywał eleganckie dokumenty z trzema koronami w lewym górnym rogu i słowem „Wojsko” napisanym poniżej. Ten dzień był ich trzecim na torze przeszkód i entuzjazm wciąż nie opadł.

Krister przystąpił do robienia pompek. Tommy leżał na ziemi z głową przyciśniętą do trawy i sprawdzał, czy wszystko przebiega prawidłowo.

– Nos do ziemi! – krzyczał.

Krister wyglądał, jakby miał ochotę kazać mu spieprzać, ale był zbyt zdyszany i bolały go mięśnie. Miał tak czerwoną twarz, że nie było na niej widać jego piegów.

Rozległ się dzwonek telefonu umieszczony za domem. Metaliczny, rozdzierający dźwięk, odbijający się echem między domem a stodołą. Aparat ucichł już po trzech sygnałach. To oznaczało, że Stellan i Leila Johanssonowie siedzieli w kuchni, pijąc przedpołudniową kawę. W przeciwnym wypadku trwałoby to znacznie dłużej. O ile w ogóle by odebrali.

Tommy dokładnie studiował jasnorudą czuprynę Kristera i jego nos.

– Osiem, dziewięć, dziesięć – liczył.

Krister i Tommy spędzali razem mnóstwo czasu każdego lata. A także ferie i Wielkanoc. Przez ostatnie lata, gdy zbliżały się przerwy w nauce, dzwonili do siebie snuć plany i się upewniać, czy w pakiecie będą odpowiednie gry Nintendo.

Znali się od zawsze. Krister był najlepszym przyjacielem Tommy’ego. Kiedy miał przyjechać, Tommy czekał niecierpliwie, aż saab rodziny Aspów pojawi się przy brązowym domku. I jak tylko Krister wysiadał z samochodu, rozpoczynały się gorączkowe aktywności. Choć Tommy’emu zdarzało się także denerwować na Kristera. Zwłaszcza kiedy grali w gry albo urządzali jakieś zawody. Było trochę tak, jakby Krister z czymś się krył. Jakby miał pewne moce albo umiał robić różne rzeczy, ale udawał, że tak nie jest. Niespodziewanie zaczynał korzystać ze swoich umiejętności i

okazywało się, że jest lepszy od niego. Kiedy Tommy to czuł, coś zaczynało mu się obracać w żołądku. Miał niespokojne nogi i nie potrafił jasno myśleć.

W każdym razie na torze przeszkód był najlepszy. Od przyjazdu Kristera pokonał go dobrych dziesięć razy. Obaj stawali się coraz lepsi, ale z każdą kolejną turą to Tommy ustanawiał rekordy toru.

Teraz Kristerowi pozostał tylko końcowy odcinek. Należało przebiec przez wysoką trawę i dalej krętą drogą dla traktora aż do mety na granicy posesji. Dobrze mu szło. Zanosilo się na nowy rekord toru. Pobije Tommy'ego o jakieś dziesięć sekund.

Tommy uniósł stoper, trzymając kciuk na przycisku stop. Krister zbliżał się do mety. Wypadł na drogę i wyglądał tak, jakby te wszystkie przeszkody wcale go nie osłabiły. Tommy wiedział, że po minięciu linii mety Krister pokona jeszcze dobry kawałek siłą rozpędu. Dopiero po chwili się odwróci i będzie patrzył wyczekująco, żeby usłyszeć, jaki ma czas. Może się nachyli i zacznie dyszeć, łapiąc powietrze, jeśli będzie naprawdę wykończony.

Dobiegał. Zostało już tylko kilka metrów.

Minął linię mety!

Nad drogą unosiły się obłoki kurzu. Krister wyhamowywał, biegnąc dalej długimi susami w stronę kurników. Tommy czekał z kciukiem na przycisku. Czy powinien zatrzymać czas? Krister wciąż miał kilkusekundową przewagę nad jego wynikiem.

Krister zahamował tak, że żwir aż zachrząścił. Zatrzymał się tuż przy siłosie z paszą dla kur. Tommy wcisnął przycisk stopera. Nie mógł już dłużej czekać. Nie miał wyboru.

Krister odwrócił się do niego, lekko unosząc głowę. Chciał poznać czas. Tommy wpatrywał się w wyświetlacz. Niech to szlag. Krister pobił go o dwie sekundy. A dokładnie o jedną i sześć dziesiątych.

– Trzy czterdzieści trzy, nowy rekord toru – oznajmił.

Wpisał czas do protokołu.

– Trzy czterdzieści trzy? – upewnił się Krister.

– Tak.

Wydawał się rozczarowany, choć zgarnął rekord. Co było z tym chłopakiem?

– Lekko mi się biegło. Nacisnąłeś, kiedy byłem na linii mety?

– Jasne, że wtedy. Głupi jesteś czy co?

– Wydawało mi się, że zrobiłeś to później, przy kurnikach – odparł Krister i zaczesał palcami spoconą grzywkę do tyłu. – Widziałem, że wtedy zrobiłeś...

Trzymając kciuk w powietrzu, przycisnął niewidzialny stoper.

– Co ty pieprzysz, opanuj się.

Krister ruszył w stronę Tommy’ego. Oskarżycielsko wymierzył w niego palec. Mogła to być długa i gorąca dyskusja, gdyby nie przerwał im tamten krzyk.

Tamten odgłos.

Naprawdę to był bardziej odgłos niż krzyk i nie przypominał niczego, co słyszeli wcześniej. Znieruchomieli i spojrzeli na dom. To było tak obce, że ledwo rozumieli, co dobiegło ich uszu. Mimo to mieli wrażenie, że ten dziwny, płaczliwy głos, jednocześnie przenikliwy i stłumiony, przedostaje się do ich podświadomości i wprawia coś w ruch. Natychmiast stało się jasne, że dźwięk wydobywa się z ciała, które jest w stanie rozpadu.

Wtedy przynajmniej Tommy zrozumiał, że ten przerażający odgłos wydaje jego mama.

Bez namysłu ruszył w stronę domu. Nogi niosły go znacznie szybciej niż kiedykolwiek na torze. Stawiał tak długie i niekontrolowane kroki, że powinien był upaść. Zahaczyć o coś nogą albo poślizgnąć się na kamieniu. Tak się jednak nie stało. Pędził w kierunku domu i krzyku. Dźwięku, który trwał i trwał. Potem, po krótkich przerwach rozbrzmiewał znowu. Jak syrena alarmowa.

Krister nadal stał na żwirowej ścieżce obok łąki i patrzył w kierunku, w którym pobiegł kolega. Rozumiał instynktownie, że nie powinien za nim biec. To nie była jego sprawa. Przeczesał palcami grzywkę. Pot zmoczył już całe jego ciało. Krister nie wiedział, co robić, dokąd pójść. Został więc w tym samym miejscu.

Tommy otworzył moskitierę drzwiową i popędził dalej do kuchni. Tam raptownie się zatrzymał.

Jego mama siedziała przy stole, oburącz ściskając słuchawkę telefonu. Błądziła wzrokiem gdzieś w przestrzeni, wpatrzona w wielką czarną pustkę, którą widziała tylko ona. No i jeszcze ten dźwięk – gardłowe, chrapliwe wycie przypominające wręcz krakanie. Łzy spływały jej po policzkach, z nosa spływała wydzielina, a w kącikach ust widać było bańki śliny. Tommy stał jak wryty i wpatrywał się w znajomą, lecz jednocześnie zupełnie obcą postać na błękitnym drewnianym krześle.

Kiedy zaczęła łapczywie wciągać powietrze, a krzyk ustał, Tommy odwrócił się do ojca. Ten siedział kawałek dalej przy zlewozmywaku, wielki i ciężki w swoim kombinezonie roboczym. Ten zazwyczaj tak silny i przedsiębiorczy mężczyzna wydawał się sparaliżowany wybuchem emocji u żony. Kiedy Tommy spróbował spojrzeć mu w oczy, uciekł wzrokiem.

Pełen bólu stłumiony krzyk powrócił z pełną siłą. Mama wypuściła z ręki słuchawkę telefonu. Plastik stuknął o podłogę.

Znów zapadła cisza, a wtedy mama chwyciła oparcie krzesła i ścisnęła je tak, że aż zbieleły kostki dłoni. Wyglądała, jakby całkiem traciła kontakt z rzeczywistością. Chwilę później zabrzmiał nowy żalony dźwięk. Tym razem głośniejszy i bardziej przenikliwy. Jakby nie mogła podjąć decyzji, czy ma rozerwać sama siebie swoimi krzykami, czy zamilknąć i spaść w pustkę pomiędzy jednym a drugim.

Po policzkach Tommy'ego płynęły łzy. Wyciągnął ręce do mamy ścisnącej krzesło. Chciał jej pomóc i chciał, żeby pomogła jemu. Ona jednak go nie zauważyła. Była pochłonięta swoją rozpaczą, ślepa na świat dookoła. Dłonie nie wyszły mu naprzeciw. Kurczowo zaciskały krzesło, a rozedrganym ciałem wstrząsały płacz i krzyk.

Tommy zrozumiał, że te wakacje będą inne niż zwykle. Wszystko, co planowali z Kristerem, nic już nie znaczyło. Stał z wyciągniętymi rękami, nie dotykając nikogo. Nikt też nie dotykał jego. Gdzieś po drodze zgubił stoper i nawet tego nie zauważył.

W pewnym sensie rozumiał, że nie tylko wakacje się zmieniają. Że po tym dniu nic już nie będzie jak dawniej. Ta myśl ogarnęła dziesięcioletniego chłopca niczym wielka, niezrozumiała pustka. Wbrew jednak logice poczuł niesłychaną lekkość. Jakby nic go tak naprawdę nie dotyczyło. Jakby nie miał już kontaktu z poplamioną matą korkową pod stopami. Tak: wręcz jakby się unosił w powietrzu.

Po 28 czerwca 2004 roku

Otworzył pakunek z plandeki. Przed włożeniem pełnego magazynka sprawdził bezpiecznik.

Wszystko toczyło się samo. Nie musiał myśleć. Ostatnio myślenie nie wychodziło mu dobrze.

Siedział na łóżku przez... Zorientował się, że nie wie, jak długo.

Wszystko się spieprzy. Już od soboty rano, kiedy czterej ubrani na czarno funkcjonariusze służb specjalnych wpadli do domu i wyrwali go z łóżka, był nastawiony, że może się spieprzyć. Ale może nigdy nie chodziło o to, by nie dać się złapać. Nie przede wszystkim.

Chwycił broń oburącz i wstał. Natychmiast omal nie stracił równowagi. Zakręciło mu się w głowie. Pochylił się i wziął kilka głębokich oddechów.

To nie były tylko zawroty głowy. Cały świat dryfował. Próbował oddychać spokojnie, znaleźć coś, na czym mógłby się skupić. Powoli wracał do rzeczywistości, aż wszystko wokół zrobiło się wyraźne. Ostre jak brzytwa.

Świat się kurczył. On zaś oderwał się od podłoża. Wszystko było odległe i proste.

No proszę.

Szybko zszedł po schodach, znalazł się w kuchni, skręcił za róg i zobaczył swojego ojca w salonie. Na ciężkim ciele grały światło i cień z telewizora. Ojciec właśnie odstawiał filiżankę kawy, nie odrywając wzroku od ekranu. Na oślep postawił naczynie na stole. Wydawało się, że nie słyszał kroków na schodach, nie zauważył, że Tommy stoi w drzwiach. A może było odwrotnie: tak intensywnie gapił się w ekran, bo go zauważył.

Tommy tak wołał. Idealnie mu to pasowało. Nie rozumiał, dlaczego ta myśl w ogóle się w jego głowie pojawiła. Nie miało to już żadnego znaczenia.

Zrobił trzy długie kroki w pokoju. W lewo, w prawo, w lewo.

Uniósł broń i wycelował w postać na kanapie. Człowieka zwanego jego ojcem. Umieścił środek celownika między oczami. Zostawił nie więcej niż dwa metry między wylotem lufy a łbem grubasa.

Ojciec podniósł wzrok. Obrócił głowę, aż pomarszczyła mu się szyja. Spojrzał na Tommy'ego. A może zaczął się wpatrywać w sam środek lufy? W każdym razie się gapił.

Nic jednak nie mówił. Siedział w zupełnym bezruchu i nawet nie pisnął. Tommy trzymał palec na spuście.

Przez celownik patrzył prosto w oczy ojca. Tak, niewątpliwie były skierowane na niego. Tommy zamrugał od migającego ekranu telewizora. Wielka postać, która wydawała się wylewać poza wszystkie krawędzie, siedziała jak kamień i go obserwowała.

Zrobiło mu się gorąco na całym ciele. Pot wystąpił na skroniach, karku i plecach. Mężczyzna czuł się nierzeczywisty, był jak sparaliżowany.

Próbował objąć palcem spust, ale nic się nie działo.

Był jak kamienny słup. Obaj zresztą przypominali kamienne słupy. Gapiące się na siebie.

Po raz ostatni wyteżył wszystkie siły, bez efektu, a potem wziął głęboki oddech. Ryknął, odwrócił się w prawo i wystrzelił.

Huk rozbrzmiał równocześnie z głuchym trzaskiem eksplodującego kine-skopu, a zaraz po nim spadł deszcz trzaskających elektrycznych iskie-r. Szkło, plastik i części elektroniki leciały we wszystkie strony. Poczuł, że uderzają go w twarz i ramiona.

Ostatnim obrazem, który zarejestrował, zanim się odwrócił i wybiegł z domu, było to, że jego tata powoli podniósł rękę, żeby się obronić. Ale wtedy już było po wszystkim.

\*\*\*

Na horyzoncie pojawił się długi pas wybrzeża. Do Visby pozostało mniej więcej pół godziny. Telefon Fredrika pisnął. Zwykle w tym miejscu odzy-skiwało się zasięg.

Fredrik sprawdził skrzynkę. Dostał tylko jedną wiadomość. Od Åkego Fröhlinga z Säpo. Fröhling dzwonił pięć po szóstej.

Teraz była za dwadzieścia ósma. Fredrik oddzwonił z nadzieją, że Åke pracuje do późna albo i tak odbierze.

– Fröhling – odezwał się głos po czterech sygnałach.

Wymamrotał swoje nazwisko, jakby szybko przeżuwał kęs jedzenia i odebrał, zanim skończył to robić. Fredrik zapytał, czy przeszkadza. Fröh-ling odparł, że nie ma sprawy.

– Jestem jeszcze w biurze. Kończyłem jeść shish wrapa z tego nowego irańskiego grill-baru. Musisz spróbować, kiedy będziesz przejeżdżał.

– Zapamiętam – odparł Fredrik. – Dzwoniłeś. Domyślam się, że chodziło o...

– Tommy’ego Johanssona. Znalazłem coś na niego. Ale nic na tego drugiego.

Fröhling głośno odchrząknął. Na pewno odsunął się od słuchawki, ale mimo to Fredrik wyraźnie usłyszał, że coś, może kawałek cebuli, oderwało mu się od dziąsła, zostało przeżute i przełknięte. Niecierpliwie czekał.

– Trochę to potrwało. Nie obserwujemy go. Pojawił się jednak przypadkiem gdzieś, gdzie mamy podsłuch – wyjaśnił Fröhling.

– Wydaje się to ciekawe? – zapytał Fredrik, chcąc go ponaglić, nie prosząc wprost o przejście do rzeczy.

– Możliwe, możliwe. Podsłuchujemy kilku członków małej neonazistowskiej grupki S 19 i nagle pojawia się on. Cztery rozmowy w kwietniu i maju dwa lata temu. Zawsze dzwoni on.

– Powiedziałaś „S 19”?

– Tak, to nazwa grupy, oznacza...

– SS, *Schutzstaffel*, wiem – odparł Fredrik.

To on. To musi być on, pomyślał.

– No to może wiesz również, że niektórzy członkowie S 19 mają powiązania z grupą, która przeprowadziła najnowszy i miejmy nadzieję ostatni duży napad na szwedzki magazyn wojskowy.

– Tak – odpowiedział Fredrik. – Czytałeś wydruki?

– Czytałem. To głównie ogólne gadanie o tym, że zamierzają się spotkać. Chyba raz pada data. Nie dam głowy, że na tej taśmie słyhać właśnie Tommy’ego Johanssona, ale numer telefonu jest zarejestrowany na jego adres domowy. Abonent figuruje jako Stellan Johansson – powiedział Åke Fröhling.

– To jego ojciec.

– Brzmi jak ktoś mniej więcej dwudziestoletni. Łatwo byłoby sprawdzić przy użyciu analizy głosu, jeśli nam na tym zależy.

– Tak. Tylko nie zgubcie tych taśm – powiedział Fredrik.

– Będę się starał na nie uważać – zapewnił Fröhling.

– Mamy jeszcze sporo innych nowych faktów przemawiających na niekorzyść Tommy’ego Johanssona. To jeszcze bardziej wzmacnia podejrzenia.

Czyli jednak to prawda. Tommy Johansson był zarówno zabójcą z Nisseviken, jak i bomberem, pomyślał Fredrik. Wszedł w posiadanie wojskowych materiałów wybuchowych za pośrednictwem nazistów, którzy mieli je od czasu włamania w Härjedalen. Pytanie brzmiało, jaki interes miała nazistowska grupa w zaopatrzeniu Tommy'ego w materiały do produkcji bomby. Czy to był element ich walki? A może chodziło tylko o pieniądze? A jeśli tak, to w jaki sposób Tommy Johansson im zapłacił?

W głośnikach promu rozbrzmiał sygnał i aksamitny kobiecy głos poinformował, że za pół godziny dobiją do brzegu w Visby.

– Co teraz robimy? – spytał Fröhling. – Zatrzymamy go znowu?

– Tak. Byłoby dziwne, gdybyśmy nie doprowadzili za to do jego aresztowania.

– Mam do ciebie inną sprawę – oznajmił Fröhling.

– Słucham – odparł Fredrik.

– Przyjrzałem się czasowi tych rozmów.

– Z kwietnia i maja?

– Tak. W czerwcu tego samego roku w Rissne napadnięto na furgonetkę transportującą pieniądze. Sprawa w dalszym ciągu nie została wyjaśniona, ale są podejrzenia, że za napadem stała albo brała w nim udział ta nazistowska grupa.

– Ile udało im się ukraść?

– Dwa miliony trzysta tysięcy.

– No to sporo – skwitował Fredrik.

Pasażer z krzesła obok, przy oknie, zaczął gestykulować mu przed nosem pustym papierowym kubeczkim. Fredrik zrozumiał, że chce w ten sposób zasygnalizować chęć zamówienia ostatniej kolejki przed zamknięciem baru. Wstał i go przepuścił.

– Tak. Nie musi to mieć żadnego związku z rozmowami Johanssona, ale myślę, że warto zapamiętać.

To mógł być sposób na opłacenie materiałów wybuchowych, pomyślał Fredrik. Ukradli samochód i stali na czatach albo czekali gdzieś z ubraniami na zmianę.

– Myślę, że to cenna informacja. Dziękuję – odparł Fredrik, wciąż jeszcze tkwiąc między rzędami krzeseł.

Jak tylko zakończył rozmowę, pobiegł do miejsca, które zajmowała Sara. Przykucnął obok niej.

– To on – powiedział ściszym głosem.



– Co takiego?

– Właśnie rozmawiałem z Fröhlingiem z Säpo. Tommy Johansson miał jakieś interesy z nazistami, którzy włamali się do magazynu. – Mówił szep-tem. – Myślę, że to on. Prom na pewno wysadził Tommy Johansson.

– To musiał być on – powiedział Göran. – Myśl wydaje się szalona, ale to na pewno był on.

Znajdowali się na dole w biurze policji porządkowej. Göran powitał ich tam, kiedy weszli. Zdążył już wrócić do domu, gdy ze statku zadzwonił do niego Fredrik i opowiedział o rozmowie z Fröhlingiem. Natychmiast postanowił pojechać z powrotem do Visby.

– Najpierw jednak musimy się zająć inną sprawą – oznajmił Göran.

Sara i Fredrik spojrzeli na niego zdziwieni.

– Wygląda na to, że Eva Karlén zaginęła.

– Co? – odpowiedział Fredrik.

Zrobił krok do przodu.

– Naprawdę zaginęła? W sensie, że coś jej się stało?

– Nie wiem. Około szóstej miała odebrać dzieci od swojej mamy. Nie przyszła, nie ma jej do tej pory – wyjaśnił Göran. – Kiedy jej nieobecność się przedłużała, matka Ewy zadzwoniła do jej męża. Albo byłego męża czy kim on tam teraz dla niej jest...

Mówiąc to, Göran starał się nie patrzeć na Fredrika.

– No i ten były mąż przed chwilą zadzwonił do dyżurnego. Mówił, że próbował się do niej dodzwonić, ale bez rezultatu.

Göran wyjaśnił, że pięć minut wcześniej wchodził po schodach i wtedy dyżurny zatrzymał go machnięciem ręki.

– Ktoś chyba musi wiedzieć, gdzie ona jest? A może skończyła pracę na dzisiaj? – odparł Fredrik, odgarniając włosy do tyłu prawą ręką.

– Rzecz w tym, że nagrała się dziś na moją pocztę głosową. Około wpół do drugiej. Jeśli dobrze zrozumiałem, chciała sprawdzić składzik w Hablingbo należący do Johanssonów, który z jakichś powodów w weekend przeoczyliśmy.

– Oddzwoniłeś? – zapytał Fredrik niemal agresywnie.

Göran zmarszczył brwi.

– Oddzwoniłem, ale nie odbierała, co samo w sobie można wytłumaczyć na tysiąc sposobów. Niepokoi mnie jednak, że jej wóz służbowy nie wrócił. A prywatny samochód stoi na parkingu.

– Jedziemy tam – powiedział Fredrik. – Jeśli się wybrała do tych bałwanów z Hablingbo, wszystko jest możliwe.

– Dyżurny już wysłał tam wóz – zapewnił Göran.

– Może stała jej się krzywda. Może zdarzył się wypadek – podsunęła Sara. – Czy mogła podjąć czynności, nie czekając na decyzję?

– Mogła, jeśli uznała to za konieczne. Ale byłoby trochę dziwne, gdyby chciała się tego podjąć sama – stwierdził Göran.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Wszyscy poczuli ten sam nieprzyjemny dreszcz.

– Uważam, że powinniśmy tam pojechać, a nie stać tu i gadać – stwierdził Fredrik.

Zadzwoił telefon Görana.

– Tak?

Göran słuchał przez chwilę.

– Okej, dobrze. Dzięki.

Odwrócił się z powrotem do Sary i Fredrika.

– Jej ostatnia rozmowa telefoniczna to połączenie nawiązane przez Klasa Hagmana z Hablingbo. Pod tym numerem nikt nie odbiera. Hagman ma też komórkę, ale jest wyłączona.

– To co? – zapytał Fredrik. – Jedziemy?

– Jedziemy – odparł Göran.

\*\*\*

Wpadł objuczony różnymi przedmiotami. Miał ze sobą czarną drewnianą skrzynię opasaną niebieską taśmą, pobrzękującą foliową torbę ze sklepu z artykułami metalowymi i broń zawieszoną na ramieniu.

W pierwszej chwili szczególnie jej to nie zastanowiło. Tommy często znosił do domu rzeczy, o których myślał, że mogą mu się przydać, albo takie, których nie chciał zostawiać w samochodzie. Pod tym względem miał lekką paranoję. „Naprawdę myślisz, że ktoś się zakradnie na posesję i opróżni samochód, kiedy my siedzimy i pijemy kawę?” – pytała zwykle w takich sytuacjach.

W odpowiedzi mamrotał tylko jakieś: „ee, co?”. Broni nie widywała często, tylko wtedy, gdy akurat był na strzelnicy. „To kwestia odpowiedzialności” – mawiał czasem, robiąc ważną minę. Tłumaczył, że nie można zosta-

wiać jej w samochodzie bez nadzoru ani przechowywać w domu w przypadkowym miejscu.

Miał oczywiście rację, ale mimo wszystko uważała, że jest trochę śmieszny. Tommy nie należał do ludzi szczególnie skrupulatnie przestrzegających przepisów, jednak gdy chodziło o broń, stawało się to nagle ogromnie ważne. Wszystko związane z bronią miało wielkie znaczenie. Potrafił wygłaszać niekończące się wykłady na temat modeli i funkcji. O różnych rodzajach amunicji. Opowiadać, jaki efekt będzie miało wystrzelenie do kogoś pocisku pełnopłaszczowego magnum, a jaki półpłaszczowego, podkalibrowego czy grzybkującego. Długo i ze szczegółami objaśniał, w jaki sposób ta ostatnia jest w stanie rozerwać człowiekowi klatkę piersiową, jakby dokonał tego żelazny szpon.

– Po co ci to? – zapytała. – Będziesz do kogoś strzelał? Czy bawił się w Rycerza Kato?

Tym razem się nadał. Syknął, że i tak by nie zrozumiała.

To prawie tak samo jak z chłopakami, którzy cały wieczór potrafiały rozmawiać o gitarach i wzmacniaczach.

Zresztą zwykle słuchała gadek Tommy'ego na temat broni. Dawniej sama strzelała, więc wykazywała pewne zainteresowanie. Nigdy jednak nie potrafiła zrozumieć takiej fascynacji.

Nie, nie myślała o tym za dużo. Przynajmniej na początku. Dopiero kiedy zdecydowanym ruchem postawił skrzynię i torbę na stole w kuchni i oparł broń o ścianę, zaczęła się zastanawiać, czy wszystko jest w porządku.

– Coś się stało? – zapytała.

Tommy rozejrzał się po pokoju i nie odpowiedział. Nerwowo przygryzł wewnętrzną stronę policzka, zniknął w salonie i zasłonił żaluzje. Odciał dopływ promieni słońca wiszącego nad czubkami sosen na zachodzie.

– Co ty robisz? – zapytała.

– No co? – odpowiedział i na nią spojrział.

Zbiło ją to z tropu. Oczy Tommy'ego świeciły w sposób, jakiego nie widziała już od dawna. Była w nich iskra, która jak jej się wydawało, umarła już na zawsze. Wyglądał, jakby pamiętał, co robił, kiedy był mały. W tamtym czasie, gdy wpadał na jakiś nowy pomysł, chciał go wypróbować. Zabawić się w coś nowego. Tak, teraz promieniał jak pełne energii dziecko, które wie, że wszystko jest możliwe. Cieszyło ją to, ale było też trochę przerażające.

Anna-Karin zapaliła lampę nad stołem w kuchni. Na czarną skrzynię padło ostre światło. Zauważyła, że skrzynia od dołu jest brudna i zapaskudziła stół ziemią.

Tommy wysunął krzesło i usiadł. Odpiął taśmę i szybkimi, efektywnymi ruchami otworzył skrzynię.

Anna-Karin spojrzała na zawartość. W środku było sześć małych kartonowych pudełek.

– Co to jest? – zapytała. – Co ty kombinujesz?

– Spokojnie. Damy sobie radę – odpowiedział, nie odrywając wzroku od tego, czym się zajmował.

Wpatrywała się w czubek jego głowy. Tommy wyjął jedno z pudełek ze skrzyni i zaczął rozrywać opakowanie. Głowa przesuwiała się o kilka centymetrów to w jedną, to w drugą stronę, podążając za ruchami dłoni.

– Niby z czym? Z czym damy radę? – zapytała.

– Damy sobie radę – powtórzył.

– Z czym?

– Anno-Karin – powiedział. – Razem to zrobimy. Ty i ja.

Wydawał się spokojny i skupiony.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz? Co zrobimy, z czym damy radę, o co ci chodzi?

Straciła panowanie nad sobą. Jej głos stał się piskliwy i niestabilny.

Tommy na chwilę znieruchomiał i podniósł wzrok. Znów ją zobaczyła. Tę iskrę. Tym razem przestraszyła się na dobre.

Przypominało to bardziej konwój przy okazji wizyty zagranicznej niż akcję policyjną. Tyle tylko, że bez limuzyn. Zabrali ze sobą Gustava, który wciąż jeszcze był w budynku komisariatu. Lennart Svensson wyszedł kilka godzin wcześniej.

Gustav i Knutsson jechali pierwsi w radiowozie na sygnale, dalej Fredrik, Göran i Sara cywilnym volvem, którego Fredrik używał na kontynencie, a za nimi Per Granholm w golfie policji kryminalnej. Na końcu, w volkswagenie busie, znajdowali się Nordin, Jansson i Stenberg z grupy miejskiej – wyznaczonego na letnie miesiące specjalnego „impresowego patrolu”, którego skład tydzień wcześniej został zmniejszony o połowę, żeby przerzucić ludzi do badania eksplozji. Nordin i Stenberg należeli do antyterrorystów i w jadącym na końcu autobusie siedzieli w pełnym rynsztunku. Wezwano więcej ludzi, ale musiało minąć trochę czasu, zanim dojadą do Visby, przebiorą się i dotrą do Hablingbo.

Za Västergarn słońce barwiło morze i niebo na intensywnie żółty kolor. Zanim dotrą do Hablingbo, będzie różowe.

Czy wszystko dobiegnie końca przed pojawieniem się na miejscu posiłków? A może staną bezbronni i pozbawieni inicjatywy, czując, że ogarnia ich coraz silniejsza panika?

Samochód podskoczył na nierówności jezdni. Prowadziła Sara. Tempo narzucał radiowóz jadący z przodu. Pędzili z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Trochę szybciej, kiedy droga na to pozwalała.

– Dlaczego nie mamy systemu pozycjonowania cywilnych aut? Już byśmy ją znaleźli – odezwał się Fredrik.

Początkowo nikt nie odpowiedział. Wszyscy troje poddali się rytmowi kołyszącego się samochodu.

– Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze – odparła Sara po jakimś czasie. – Eva potrafi o siebie zadbać.

Fredrik milczał. Odcinek między Visby a Hablingbo ciągnął się w nieskończoność. Zapatrzył się na zmierzch. Na niknące światło.

Eva.

Jakie wszystko byłoby proste, gdyby nie żyła.

Wzdrygnął się pod wpływem własnej myśli. Czujnie popatrzył na pozostałych w samochodzie, zastanawiając się, czy w jakikolwiek sposób mogli odczytać, co się dzieje w jego głowie. Ta myśl była równie szalona jak ta pierwsza.

Skąd się wzięła?

Natrętne myśli – sposób umysłu na to, by przygotować się na najgorsze.

Kiedy byli już prawie na miejscu, przy zjeździe, zadzwonił telefon Görana.

– Będziemy tam za minutę – powiedział Göran do aparatu i się rozłączył.

Chwilę później zajechali przed dom Johanssonów.

Wysłany przez dyżurnego radiowóz stał prawie przy samych drzwiach kuchni. Jeden z funkcjonariuszy właśnie stamtąd wychodził.

Fredrik, Sara i Göran szybko wysiedli z wozu. Dołączyli do nich Gustav i Knutsson. Fredrik nie znał kolegi w mundurze, który wyszedł im na spotkanie. Był to policjant ze Skanii na letnim zastępstwie.

– Przebywający w domu syn najwyraźniej dostał ataku szału. Oddał strzał ze strzelby w kierunku telewizora. Najpierw groził ojcu – zaczął referować, zanim zdążyli do niego dojść.

– Jest tam jeszcze? – spytał Göran.

– Syna już nie ma. Ojciec jest – odparł zastępca, wskazując ręką dom.

– A Eva Karlén? – zapytał Fredrik.

– Po niej nie ma śladu. Przebywający w domu świadek twierdzi, że syn był sam.

– Wchodzimy – zarządził Göran i natychmiast ruszył.

W kuchni wszystkie światła były zapalone. Wyjątkowo świeciło się również w salonie.

W pokoju wały się resztki telewizora, szkła i plastiku. Zauważyli też wodę na podłodze. Zapach wskazywał, że coś się paliło. W powietrzu nadal wisiała szara mgła.

Stellan Johansson stał w kuchni, między stołem a zlewozmywakiem. Miał przerażone oczy.

Göran podszedł do niego.

– Co tu się wydarzyło? – zapytał i skinął głową w kierunku bałaganu w sąsiednim pokoju.

– O... o...n wszedł i wycelował we mnie strzelbę. Myślałem, że mnie zabije – wyjąkał Stellan.

Minął już stadium dwóch podbródków. Zrosły się w jedno masywne zgrubienie wylewające się pod czubkiem brody.

– Tommy?

– Tak – odparł Stellan Johansson z bardzo dobitnym skinieniem.

– Czy ktoś mu towarzyszył?

Odpowiedzią był przeczący ruch głowy.

– Był sam.

– A później?

– Później odjechał samochodem.

– Widział pan, czy nikogo tam z nim nie było?

– Nie, siedziałem tutaj. Wystrzelił, zaczęło się palić i...

– W porządku. Czyli nie wie pan, czy w samochodzie mógł być ktoś jeszcze?

– Nie wiem.

– Jedna z naszych koleżanek przyjechała tu odnaleźć składzik, który do was należy. Wie pan, o co mogło jej chodzić?

Stellan Johansson zaczął się zastanawiać. Procesy myślowe w jego głowie przebiegają niezbyt szybko, pomyślał Fredrik stojący za Göranem. Sara i Gustav też się tłoczyli. Wszyscy chcieli usłyszeć wieści. I to szybko.

– Nie mogło chodzić o stodołę – powiedział Göran, wskazując za okno w kuchni, w którym widzieli tylko swoje odbicia.

Nie zanosilo się na to, by Stellan Johansson mógł im pomóc.

– Z tych okolic dzwonił do niej Klas Hagman – spróbował Göran.

– Klas dzwonił? – odparł pomału Stellan Johansson.

Potem nagle coś zaskoczyło. Rozpromienił się.

– Może chodzi o składzik przy pastwisku – powiedział. – Tak, pewnie tak. Chociaż nie rozumiem, dlaczego Klas miałby dzwonić w tej sprawie.

– Nieważne. Myśli pan, że to tam mógł pojechać Tommy? Do tego składziku?

Tym razem Stellan Johansson nie musiał tak długo się zastanawiać.

– Nie – odpowiedział. – Pewnie pojechał do Anny-Karin.

– To jego siostra, prawda?

– Tak.

Teraz to Göran zaczął się zastanawiać. Trwało to tylko kilka sekund.

– Zrobimy tak. Saro i Gustavie, pojedziecie z Granholmem i Knutssonem do składziku. Zabierzcie ze sobą pana Johanssona, żeby tam trafić. A wy – dodał, odwracając się do policjanta na zastępstwie – zostańcie tutaj, na wy-



padek gdyby Tommy Johansson wrócił. Fredrik, Nordin, Jansson i Stenberg pojedą ze mną do Anny-Karin Johansson...

Göran spojrział na Stellana Johanssona, ale Fredrik się odezwał, zanim tamten zdążył otworzyć usta:

– To w Rone, dwa budynki za dawnym sklepem spożywczym sieci Konsum.

– Dobrze, że tu jesteś – odpowiedział Göran.

– Tak, choć się zastanawiam, czy nie byłoby lepiej...

– Jedziesz ze mną do Rone – przerwał Göran, a Fredrik zrozumiał, że ten podział nie jest przypadkowy.

Göran nie chciał go zostawić przy składziku.

– No to jedziemy – zarządził Göran. – I bądźmy w kontakcie. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Jeśli będzie taka potrzeba, dokonamy przegrupowania.

Pobiegli do samochodów. Gustav i Knutsson szybko zdali sobie sprawę, że nie da się wcisnąć Stellana Johanssona na tylne siedzenie. Granholm posadził go więc z przodu golfa, a Sara usiadła z tyłu.

\*\*\*

Było ciemno. Czarno. W szczelinie pokrywy Eva nie widziała już ani odrobiny światła.

Marzła. Odkąd zaszło słońce, temperatura w chłodnej piwnicy spadła o kolejnych kilka stopni.

Siedziała na podłodze plecami do ściany. Próbowwała nie myśleć. Sprawić, by jej głowa stała się równie pusta i ciemna jak piwnica.

Sprawa była jednak beznadziejna. Ciemność i cisza zwracały myśli ku ucieczce. Zaczęła myśleć o dzieciach. Widziała je przed sobą. Stinę i Filipa.

Nagle poczuła ostry zapach sosu sojowego. Wiedziała bardzo dobrze, co było powodem. To się wydarzyło ponad rok wcześniej. Stina stała na krześle w kuchni i bawiła się w zlewozmywaku. Z jakiegoś powodu podniosła z lady dużą butelkę sosu sojowego. Krzesło się zachybotало. Dziewczynka prawie straciła równowagę, a butelka wysunęła jej się z rąk. Stłukła się na tysiąc kawałków, a czarny płyn zalał całą posadzkę. Wyglądało to jak olbrzymi kleks.

Eva krzyknęła. Nie mogła się pohamować. Mógł to być wrzask. A Stina zaczęła histerycznie płakać.

Eva ruszyła biegiem przez podłogę zachlapaną sosem i pokrytą szklanymi odłamkami w coraz bardziej lepkich skarpetkach, żeby podnieść i pocieszyć córkę. Ogarnięta wyrzutami sumienia, objęła jej chude ciało. Czuła, że nie może czekać ani sekundy, tylko musi uratować z czarnego morza tę zrozpaczoną dziewczynkę stojącą samotnie na krześle.

Zaczęła przeklinać nieobliczalność pamięci. Czy w tej ciemności nie mógłby jej utknąć w głowie jakiś radosny i piękny obraz? Po co wspomnienie tego, jak doprowadziła swoje najmłodsze dziecko do płaczu?

Dlaczego została tu zamknięta? Czy zostawiono ją tu na śmierć? Może ten mężczyzna zamierzał wrócić? A jeśli to zrobi, co się stanie?

Pamiętała, że piwnica została wykopana w ziemi, więc gdyby miała jakieś narzędzia do kopania, może udałoby jej się stąd wydostać. Może. Żadnymi jednak nie dysponowała, toteż nie miało to znaczenia.

Utkwiła wzrok w ciemności. Próbowwała coś dostrzec, ale nie było nic do oglądania. Mrok zmieniał postać przed jej niewidzącymi oczami. W jednej chwili był bezkresny i siedziała na krawędzi przepaści. W następnej napięrał na nią, jakby ożył. Niemal wyczuwała na twarzy jego zimny oddech.

Zauważyła, że przyspiesza jej puls. Próbowwała oddychać spokojnie i głęboko. Bała się, że straci opanowanie, że fantazje zaczną się wymykać spod kontroli, żeby wypełnić otaczającą ją czarną pustkę. Przycisnęła plecy do twardej i szorstkiej betonowej ściany i zanurzyła palce w ziemi. Dobrze jej to zrobiło. Poczuła, gdzie się znajduje. Była zamknięta w małej piwnicy o betonowych ścianach i suficie z grubych desek i nie mogła się wydostać, bo na kłapie stał zaparkowany samochód. Pomyślała jednak, że wkrótce wszystko na pewno się rozwiąże, bo ludzie zaczną zdawać sobie sprawę, że zniknęła. Po prostu. Zauważą jej brak i będą jej szukać.

Ale czy ją znajdą? Tak, oczywiście, że tak. Tylko kiedy?

Wcisnęła przycisk zegarka. Z jakiegoś powodu pozwolili jej go zatrzymać. Mała żaróweczka słabo oświetlała tarczę. Wskazówki pokazywały osiemnaście po dziewiątej.

Nie zdejmując palca z przycisku, obserwowała szarpane ruchy sekundnika.

Nie miała nawet wody. Wiedziała, że bez wody długo nie wytrzyma. Słyszała o ludziach, którzy przeżyli dzięki picciu własnego moczu. Czy to była prawda, czy tylko mit? Wymysł mający uczynić już i tak nieprzyjemną historię jeszcze bardziej odpychającą?

Zegarek tykał.

Eva puściła przycisk. Skupienie wzroku przez chwilę w jednym punkcie ją uspokoiło, ale po chwili fantazje znów nabrały rozpędu. Tykanie sprawiło, że do krwi zaczęły się przedostawać hormony stresu. Przypomniało jej też o samochodzie, który stał na górze i obciążał klapę. Czy ten ktoś wjechał samochodem do składziku tylko po to, by zatrzymać ją w środku? A może był inny powód? Co on właściwie robił tam na górze? Dlaczego już chciał zaryglować drzwi, ale wrócił? Co zrobił z samochodem?

Była pewna, że słyszała otwieraną i chwilę później zamykaną maskę. Zamykaną bardzo ostrożnie. Zupełnie inaczej, niż to się zwykle robi.

Ile czasu tak naprawdę jej zostało?

Wybrali drogę przez Havdhem i Eke. Za skrzyżowaniem w Havdhem jadący przed nimi bus wyłączył syreny. Słyszeli już tylko nieco wytężony pomruk silnika i świst opon na asfalcie.

Dwa samochody sunęły w świetle zmierzchu między gospodarstwami.

Fredrik przejął kierownicę volva. Göran siedział obok niego z telefonem komórkowym w ręce. Obaj byli zacięci i milczący. Czekali, aż Sara się odezwie.

Dlaczego nie dostali raportów? Musiały się przecież pojawić już dawno temu.

Fredrik ścisnął kierownicę i próbował się skoncentrować na tylnych światłach busa. Parze czerwonych oczu siedemdziesiąt metrów przed nimi.

Miał kłopoty z rozeznaniem się we własnych uczuciach. Myślał o wieczorze w restauracji w Herrvik. Sprzed zaledwie dwóch dni. Czuł tę niezrozumiałą mieszankę ulgi i głębokiego rozczarowania. Wręcz jakby został zdradzony. „Jakie wszystko byłoby proste, gdyby nie żyła”. Czy on zwariował?

A teraz jeszcze to. Ciężki, przygniatający niepokój.

Jechał w niewłaściwym kierunku. To było szaleństwo. Kompletnie błędny kurs. Sto osiemdziesiąt stopni w cholerę.

Ścisnął kierownicę jeszcze mocniej, żeby powstrzymać samego siebie przed zahamowaniem z piskiem opon i zawróceniem. Był przekonany, że Eva znajduje się w okolicach tamtego składziku. Nie potrafił tego wytłumaczyć, po prostu wiedział.

Światło reflektorów busa padło na tablicę z napisem „Rone 3”. Skręcili w lewo. Fredrik szybko zerknął na Görana. Zwierzchnik oczywiście postąpił słusznie. Sam by tak zrobił na jego miejscu.

Dlaczego Sara nie dzwoniła?

Bus wyłączył niebieskie światła i zwolnił. Przejechali przez skrzyżowanie i kierowali się dalej w stronę dawnego Konsumu.

Dyżurny nadał komunikat przez radio. Göran się włączył i zaczął szybko wydawać polecenia dotyczące tego, w jaki sposób rozdzielić środki.

Bus zjechał z drogi i stanął. Fredrik wjechał za nim. Göran zakończył komunikację przez radio. Wysiedli z samochodu, wyjęli kamizelki kuloodporne i włożyli je na siebie. Nordin, Jansson i Stenberg już byli na zewnątrz i czekali przy otwartych drzwiach.

– Wy weźcie przekątne budynku – zwrócił się Göran do Nordina i Stenberga. Ja, Jansson i Broman dopilnujemy, by sąsiedzi trzymali się z daleka. Nordin i Stenberg sprawdzili swoje celowniki laserowe.

– Wkroczymy, tylko gdy będzie to absolutnie konieczne. Jeśli nie, po prostu czekamy na posiłki – oznajmił Göran.

Zaparkowali w taki sposób, by nie dało się ich zobaczyć z domu Anny-Karin. Dom sąsiadów zasłaniał widok. Za nim rósł długi krzew malin, który Nordin z pewnością będzie mógł wykorzystać, by się zbliżyć do budynku. Stenberg miał obejść go dłuższą drogą i zająć pozycję po drugiej stronie. Z kolei Jansson nie był pewny, czy uda mu się minąć dom stojący mu na drodze.

– Najlepiej chyba będzie przejść przez sąsiednią posesję po drugiej stronie drogi – powiedział i wykonał szeroki ruch ręką w lewo.

– Zrób tak – odparł Göran. – I zadzwoń do mnie, kiedy będziesz na miejscu.

Jansson był gotów ruszyć natychmiast, ale Göran go zatrzymał.

– Najpierw spojrzymy stąd – oznajmił i skinął głową w kierunku czerwonej przybudówki, której czarny blaszany dach łuszczył się i rdzewiał.

Podeszli do naroża i zerknęli w stronę domu wykończonego żółtą imitacją cegły.

– Wszystkie żaluzje są zasłonięte – stwierdził Fredrik.

– Hm – mruknął Göran. – Ale pali się światło.

Wyraźnie widzieli samochody zaparkowane na podjeździe. Niebieskoszara toyotę Anny-Karin i ciemnozielone volvo Tommy'ego.

– To jego – stwierdził Fredrik. – Volvo należy do Tommy'ego Johanssona.

Niebieskoszare auto w porównaniu z ciemnozielonym wydawało się niemal białe.

– Chcę najpierw to uzgodnić z Sarą – oznajmił Göran. – Potem ruszymy.

W tej samej chwili wewnątrz domu rozjaśniło się intensywnym blaskiem. Fredrik poczuł, że niewidzialna siła wymierza mu mocny cios w klatkę piersiową i odrzuca go na ścianę domu.

Skołowany, słysząc w uszach dziwne, donośne dzwonięcie, wstał. Bolało go ramię, którym uderzył o ścianę.

Spojrzał na budynek. Wszystkie szyby wyleciały, a listwy żaluzji zostały wyszczerbione. Przez niektóre okna wydobywały się języki ognia. Ze ścian zwisały duże płyty sztucznej ceglanej fasady.

Göran i Jansson podnieśli się z ziemi z pomocą Nordina i Stenberga, którzy utrzymali się na nogach, bo osłoniła ich przybudówka.

Nagle rozległ się przenikliwy krzyk i wszyscy spojrzeli z powrotem na dom. Drzwi kuchni się otworzyły i ze środka wybiegła kobieta. Jej włosy i plecy się paliły.

Fredrik nie myślał. Zaczął biec.

Rzucił się prosto przez malinowe zarośla i pędził w stronę kobiety.

– To jej samochód – oznajmił Granholm.

Mówił szeptem. Kiedy stali stłoczeni przy oknie, jego głowę od głowy Sary dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Sara poświeciła latarką przez jedną z małych szybek w szprosowym oknie składziku. Snop światła omiótł zakurzoną stronę służbowego samochodu Evy Karlén w kolorze fioletowy metalik. Trudno było go nie zauważyć.

– Wygląda na pusty – stwierdził Gustav, stojący przy oknie obok.

– Tak – potwierdziła Sara.

– To raczej nie Eva zamknęła samochód w składziku – dodał Gustav.

– Raczej nie – odparła Sara. – Pytanie tylko, dokąd poszła.

– Zapewne zaskoczył ją Tommy Johansson. Czy mógł ją zmusić, by pojechała z nim do Rone? – zastanawiał się Gustav, zerkając na Sarę.

– Niewykluczone, nawet jeśli jego ojciec twierdzi, że Tommy był sam – odparła.

Sara potrafiła sobie wyobrazić również inne możliwości.

Przesunęła latarkę i poświeciła po ścianach.

– Tamto okno nie jest zaryglowane – zauważyła i wskazała je snopem światła.

– Myślę, że powinniśmy wejść – stwierdził Gustav.

– Tak – zgodziła się Sara. – Musimy wejść. Ona może być w środku. Schowana w samochodzie.

Gustav skinął głową, nie komentując tego, co się kryje za założeniem, że Eva Karlén mogłaby być „schowana”.

– Uzgodnię to najpierw z Göranem – powiedziała Sara.

Odeszła kawałek od domu i wybrała numer. Po siedmiu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

„Bądźmy w kontakcie. Chcę wiedzieć, co się dzieje”.

– Otóż to – mruknęła i zeszła do samochodów, przy których czekali Knutsson i Stellan Johansson.

– Jak to wygląda? – spytał Knutsson.

Stał przy jednym z samochodów. Szyba po stronie pasażera była opuszczona o niecały centymetr. Stellan Johansson zerkał na Sarę wzrokiem, w którym było więcej strachu niż ciekawości.

– Wchodzimy – zdecydowała. – Jest tam samochód Evy. Chociaż wygląda na pusty. Nie sądzę, by w nim była.

Knutsson podniósł wzrok na budynek. Nie wyglądał na zadowolonego, że musi niańczyć Johanssona.

– Skorzystam z waszego radia – powiedziała Sara i wsiadła do radiowozu.

Knutsson coś mruknął i dalej przyglądał się składzikowi. Gustav i Granholm czekali na rogu jak dwa cienie.

Sara zmieniła kanał i szybko połączyła się z centralą.

– Macie coś nowego od Görana?

– Nie mamy pełnego obrazu sytuacji, ale wygląda na to, że podejrzany zdetonował ładunek wybuchowy – rozległ się głos dyżurnego.

Sara poczuła ciężkość w klatce piersiowej. Musiała się powstrzymać, by nie wykrzyknąć pytań, które pojawiały się w jej głowie.

– Czy ktoś jest ranny? Potrzebują posiłków?

– Posiłki są w drodze. Podejrzany prawdopodobnie wysadził się w powietrze, ale na razie to tylko przypuszczenie. Nikomu z naszych kolegów nic nie jest.

– A co z zaginioną policjantką?

– Nic nowego w sprawie zaginionej.

Sara zreferowała to, co zauważyła przy składziku, posługując się bezbarwnym i neutralnym radiowym językiem. Wyraźnie zaznaczyła, że zamierzają tam wejść.

– Dostaniecie posiłki za maksymalnie trzydzieści minut. Musicie ocenić na miejscu, czy będziecie czekać, czy nie.

Pojawiło się kolejne wezwanie i zakończyli rozmowę. Sara została na linii i nasłuchiwała. Próbowała wyłapać coś nowego na temat Evy. Słyszała jednak tylko krótkie pytania i rozkazy dotyczące wybuchu w Rone.

\*\*\*

Włosy płonęły. Języki ognia lizały głowę krzyczącej kobiety. Fredrik biegł. Pozostali byli tuż za nim, ale on tego nie zauważał.

Biegając, miał przed oczami Evę.



Ten cholerny dureń wysadził w powietrze cały dom, a teraz ona się pali. Zaraz umrze, pomyślał chwilę później, choć wcale tego nie chciał.

Płonąca postać pędziła ogarnięta paniką. Prosto przed siebie. Leciała, jakby mogła prześcignąć ogień. Ale ogień już spowijał jej włosy. A płomie- nie zaraz miały się rozprzestrzenić.

Znajdował się metr od niej. Od kobiety w ogniu. Ukochanej płonącej jak pochodnia. Dobiegł.

Rzucił się na nią, powalił na ziemię, przeturlał. Zdjął kamizelkę kulood- porną i przycisnął do jej płonących włosów. Nieporęczny, sztywny materiał nie chciał się dopasować do głowy. Kurwa! Nie mógł ugasić ognia.

Chwilę później znalazł się przy nim Nordin. Zaczął przyciskać obleczone w rękawiczki dłonie do jej głowy.

Eva.

Nagle Fredrik zobaczył poparzoną twarz kobiety i porażone strachem oczy. To była Anna-Karin.

Nie mogli czekać. Kiedy ogień został stłumiony i pozwolili sobie na trzy sekundy oddechu, Nordin chwycił Annę-Karin pod kolana, a Fredrik chwy- cił jej ramiona. Zaczęli ją nieść. Musiała się znaleźć jak najdalej od domu.

Czuć było od niej ostrą woń palonych włosów. Za plecami mężczyzn tań- czyły płomienie. W niebieskoszary letni wieczór wkradła się migotliwa po- marańczowa luna.

Rozległ się huk dwóch wystrzałów. Odruchowo kucnęli i puścili Annę- Karin. Padł kolejny strzał. Tylko skąd?

Kiedy się zorientowali, Nordin miał już empepiątkę gotową do strzału.

– To amunicja, która wybuchła w ogniu! – krzyknął ktoś, kogo nie wi- dzieli. Brzmiał jak Stenberg.

Ogień był coraz bardziej gwałtowny. Płomienie wydostawały się przez dwa okna niczym ostrza, ale cały dom jeszcze się nie palił.

– Bezpieczne miejsce! Przenieść ją w bezpieczne miejsce! – wrzeszczał ktoś, może Göran.

Znowu podnieśli ją z ziemi i przygarbieni podbiegli do sąsiedniej posesji. Fredrikowi zdawało się, że ktoś biegnie między garażem a busem grupy specjalnej.

Ostrożnie ułożyli Annę-Karin na boku. Trawa zaczynała już być mokra od rosy. Anna-Karin jęczała słabo. Przeskakiwała spojrzeniem między Fre- drikiem a Nordinem.

– Zobaczę, czy mają tu jakiś koc – oznajmił Nordin i kciukiem wskazał dom.

Fredrik skinął głową. Nie było sensu wnosić jej do środka. Karetka z Hemse powinna przyjechać w kilka minut.

– Jest tam alarm?! – krzyknął na wszelki wypadek w przestrzeń, gdy Nordin zbliżał się do domu.

– Tak, jest! – zabrzmiał głos Görana.

Fredrik klęczał na jednym kolanie obok Anny-Karin Johansson. Próbował ją skłonić, by spojrzała mu w oczy. Ona jednak błędziła wzrokiem tam i z powrotem w coraz bardziej szalonym tempie.

– Anno-Karin – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Wziął ją za rękę, upewniwszy się najpierw, czy nie jest poparzona.

– Oddychaj spokojnie. Staraj się oddychać spokojnie – powtarzał.

Mocno ścisnął jej dłoń, prawie puścił i ścisnął znowu. Kobieta rozglądała się nerwowo na wszystkie strony. Jej klatka piersiowa podskakiwała od płytkiego, szybkiego oddechu.

– Anno-Karin, teraz popatrz na mnie. Popatrz na mnie – powiedział i zaczął jej demonstrować, jak powinna oddychać. Spokojnie i odpowiednio głęboko.

Jej spojrzenie drgnęło i nagle zatrzymało się na jego oczach. Sam nie rozumiał, jak to się stało, ale przez chwilę znów był z Ninni w szkole rodzenia. Joakim czekał w jej wielkim, napiętym brzuchu. Fredrik klęczał przy Ninni na niebieskim materacu w sali lekcyjnej szpitala Nacka i oddychał. Czuł się trochę głupio, ale przede wszystkim był bardzo zadowolony i szczęśliwy. Zaczął go przeszywać piekący ból, który szybko się rozprzestrzenił. Od gardła przeleciał jak błyskawica przez klatkę piersiową i osiadł gdzieś w okolicach żołądka.

Co ja robię? – pomyślał Fredrik.

Przez sekundę to on kurczowo złapał dłoń Anny-Karin, a nie odwrotnie.

Po chwili wrócił do siebie. Usłyszał huk dobiegający od strony płonącego domu. Zobaczył czerwoną, spaloną twarz. Włosy, które zmieniły się w czarny, stopiony kołtun. Wracającego Nordina, który stawiał długie kroki w swoich ciężkich czarnych buciorach.

Poczuł, że pieką go oczy i robią się mokre. Czy sprawił to rozchodzący się dym?

Anna-Karin patrzyła mu w oczy. Oddychała już trochę spokojniej.

– Czy oprócz ciebie i Tommy’ego w domu był ktoś jeszcze? – zapytał Fredrik.

Kobieta powoli otworzyła usta.

– On...

– Czy byliście tam tylko wy dwoje? – zapytał, nie usłyszawszy odpowiedzi.

Anna-Karin powoli pokiwała głową.

Nordin rozłożył koc na ziemi i ostrożnie ją przenieśli, żeby nie leżała w mokrej trawie. Nordin owinął ją kocem, uważając, by nie dotknąć żadnego z oparzeń. Wydawało się, że jej obrażenia nie są zbyt poważne. Była bardziej zszokowana niż ranna.

Po omacku odnalazła dłoń Fredrika i kurczowo ją ścisnęła.

– On... – zaczęła, ale tym razem również nie powiedziała nic więcej.

Potem z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Twarz skrzywiła się w grymasie, a płacz zawładnął nią bez reszty.

Gustav wszedł przez okno jako pierwszy. Za nim podążyli Sara i Granholm. Wkroczyli z bronią służbową w pełnej gotowości.

Gustav ostrożnie zszedł ze stołu roboczego i zaczekał na Sarę. Kiedy znalazła się w środku i mogła go osłaniać, opadł na kolana i poświecił latarką pod samochodem. Nikogo tam nie było.

– Pusto – oznajmił i odetchnął z ulgą.

Schowali pistolety i spojrzeli na siebie. Co się wydarzyło?

Samochód Ewy Karlén stał tam niczym poważny dowód, że była w składziku. Albo przynajmniej stanęła na drodze komuś, kto go tam umieścił. Nikt nie wątpił, że tym kimś był Tommy Johansson.

– Czy to może oznaczać, że mimo wszystko była z nim w Rone? – zapytał Per Granholm.

– Módlmy się, żeby tak nie było – wyszeptała Sara.

Granholm skinął głową.

– Tak – odparł Gustav. – Co, do cholery, się stało?

– Może powinniśmy przyjrzeć się bliżej samochodowi – zaproponował Granholm i podszedł bliżej od strony kierowcy.

– Nie dotykaj go!

To był ostry okrzyk, a jednak w jakimś sensie stłumiony.

Gustav i Sara znowu wyciągnęli broń, przykucnęli i zaczęli wpatrywać się w ciemną przestrzeń. Granholm się podniósł. Stał przed samochodem jak skamieniały.

Przecież składzik był pusty, przemknęło Sarze przez głowę. Nie było gdzie się schować. W przeciwnym razie nie weszliby tak do środka.

– Cokolwiek robicie, pod żadnym pozorem nie dotykajcie samochodu.

Skąd dochodził ten nerwowy głos? Wydawało się, że należy do kogoś obecnego na miejscu, a jednocześnie byli sami w pomieszczeniu.

– Per? To ty? Nie wolno ci dotykać samochodu. To może być pułapka. Nie dotykaj go, okej?

Granholm powoli zrobił krok do tyłu i rozglądał się po pomieszczeniu, szukając głosu.

– Eva? – odezwała się Sara.

– Saro, jestem w piwnicy, pod samochodem.

– Evo, nic ci nie jest? – zapytała Sara. Schowała pistolet z powrotem do kabury i opadła na kolana, żeby poświecić pod podwoziem.

– Myślę, że nic – odpowiedział głos Evy dobiegający gdzieś spod podłogi. – Ale chętnie bym stąd wyszła. Siedzę tu od ośmiu godzin.

Sara zbliżyła się do samochodu. Na tyle, na ile miała odwagę po ostrzeżeniu Evy. Pasma jej włosów przejechało po brudnej ziemi.

Nie potrzebowała latarki, by znaleźć klapę prowadzącą do piwnicy. I tak widziała ją wyraźnie jako ramę otaczającą tylne koła.

– Samochód stoi na klapie! – krzyknęła Sara, żeby się upewnić, że Eva usłyszała.

– Wiem. Zrobił to celowo.

– Zrobił? Tommy Johansson? – zapytał Gustav, zbliżywszy się do klapy. Eva zwlekała z odpowiedzią.

– Widziałam go tylko przez ułamek sekundy. Ale myślę, że to był on.

– Jesteś pewna, że to pułapka? – spytał Granholm.

– Nie wiem. Ale chyba lepiej dmuchać na zimne.

Granholm też podszedł do klapy. Przykucnął, żeby lepiej słyszeć.

– Możemy tu sprowadzić kilku techników ze Sztokholmu w ciągu jednej, maksymalnie dwóch godzin – powiedział.

Zapadła chwila ciszy. Granholm myślał, lustrując samochód.

– Jest zaparkowany pośrodku. Gdyby nie to, moglibyśmy przepiłować podłogę. To przecież tylko drewniane belki – powiedział Gustav, wykonując ręką ruch wzdłuż boku samochodu.

– Nie da się tam dostać pomiędzy kołami? – zapytała Sara.

– Może warto spróbować – odparł Gustav, ale nie wydawał się szczególnie przekonany.

Granholm się wyprostował.

– Najbardziej się obawiam, że może tu być bomba zegarowa. Tak to zrobił na promie, więc wiemy, że technikę ma opanowaną – powiedział cicho.

Taka myśl nawet nie przyszła Sarze do głowy. Zapewne nie mieli czasu na wezwanie techników. Ani nawet sprowadzenie wiertła, pił czy co tam jeszcze jest potrzebne do zerwania podłogi.

Może w ogóle nie mieli czasu.

Mimowolnie przełknęła ślinę i poczuła suchość w gardle. Zastanawiając się, powoli przesuwiała kciuk w stronę koniuszków palców.

– Słyszałam to! – krzyknęła Eva z piwnicy.

Sara spojrzała na Granholma. Była przeraźliwie świadoma, że żadne z nich nie jest w stanie tego rozwiązać. A w każdym razie w inny sposób niż przez poproszenie dyżurnego, by sprowadził techników specjalizujących się w bombach.

Granholm powoli okrążył samochód i zaglądał przez szyby. Zatrzymał się blisko kierownicy.

– Kluczyk leży na fotelu kierowcy – stwierdził. – Może chodziło właśnie o to, by ładunek wybuchł po przekręceniu kluczyka.

– Co masz na myśli? – zapytała Sara.

– Sprawca się wystraszył i po uzbrojeniu bomby nie miał odwagi przekręcić kluczyka.

– No tak, to można sobie łatwo wyobrazić – odparł Gustav.

Zastanawiając się, Granholm pocierał między palcami włoski brwi.

– Powinniśmy zacząć od otwarcia maski i sprawdzenia, czy coś tam jest. Może nie będę potrafił rozbroić ładunku, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia – oznajmił.

– To jest twoja propozycja? Otwarcie maski? – zapytała Sara.

– Tak.

– I uważasz, że to nie jest ryzykowne? – dodał Gustav.

Granholm odpowiedział powściągliwym uśmiechem.

– Drobного ryzyka nigdy się nie uniknie, nawet po sprowadzeniu tu piro-techników. Łączenie czegoś z maską oznacza jednak dość spore ryzyko także dla tego, kto to robi, więc wątpię, że się na to odważył.

– Co ty na to, Evo?! – krzyknęła Sara w stronę podłogi.

Odpowiedź padła natychmiast.

– Zróbcie to.

Sara pomyślała, że Eva wydaje się nienaturalnie opanowana jak na okoliczności. Czy była w pełni władz umysłowych, czy może aż zanadto zależało jej, by stamtąd wyjść po ośmiu godzinach spędzonych w tej dziurze na dole?

Granholm spojrzał na Gustava i Sarę.

– Tak?

– Nie chcę podejmować żadnego ryzyka – oznajmił Gustav.

– Jeśli tu jest mechanizm zegarowy, ogromnie ryzykujemy, nie robiąc nic – stwierdził Granholm.

Sara westchnęła. Jak porównać jedno ryzyko z drugim? Samochód może wylecieć w powietrze, jeśli go dotkną. Ale może też wybuchnąć, jeśli będą

bezczylnie czekali.

– To tylko kwestia otwarcia i zajrzenia do środka. Tylko tyle możemy teraz zrobić. Potem podejmiemy kolejną decyzję.

Sara spojrzała na Gustava. Nic nie mówił.

– Moim zdaniem to brzmi rozsądnie – odparła w końcu Sara.

– Zrób tak, jak powiedział Per! – krzyknęła Eva spod ziemi.

– Okej – odpowiedział Gustav. – Ale skontaktujmy się z dyżurnym w sprawie techników. Nie wiemy, co może się znajdować w środku.

Osiągnęli porozumienie.

– W takim razie proponuję, abyście na razie wyszli – powiedział Granholm.

– Chcesz powiedzieć... – zaczęła Sara, ale nie była w stanie dokończyć myśli.

– Aby zminimalizować ryzyko – rzekł Granholm z krzywym uśmiechem.

Sara się zawahała. Czy on mówił poważnie?

– Wiesz, że nie musisz tego robić? – spytał Gustav.

Granholm skinął głową.

– Jeśli zostaniecie, nie będzie mi łatwiej.

Wydawał się spokojny, ale jego ciemne brwi na tle bladej jak wosk cery nagle zaczęły się wydawać czarne jak węgiel. Jakby ktoś podkręcił kontrast.

– On ma rację – stwierdziła Sara.

Nie było sensu, by ona i Gustav patrzyli, jak samochód wylatuje w powietrze. Nie potrafiła jednak zwalczyć poczucia, że zostawienie go tam było oszustwem.

– Teraz idź porozmawiać z dyżurnym – powiedział Granholm, podając swój telefon Sarze. – I trochę przesunąć samochody. Nie wiemy, jaką to ma moc. O ile w ogóle coś tam jest.

Ostatnie słowa wypowiedział ściszym głosem, żeby Eva ich nie usłyszała.

\*\*\*

– Zaczę od otwarcia drzwi kierowcy! – krzyknął Granholm do Ewy, gdy usłyszał, że samochody odpaliły i odjechały.

Żałował, że światło nie jest trochę lepsze. W składziku nie było prądu. Latarka mocno oświetlała niewielki skrawek, a poza tym szarość letniej

nocy wokół nich zdążyła już zgęstnieć. Stracił rozeznanie w sytuacji.

Położył dłoń na klamce i pociągnął. Drzwi otworzyły się z lekkim stuknięciem, pozwolił im się rozsunać. Szybko się pochylił i znalazł dźwignię.

– Otwieram maskę! – krzyknął.

Raportowanie krok po kroku wszystkich swoich poczynań było sposobem na podwójne sprawdzenie każdego ruchu, upewnienie się, że nie popełnia błędu. Ale też pozwalało mu zachować spokój. To, że każde drobne posunięcie miało swój tytuł, w pewnym sensie było dowodem, że wszystko idzie, jak powinno. Ot, rutyna. Nic złego się nie wydarzy.

W składziku było cicho jak makiem zasiał. Nic nie przeszkadzało. Nic nie dotrzymywało mu towarzystwa. Per Granholm poczuł się nagle ogromnie samotny.

Nic złego się nie wydarzy, powtarzał sobie w dalszym ciągu.

Przyciągnął do siebie dźwignię. Dała się przesunąć o kilka centymetrów bez stawiania oporu, a potem znieruchomiała. Coś ją blokowało. Granholm użył większej siły, starając się jednak, by w tym ruchu było jak najwięcej skupienia. Dźwignia z ostrym zgrzytem przeskoczyła do przodu, a maska się podniosła.

– Otworzyłem! – krzyknął.

– Tu na dole wbrew pozorom dobrze słyhać – odparła Eva.

– Okej – odpowiedział już zwyczajnym głosem.

Przymknął drzwi, nie zamykając ich do końca, bez pośpiechu podszedł do maski, uklęknął przy chłodnicy.

– Sprawdzę, czy nie ma przewodów detonatora.

Szybkim, ale też ryzykownym sposobem na utrudnienie rozbrojenia bomby było umieszczenie jakiegoś przewodu między detonatorem a komorą silnika lub drzwiami do miejsca, w którym umieszczono bombę.

Chromowany grill samochodu szczyrzył się do niego. Granholm wsunął palce do środka, zwolnił blokadę i unióś maskę o pięć centymetrów. Włączył latarkę i powoli przesunął wiązkę światła po całym wnętrzu. Zmienił rękę i poświecił pod innym kątem.

– Nic nie widzę – powiedział.

– Dobrze. Tak myślałam – odparła Eva.

– No to podnoszę.

Zaczął podnosić maskę. Powoli. Nie potrafił nie myśleć o spalonym pokładzie dla samochodów w M/S Visby. O dziurze, która powstała w burcie statku.



Maska została podniesiona. Podparł ją i ostrożnie się pochylił nad komorą silnika. Natychmiast zobaczył prawie półkilogramową bryłę plastycznego materiału wybuchowego. Gdyby coś poszło nie tak, nie miałby żadnych szans. Samochód nadawałby się na złom, a ciało zostałoby rozerwane na strzępy... Trzeba by go szukać z lupą. Eva Karlén może by przeżyła, gdyby miała szczęście i gdyby siła uderzeniowa była skierowana przede wszystkim ku górze i na boki.

Materiał wybuchowy został umieszczony przy serwie hamulcowym. Detonator był zapalnikiem elektrycznym wciśniętym od góry. Kable, żółty i zielony, biegły od niego i znikwały pod czarną pokrywką skrzynki przyłączonej, po prawej od serwa. Tommy Johansson w żaden sposób nie starał się ukrywać ładunku wybuchowego ani utrudniać rozbrojenia bomby.

Granholm powiedział Evie, co znalazł.

– Co byś zrobiła? – zapytał. – Wyjęła zapalnik elektryczny czy przecięła? Wyjęła, prawda?

– Tak. Zdecydowanie. Wyciągnij go – odpowiedziała.

Przysunął się bliżej – tak że stał tuż przed wstecznym lusterkiem po stronie kierowcy. Odchrząknął.

– Jak się czujesz tam na dole? – zapytał.

– W tej chwili chyba wolałabym być na górze – odparła Eva.

– Dzięki – powiedział i chciał dodać coś więcej, ale miał pustkę w głowie. Był w stanie myśleć tylko o tym, co ma zrobić.

Przyjrzał się detonatorowi wciśniętemu w bryłę plastiku.

Uzgodnili, że należy sprawdzić, czy jest detonator zegarowy. Nie mówili nic o rozbieraniu. Czy przed kontynuowaniem powinien się skonsultować z Sarą Oskarsson? Jego bezpośrednią przełożoną była jednak Eva, a ona nie miała żadnych obiekcji.

Poza tym, jeśli coś pójdzie nie tak, nie będzie to już jego problem.

– W takim razie wyjmuję zapalnik – powiedział.

Zrobił to miarowym, powolnym ruchem, trzymając detonator między kciukiem a palcem wskazującym. Ostrożnie odchylił kable i odłożył przedmiot na wyźłobieniu, na którym opierała się maska w pozycji zamkniętej.

Ostrożnie uwolnił oburącz materiał wybuchowy. Kiedy tak stał, trzymając go w rękach, uświadomił sobie, że nie bardzo wie, jak się go pozbyć. Powinien był coś przygotować. Po kilku sekundach namysłu uznał, że da sobie z tym spokój. Najważniejsza była Eva. Poza tym jeśli sprawca rzeczywiście wysadził się w powietrze, mogli chyba przymknąć oko na to, że nie

wszystkie dowody zostały zabezpieczone zgodnie z wszelkimi zasadami ich fachu.

Położył bryłę na zakurzonej skrzyni w rogu, w którym nie było okna, i wrócił do samochodu.

– Już zaraz – powiedział. – Tylko przesunę samochód.

Otworzył drzwi, wsunął się do środka, opierając kolano na fotelu kierowcy i zwolnił hamulec ręczny. Następnie poszedł za samochód i napał barkiem na bagażnik. Odepchnął się stopami od podłoża.

– Jak długo tu był po wjechaniu samochodem do środka? Pewnie nie zdążył zrobić nic więcej? – zapytał i poczuł, że mięśnie jego nóg z powrotem się rozluźniają.

– Niedługo. A co? – zapytała Eva.

– Chciałem tylko sprawdzić.

– Chodzi ci o przesuwanie samochodu?

– Tak.

– Trudno mi uwierzyć, by zdążył podłożyć więcej ładunków. Ale jeśli czujesz się niepewnie, oczywiście poczekaj.

– Nie, to pewnie tylko moja wyobraźnia. Trudno coś poradzić na to, że myśl o przesuwanie tego samochodu nie jest przyjemna.

– Technicy są już pewnie w drodze – odparła Eva.

– To tylko wyobraźnia. Nie powinienem być nic mówić.

Granholm znów się zapał. Cały swój ciężar i siłę oparł na samochodzie. Pojazd powoli zaczął się poruszać. Rozległ się chrzęst drobnych kamyczków znajdujących się między oponami a grubymi drewnianymi deskami.

Wystarczyło przesunąć wóz o kilkadziesiąt centymetrów.

Odjechali dwieście metrów od składziku. Gustav i Knutsson stali przy golfie, patrząc w stronę budynku tkwiącego samotnie na pastwisku. Sara siedziała za kierownicą, obok Stellana Johanssona.

Kiedy tylko kłapa piwnicy się otworzyła i Eva Karlén, mrużąc oczy, spojrzała pod delikatne światło, które po ośmiu godzinach w ciemności wydawało się znacznie mocniejsze, Stellan Johansson zakaszłał i chrapliwie zaczerpnął tchu. Po jego klatce piersiowej rozszedł się ciężki ból. Stellan nigdy nie czuł niczego podobnego. Jakby ktoś umieścił mu na żebrach duży żelazny ciężar. Zrobiło się ciasno. Nie było miejsca na oddech. Nie było miejsca dla niego. Nie miał jednak dokąd uciec.

\*\*\*

Osiem minut wcześniej zyskali potwierdzenie, że Tommy Johansson zginął w wybuchu domu siostry w Rone. Nie mogli zataić tej informacji przed Stellanem Johanssonem. Sara powiadomiła go o śmierci syna, ale i o tym, że córka odniosła jedynie łagodne obrażenia.

W już i tak mocno nadwyrężonym ciele Stellana Johanssona pod wpływem wzrostu ciśnienia krwi oderwała się mała, nieforemna grudka lipidów. Ruszyła z prądem, piętrzyła się w naczyniach krwionośnych, ale płynęła dalej, żyła robiła się coraz cieńsza, aż w końcu grudka tłuszczu przylepiła się w jednym z naczyń wieńcowych. Ciśnienie krwi wzrosło jeszcze bardziej, a czop był wciskany coraz mocniej, aż w końcu skutecznie zablokował przepływ krwi.

Spojrzenie Stellana Johanssona stało się nieobecne, a broda opadła na klatkę piersiową. Sara nie od razu zauważyła, co się dzieje, bo słuchała Gustava, któremu zdawało się, że usłyszał coś przy domu.

Kiedy jednak Stellan Johansson zaczął się pochylać i prawie opadł na deskę rozdzielczą, wiedzieli, co się stało.

Eva i Granholm, nie czekając, ruszyli jednym z trzech nierównych śladów na drodze, a kiedy dotarli do pozostałych, wszyscy troje byli zajęci czymś innym.

Po raz drugi w ciągu dwóch tygodni Fredrik zjawił się w szpitalu w Visby, żeby odwiedzić kogoś z pracy.

Szedł długim korytarzem po błyszczącej posadzce w marchewkowym kolorze. Gdzieś z oddali dobiegały łagodne głosy. Była za dwadzieścia druga w nocy. Pod tym względem szpital nie różnił się od domów gotlandzkiej społeczności. Był otwarty. Fredrikowi się to podobało. Ułatwiało życie. Reguły i godziny odwiedzin nie były przestrzegane tak restrykcyjnie, jak to bywało w Sztokholmie. Zawsze albo przeważnie znajdował się ktoś gotów do pomocy czy do zrobienia wyjątku. Jako policjantowi zdarzało mu się myśleć, że taka postawa jest niepokojąco naiwna. Jako Fredrik Broman to jednak uwielbiał.

Otworzył drzwi i wszedł na oddział. Sale rozmieszczono w okręgu wokół swego rodzaju wyspy pielęgniarek. Światło na oddziale było zgaszone, jeśli nie liczyć kilku nocnych i biurkowych lampek. Za oknem świt rozsnuwał po niebie stonowaną niebieską poświatę.

Dopiero po jakimś czasie ktoś zwrócił na Fredrika uwagę i zapytał, jaką ma tu sprawę w środku nocy.

Broman odpowiedział zgodnie z prawdą, że przyszedł odwiedzić Evę Karlén, koleżankę z pracy.

Pielęgniarka, nie zadając dalszych pytań, podała mu numer sali.

– Proszę pójść naokoło, tam, w lewo, sala będzie z tyłu.

Podziękował i zupełnie niepotrzebnie narysował w powietrzu półkole, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiał. Nie było możliwości pomyłki.

– Zgadza się, tam z tyłu – odparła pielęgniarka. – Wydaje mi się, że kilka osób już przyszło.

Minął skupisko białych szafek. Na ławce przy aneksie kuchennym stały dwa dystrybutory z sokiem i niebieski termos z kawą dla odwiedzających.

Według tego, co słyszał, Evie nie stało się nic poważnego. W najgorszym razie doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu. Göran Eide praktycznie rozkazał jej zgłoszenie się do szpitala, a tam zatrzymano ją na noc na obserwację.

Szerokie drzwi sali numer osiem były uchylone. Światło z sali padało na błyszczącą posadzkę w korytarzu. Usłyszał dobiegające ze środka ciche

mamrotanie. Zwolnił kroku i przystanął kilka metrów przed drzwiami.

Pielęgniarka się nie myliła. Eva miała gości. Dziecko, którego Fredrik nigdy wcześniej nie spotkał, ale znał ze zdjęć w domu Evy, siedziało na łóżku. Drugie, młodsze, spało skulone w szpitalnym fotelu. W sali byli też dwaj dorośli mężczyźni. Jej były mąż czy kim on tam dla niej był oraz jej brat. Brata już raz spotkał. A raczej to brat Evy spotkał jego.

Evy nie widział. Wezłowie łóżka było zasłonięte.

Brat mówił coś, czego Fredrik nie słyszał. Były mąż wybuchnął śmiechem i odwrócił się w jego stronę. Fredrik odskoczył w bok. Nie chciał zostać zauważony.

Nie było tu dla niego miejsca. Ta myśl go oszołomiła i w pewnym sensie zraniła. Eva miała obok siebie wszystkich, których potrzebowała. Dzieci. Brata. Męża... Nikogo jej nie brakowało.

Już wchodząc do budynku szpitala, czuł niepewność. Z jednej strony nie ulegało wątpliwości, że powinien odwiedzić poszkodowaną koleżankę, a z drugiej strony nie byli przecież tylko kolegami z pracy, łączyło ich coś więcej, na co chyba brakowało słowa. W niedzielę byli znowu „tylko kolegami”. Choć jednak nie. To nigdy nie jest proste.

A teraz stał w ciemności jak kretyn, uchylając się przed światłem z sali numer osiem.

Ironia całej sytuacji polegała na tym, że gdyby między nimi nic się nie wydarzyło, mógłby wejść do sali tak po prostu. I wszyscy z radością by go przywitali.

Rozczarowanie minęło, zmieniając się w zmęczoną obojętność, która owinęła mu serce niczym zużyta ściereczka. Odwrócił się plecami do wiązki światła i się wycofał.

– Nie znalazł pan? – spytała pielęgniarka na jego widok.

– Znalazłem, dziękuję – odpowiedział i nie zatrzymując się, poszedł dalej.

Zmierzał długim korytarzem w stronę wyjścia. Chciał już tylko wrócić do domu. Miał dosyć na ten dzień.

Na dole w drzwiach spotkał Görana.

– Jak ona się czuje? – Wydawał się ociężały i zmęczony. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z telefonem w dłoni.

– Chyba nie najgorzej – odpowiedział Fredrik.

– No to świetnie – odparł Göran z wyraźną ulgą.

Zrobił krok w kierunku Fredrika i już chciał coś powiedzieć, ale Fredrik był szybszy.

– Tak naprawdę nie wszedłem do sali...

To cholerne spotkanie było mu naprawdę niepotrzebne.

Göran spojrzał na niego pytająco. Fredrik zyskał trochę na czasie, wskazując schody i windę i kilkakrotnie kiwając głową.

– Byli tam jej mąż i dzieci, więc pomyślałem, że nie będę...

– Dobrze, dobrze, rozumiem – odparł Göran i spojrzał na Fredrika tak, jakby patrzenie na niego sprawiało ból.

– Nie musisz nic mówić. To znaczy wspominać, że tu byłem.

– W porządku – odpowiedział Göran.

Rozstali się, a kiedy Fredrik odchodził, usłyszał jeszcze: „Jedź ostrożnie”.

Ruszył na parking. Noc była ciepła. Jak delikatna pieśczoła na policzku. Tęsknił za tym, by usiąść za kierownicą, włożyć płytę do odtwarzacza i z opuszczoną szybą pojechać do Vamlingbo. Czuł, że całkiem dobrze mu to zrobi. Godzina poza czasem. Godzina, która się nie liczy.

\*\*\*

Göran Eide był zmęczony, ale i tak przyspieszył kroku, idąc przez korytarz szpitala. Miał nad czym rozmyślać. Dochodzenie nie zostało przeprowadzone w taki sposób, jakiego by sobie życzył. Uzyskali wprawdzie zakładany rezultat, ale niektóre interwencje po drodze pozostawiały sporo do życzenia. Jeden podejrzany podciął sobie nadgarstki, drugi wysadził się w powietrze. Jego podwładni narażali siebie i kolegów na niepotrzebne ryzyko.

Uderzyło go, że w te incydenty byli zamieszani jego pracownicy, którzy mieli ze sobą potajemny romans. Nie miał pojęcia, jakie wnioski z tego wyciągnąć. Na razie. Wiedział jednak, że będzie musiał jakoś wrócić do tego tematu.

Jeszcze w nocy krótko omówili sytuację. Wszyscy oprócz Evy Karlén, którą zapakował do karetki i zmusił do pobytu w szpitalu. Wtedy oczywiście nie poruszał takich kwestii. Ale prędzej czy później będzie pewnie zmuszony to zrobić. Prawdopodobnie.

Ech, ten niekontrolowany ludzki popęd, pomyślał, otwierając drzwi oddziału.

Anna-Karin Johansson leżała na boku. Miała oparzenia na plecach i ramionach. Łagodniejsze na karku i głowie. Resztki włosów zostały odcięte. Lekarz mówił, że pewnie odrosną.

Fredrik i Göran byli z powrotem w szpitalu w Visby dziewięć i pół godziny po tym, jak go opuścili. Stali przy łóżku Anny-Karin odziani w żółte płaszcze i maseczki ze względu na ryzyko infekcji.

Opuszczone żaluzje chroniły przed ostrym słońcem, a i tak salę wypełniało przyjemne, ciepłe światło. Kobieta w łóżku patrzyła gdzieś w przestrzeń ciężkim wzrokiem, ignorując ich obecność. W nocy straciła rodzinę. Najpierw brata, którego śmierć omal nie skończyła się tragicznie też dla niej. Potem ojca. Stellan Johansson zmarł o czwartej dwadzieścia trzy na innym oddziale tego samego szpitala.

Anna-Karin została sama. Jej dom był spaloną ruiną, którą Granholm i specjalnie sprowadzony samolotem z Linköping ekspert od materiałów wybuchowych rankiem zaczęli przeszukiwać pod kątem próbek.

– To długo nie potrwa – powiedział Göran – ale bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli się dowiedzieć, co zaszło wczoraj u pani w domu.

Anna-Karin kilka razy mrugnęła, ale się nie odezwała. Göran wysunął krzesło i usiadł nieco ponad metr od krawędzi łóżka. Fredrik się nie ruszył. Nie było już innych miejsc oprócz fotela w rogu, po drugiej stronie łóżka.

– Wiedziała pani wczoraj wieczorem, że Tommy się do pani wybiera? – zapytał Göran.

– Nie, po prostu przyjechał – odparła Anna-Karin.

Wydawała się zmęczona. Jej głos nie zdradzał, jak się czuje. Cała energia szła w wypowiedanie słów.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

Kobieta lekko westchnęła, a jej nogi poruszyły się subtelnie pod kołdrą.

– Potrzebuje pani czegoś? Czy mogę jakoś pomóc? – zapytał Göran.

Anna-Karin zerknęła na nocną szafkę, na której stał kubek wody z wetkniętą rurką.

– Wody? – zapytał Göran.

– Tak.

Göran wziął do ręki kubek i podał Annie-Karin.

– Chce pani sama trzymać czy ja mam to robić?

– Proszę potrzymać – odpowiedziała. Usłyszeli, że język klei jej się do podniebienia.

Göran podsunął kubek tak, że dotknęła ustami rurki. Upiła kilka ostrożnych łyków i skinęła głową.

– Boli mnie, kiedy się ruszam – powiedziała, tym razem trochę wyraźniej.

Odchrząknęła. Göran odstawił kubek.

– Miał przy sobie broń i parę innych rzeczy. Skrzynkę i torbę. Nie wiedziałam, co to jest, i o tym nie myślałam. Ale potem, kiedy otworzył skrzynkę, zrozumiałam, że to dynamit. Czy jak to tam się nazywa.

Zakaszła i wykonała prawie niezauważalny gest w kierunku nocnego stolika. Powtórzyli proces z kubkiem wody.

– Przestraszyłam się i zapytałam, co zamierza zrobić. Nie dostałam jednak żadnej sensownej odpowiedzi. Kiedy zaczął majstrować przy dynamicie, próbowałam go powstrzymać, ale kiedy mi się nie udało, pomyślałam, że muszę wyjść. Nie chciałam biec. Ruszyłam do drzwi. On sprawiał wrażenie, jakby go to nie obchodziło. Był zajęty swoją robotą. Potem widziałam, że wstał i wszedł do salonu. Kiedy byłam na ganku, rozległ się huk. Nic więcej nie pamiętam.

Lekko sapnęła, jakby opowiadanie o tym było dla niej wysiłkiem.

– Tam mnie znaleziono? – spytała.

– Nie – odparł Göran. – Wyszła pani sama.

– Dziwne.

Oczy Anny-Karin ruszały się powoli, spoglądała w różne strony. Nagle znieruchomiała i popatrzyła na Fredrika.

Był ciekaw, czy pamiętała, że ją uratował. Pewnie nie. Mimo to poczuł się tak, jakby mogła dokładnie zobaczyć, co się działo w jego głowie, gdy klęczał obok niej w trawie.

Odwróciła wzrok.

– Czy on pani groził? – zapytał Göran.

Spojrzenie Anny-Karin przeskoczyło na niego.

– Nie.

– Co powiedział, kiedy przyszedł?

– Powiedział... Powtarzał, że coś tam nam się uda. Nie wiedziałam, o co mu chodzi.



- Nic poza tym?
- Nie. Pokłóciliśmy się o to, co robił, ale...

Zamknęła oczy.

Göran szybko spojrział na Fredrika w zielonej maseczce. Ten odwzajemnił jego spojrzenie.

- Powinniśmy iść – powiedział.
- Wiem – odparł Göran.

Anna-Karin otworzyła oczy, spojrzała na gości, a potem jej powieki zadrżały i z powrotem się zamknęły.

\*\*\*

– Materiał wybuchowy użyty w Rone jest tego samego rodzaju co ten wykorzystany na M/S Visby – oznajmił Per Granholm. – I ten umieszczony w samochodzie techniczki.

Granholm przystanął tuż za drzwiami gabinetu Görana i stał z ręką na dużym sejfie. Wyglądał, jakby musiał się czegoś przytrzymać. Było jedenaście po drugiej po południu, a w nocy spał kiepsko.

– Tommy Johansson przywiózł kilka kilogramów do domu siostry. Gdyby to wszystko uzbroidł, w miejscu domu pozostałby krater – kontynuował głosem monotonnym ze zmęczenia. – Albo gdyby do wybuchu doszło w kuchni zamiast w salonie. To prawdopodobnie doprowadziłoby do detonacji reszty materiału wybuchowego.

– A co z człowiekiem, który zapewnił alibi Tommy’emu Johanssonowi na czas eksplozji? Tobiasem Sundinem? – rzucił Fredrik w przestrzeń.

– Wydano nakaz aresztowania pod jego nieobecność. Jeśli wszystko pójdzie jak dotychczas, ta nieobecność nie potrwa długo – odparł Göran, zerkając na zegarek. – Całkiem możliwe, że Tommy Johansson tylko wyprodukował bombę i pomagał Sundinowi majstrować przy samochodzie, ale wątpię. Sądzę, że dokonali tego razem.

Volvo 343, które stało zaparkowane w składziku, kiedy przyszła tam Eva Karlén, zostało później znalezione w stodole Johanssonów. Według teorii policjantów Tommy Johansson i Tobias Sundin zaczęli majstrować w aucie Sundina na terenie gospodarstwa, a potem przekradli się do składziku i zabrali zarejestrowaną na ojca trzysta czterdziestkę trójkę do Burgsvik. Gdyby Stellan Johansson wyjrzał przez okno w kuchni, zobaczyłby samochód Sundina z podniesioną maską.

– A broń? – spytał stojący przy oknie Gustav.

– Wyniki badań przyjdą jutro – odparł Granholm. – Ale kaliber się zgadza, a amunicja, którą Tommy Johansson zabrał ze sobą do siostry, jest taka sama jak ta użyta w Nisseviken.

Gustav skinął głową.

– To skradziona broń wojskowa – dodał Granholm.

– Tak – potwierdził Göran. – Lepiej postawić na kradzioną, wiedząc z góry, że zamierza się kogoś zastrzelić.

– Hm, ale to cholerna głupota chować ją we własnym składziku – mruknął Gustav.

Dzisiaj ubrał się nienachalnie. Miał na sobie dżinsy, czarny T-shirt i marynarkę, którą powiesił na oparciu krzesła.

Lekarz, który zajmował się w nocy Stellanem Johanssonem w szpitalu w Visby, powiedział Gustavowi, że Johansson miał dwa złamane żebra. Nic niespotykanego po reanimacji, ale to nie jest coś, co chce się usłyszeć po dwudziestu minutach ratowania komuś życia w oczekiwaniu na przyjazd karetki. Po nocy Gustav czuł się wykończony. Jak cała reszta zebranych w sali miał wrażenie, że nie zrobił wszystkiego, co mógł. Nikt tego nie powiedział wprost, ale też nie musiał. Często się tak czuł, gdy ginęli ludzie.

– Co by wskazywało, że słuszna jest teoria Sary: Anna-Karin zobaczyła gdzieś Josefa Thomassona i wydawało jej się, że rozpoznaje gwałciciela, który trzynaście lat wcześniej uciekł z miejsca przestępstwa. Opowiedziała o tym Tommy'emu, a on pojechał do Nisseviken i zastrzelił Josefa i jego dziewczynę, najpierw wstąpiwszy do Folkeryds – oznajmił Fredrik.

Gustav wiercił się przy oknie.

– Ale co on miał do roboty w Folkeryds? Czy nie lepiej w ogóle nie mieć alibi, niż mieć takie, które może się zwrócić przeciwko niemu?

– Będziemy musieli jeszcze raz przesłuchać Annę-Karin Johansson, jak tylko poczuje się trochę lepiej – rzekł Göran. – Wtedy może się dowiemy, ile ta teoria jest warta.

Anna-Karin już siedziała na łóżku. Z odpowiednim oparciem w odcinku lędźwiowym kręgosłupa mogła siedzieć bez opierania górnej, poparzonej części pleców o podniesiony materac.

Dwa dni wcześniej ledwo była w stanie utrzymać uniesione powieki. Tym razem była przytomna i sprawnie wodziła wzrokiem między Fredrikiem a Göranem. Mimo cieni pod oczami i siniaka na kości policzkowej wyglądała nie najgorzej, rzecz jasna jak na kogoś, kto stracił ojca, brata i dom.

Przesunęli nocną szafkę pod ścianę i usiedli przy łóżku. Fredrik wziął sobie krzesło z korytarza. Długie żółte płaszcze zawiązywane na plecach i maseczki w dalszym ciągu były obowiązkowe.

W sali unosił się intensywny zapach kwiatów. W wazonie ze stali nierdzewnej stojącej na nocnej szafce znajdował się duży bukiet. Fredrik zaczął się zastanawiać, od kogo te kwiaty, i na darmo próbował niepostrzeżenie wypatrzeć bilecik.

– Mamy przy sobie kilka zdjęć – powiedział Göran.

– Tak? – odparła Anna-Karin.

– Chcielibyśmy przeprowadzić coś, co nazywamy fotokonfrontacją. Pokażemy kilka fotografii, konkretnie osiem, a pani będzie mówić, czy zna przedstawione na nich osoby.

– Aha, tylko że... nie do końca rozumiem.

– Wytłumaczę – odparł Göran i uśmiechnął się pod maseczką, aż w kąciach jego oczu pojawiły się zmarszczki mimiczne.

– Trzydzieści lat temu, podczas odwiedzin u przyjaciółki w Enskede, padła pani ofiarą ataku – ciągnął.

Anna-Karin zeszywniała. Jej oczy stały się czujne.

– O ile pamiętam, w sądzie ten atak został określony mianem gwałtu – odparła.

– Gwałtu, tak – odparł Göran. Wyraźnie starał się unikać tego słowa. – Przykro mi, że musimy wracać do tej sprawy...

– W porządku. To było trzydzieści lat temu – odparła, siląc się na uśmiech, który nie bardzo jej wyszedł.

– Wydaje nam się, że to może mieć znaczenie dla naszego śledztwa.

– Ee... aha. Jakie śledztwo ma pan na myśli? – spytała Anna-Karin.

– Najlepiej by było, gdyby najpierw spojrzała pani na zdjęcia. Sytuację opiszę potem. Im mniej powiem zawczasu, tym bardziej wartościowa będzie ta konfrontacja. Możemy się tak umówić?

Anna-Karin uniosła brwi i wzięła głęboki oddech.

– Oczywiście, skoro pan tak mówi.

– W porządku. Jeśli dobrze rozumiemy, mężczyzn, którzy panią zaatakowali... i zgwałcili tamtej nocy w Enskede, było trzech. Ale tylko dwóch zostało schwytanych i skazanych.

Anna-Karin skinęła głową.

– Nasze pytanie brzmi, czy w gwałcie uczestniczył któryś z mężczyzn widocznych na zdjęciach. I czy jeden z nich może być tym trzecim sprawcą.

Anna-Karin utkwiała wzrok w Göranie. Westchnęła.

– Rozumiem, że to może być dla pani szok, nawet jeśli od tamtego czasu minęło wiele lat. Jeśli czuje pani, że woli poczekać kilka dni, to tak zrobimy. W takim wypadku my też zaczekamy. Chcieliśmy tylko poinformować o naszych planach.

Anna-Karin powoli złączyła dłonie na kółdrze.

– Nie, w porządku – odpowiedziała i przełknęła ślinę.

Fredrik wstał, odsunął krzesło i podjechał składanym stolikiem, którego blat można było ustawić nad łóżkiem. Göran położył tam dwa arkusze ze zdjęciami, które przygotowali.

– Proszę powiedzieć, czy ktoś z nich brał udział w gwałcie.

Fredrik pomyślał, że za każdym razem, gdy Göran wypowiadał to słowo, brzmiało ostro. Ale Anna-Karin sama mówiła, że nie życzy sobie żadnych eufemizmów. A przynajmniej tak zrozumiał jej słowa.

– Proszę się nie spieszyć, tylko popatrzeć na zdjęcia i dobrze się zastanowić – powiedział Göran.

Anna-Karin siedziała na łóżku w kompletnym bezruchu. Poruszały się tylko jej oczy. Tam i z powrotem po arkuszu papieru.

Fredrik i Göran uważnie śledzili każdą minę, każdy drobny ruch. W sali panowała cisza. Absolutna cisza. Żadne dźwięki nie wpadały do środka z zewnątrz ani korytarza. Wszyscy troje siedzieli nieruchomo w żółtym świetle.

Anna-Karin przez dłuższą chwilę miała kamienną twarz. Fredrik zaczął myśleć, że to trwa nienaturalnie długo. Konfrontacje zwykle były szybkie. Można kogoś rozpoznać albo nie, ewentualnie nie mieć pewności. Zwykle wiadomo praktycznie od razu.

W końcu zmarszczyła brwi i lekko przekrzywiła głowę.

– Zna pani kogoś z nich? – zapytał Göran. – Nie wywieram presji. Proszę tylko zdradzić, co pani myśli. Jeśli nikogo pani nie rozpoznaje, proszę nam powiedzieć.

– W takim razie... nie. Nie mogę powiedzieć, bym któregoś znała.

Nastała chwila pełnej rozczarowania ciszy, aż w końcu odezwał się Göran:

– I nie ma żadnych wątpliwości co do żadnego z nich? Nikt nawet nie przypomina człowieka, którego szukamy?

– Nie – odparła natychmiast Anna-Karin, ale zmarszczka pomiędzy jej brwiami pozostała.

– Czy jeszcze nad czymś się pani zastanawia? – spytał Göran.

– Tak. Zastanawiam się... To pewnie nie ma nic wspólnego ze sprawą, ale dwaj mężczyźni z tych zdjęć wyglądają bardzo podobnie.

– Którzy?

Göran z zaciekawieniem nachylił się do arkusza.

– Ten, numer cztery – powiedziała Anna-Karin, przykładając palec do krawędzi zdjęcia, które przedstawiało Josefa Thomassona – jest bardzo podobny do tego.

Przeniosła palec na fotografię numer siedem – portret Pettera Thomassona. Göran spojrział na wskazanych przez nią mężczyzn.

– Tak, zgadza się, są bardzo podobni – odparł.

Anna-Karin spojrzała na niego pytająco.

– Skojarzyło się to pani z czymś konkretnym? – spytał Göran.

Anna-Karin wciągnęła wargi między zęby i powoli wypchnęła.

– Nie, po prostu mnie zdziwiło. Myślałam, że będą różni, żeby można było wybrać... a nie, że...

Umilkła i spojrzała na zdjęcia przed sobą. Nie wydawała się już tak silna jak wtedy, kiedy do niej weszli.

– Żeby nie było ryzyka, że ich się ze sobą pomyli? To chce pani powiedzieć? – zapytał Göran.

– Tak... chyba coś w tym rodzaju.

– Tak naprawdę jest odwrotnie. Ludzie na zdjęciach mają być do siebie podobni. Im bardziej są, tym większa jest wartość dowodu przy okazaniu.

– Hm, no tak, jasne – odpowiedziała. – Oczywiście.

– Nie wiem, czy pani zauważyła, ale wszyscy są podobni z wyglądu.

– Tak, ale ci dwaj są bardzo podobni. Głównie o to chodzi.

Pod koniec zdania wypowiadała słowa wolniej i ciszej. Wydawała się zmęczona.

– No dobrze – powiedział Göran i sięgnął po zdjęcia. – Warto było przynajmniej spróbować.

Anna-Karin ostrożnie się odwróciła w jego stronę.

– No więc...

– Tak, słucham?

– O co w tym...

Wskazała gestem zdjęcia, które właśnie zabrał. Göran znieruchomiał, czekał na dalszy ciąg. W kącikach jego oczu znów pojawiły się zmarszczki od uśmiechu.

– Mówił pan, że wszystko wyjaśni, kiedy już obejrzę zdjęcia – powiedziała Anna-Karin.

– A, no tak – odparł Göran, zdecydowanie ściskając arkusz oburącz. – Teraz nie ma to już większego znaczenia, skoro nikogo pani nie wskazała. Mieliśmy taką myśl, ale... Jak mówię, nie ma to już znaczenia. Nie mogę nic powiedzieć na ten temat, choćbym chciał.

Anna-Karin wytrzymała jego spojrzenie. Patrzyła na niego niemal błagalnie.

– Chce pani powiedzieć coś więcej? Podzielić się jeszcze jakimiś przemyśleniami na ten temat?

Nie odpowiedziała. Zapadła się na łóżku, siedziała zgarbiona i wyglądała, jakby miała ochotę opaść z powrotem na poduszki, ale nie mogła tego zrobić z powodu poparzeń.

– Ostatnie pytanie – rzekł Göran. – Ten trzeci sprawca. Czy widziała go pani na Gotlandii tego lata?

Anna-Karin nie wykonała żadnego ruchu. Wpatrywała się w kołdrę.

– Nie – odparła słabym głosem.

Naprawdę wyglądała, jakby potrzebowała się położyć i chwilę odpocząć. Wymagała pomocy.

– Czy może pan zadzwonić po pielęgniarkę? – zwróciła się do Görana i wskazała przycisk alarmowy, który znalazł się poza jej zasięgiem, kiedy od-

sunęli stolik.

– Oczywiście – odparł Göran i nacisnął.

Odsunął swoje krzesło i ustawił na miejscu nocną szafkę.

– Z pewnością będziemy mieli powód, by jeszcze nawiązać z panią kontakt, zanim ustalimy wszystkie szczegóły tej sprawy, ale jeśli coś pani przyjdzie do głowy, proszę nas zawiadomić.

– Teraz chyba nie mam siły na więcej – powiedziała.

Jej głos był słaby.

– Rozumiem. Już wychodzimy.

Göran położył wizytówkę na nocnym stoliku.

– Tu ma pani mój numer telefonu.

Anna-Karin ledwo zauważalnie skinęła głową, nie patrząc na wizytówkę. Fredrik też wstał. Otworzyli drzwi prowadzące do służby.

\*\*\*

– Zauważyła podobieństwo – powiedział Fredrik, kiedy zdjęli płaszcze, wrzucili maseczki do kosza na śmieci i wyszli na korytarz.

– Tak. Wyglądało, jakby nie mogła się powstrzymać i zapytała. Przynajmniej tak to odebrałem.

– Trudno powiedzieć – stwierdził Fredrik.

– Poczekajmy kilka dni i zobaczymy, czy coś się wydarzy.

Zeszli po schodach na parter, idąc śladem tabliczek pokazujących drogę do wyjścia.

– Czy nie moglibyśmy urządzić konfrontacji z Petterem Thomassonem? Z żyjącym Petterem Thomassonem? Może odniesie lepszy skutek niż zdjęcie? – zastanawiał się Fredrik.

– Sam nie wiem...

Wyszli na ostre słońce. Göran wyjął okulary przeciwsłoneczne z wewnętrznej kieszeni marynarki i je założył. Miały identyczny model jak jego okulary do czytania. Fredrik nigdy wcześniej ich u niego nie widział.

– Dostałem je od Sonji – powiedział Göran i poprawił je palcem wskazującym. – Tak czy inaczej – kontynuował – myślę, że sprowadzenie go tutaj może być trudne. Wprawdzie to sprawa zabójstwa, ale...

– Trudne? – powtórzył Fredrik. – Jego brata zabito za rogiem domu Johanssonów w Hablingbo. Rodziny w zasadzie dysfunkcyjnej z powodu sprawy gwałtu, w którym być może uczestniczył.

– Być może, powiadasz. Być może uczestniczył. To właśnie jest słaby punkt – stwierdził Göran. – W zasadzie mamy tylko teorię i kilka słabych poszlak. Poza tym Anna-Karin właśnie powiedziała, że nie rozpoznaje go jako jednego z gwałcicieli.

– Ale jeśli trzecim był ktoś zupełnie inny, jaki jest motyw? Czy Tommy Johansson zastrzelił Josefa i Saleh tylko dlatego, że są imigrantami? – spytał Fredrik.

– Może powinniśmy się przyzwyczaić do tej myśli. Wygląda na to, że wysadził w powietrze cały prom tylko po to, by nas postraszyć arabskimi terrorystami.

Szli dalej do samochodu. Przyspieszyli.

– Tak czy inaczej, Tommy Johansson nie żyje, a gwałt uległ przedawnieniu – podsumował Göran i zdjął okulary. – Coś jest z nimi nie tak. Czuję się, jakbym chodził po kopalni węgla.

Wyciągnął rękę z okularami do Fredrika.

– Sam zobacz.

Fredrik spojrział przez okulary. Göran miał rację. Nastąpiła noc.



Tobias Sundin siedział na łóżku i patrzył na błękitne niebo za oknem aresztu.

Był w nim już trzeci dzień. Spędził dwie noce na sztywnym materacu w dusznym pomieszczeniu. „Otwórz okno” – powiedział mu strażnik, kiedy zaczął się skarżyć. Nawet nie pomyślał, że to mogło być możliwe.

Nie sprawiło to jednak większej różnicy. Nie było żadnego przewiewu. Odrobinę świeższe nocne powietrze bardzo powoli sączyło się do środka przez kratę.

Przypomniał sobie, co powiedział mu obrońca z urzędu. Że skoncentrują obronę na Tommym jako sile sprawczej. To był pomysł Tommy’ego, plan Tommy’ego. Tobias dopuścił się pomocnictwa.

Z grubsza była to prawda. Przerazało go jedynie, że prokurator może chcieć to podważać. Wykorzystać śmierć Tommy’ego do zrzucenia całej winy na Tobiasa. Nie tylko może, ale na pewno to zrobi. Adwokat go ostrzegął. Powiedział, że to część tej gry.

Słowo przeciwko słowu. Tommy nie mógł się obronić. To był zarówno plus, jak i minus. Obaj, Tobias i prokurator, mogli i powinni wkładać różne słowa w usta Tommy’ego. Nikt jednak nie powinien się dowiedzieć, co zaszło między nimi.

Tobias oczywiście wiedział. Oni jednak nie będą mu wierzyli. Nie do końca. A ostatecznie to, do jakiego stopnia mu uwierzą, przesądzi o surowości wyroku.

Zamkną go. Na długo. Zrozumiał to, nawet nie pytając. Adwokat owijał w bawełnę, pytał, czy rozumie powagę sytuacji. Odpowiedział, że tak. Zauważył, że prawnik chce rozmawiać o wyrokach i karach. O liczbie lat. Ale zachowywał się tak, jakby najpierw chciał dostać od niego przyzwolenie. Trochę jak lekarz, który czeka, aż śmiertelnie chory pacjent zada mu pytanie: „Ile czasu mi zostało?”.

Tobias jednak nie zapytał. Nie wytrzymałby nawet godziny w areszcie, gdyby wiedział, że... Nie chciał nawet o tym myśleć.

Położył się na żółtym więziennym kocu o waflowym splocie. Nie mógł czytać gazet, oglądać telewizji ani słuchać radia. Kilka z góry ustawionych

stacji muzycznych, których pozwalano słuchać, nie grało niczego, co by mu się podobało.

Nie szkodzi. I tak nie był w stanie się skupić na tyle, by słuchać muzyki dłużej niż przez kilka sekund. W areszcie była biblioteka z książkami i prasą, ale nie dawał rady przeczytać więcej niż kilku linijek. Filmy, które mógł oglądać, były nic nieznaczącą sekwencją klitek.

Myśli nie dawały mu spokoju. Przypominały wiecznie trwającą dyskusję, wałkowanie poszczególnych wariantów. Tych, które były jeszcze na stole, i tych, które nie były już możliwe do realizacji. Wybory zostały dokonane. Mimo wszystko wyobrażenia nie mogła przestać analizować nawet tego, co znalazło się poza jego zasięgiem.

A kiedy wszystko zatoczyło już koło, zaczynało się od nowa.

Wyskoczył z łóżka i zaczął chodzić tam i z powrotem po pomieszczeniu. Spojrzał na zegar. Za godzinę i trzydzieści sześć minut będzie mógł wyjść na dach i przez pół godziny stać na dworze, widząc wycinek kraty.

Załamał się. Taka była prawda. Po nocy w areszcie i dwóch godzinach w pokoju przesłuchań tak bardzo się zaplątał w swoich kłamstwach, że nie był już w stanie dłużej stawiać oporu.

A może wcale się nie zaplątał? Może tylko nie miał już siły się bronić? Z perspektywy czasu nie był pewny.

Gdyby Tommy żył, wszystko wyglądałoby inaczej. Nigdy nie wrobiłby Tommy'ego.

Kurwa! Kim on właściwie był? „Zaplątanym w swe kłamstwa”.

To było najtrudniejsze. Myśl, że stchórzył. Że mógł się uratować, gdyby tylko był trochę silniejszy. Co właściwie na niego mieli? Skąd mogli wiedzieć, że on i Tommy nie byli zajęci samochodem przez całe przedpołudnie? Czy tak naprawdę nie wywarli na niego presji i nie zapędzili go w kozi róg?

Konkretne pierdolnięcie. Tak mówił Tommy. Kurewskie pierdolnięcie. I rozpęta się piekło. O to właśnie chodzi.

Tak było.

Ale nikomu jednak nic się nie stanie. Nikt nie zginie. Wszystko było takie proste. Wystarczy ostrzegawczy strzał w odpowiednim momencie i tłące się w ludziach niezadowolenie wybuchnie gwałtownym pożarem.

Nikt jednak nie musiał zginąć. Bomba eksploduje na pokładzie samochodowym, kiedy będzie pusty i zamknięty. Nie było mowy o dziurze w kadłubie i zatopieniu promu z ośmiuset pasażerami.

Czy uznalby, że mieli szczęście, skoro zabił tylko dziewięciu?

A może pecha? Gdyby Tommy odbył służbę wojskową i nauczył się uzbrajać plastyczny materiał wybuchowy, nie potrzebowałby jego.

Gdyby.

Gdyby on sam okazał się trochę silniejszy. Tylko trochę. Nie mieli nic. Czy już było za późno? Czy mógł wszystko cofnąć?

A wystarczyło tylko zacisnąć zęby. Wytrzymać. Samemu w areszcie. Dni i noce. Może tygodnie, może kilka miesięcy, pół roku. Ale na szali było...

Nie chciał o tym myśleć.

Usiadł na łóżku i popatrzył na błękitne niebo za oknem.

To było jego życie. Tak teraz wyglądało.

Te słowa z uporem maniaka obracały się w jego myślach. A on robił, co mógł, żeby ich nie rozumieć.

Ojciec Saida odebrał go sprzed aresztu policji bezpieczeństwa. Był obywatelnie gorący sierpniowy dzień, więc możliwość, by opaść na miękki przedni fotel klimatyzowanego peugeota, można było uznać za wybawienie.

Był wolny.

Wolny w granicach miasta.

Nie wolno mu było opuszczać Kairu.

Nie miał pojęcia, jak długo będzie obowiązywać zakaz podróży. Nie było też nikogo, kto mógłby mu to powiedzieć, gdyby odważył się zapytać.

To oznaczało koniec studiów w Sztokholmie. Ale pewnie i tak było to nieuchronne. Nawet gdyby mógł wyjechać z Egiptu.

Granice Szwecji były pewnie dla niego zamknięte, tak samo jak w tym momencie granice Kairu. Po deportacji z powodu podejrzeń o terroryzm raczej nie zostałyby przyjęty z otwartymi ramionami, nawet gdyby w ojczyźnie wyszedł na wolność.

Pozostawało też pytanie, czy chciał wracać. Każdego dnia w areszcie myślał o Saleh. Kończyło się to płaczem, ale też dodawało mu otuchy.

W Sztokholmie bez niej byłoby pusto. Zbyt pusto.

Ostatnie, być może najtrudniejsze pytanie brzmiało, czy chciał zostać w Kairze, gdzie obecnie musiał przebywać.

Tata prowadził samochód przez zatłoczoną ulicę. Słońce odbite od tylnych szyb pojazdów przed nimi raziło Saida w oczy. Kiedy przejechali przez most Gala, nie skręcili w prawo, tylko w stronę uniwersytetu.

– Nie jedziemy do domu? – zapytał Said.

– Pomyślałem, że zjemy lunch na kampusie. Kilka osób chce się z tobą spotkać – odpowiedział tata.

– Ale...

– Myślę, że tam jest spokojniej niż w domu.

Said westchnął w duchu, ale nie mówił nic więcej. Nie rozumiał, co to oznaczało. Ani wzmianki o ludziach, którzy chcieli się z nim spotkać, ani uwagi, że na uniwersytecie będzie bezpieczniej. Najchętniej po prostu poje-

chałby do domu. Był zmęczony i nieogolony, uważał, że ubranie źle leży na jego wychudzonym ciele. Ale wziął się w garść. Dobrze mu to wychodziło przez ostatnie czterdzieści siedem dni.

Był wolny, ale musiał za to zapłacić.

Nie miał wyboru.

Powiedział wszystko, co wiedział na temat swojego przyjaciela z dzieciństwa. Dostali adres domowy i mailowy Muhammada, jego numer telefonu, stare zdjęcia i szczegółowe raporty dokumentujące wszystko, o czym rozmawiali.

Próbował nie myśleć, co to będzie oznaczało dla Muhammada. Po Teheranie przyjaźń została zerwana. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie w stanie mu wybaczyć. Nie chciał jednak skazywać byłego przyjaciela na niedolę.

A właśnie to zrobił.

\*\*\*

Dwaj ochroniarze z Säpo znajdowali się kawałek dalej na plaży w Ekevisken. On sam szedł boso brzegiem morza. Nie było tu wielu ludzi. Ci nieliczni, których widział, byli jego znajomymi. Sąsiadami.

Był już eksministrem sprawiedliwości, ale obiecano mu ochronę, dopóki nie opadnie kurz. Jeśli już się odeszło ze stanowiska, następowało to szybko.

W chwili gdy egipskie władze ogłosiły, że Said Habib zostanie zwolniony z aresztu i oczyszczony z podejrzeń, presja mediów, poprzednio delikatna jak bryza, teraz przybrała siłę huraganu.

Dziwne uczucie. Już wcześniej czuł podmuchy, to było częścią jego pracy. Nigdy jednak nie doświadczył prawdziwej nagonki.

Początkowo wszyscy koledzy z rządu byli po jego stronie. Opinia publiczna też, a przynajmniej tak mu się wydawało. O ile rozumieć przez nią zdanie ogółu, a nie garstki dziennikarzy w kilku wpływowych gazetach.

Pewnie przetrwałby tę nawałnicę, gdyby nie strzelił sobie w stopę wcześniejszym zaangażowaniem w kwestię uchodźców i błędną decyzją o deportacji. BŁĘDNĄ decyzją. Jakby podjął ją samodzielnie, a nie wraz z całym rządem.

Równie dobrze mogli się przyczepić do ministra spraw zagranicznych. Albo do premiera. Dokładnie takie głosy słyszał na korytarzach kancelarii. To było szaleństwo. „Te gazety” – mówiono, kwitując to kręceniem głową

albo lekkim uśmiechem, co miało wyrażać sympatię i lekką rezygnację na myśl o tym, jak zwariowany potrafi być ten świat. „W zasadzie – powiedział minister finansów – powinniśmy chyba zwolnić wszystkich i przekazać władzę w ręce Petry Wolodskiej z dziennika »Dagens Nyheter«. Przecież ona wie wszystko najlepiej. Wreszcie zapanowałby porządek w tym kraju”.

Ale „gazety” wołały oczywiście jego, wdzięczne za ów strzał w stopę. Dawny adwokat uchodźców, który stał się szycią socjalistów i zaczął usuwać ludzi z kraju, opierając się na wątych podstawach. Wysyłał ich do więzień rodem ze średniowiecza, o których wiadomo, że ludzie są tam torturowani i „znikają”. Wbijali to ludziom do głów, wałkowali do znudzenia. Brutalnie i z dużym napięciem. Dzień po dniu. Bez żadnej logiki, jak sądził. Nie tylko on.

W końcu dotarli do punktu krytycznego. Kiedy burza osiąga pewien poziom, nie chodzi już o logikę. Nie ma znaczenia, co jest prawdą, tylko to, co się komu wydaje.

A nagle zaczęło się wydawać, że nie jest dobrze. Sytuacja stała się obciążeniem dla partii.

Kiedy premier wypowiedział te słowa, zrozumiał, że to koniec.

Co za ironia losu, że byłoby dużo lepiej dla niego, gdyby Said Habib zniknął i nigdy więcej nie dał znaku życia. Teraz, kiedy się okazało, że w Egipcie można liczyć na sprawiedliwość, żądali jego głowy na srebrnej tacy.

Patrząc jednak z dystansu kilku dni na tę decyzję – która była jego decyzją tylko w sensie formalnym – mimo wszystko czuł się w miarę zadowolony. Jakby po raz pierwszy od tysiąca czterystu dni znów mógł normalnie oddychać.

Nie wyglądało to dobrze dla partii, ale dla niego też nie najlepiej. A skoro już odszedł, mógł być może wrócić do swoich wcześniejszych zajęć, jako tako zachowując twarz. O ile tego chciał. Sam nie wiedział. Nadszedł chyba odpowiedni czas na przerwę.

Morze, plaża, końcówka igrzysk olimpijskich i piwo w lodówce.

Nie było najgorzej.

Świętowali ósme urodziny Simona w domu w Vamlingbo. Wybór miejsca miał duże znaczenie. Musiało być komfortowe.

Dzieci miał widywać co drugi tydzień.

Ninni przyjechała samochodem około siódmej, żeby go obudzić. Nakryli do stołu po słonecznej stronie domu. Simon był świeżo ostrzyżony i siedział w błękitnej piżamie pośrodku długiego boku stołu. Oczy miał duże i utkwione w paczkach, które leżały spiętrzone wokół jego talerzyka z tortem. Torty upiekł Fredrik. Princessa, rzecz jasna, oraz wariant dla dorosłych, jego popisowy numer, tort cannoli z pajęczynowym wzorem z czekolady i nadzieniem z ricotty doprawionym cointreau. Ninni upiekła ciasteczka i słodkie bułeczki.

Simon wyciągnął rękę po pierwszą paczkę. Była płaska i podejrzenie przypominała formatem płytę CD.

Osiem świeczek. A zatem zostało mu jeszcze kilka lat dzieciństwa. Ile? Trzy? Cztery? Fredrik poczuł ukłucie w okolicach serca. Chciał wykorzystać te lata. Czuł, że to ważne. Tylko jak to zrobić? Jak można wykorzystać coś do maksimum? Chyba tylko będąc obok. A teraz co drugi tydzień nie będzie go wcale.

Chciał wykorzystać lata, które zostały, zanim te wielkie oczy skierują się w inną stronę. Odwrócić od niego i Ninni. Spojrzą w przyszłość. W kierunku świata. Może kontynentu?

Jak oczy Joakima.

Nie lubił o tym myśleć.

Simon rozerwał papier z płyty CD. Album Boba Dylana, marzył o nim. Miał na ścianach zdjęcia wokalisty i chętnie zasypiał przy The Freewheelin'. Lubiał go tylko w akustycznej odsłonie. Całą resztę nazywał remiksami. Ośmioletni purysta dylanowy!

„Stworzyłeś potwora” – wyszeptała do niego Ninni tydzień wcześniej.

Ale to nie było jego dzieło. Jeśli ktokolwiek był winny, to Joakim. Zamiast wyszydzać młodszego brata za słuchanie przedszkolnego popu, postanowił oduczyć go złego gustu.

Fredrik przyjrzał się siedzącej po drugiej stronie stołu Ninni. Nie zauważyła jego spojrzenia. Była zajęta zmaganiem syna z kolejną paczką.

Mówiła o terapii rodzinnej. Że byłby to dobry pomysł. „Jakkolwiek się skończy”.

Średnio kusił go ten pomysł. A, gdyby miał być szczerzy, trochę przerażał. Fredrik nie rozumiał dlaczego i to przerażało go jeszcze bardziej. Ninni prosiła, by się nad tym zastanowił. Nie zrobił tego. Zafiksował się na drugim zdaniu. „Jakkolwiek się skończy”.

Czyż to nie były otwarte drzwi? Sugestia, że wynik nie jest z góry przesądzony? Że stan, w którym się teraz znaleźli, był czymś przejściowym, co mogło się ustatkować i stać ich życiem, ale mogło też dobiec końca, zdezaktualizować się i pójść w zapomnienie.

Czy chciał wrócić? Trudno powiedzieć. Wszystko wciąż było zbyt świeże. Eva, kłamstwa, ich wybuchy... Nie wiedział. To było jak pytanie maratończyka, czy pragnie pobiec jeszcze raz, gdy już przekroczył linię mety. Proszę przyjść znowu za dwa tygodnie.

Ninni podniosła wzrok i spojrzała Fredrikowi w oczy. Natychmiast się zorientował, że siedziała i na niego patrzyła. Rozjaśniła twarz w uśmiechu, starając się, by nie był zbyt szeroki. Jej spojrzenie było jednocześnie radosne i trochę niepewne. Odwzajemnił uśmiech. Odetchnęła, a kąciki jej ust powędrowały ku górze. Chwilę później się odwróciła.

Simon z wesołym okrzykiem podniósł czerwone ukulele, błyszczące jak świeżo nawoskowany samochód. To był prezent od Joakima.

Od strony morza wiał ciepły wiatr. Urodzinowa flaga dobrze by wyglądała na maszcie. Poprzedniego dnia Fredrik przekopał cały dom w poszukiwaniu chociaż proporczyka. W końcu zadzwonił do Jespera, by się dowiedzieć, że tamten nic takiego nie ma. Było za późno, by pojechać do Burgsvik i kupić.

Kiedy Simon otworzył już wszystkie paczki, zjadł śniadanie, tort i odszedł od stołu z Joakimem, Fredrik i Ninni zostali. Simon zażyczył sobie, by spędzić dzień na plaży, ale nie było pośpiechu. Może dzięki wszystkim nowym rzeczom, którymi mógł się zająć, zmieni zdanie.

Fredrik zauważył sceptyczny wzrok Ninni, gdy spoglądała na lekko zaniedbane gospodarstwo: farbę odchodzącą od poręczy na werandzie, nieszczelne okna i ciemne tapety z medalionowym wzorem. Dla sztokholmczyków miało to może swój letni urok, ale żeby mieszkać tak przez cały rok?



Po raz pierwszy opowiedziała o wieczorze midsommar u Anneli. Jedzeniu, gościach i koleżankach Anneli z Lidingö, powtarzających zwrot „niech jedzą ciastka” bez świadomości historycznego kontekstu, co mogło dla niektórych wydawać się nieco komiczne, ponieważ słowa te wypowiedziała Maria Antonina na wiadomość o pozbawionych chleba, buntujących się z głodu paryskich masach. Poza tym był jeszcze jakiś kretyn, który próbował podrywać Ninni.

Fredrik zastanawiał się, dlaczego o tym mówiła. Dlaczego akurat ten mężczyzna wkradł się do jej opowieści jako jeden ze szczegółów? Czy pragnęła wzbudzić w nim zazdrość? A może chciała to powiedzieć, żeby zaznaczyć, że ten drugi na jego tle wypadł blado?

Rozmawiali dalej. Ninni w jego oczach uległa zmianie. Nagle stała się niesamowicie atrakcyjna. Przez kilka sekund był nią kompletnie pochłonięty. Jej oczami, spojrzeniem, tym, co mówiła. Po chwili to znowu zniknęło. Od bardzo dawna jej takiej nie widział. Gdzie schowały się te uczucia? Skoro mogły w taki sposób się pojawić, musiały gdzieś się tlić.

– Pamiętasz, jak to było, kiedy miał trzy tygodnie i leżał w szpitalu? – zapytała Ninni.

Fredrik skinął głową i uśmiechnął się blado. To nie było pytanie, na które musiał odpowiadać.

– Ech – westchnęła Ninni. – A niedługo zaczyna drugą klasę.

Zaledwie trzytygodniowy Simon cierpiał z powodu wirusa, który był raczej nieszkodliwy. A właściwie byłby, gdyby nie wiek dziecka. Maluch przestał przyjmować pożywienie, bo nie potrafił jednocześnie jeść i oddychać. Miał coraz większe trudności z wdychaniem powietrza.

Te trzy minuty, które zajęło przewiezienie go ze zwykłego oddziału na oddział intensywnej opieki, Fredrik potrafił przywołać w pamięci w każdej chwili. Rurka z tlenem obok przezroczystej plastikowej balii – jego łóżka – była dłuższa niż on sam. Poza tym miał maskę tlenową, luźno wiszącą nad ustami i nosem. Przez te trzy nierzeczywiste minuty Fredrik dryfował pół metra nad ziemią i ze wszystkich sił próbował nie myśleć, że tu i teraz może nastąpić koniec. Że wszystko może się spieprzyć.

Nie myśląc, że to zrobią, na bardzo krótką chwilę musnęli się dłońmi.

Fredrik westchnął. Nie było to jednak tylko ciężkie westchnienie. Miało w sobie też ulgę.

Czekała ich długa droga powrotna. Ale wydawało się, że ta, którą mogliby pokonać, odchodząc od siebie, była jeszcze dłuższa.

Anna-Karin znów była w domu. Także w przenośni.

Wróciła do rodzinnego gospodarstwa w Hablingbo. Jej dom był zniszczony. Na razie miała zamieszkiwać w gospodarstwie. Z czasem firma ubezpieczeniowa powinna wypłacić jej odszkodowanie za dom w Rone. Zostanie wybudowany nowy. A ponieważ Tommy zmarł kilka godzin przed ojcem, nikt nie mógł się domagać spadku w imieniu jej brata. Albo inaczej: można było się domagać, ale to byłoby skazane na porażkę. Spadek należał wyłącznie do Anny-Karin.

Wiele razy wyobrażała sobie, że wpada do salonu i podnosi opuszczone żaluzje. Wyciąga cuchnącą kanapę na podwórko, polewa ją benzyną i podpala.

Na razie po prostu zamknęła drzwi. Nie miała siły sprzątać, niczego palić ani nawet podnieść żaluzji. Chciała tylko już ich nie dostrzegać.

Tommy ciągle o nich opowiadał, o obcokrajowcach. Widział ich przy sklepie w Havdhem. Nie słuchała zbyt uważnie. Tommy za to potrafił się rozkręcić po spotkaniu kogoś w Hemse albo przeczytaniu artykułu w gazecie. Albo – wiedziała na pewno, choć nigdy o tym nie rozmawiali – kiedy wchodził na którąś z tych stron internetowych dla rasistów.

Latem zeszłego roku jechała z nim samochodem przez Hemse, gdy na ulicę wtargnęła kobieta owinięta jakąś błękitną tkaniną i z dobranym kolorystycznie nikabem. W małej szczelinie między kawałkami materiału widać było ciemną twarz.

Mówił o tym całymi tygodniami. Wspominał, jak szła środkiem ulicy, daleko od przejścia dla pieszych. Dodawał, że oni w swoich krajach nie mają przepisów ruchu drogowego. A w każdym razie nikt ich nie przestrzega. Ludzie chodzą i jeżdżą, jak im się podoba. Dlatego padają jak muchy.

No i nie słuchała zbyt uważnie. Nie podzielała poglądów brata, ale też nie miała w zwyczaju z nim dyskutować. Wiedziała, że wygaduje bzdury, ale nie interesowało jej spieranie się z nim. Chciała tylko żyć po swojemu. Miała z tym wystarczająco dużo roboty.

Po jakimś czasie sama ich zobaczyła. Akurat wstawiła do samochodu dwie pełne torby produktów spożywczych i usiadła za kierownicą, kiedy wjechali na parking swoim uroczym sportowym samochodzikiem. Najpierw zwróciła uwagę na niego. Znieruchomiała z kluczykiem w dłoni i zauważyła, że nie są Szwedami. Nie było to zbyt powszechne. Przynajmniej w Havdhem ponad tydzień przed rozpoczęciem sezonu turystycznego.

Z początku widziała tylko tyle. Sportowe auto i ciemną karnację skóry. Dopiero kiedy się zatrzymali i zaczęli wysiadać, rozpoznała mężczyznę.

To było jak silny cios. Na szczęście siedziała, bo inaczej nogi by się pod nią ugięły. Serce zaczęło jej dziwnie bić. Wydawało się słabe. Jakby miało się zatrzymać. Poczowała ucisk w gardle i zobaczyła mroczki przed oczami. Widziała znikające w sklepie postacie jako dwie nieostre plamy koloru.

Siedziała dalej na swoim miejscu, jakby w szoku. Trzymała kluczyk w dłoni. Czuła pot między palcami. Patrzyła pustym wzrokiem przez szybę. Wspomnienia wracały, ostre i najzupełniej rzeczywiste, jakby wszystko wydarzyło się bardzo niedawno.

Myślała, że to należy do przeszłości. Nie że zniknęło i nie miało znaczenia – bo wiedziała, że tak się nigdy nie stanie. Ale właśnie że należy do przeszłości. Zostało trzynaście lat za plecami. Że wróciła do życia. Nigdy nie sądziła, że będzie musiała przeżyć coś takiego.

Akurat on.

Rozpoznała go.

Bez wątplenia! Nie mogłaby być bardziej pewna. Trafiło ją jak cios. Całe ciało mówiło, że to on!

Kiedy wyszli z powrotem, włożyła kluczyk do stacyjki. Odpaliła samochód i ruszyła za nimi.

Co sobie myślała? Co jej chodziło po głowie, gdy przecinała skrzyżowanie w Havdhem zaledwie pięćdziesiąt metrów za czarnym sportowym samochodem? Gdy jechała za nim dalej w kierunku morza i Nisseviken?

Pewnie nie miała żadnego planu. Początkowo. Po prostu czuła, że musi jechać dalej. Nie może im pozwolić zniknąć. Pozwolić, by on umknął. Tylko nie on.

Nie było planu. Ale była wola. Intensywne uczucie pompowane z prześiąkniętego złem serca.

Wiedziała, że Tommy ma tę broń. On nie umiał milczeć w takich kwestiach. Przynajmniej w jej obecności. Znała wszystkie szczegóły. Ta sama broń, którą mieli snajperzy w elitarnych brytyjskich jednostkach. Była też

zdobyta przez niego amunicja, która... Co takiego robiła? Anna-Karin słyszała o tym tyle razy, a mimo to nie potrafiła sobie wszystkiego przypomnieć. Rozumiała tylko, że to śmiertelna broń. Trafienie nie musi być dokładne. I tak przyniesie śmierć.

Nigdy nie powiedział, że broń jest niezarejestrowana. I tak się domyśliła. Nie było też trudno wpaść na to, gdzie ją przechowuje. Mogła się mylić, ale kiedy pojechała do składziku, żeby sprawdzić, dokładnie tam ją znalazła.

Pudła na dole ją zaskoczyły. Przestraszyły. Obudziły w niej złe przeczuć. Dlatego je zostawiła. Nie przyszła grzebać w jego życiu. Przyszła po broń.

To było łatwe. Wiedziała też, że gdyby stwierdził jej obecność w składziku – choć ryzyko prawie nie istniało – i tak by nic nie powiedział. Na pewno.

Zamęczyliby go na śmierć.

Jej brat zginął. Zdetonował bombę na pokładzie promu z Gotlandii i spowodował śmierć dziewięciu osób. Trudno było to sobie wyobrazić. Jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, co go do tego skłoniło. Co go zainspirowało.

Może ona.

Pierwszy strzał był niecelny. Spanikowała. Była o włos od ucieczki. Na łeb, na szyję. Bez planu. Kiedy zobaczyła drzazgi wylatujące z drzwi, serce prawie jej eksplodowało.

Ale ucieczka była niemożliwa.

Drugi strzał padł zgodnie z zamierzeniem. Był tak skuteczny i natychmiastowy, że natychmiast poczuła się spokojna.

Mężczyzna, który runął na ziemię. On. To był on! Wtedy, o wpół do dziewiątej rano w poniedziałek dwudziestego pierwszego czerwca.

I później.

Ta kobieta z rozpaczą patrzyła w przestrzeń, szukając wytłumaczenia. Prosiła o łaskę. Nie dla siebie. Tak daleko nie sięgnęła. Dla niego. Tego, co było częścią jej życia. I co już minęło.

W tamtej chwili Anna-Karin mogłaby zapłacić każdą cenę, byle tylko nie patrzeć jej w oczy.

Było jednak za późno.

Ponownie nacisnęła spust.

I została sama. Z całej rodziny została tylko ona. Nic jej już nie powstrzymywało. Nie musiała nikogo brać pod uwagę. Nikim się opiekować.

Mogła w każdej chwili wstać i odejść. Nawet z pieniędzmi, które miała w kieszeni.

Wiedziała jednak, że to się nigdy nie stanie. Nie było już nic, od czego musiałaby się uwolnić.

Wiedziała też, że nawet gdyby się przeniosła – na drugi koniec wyspy, na kontynent – i tak by nie uciekła.

Sierpniowa noc była czarna. Letnie światło zanikało. Siedziała sama w kuchni, a nad stołem paliła się lampa. Widziała w szybie swoje odbicie.

Zdawała sobie sprawę, że policjanci wrócą. Ci sami albo inni. Ale wiedziała też, że sobie poradzi. O ile to jeszcze miało jakiegokolwiek znaczenie.

Była uziemiona. Dokądkolwiek pójdzie, wyrzuty sumienia nigdy jej nie opuszczą.

## Podziękowania

Ogromnie dziękuję Danielowi Åhlénowi i Magnusowi Frankowi z gotlandzkiej policji, Stefanowi Ekstedtowi z policji z rejonu sztokholmskiego, Annie Herlöfsson i Håkanowi Wallinowi za weryfikację faktów związanych z Sudret, Perowi Carlssonowi za tłumaczenie oraz Elisabeth Watson Strarup i Janowi-Erikowi Petterssonowi za czujne oko i słuszne uwagi.